

АЛЕКСАНДР ДЮМА

HRABIA
MONTE
CHRISTO

Alexandre Dumas

Hrabia Monte Christo

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842910

Hrabia Monte Christo:

Аннотация

Jedna z najślawniejszych powieści awanturniczych, malownicza opowieść o zdradzie i zemście; o człowieku, który postanowił wcielić się w rolę fatum. Aleksander Dumas (ojciec) publikował Hrabiego Monte Christo w latach 1844–1845 w dzienniku „Journal des Débats”. Nic dziwnego, że powieść zawiera wszelkie niezbędne elementy romantyzmu – w wersji „pop”. Znajdziemy tu lochy, zbrodnie, trupy, tajemnice, wielką miłość, ideę napoleońską, orientalizm, a przede wszystkim wybitną jednostkę o potęgze niemal boskiej, walczącą heroicznie z całym światem i własnym losem. Śladem epoki są też wątki fabularne dotyczące walki stronnictw bonapartystowskiego i rojalistycznego, a także szybkiego bogacenia się oraz przemieszczania się jednostek pomiędzy klasami społecznymi dzięki karierze wojskowej, operacjom na giełdzie lub inwestycjom w przemysł.

Содержание

1. Powrót do Marsylii	5
2. Ojciec i syn	20
3. Katalończycy	32
4. Zmowa	49
5. Przyjęcie zaręczynowe	59
6. Zastępca prokuratora królewskiego	78
7. Przesłuchanie	94
8. Zamek If	111
9. Wieczór zaręczyn	127
10. Gabinecik w Tuileriach	136
11. Potwór korsykański	149
12. Ojciec i syn	161
13. Sto dni	172
14. Więzień oszalały i więzień obłąkany	186
15. Numer 34 i numer 27	203
16. Uczony Włoch	229
17. Cela księdza	244
18. Skarb	273
19. Trzeci atak	292
20. Cmentarz zamku If	307
21. Wyspa Tiboulén	315
22. Kontrabandziści	333
23. Wyspa Monte Christo	344

24. Olśnienie	356
25. Nieznajomy	370
26. Oberża	380
27. Opowiadanie	399
28. Wykazy więzienne	420
29. Dom Morrela	430
30. Piąty września	450
Конец ознакомительного фрагмента.	464

Aleksander Dumas (ojciec)

Hrabia Monte Christo

1. Powrót do Marsylii

Był dwudziesty czwarty lutego 1815 r., gdy strażnik dał z wieży Notre Dame de la Garde sygnał, zapowiadając przybycie trójmasztowca „Faraon”, powracającego ze Smyrny przez Triest i Neapol.

Jak to zazwyczaj bywa w takich razach, z portu natychmiast wyruszył pilot i opłynąwszy zamek If przybił do burty statku pomiędzy przylądkiem Morgion i wyspą Rion. I jak to się znów z reguły dzieje, tak i tego dnia wały twierdzy Św. Jana zaroily się od gapiów; przybycie bowiem statku jest w Marsylii zawsze wielkim wydarzeniem, a co dopiero takiego statku jak „Faraon” – zbudowanego, otaklowanego i załadowanego w stocznjach starożytnej Focei, a nade wszystko należącego do jednego z miejscowych armatorów.

A statek zbliżał się tymczasem; przebył już szczęśliwie cieśninę pomiędzy wyspami Calasareigne i Jaros, powstała na skutek wstrząsów wulkanicznych, minął Pomègue, i choć posuwał się pod rozpiętymi marsłami, kliwrem i bezanem, szedł tak wolno i tak posępny nastrój wokół roztaczał, że niektórzy wśród widzów, wiedzeni samym przecuciem, zastanawiali

się, co za nieszczęście mogło ów statek dotknąć. Mimo to ludzie rozumiejący się na nawigacji twierdzili, że jeśli się coś złego przytrafiło, to pewnie nie statkowi. Bo chociaż płynął wolno, ale w najlepszym porządku, jak statek pod znakomitym dowództwem. Kotwica była przygotowana, zluzowano wanty bukszprytu, a obok pilota, który był gotów, aby wprowadzić żaglowiec w wąskie gardło marsylskiego portu, stał młody człowiek, o energicznym zachowaniu i bystrym spojrzeniu; bacznie czuwał nad każdym ruchem statku i powtarzał każdy rozkaz pilota.

Wśród tłumu widzów, na twarzach których malował się ów nieokreślony niepokój, jeden człowiek szczególnie zdawał się niepokoić i niecierpliwić; nie mogąc się doczekać przybycia statku do portu, wskoczył prędko do małej łódki i kazał płynąć naprzeciw „Faraona”; przybił doń na wysokości zatoczki Réserve.

Na widok owego człowieka młody marynarz opuścił swoje stanowisko przy pilocie i z kapeluszem w ręku przystąpił do burty statku.

Był to młodzieniec liczący zaledwie osiemnaście do dwudziestu lat, słusznego wzrostu, smukły, kruczowłosy, o pięknych czarnych oczach. W całej jego postaci malował się spokój i energia, właściwa ludziom, którzy od dzieciństwa przywykli walczyć z niebezpieczeństwami.

– Ach! To pan, panie Edmundzie! – wykrzyknął mężczyzna z łódki. – Cóż się stało? Skąd ten smutek, który panuje na

pokładzie?

– Nieszczęście, wielkie nieszczęście na nas spadło, panie Morrel – odrzekł młodzieniec. – Nieszczęście, które srogo mnie dotknęło. Tuż pod Civitavecchia straciliśmy naszego zacnego kapitana Leclère.

– A ładunek? – zawołał niespokojnie właściciel okrętu.

– Nietknięty, przywieźliśmy go w najlepszym porządku; sądzę, że jeśli o to idzie, będziesz pan zupełnie kontent. Ale biedny kapitan Leclère...

– Cóż mu się stało? – spytał właściciel tonem wyraźnie spokojniejszym. – Cóż się stało zacnemu kapitanowi?

– Nie żyje.

– Czyżby utonął?

– O nie, panie Morrel, umarł na zapalenie mózgu wśród najokropniejszych cierpień.

Po czym Edmund zwrócił się do swoich ludzi:

– Hej! – zawołał. – Wszyscy na stanowiska, rzucamy kotwicę!

Załoga spełniła rozkaz i ośmiu czy dziewięciu marynarzy, którzy się na nią składali, rzuciło się w mgnieniu oka do szotów, brasów, fałów, want i sztagów.

Młody marynarz, rzuciwszy okiem na początek manewru i przekonawszy się, że rozkazy są należycie spełniane, powrócił do pana Morrela.

– Jakże doszło do tego nieszczęścia? – spytał armator, nawiązując do przerwanego wątku rozmowy.

– Ach, mój Boże, nigdy byśmy się nie spodziewali. Po długiej

rozmowie z komendantem portu w Neapolu kapitan Leclère opuścił miasto bardzo wzruszony: nie minęła doba, a dostał nadzwyczaj mocnej gorączki i w trzy dni później już umierał... Wyprawiliśmy mu pogrzeb, jak należy; przywiązaliśmy mu do stóp i do głowy 26-funtowe kule i spoczywa teraz owinięty w hamak niedaleko wyspy El Giglio. Wdowie po nim wieziemy jego Krzyż Legii Honorowej i szpadę. Smutne to – ciągnął młodzieniec z melancholijnym uśmiechem – walczyć z Anglikami lat dziesięć, żeby potem umrzeć taką śmiercią, jak łada kto umiera – we własnym łóżku.

– Cóż chcesz, do diabła, drogi panie Edmundzie – odpowiedział armator, który wyglądał na niemal zupełnie pocieszonego po tej stracie. – Wszyscy jesteśmy śmiertelni, a trzeba przecież, żeby starzy ustępowali miejsca młodym, inaczej trudno byłoby mówić o postępie; ale skoro powiadasz mi, że ładunek jest...

– W doskonałym stanie, ręczę za to, panie Morrel. Ten rejs przyniesie panu zapewne 25 000 franków zysku.

Statek mijał właśnie Basztę Okrągłą.

– Gotować się do zwijania marsli, kliwra i bezanżagla! – zawołał młody żeglarz. – Żywo!

Rozkaz spełniono z taką szybkością, jak na okręcie wojennym.

– Luzuj i zwijaj!

Na tę komendę wszystkie żagle opadły nagle, a statek jął posuwać się do przodu z wolna, popychany samą już tylko siłą

rozpędu.

– Teraz, panie Morrel, racz wejść na pokład – rzekł Dantès, widząc niecierpliwość właściciela. – Oto wychodzi z kajuty pański buchalter, pan Danglars. Udzieli panu wszelkich objaśnień, jakich byś pan nie zażądał. Co do mnie, muszę dopilnować kotwiczenia i wywiesić znaki żałoby.

Armator nie kazał sobie powtarzać dwa razy, uchwycił linę okrętową, którą mu rzucił Dantès i z nadzwyczajną zręcznością, która nie przyniosłaby wstydu najwytrawniejszemu majtkowi, wspiał się na pokład po szczeblach umocowanych na zewnętrznej ścianie pękatego kadłuba. Dantès tymczasem wrócił na swoje dawne miejsce, aby nie przeszkadzać rozmowie armatora i pana Danglarsa, owego człeka, który wyszedł z kajuty na spotkanie pana Morrela.

Nowo przybyły wyglądał na dwadzieścia pięć do dwudziestu sześciu lat. Obłudna jego fizys zdradzała, że płaszczył się w obejściu ze zwierzchnikami, zaś cierpko traktował podwładnych. Piastował stanowisko agenta kasowego, a że sama ta funkcja budzi wstręt wśród marynarzy, dlatego zapewne cała załoga okazywała mu tyleż niechęci, co sympatii wobec Edmunda Dantèsa.

– I cóż, wie pan już zapewne – rozpoczął Danglars – o nieszczęściu?

– Wiem już, wiem. Biedny kapitan Leclère, dzielny to był i zacny człowiek.

– A nade wszystko doskonały marynarz, zestarzał się, patrząc

tylko na niebo i morze, jak przystoi człowiekowi, w którego ręce złożone były interesy tak znakomitej firmy, jak Dom Handlowy Morrel i Syn – odrzekł Danglars.

– Zdaje mi się jednak – rzekł armator, śledząc wzrokiem Dantèsa – że niekoniecznie trzeba być starym wilkiem morskim, jak pan twierdzisz, aby znać dobrze swoje rzemiosło. Oto na przykład nasz drogi Edmund, bierze się za dowodzenie tak, jakby nie potrzebował niczyjej pomocy.

– Zapewne – rzekł Danglars, spoglądając na Dantèsa z ukosa, a w oku błysnęła mu nienawiść. – Tak, nie podlega to żadnej wątpliwości, młode to i pewne siebie... Ledwie kapitan zamknął oczy, on natychmiast objął dowództwo bez niczyjej rady, i zamiast udać się prostą drogą do Marsylii, półtora dnia stał ze statkiem na Elbie.

– Miał prawo i obowiązek objąć dowództwo statku jako drugi co do stopnia po zmarłym; że zaś stracił półtora dnia na Elbie, to źle, chyba że statek potrzebował jakiejś naprawy.

– „Faraon” miał się tak dobrze jak ja, a życzę panu z całego serca takiego zdrowia jak moje, panie Morrel; straciliśmy półtora dnia, bo po prostu zachciało mu się pobyć trochę na lądzie i nic więcej.

– Dantès, pozwól pan tu do nas na chwilę! – zawołał do młodzieńca armator.

– Proszę wybaczyć – odpowiedział Dantès – za chwilę będę mógł panu służyć.

Po czym zwrócił się do załogi:

– Rzucaj!

Kotwica spadła, łańcuch osunął się z brzękiem. Chociaż pilot był nadal obecny, Dantès pozostał na stanowisku, póki ten ostatni manewr nie został ukończony, po czym krzyknął:

– Proporczyk do połowy masztu, spuścić flagę! Skrzyżować reje!

– Uważasz pan – rzekł Danglars. – Słowo daję, on ma się już za kapitana.

– Bo i jest nim – odpowiedział właściciel.

– Tak, brak tylko podpisu pana, panie Morrel, i pańskiego wspólnika.

– Do diabła, dlaczegoż nie mielibyśmy go zatrzymać na tym stanowisku? Prawda, że młody, ale to chłopak na swoim miejscu i widzę, że doświadczony z niego żeglarz.

Danglars spochmurniał na moment.

– Przepraszam, panie Morrel – rzekł Dantès, podchodząc do nich. – Racz mi wybaczyć; kiedy statek jest już na kotwicy, jestem na pańskie rozkazy. Zdawało mi się, żeś mnie pan wzywał.

Danglars cofnął się o krok.

– Chciałem cię zapytać, dlaczego zatrzymałeś się na Elbie.

– Właściwie nie wiem. Chciałem tylko wypełnić ostatnią wolę kapitana Leclère, który umierając, wręczył mi pakunek dla marszałka Bertrand.

– I cóż? Widziałeś go, Edmundzie?

– Kogo?

– Marszałka.

– Widziałem.

Rozejrzawszy się niespokojnie wkoło, Morrel odprowadził Dantèsa na stronę.

– Jakże się ma cesarz? – zapytał z ożywieniem.

– Dobrze, jeśli mogę sądzić z tego, co sam widziałem.

– Widziałeś więc i cesarza?

– Wszedł, kiedym był u marszałka.

– Mówiłeś z nim?

– On raczej ze mną rozmawiał – uśmiechnął się Dantès.

– I cóż ci rzekł?

– Zapytał, kiedy nasz statek wyruszył z Marsylii, jaką płynął drogą, jaki ma ładunek. Wywnioskowałem, że gdyby był bez ładunku i należał do mnie, cesarz chętnie by go kupił. Ale powiedziałem, że jestem tylko zastępcą kapitana, statek zaś jest własnością Domu Morrel i Syn. „Aha – zawołał natychmiast – znam tę firmę. Morrelowie to z dziada pradziada właściciele statków; jakiś Morrel służył w tym samym pułku co i ja w garnizonie w Walencji”.

– To prawda, jak Boga kocham – wykrzyknął uradowany armator. – Wszak to Polikarp Morrel, mój rodzony wuj, który dochrapał się stopnia kapitana. Edmundzie, jeśli tylko powiesz pan wujowi, że cesarz go sobie przypominał, poczciwy stary zrzęda rozplacze się z radości, zobaczysz. Dobrze – ciągnął dalej, klepiąc młodzieńca po ramieniu – słusznie zrobiłeś, żeś spełnił rozkazy kapitana Leclère i zatrzymał się na Elbie, chociaż gdyby

wiedzano, że zanosiłes jakąś paczuszkę do marszałka i mówiłes z cesarzem, mogłoby cię to narazić na podejrzenia.

– Ale z jakiej przyczyny, panie Morrel? – spytał Dantès.
– Czyż ja wiem, co było w tym pakunku? Cesarz zaś mógł zadać takie same pytania pierwszemu lepszeemu marynarzowi. Ale przepraszam pana raz jeszcze – rzekł nagle Dantès – zbliżają się do nas służba sanitarna i celnicy, pan pozwoli?...

– Dobrze, mój drogi Edmundzie, rób, co trzeba.

Młodzieniec oddalił się, a na jego miejsce przybliżył się Danglars.

– I cóż? – zapytał. – Zdaje się, że musiał się dobrze tłumaczyć z postoju w Portoferraio?

– Owszem, podał najistotniejsze powody, kochany panie Danglars.

– O, tym lepiej. Nie uwierzy pan, jak przykro myśleć, że kolega nie spełnia swych obowiązków.

– Dantès wykonał to, co do niego należało – odpowiedział armator – nie mam mu nic do zarzucenia. Postój miał miejsce na polecenie kapitana Leclère.

– Jeśli już mowa o kapitanie, czy Dantès nie oddał ci od niego żadnego listu?

– Mnie? Nie. Miał więc jakiś list?

– Zdawało mi się, że prócz paczki kapitan wręczył mu list.

– O jakiejże to paczuszce mówisz, panie Danglars?

– Ależ o tej, którą Dantès oddał w Portoferraio.

– Skąd pan wiesz, że miał tam oddać jakąś paczkę?

Danglars zarumienił się.

– Przechodziłem właśnie obok kajuty kapitana i przez półuchylone drzwi zauważyłem, jak oddawał Dantèsowi pakunek i list.

– O liście nic mi nie mówił – odrzekł właściciel. – A jeśli ma dla mnie jakąś wiadomość, z pewnością mi ją doręczy.

Danglars zamyślił się na chwilę.

– Panie Morrel, bardzo pana proszę, abyś mu o tym nie wspominał; przecież mogłem się pomylić.

W tejże chwili nadszedł Dantès, a Danglars znowu się oddalił.

– Cóż, Dantèsie, wszystko już załatwione? – zapytał Morrel.

– Tak, panie Morrel.

– Jakoś niedługo trwały te formalności.

– A nie. Oddałem celnikom spis naszych towarów, a z komory celnej przysłano do nas człowieka, który przyjechał razem z pilotem. Wręczyłem mu nasze dokumenty.

– Więc jesteś już pan wolny?

Dantès obejrzał się wokół.

– Tak, wszystko jest w porządku.

– No, to może zjesz pan z nami dziś obiad?

– Proszę mi darować, panie Morrel, ale choć to dla mnie ogromny zaszczyt, muszę najpierw powitać ojca.

– Słusznie, moje dziecko. Znałem cię zawsze jako dobrego syna.

– A mój ojciec... – zapytał Dantès z pewnym wahaniem – nie wie pan, jak on się miewa?

– Myślę, że dobrze, chociaż przyznam ci się, mój Edmundzie, że go dawno nie widział.

– A tak, on nie wychodzi prawie ze swego pokoiku.

– To dowodzi, że mu nic nie brakowało w czasie twojej nieobecności.

Dantès uśmiechnął się.

– Mój ojciec jest tak dumny, że gdyby nawet nic już nie miał, nikogo by w świecie nie poprosił o pomoc, chyba Boga jednego.

– Dobrze, ale potem, możemy się spodziewać, że przyjdiesz?

– Och, znów proszę pana o wybaczenie. Po tych odwiedzinach muszę jeszcze do kogoś pójść, i tam również serce mi się wyrywa.

– Ach, prawda! Prawda. Zapomniałem na śmierć, że w wiosce katalońskiej pewna osoba oczekuje na pana z taką jak pański ojciec niecierpliwością, śliczna Mercedes...

Dantès uśmiechnął się.

– Ach, nie dziwię się teraz – rzekł pan Morrel – dlaczego tu przychodziła pytać ze trzy razy, czy nie ma wiadomości o „Faraonie”. Tam do diabła! Powodzi się panu, drogi Edmundzie, piękną masz kochankę!

– To nie moja kochanka – odpowiedział z powagą Dantès – ale narzeczona.

– Wszystko to jedno, kochanka, narzeczona – uśmiechnął się właściciel statku.

– Dla nas nie, panie Morrel.

– Dobrze, idź już, idź, kochany Edmundzie, nie zatrzymuję

cię dłużej. Dosyć się napilnowałeś moich interesów, załatwiajże teraz swoje sprawy. Może ci trzeba pieniędzy?

– Nie, dziękuję, oszczędziłem sobie dosyć w czasie podróży, mam całą trzymiesięczną gażę.

– Jesteś porządnym chłopcem, Edmundzie.

– Pan wie, że mój ojciec jest ubogi – odpowiedział Dantès.

– O, wiem, wiem, żeś dobry syn jak rzadko, spiesze więc do ojca. Ja także mam syna i nie byłbym bardzo zobowiązany temu, kto by go chciał zatrzymać z dala ode mnie po trzymiesięcznej podróży.

– Żegnam więc pana – odrzekł młodzieniec, kłaniając się.

– Bywaj zdrow – jeśli mi nic więcej nie masz do powiedzenia.

– Nie.

– Kapitan Leclère nie poruczył ci przed śmiercią żadnego listu do mnie?

– Nie był już w stanie nic pisać, ale... Ach, dobrze, że nie zapomniałem. Chciałem prosić pana o dwa tygodnie urlopu.

– Chcesz się zapewne żenić?

– Tak... a potem muszę wyjechać do Paryża.

– Dobrze, dobrze! Jedź pan na tyle, na ile zechcesz! Wyładowanie statku zabierze najmniej sześć tygodni, więc dopiero za trzy miesiące będzie mógł wyjść w morze... Ale trzeba, żebyś pan był z powrotem przed upływem tego czasu. „Faraon” – dodał, kładąc dłoń na ramieniu młodego żeglarza – nie może wypłynąć bez kapitana.

– Bez kapitana! – zawołał Dantès i oczy zaiskrzyły mu się

radością. – Na Boga, zważ pan dobrze na to, coś wyrzekł, bo zdaje mi się, że odgadujesz moje najskrytsze marzenia. Czyżby miał pan rzeczywiście zamiar mianować mnie kapitanem „Faraona”?

– Gdyby to ode mnie samego zależało, podałbym ci rękę, mój drogi Edmundzie i powiedział: „Jesteś kapitanem”. Ale mam współnika, a znasz włoskie przysłowie: „kto ma współnika, ma naczelnika”. Ale połowa drogi już za nami, albowiem z dwóch potrzebnych głosów jeden już masz. Spuść się zresztą na mnie, jeżeli chodzi o drugi postaram się zrobić wszystko, abyś go uzyskał.

– O! Panie Morrel! – zawołał młody marynarz, ze łzami w oczach ściskając ręce armatora. – Dziękuję panu w imieniu mojego ojca i Mercedes.

– Spokojnie, drogi Edmundzie! Dobry Bóg na niebie od tego jest, do diabła, aby trzymać w swej opiece zacnych ludzi! Biegnij już do ojca, do swojej Mercedes, a potem zajdź i do mnie.

– Pozwoli pan, bym go odwiózł na ląd?

– Nie potrzeba, dziękuję; zostanę tutaj, żeby rozliczyć się z Danglarsem. Czy byłeś pan z niego kontent w czasie podróży?

– Zależy, co pan przez to pytanie pojmuje. Jako towarzysz... hm... nie byłem zadowolony, wiem, że mnie nie lubi, szczególnie od chwili, kiedy po jakiejś małej sprzeczce popełniłem wielką niedorzeczność i zaproponowałem krótki postój na wyspie Monte Christo, aby tam w ciągu dziesięciu minut zakończyć w sposób ostateczny nasz spór. Głupstwo zrobiłem, żem go

wyzwał, on zaś postąpił jak najśluszniej, sprzeciwiając się temu. Jeśli natomiast pytasz pan, co sędzę o nim jako o buchalterze, myślę, że będziesz pan kontent z jego pracy, pełni swoje obowiązki nadzwyczaj gorliwie.

– Ale powiedz mi – pytał dalej armator – gdybyś został kapitanem statku, zatrzymałbyś chętnie Danglarsa?

– Zarówno jako kapitan, jak i jego zastępcą, umiałbym szanować każdego, kto posiada zaufanie moich przełożonych.

– Doskonale, Edmundzie, widzę, żeś pod każdym względem prawy człowiek. Nie zatrzymuję cię dłużej, idź, bo widzę, że stoisz jak na rozżarzonych węglach.

– Jak więc będzie z moim urlopem?

– Ależ jedź sobie, powtarzam.

– Czy pożyczy mi pan łódki?

– Bierz.

– Do widzenia, panie Morrel, tysiącuroć dziękuję.

– Do widzenia, drogi Edmundzie, wszystkiego dobrego!

Marynarz wskoczył do łodzi, siadł na rufie i rozkazał płynąć do Cannebière. Dwaj majtkowie rzucili się natychmiast do wiosł i łódź pomknęła tak prędko, jak to tylko było możliwe w wąskiej uliczce, którą tworzyły dwa szeregi statków, prowadzącej od wejścia do portu aż do nabrzeża orleańskiego, a zapchanej gęsto niezliczoną ilością barek.

Morrel z uśmiechem na ustach odprowadził Dantèsa oczyma aż do brzegu; widział go jeszcze, jak przybił do brzegu, wyskoczył na kamienne płyty nabrzeża i znikł natychmiast w

barwnym tłumie. Od piątej rano do dziewiątej wieczór mrowi się na tej słynnej ulicy Cannebière, z której tak są dumni dzisiejsi Focejczycy, że powiadają o niej z najzimniejszą krwią i owym specyficznym akcentem, nadającym tak wyjątkowy charakter ich mowie, że „gdyby Paryż miał swoją Cannebière, mógłby się zwać małą Marsylią”.

Odwróciwszy się, armator spostrzegł stojącego obok Danglarsa, który z pozoru zdawał się oczekiwać na jego rozkazy, a w rzeczywistości sam śledził wzrokiem młodego marynarza.

Jakże wielka była różnica w wyrazie oczu tych dwóch ludzi, spoglądających na tego samego człowieka.

2. Ojciec i syn

Niechaj Danglars wysila swój geniusz zawiści; nie będziemy słuchali jego złośliwych podszeptów, których jedynym celem jest oczernić towarzysza przed armatorem, i udajmy się za Dantèsem. Przebiegł już całą Cannebière i skręciwszy w ulicę Noailles wpadł do niepozornego domu po prawej stronie Alei Meilhańskich, przebiegł szybko cztery piętra po ciemnych schodach i trzymając się jedną ręką poręczy, a drugą przyciskając do piersi, aby stłumić uderzenia serca, stanął przed drzwiami uchylonymi tak, że można było zajrzeć w głąb małej izdebki.

W tym pokoiku mieszkał ojciec Dantèsa.

Wiadomość o przybyciu „Faraona” nie doszła jeszcze do starca, który stojąc na krześle, drżącą ręką podpierał właśnie patyczkami pędy nasturcji i powoju, wijące się pomiędzy kratami.

Wtem uczuł, że ktoś go ujął w pól i z tyłu ozwał się znajomy głos:

– Ojcze, ojciec kochany!

Starzec krzyknął i odwrócił się nagle, a zobaczywszy syna, osunął się w jego objęcia drżący i błydy.

– Co ci, ojciec? – zawołał młodzieniec zatrwożony. – Czyś chory?

– Nie, nie, mój kochany Edmundzie, mój synu, moje dziecko,

ale nie spodziewałem się ciebie... To radość, wzruszenie, żem cię zobaczył tak niespodziewanie. Ach! Boże wielki, zdaje mi się, że umrę...

– Ale uspokój się, ojcze, przyjdź do siebie, to ja, naprawdę ja! Mówi się, że radość nikomu nie może zaszkodzić, to dlatego tu wszedłem bez uprzedzenia. No, ojcze kochany, uśmiechnij się i nie patrz takim obłąkanym wzrokiem. Wróciłem i od tej pory będziemy żyć razem szczęśliwi.

– Ach, cudownie, mój chłopcze – odrzekł starzec. – Ale jakoż to będziemy żyć w szczęściu? Nie opuścisz mnie już więcej? Powiedz, jakież to szczęście?

– Oby mi przebaczył Bóg Wszechmocny, że cieszę się szczęściem okupionym żałobą innej rodziny, ale ten sam Bóg mi świadkiem, że nie pragnąłem tego. Ot, samo przyszło i nie mogę go odtrącić. Umarł dzielny kapitan Leclère, ojcze, a ja, za wstawiennictwem pana Morrela obejmę najprawdopodobniej jego miejsce... Ojcze, rozumiesz? Być kapitanem w dwudziestym roku życia! Mieć sto ludwików pensji i udział w dochodach! Czyż marynarz tak biedny jak ja mógł kiedykolwiek spodziewać się takiego losu?

– Prawda to, syneczku, prawda – rzekł starzec. – To rzeczywiście wspaniała odmiana.

– Chciałbym za pierwsze pieniądze, które odbiorę, urządzić ci mały domek z ogródkiem, żebyś sobie sadził swoje powoje, nasturcje i kapryfolium... Ale cóż ci jest, mój ojcze? Wyglądasz, jakby ci słabo było?

– Bądź spokojny, to przejdzie.

Starcowi zabrakło jednak sił i zachwiał się.

– Dalibóg – zawołał młodzieniec. – Wypij szklanekę wina, to cię pokrzepi. Gdzie chowasz wino?

– Dziękuję ci, nie szukaj, nie chcę – odrzekł starzec, usiłując powstrzymać syna.

– Ależ tak, pozwól mi, pokaż tylko, gdzie jest.

I jął otwierać szafy.

– Próżno szukasz – wyszeptał starzec – wina nie ma.

– Jak to? Nie masz wina? – zawołał Edmund, blednąc i wpatrując się to w zapadłe i blade niczym wosk policzki ojca, to w puste szafy. – Jak to, nie ma ani kropli? Czy ci zabrakło pieniędzy?

– Nic, nic mi już nie brakuje, mam wszystko, bo mam ciebie, mój synu.

– Przecież trzy miesiące temu, przed wyjazdem, zostawiłem ci 200 franków – wyjąkał młodzieniec, ocierając pot z czoła.

– Tak, to prawda, Edmundzie. Zapomniałeś jednak, odjeżdżając, zapłacić małego długu sąsiadowi Caderousse. Upomniał się o niego, dodając, że jeśli nie zapłacę, uda się do pana Morrela. Pojmujesz więc, że z obawy, aby ci to nie zaszkodziło, zapłaciłem, cóżem miał zrobić?

– Ach, mój Boże, byłem mu winien 140 franków – zawołał Dantès – i mając wszystkiego 200 franków, które ci zostawiłem, oddałeś 140?

Starzec skinął głową.

– Tym sposobem, mając tylko 60 franków, żyłeś przez trzy miesiące – wyszeptał Dantès.

– Wszak wiesz, jak mało potrzebuję – odrzekł starzec.

– Ach, Boże, Boże! Ojcze, daruj mi, przebacz – rzucając się do nóg ojca, zawołał Dantès.

– Cóż ty wyprawiasz?

– Ach! Rozdarłeś mi serce.

– Nic to, przecie jesteś tu, ze mną – rzekł starzec, uśmiechając się łagodnie. – Teraz możemy o tym zapomnieć, bo wszystko dobrze się skończyło.

– Tak, jestem przy tobie – rzekł młodzieniec. – Jestem przy tobie i mam przed sobą piękną przyszłość, i nawet trochę pieniędzy. Patrz, ojcze, masz, weź je i poślij prędko kogoś po wszystko, czego ci trzeba.

To mówiąc, wysypał na stół z kieszeni ze dwanaście ludwików, sześć złotych pięciofrankówek i trochę drobnych monet.

Twarz starca rozjaśniła się.

– I czyjeż to? – spytał.

– Ależ moje!... twoje!... nasze!... Weź, każ kupić żywności, bądź szczęśliwy, jutro znajdzie się ich więcej.

– Powoli, powoli – rzekł starzec i łagodny uśmiech ukazał mu się na twarzy. – Jeśli pozwolisz, będę się ostrożnie obchodził z twoją kieszą. Gdyby zobaczono, że tak wiele naraz rzeczy kupuję, powiedziano by niezawodnie, że musiałem czekać z kupnem na twój powrót...

– Rób więc, jak chcesz, ojcie. Przede wszystkim jednak przyjmij sobie służącą, nie chcę dłużej, żebyś tu sam tak żył. Mam w skrzyneczce na dnie statku trochę przemyconej kawy i wybornego tytoniu – jutro ci przyniosę. Ale pst! ktoś nadchodzi!

– To Caderousse, musiał się już dowiedzieć, żeś przyjechał i przychodzi zapewne pogratulować ci szczęśliwego powrotu.

– Doskonale! Znowu człowiek, który co innego ma na ustach, a co innego w sercu – szepnął Edmund – ale mniejsza o to, wszak to nasz sąsiad, który nam kiedyś pomógł w potrzebie, trzeba go dobrze przyjąć.

Istotnie, kiedy Edmund kończył z cicha mówić te słowa, w drzwiach wiodących na schody ukazała się czarniawa i brodata twarz Caderousse'a. Był to człowiek mniej więcej dwudziestopięcioletni i trudnił się krawiectwem; trzymał właśnie w ręku kawał sukna, który zamierzał skroić na klapę surduta.

– Ejże, wróciłeś więc, Edmundzie? – zawołał z czysto marsylskim akcentem, ukazując w szerokim uśmiechu zęby białe niby kość słoniowa.

– Jak widzisz, sąsiedzie, i gotów jestem ci usłużyć, w czym rozkażesz – rzekł Dantès, niezręcznie ukrywając pod pozorami uprzejmości wyraźną niechęć.

– Dziękuję, dziękuję! Chwała Bogu, nic mi nie trzeba, a za to inni czasem potrzebują czegoś ode mnie.

Dantès drgnął, a Caderousse ciągnął dalej.

– Nie odnoszę tego do ciebie, mój kawalerze; pożyczyłem ci pieniądze, tyś mi oddał; to się zdarza między dobrymi sąsiadami,

a my jesteŝmy kwita.

– Nigdy nie jesteŝmy skwitowani wobec tych, którzy nam wyŝwiadczyli przysługę, bo jeŝli nawet przestaliŝmy być im dłuŝni pieniądze, naleŝy im się jeszcze wdziecznoŝć.

– Po co tu o tym gadać? Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ot, pomówmy lepiej o twojej podróŝy. Wybrałem się właŝnie do portu, aby zaopatrzyć się w brązowe sukno, wtem spotykam kochanego Danglarsa.

– A ty, co tu robisz w Marsylii?

– Ano, jestem juŝ – odpowiedział mi.

– Myślałem, ŝeś w Smyrnie?

– Dobrześ myślał, właŝnie stamtąd wracam.

– A gdzie nasz młody Edmund?

– Aleŝ z pewnoŝcią u ojca – odpowiedział Danglars.

– Więc przyszedłem natychmiast – kontynuował Caderousse – aby uŝcisnąć rękę dobrego przyjaciela.

– Poczcwiy Caderousse! – rzekł starzec. – Jakŝe jest do nas przywiązany!

– Pewnie, ŝe jestem do was przywiązany, a co wiêcej wielce was szanuję, bo to teraz rzadko moŝna spotkać uczciwych ludzi... Hm! Widzê, ŝeś nam powrócił bogaty, chłopcze – papłał dalej krawiec, rzucając z ukosa spojrzenie na złote i srebrne monety rozrzucone przez Dantèsa na stole.

Młodzieniec dostrzegł w czarnych oczach sąsiada błysk chciwoŝci.

– Ach, mój Boŝe – rzekł niedbale – to nie moje pieniądze.

Mówiłem właśnie ojcu, że bałem się, czy mu czegoś nie brakło w czasie mojej nieobecności, a on, aby mnie uspokoić, wysypał zawartość swojej sakiewki na stół. Mój ojciec, schowaj to do mieszka, chyba że nasz sąsiad Caderousse potrzebuje pieniędzy, w takim przypadku chętnie mu pomożemy.

– Uchowaj Boże, chłopcze – rzekł Caderousse – nie potrzebuję niczego; Bogu dzięki rzemieślnicza profesja potrafi wyżywić człowieka. Schowaj sobie pieniądze, tego nigdy nie można mieć za wiele. A swoją drogą bardzo ci dziękuję za propozycję, i czuję się tak zobowiązany, jakbym z niej skorzystał.

– To było ze szczerego serca – rzekł Dantès.

– Nie wątpię. I jak tam, jesteś podobno na dobrej stopie z panem Morrelem, filucie?

– Pan Morrel był dla mnie zawsze szczególnie życzliwy.

– W takim razie nie miałeś racji, nie przyjmując zaproszenia na obiad.

– Jak to? Odmówiłeś zaproszenia? – wtrącił stary Dantès. – Zapraszał cię na obiad?

– Zapraszał – odpowiedział Edmund z uśmiechem, ubawiony, że ojca tak mocno zdumiał zaszczyt, jaki go spotkał.

– Synu, i dlaczego odmówiłeś? – zapytał starzec.

– Bo pragnąłem jak najprędzej cię zobaczyć, ojciec – odrzekł młodzieniec. – Do ciebie się spieszyłem.

– Mogło to sprawić przykrość panu Morrelowi, on taki poczciwy – dorzucił Caderousse – a kiedy ktoś pragnie zostać kapitanem, czyni wielkie głupstwo, jeśli się w czymś sprzeciwia

armatorowi.

– Wyjaśniłem mu przyczynę odmowy i zrozumiał to, jak sądzę.

– Ale jeśli masz zostać kapitanem, powinienes czasem pochlebiać swoim przełożonym.

– I bez tego spodziewam się nim zostać – odpowiedział Dantès.

– Tym lepiej, tym lepiej, wszyscy twoi starzy przyjaciele będą się z tego serdecznie cieszyli, a znam też kogoś, kto mieszka za cytadelą Świętego Mikołaja, kto pewnie się tym bardzo nie zmartwi.

– Mercedes – podpowiedział starzec.

– Tak, ojcie – odpowiedział Dantès. – I za twoim pozwoleniem, kiedy cię już zobaczyłem i wiem, żeś zdrow i na niczym ci nie zbywa, chciałbym ją odwiedzić.

– Idź, moje dziecko, idź – rzekł stary Dantès – i niech twoja żona będzie dla ciebie takim błogosławieństwem Bożym, jak ty dla mnie!

– Żona! – rzekł Caderousse. – Ojczulku, ależ ci spieszo! Wydaje mi się przecie, że Mercedes nie jest jeszcze jego żoną!

– Nie, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – odrzekł Edmund – wkrótce nią będzie.

– Mniejsza o to, w każdym razie dobrze robisz, że się spieszysz, mój chłopcze!

– A to czemu?

– Bo Mercedes jest ładną dziewczyną, a ładnym dziewczętom

nietrudno o amantów, szczególnie jej! Włóczę się za nią tuzinami.

– Doprawdy? – zdziwił się Edmund i lekki niepokój przebił się przez jego uśmiech.

– O, tak – odpowiedział Caderousse. – I trafiały jej się nawet doskonałe partie; ale że ty wkrótce kapitan, nikt ci tak łatwo nie da kosza.

– Co znaczy, że gdybym nie był kapitanem... – rzekł Dantès z uśmiechem, który źle skrywał jego niepokój.

– No, no! – mruknął znacząco Caderousse.

– Ale co tam! – rzekł Edmund. – Dajmy temu spokój; mam lepsze wyobrażenie o kobietach w ogóle, a o Mercedes w szczególności i jestem przekonany, że czy byłbym kapitanem, czy nie, ona dochowałaby mi słowa.

– Tym lepiej – przytaknął Caderousse. – Zaufanie to ważna rzecz, zwłaszcza gdy kto chce się żenić. Co mi zresztą do tego; ale posłuchaj, chłopcze, nie trać czasu, idź do niej natychmiast, zawiadomić o swoim powrocie i nadziejach.

– Już idę – rzekł Edmund.

Uściskał ojca, kiwnięciem głowy pożegnał Caderousse'a i wyszedł.

Caderousse zatrzymał się jeszcze przez chwilę, a pożegnawszy się ze starym Dantèsem, udał się na spotkanie z Danglarsem, który czekał nań na rogu ulicy Senac.

– I co? Widziałeś go? – zagadnął Danglars.

– Właśnie się rozstaliśmy – odrzekł Caderousse.

- Mówił ci coś o tym, że zamierza zostać kapitanem?
- Mówi o tym, jakby już było po wszystkim.
- Cierpliwości, chłopcze! – rzekł Danglars. – Myślę, że się trochę za szybko wrywa.
- Diabli go wiedzą, zdaje się, że mu to przyrzekł pan Morrel.
- I pewnie jest bardzo radosny?
- Powiedz raczej: bezczelny. Wyobraź sobie, że mi ofiarował swoją pomoc, jakby był jakąś wielką figurą. I chciał mi pieniędzy pożyczyć, niczym bogaty bankier.
- Nie przyjąłeś, naturalnie.
- Ma się rozumieć, chociaż właściwie mogłem je przyjąć, zważywszy, że ja pierwszy dałem mu parę sztuk srebra, którymi zaczął obracać. Ale teraz imć pan Dantès nie będzie już nikogo potrzebował, zostanie kapitanem.
- Ba! – obruszył się Danglars. – Jeszcze nim nie jest.
- Słowo daję, lepiej by było, żeby nie został – rzekł Caderousse – bo potem to nie da się do niego nawet przystąpić.
- Jeśli tylko zechcemy – szepnął Danglars – zostanie tym, czym jest dzisiaj, a może nawet i to straci.
- Co ty opowiadasz?
- Nic, ot, tak sam do siebie coś mówiłem. A kocha się ciągle w tej swojej Katalonce?
- Szalenie! Właśnie do niej poszedł. Ale, jeśli się nie mylę, napyta sobie przez to biedy.
- Mów jaśniej.
- A po co?

– To ważniejsze, niż myślisz. Wszak nie lubisz Dantèsa, co?

– Nie cierpię zarozumialców!

– Więc właśnie, powiedz mi, co wiesz o tej jego Katalonce.

– Nie znam żadnych szczegółów, ale to, co widziałem, upoważnia mnie do podejrzeń, że naszego przyszłego kapitana może spotkać jakaś przykrość na drodze do Vieilles-Infirmieries.

– Cóżś widział? Mów prędko.

– Widziałem na przykład, że ile razy Mercedes wychodzi do miasta, towarzyszy jej zawsze jakiś Katalończyk, chłopisko jak byk, czarnooki, ogorzały od słońca, ciemnowłosy i mocno w niej rozkochany, a ona nazywa go kuzynem.

– Ach, doprawdy! I jak sądzisz, umizga się do niej ten kuzynek?

– Tak mi się zdaje. Bo cóż by robił dwudziestojednoletni chłopak, łąząc za dziewczyną siedemnastoletnią i do tego ładną?

– I powiadasz, że Dantès poszedł do Katalończyków?

– Wyszedł z domu tuż przede mną.

– Pójdźmy w tamtą stronę, posiedzimy sobie trochę w karczmie u Pamfila, poczekamy przy szklaneczce malagi i zobaczymy, co się dalej stanie.

– A któż nam o tym powie?

– Dantès będzie tamtędy wracał; zrozumiemy zaraz z jego miny, co się tam dzieje.

– Chodźmy więc – rzekł Caderousse – ale ty stawiasz?

– Oczywiście – odpowiedział Danglars.

I udali się szybko na miejsce, o którym wspominali.

Przyszedłszy do karczmy, kazali sobie podać butelkę wina i dwie szklanki. Ojczulek Pamfil widział, jak niespełna 10 minut wcześniej przechodził tamtędy Dantès. Nie ulegało wątpliwości, że Dantès jest u Katalończyków; nasi bohaterowie zasiedli zatem w altanie, pod dachem z rozwijających się listków platanów i sykomorów; wśród gałęzi drzew stado radosnych ptasząt śpiewało hymn na cześć jednego z pierwszych dni nadchodzącej wiosny.

3. Katalończycy

O sto kroków od miejsca, gdzie dwaj przyjaciele, popijając musującą malagę, wyteżali czujnie wzrok i słuch, schowana za nagim wzgórzem, smaganym przez słońce i podmuchy mistrała, leżała katalońska wiosieczka.

W czasie, którego tu nie możemy dokładnie oznaczyć, tajemnicza jakaś kompania wyruszyła z Hiszpanii, wylądowała na tym wąskim pasemku ziemi i pozostała tu po dziś dzień. Nie wiadomo, skąd przybywali ci ludzie ani jakim językiem mówili. Jeden z ich naczelników, znający język prowansalski, uprosił marsylską gminę, aby oddała im ten nagi, jałowy przylądek, na którego brzeg, niczym starożytni żeglarze wyciągnęli swoje łodzie. Przychylono się do jego prośby i w trzy miesiące później wokół dwunastu czy piętnastu łodzi, które przywiozły tu tych nomadów morskich, powstała niewielka osada.

Ową wioskę, zbudowaną w dziwaczny i malowniczy zarazem sposób, w stylu na pół hiszpańskim, na pół mauretańskim, po dziś dzień zamieszkują potomkowie tych pierwszych osadników i mówią językiem swoich ojców. Od trzech czy czterech wieków wierni są temu małemu przylądkowi, gdzie uwili swe gniazda jak gromada morskich ptaków, nie miesząc się do spraw ludności marsylskiej, żeniąc się między sobą tylko i przechowując obyczaje i ubiór narodowy tak samo, jak zachowali ojczysty język.

Zaprowadźmy czytelnika, idąc wzdłuż jedynej uliczki w wiosce, do jednego z tych domów, barwionych promieniami słońca na ów piękny odcień uschłych liści, właściwy dla budynków w tych okolicach, a wewnątrz bielonych wapnem; poza owym białym tynkiem nie masz innej ozdoby w hiszpańskich dworach.

Wewnątrz wsparta o ścianę stała piękna młoda dziewczyna, o czarnych włosach i aksamitnych oczach gazeli, i miała w palcach wysmukłych jak u antycznego posagu drobniuchną gałązkę wrzосу, zrywając z niej kwiatuszki, których szczątki sypały się na ziemię; ręce jej obnażone po łokcie, opalone, lecz foremne jak u Wenus z Arles, drżały z niecierpliwości. Wąską stopą o wysokim podbiciu tupiała tak, że można było dzięki owemu ruchowi dojrzeć wspaniałą, strzelistą linię nogi, obciągniętej w bawelnianą, czerwoną pończoszkę z szarobłękitnymi klinami.

O trzy kroki od niej siedział, kołysząc się rytmicznie na krześle, oparty łokciem o staroświecką spróchniałą komodę, wysoki młodzieniec lat dwudziestu lub dwudziestu dwóch i patrzył na dziewczynę wzrokiem, który wyrażał niepokój i żal. W oczach malowało mu się zapytanie, ale dziewczyna panowała nad towarzyszem, spoglądając nań żywo i stanowczo.

– Popatrz, Mercedes – mówił młodzieniec. – Nadchodzi Wielkanoc. Najlepszy czas, aby wyprawić wesele, odpowiedz mi, proszę!

– Sto razy już ci mówiłam, Fernandzie, i doprawdy sam sobie chyba źle życzysz, kiedy mnie znów o to samo pytasz.

– I coś z tego! Powtórz raz jeszcze, błagam, powtórz, może uda mi się uwierzyć. Powtórz raz setny, że odrzucasz moją miłość, którą matka twoja widziała dobrym okiem; spraw, abym przekonał się, że igrasz z moim szczęściem, że nie obchodzi cię ani moje życie, ani śmierć. Ach, Boże mój, Boże wielki! Marzyć dziesięć lat, że będę mężem twoim, Mercedes, i stracić całą tę nadzieję, która była jedynym celem mojego życia.

– Czyż podsycalam w jakikolwiek sposób twoją nadzieję, Fernandzie? – zapytała Mercedes. – Nie możesz mi zarzucić, bym cię choć raz kokietowała. Nieustannie powtarzałam ci: „kocham cię jak brata, ale nic oprócz tej miłości siostrzanej nie żądaj ode mnie, bo moje serce należy do kogo innego”. Czyż nie powtarzałam ci tego, Fernandzie?

– Tak, Mercedes, mówiłaś – odpowiedział młodzieniec. – I za cnotę poczytałaś sobie traktowanie mnie z okrutną szczerością. Czyżbyś jednak zapomniiała, że według uświęconego prawa Katalonka ma wychodzić za Katalończyka?

– Mylisz się, Fernandzie, to nie prawo, ale zwyczaj tylko, nic więcej; i radzę ci – nie przyzywaj tego zwyczaju na swoją korzyść. Fernandzie, zapadł na ciebie wyrok w komisji poborowej; jeśli dotąd posiadasz tyle swobody, to dzięki zwykłej pobłażliwości; nie dziś, to jutro możesz być powołany do wojska; zostaniesz żołnierzem, i coś się stanie ze mną, biedną dziewczyną, sierotą, nieszczęśliwą, której całym majątkiem jest mizerna chata waląca się w gruzy i kilka zużytych rybackich sieci: oto nędzne dziedzictwo zostawione matce w spadku po

ojcu, a mnie po matce. Od jej śmierci minął już rok, a ja pomyśl tylko, Fernandzie – utrzymuję się niemal z żebrania! Twierdzisz wprawdzie czasem, że ci jestem pomocna, jedynie dlatego, abyś mógł ze mną dzielić połów. Nie odmawiam ci, bo jesteś moim kuzynem, bośmy się razem wychowali, a przede wszystkim dlatego, że wiem, jak by ci było przykro, gdybym odmówiła. Czuję przecież dobrze, że te ryby, które sprzedaję, i konopie, które kupuję za uzyskane w ten sposób pieniądze i przędę potem, czuję, powtarzam ci, Fernandzie, że to tylko jałmużna.

– Cóż to wszystko znaczy, Mercedes! Choć biedna i sierota, przenoszę cię nad córkę najznaczniejszego armatora czy najbogatszego bankiera Marsylii! Bo czegoż takim jak my potrzeba? Wiernej żony i dobrej gospodyni. Gdzież znajdę dziewczynę, która lepiej spełniałaby te wymagania?

– Fernandzie – rzekła Mercedes, potrząsając głową – kobieta łatwo może zostać kiepską gospodynią, kiedy nie kocha męża, ale innego mężczyznę i trudno też zatem odpowiadać za jej wierność. Poprzestań na mojej przyjaźni, bo tylko tyle mogę ci ofiarować, a przyrzekam tylko to, czego jestem pewna, że potrafię dotrzymać.

– Ach, rozumiem – powiedział Fernand. – Cierpliwie znosisz własną nędzę, ale lękasz się znieść biedę u mego boku. A więc, Mercedes, gdybym posiadał twoje serce, popróbowalbym szczęścia, ty byś mi je przyniosła, zdobyłbym fortunę. Mógłbym pracować jako komisant w jakiej firmie, sam mogę zostać

kupcem!

– Do niczego brać się nie możesz, Fernandzie, bo jesteś żołnierzem; jesteś teraz w domu dlatego, że nie ma wojny; bądź, jak byłeś, rybakiem, nie przypuszczaj do siebie marzeń, które uczynią ci rzeczywistość jeszcze bardziej okrutną, poprzestań na mojej przyjaźni, bo nie jestem w stanie ofiarować ci nic innego.

– A więc dobrze, masz słuszość, Mercedes, zostanę marynarzem, zrzucę strój naszych ojców, bo ty nim gardzisz, a przywdzieję ceratową czapkę, koszulę w paski i granatową bluzę z kotwicą na guzikach. Tak przecież trzeba się ubierać, aby ci się spodobać?

– Do czego zmierzasz? – zapytała Mercedes, rzucając Fernandowi dumne spojrzenie. – Cóż to ma znaczyć, bo ja cię nie rozumiem.

– To znaczy, Mercedes, że jesteś tak nieugięta i tak okrutna wobec mnie tylko dlatego, że czekasz tu na kogoś, kto właśnie taki nosi strój. A może ten, na którego czekasz, okazał się niestałym; a nawet jeśli byłoby inaczej, to przecież morze jest kapryśne wobec żeglarzy.

– Fernandzie! – zawołała Mercedes. – Myślałam, że jesteś dobrym człowiekiem, ale myliłam się! Masz złe serce, jeśli w zazdrości wzywasz gniewu boskiego! A więc dobrze, tak, to prawda, ja bynajmniej się z tym nie taję, czekam na tego, o którym mówisz, i kocham go. A jeśli nie wróci, nie będę złorzeczyć kapryśności losu, którą ty wzywasz, powiem, że zginął, kochając mnie.

Młody Katalończyk zadrżał z wściekłości.

– Rozumiem cię, Fernandzie: będziesz z nim szukał zajścia, dlatego, że ja cię nie kocham, skrzyżujesz swój kataloński nóż z jego sztyletem! I cóż ci to da? Jeśli przegrasz, stracisz moją przyjaźń; jeśli zwyciężysz, zobaczysz, jak moja przyjaźń w nienawiść się obraca. Uwierz, to zły sposób, jeśli ktoś, chcąc przypodobać się kobiecie, szuka zaczepki z człowiekiem, którego ona kocha. O, Fernandzie, nie chcesz się poddać tak złym myślom. Nie możesz mnie poślubić, ale możesz mieć we mnie przyjaciółkę i siostrę. Zresztą – dodała, a w jej oczach pojawiło się przerażenie i po policzkach spłynęły łzy – czekaj jeszcze, Fernandzie, czekaj; mówiłeś przed chwilą, że morze jest zdradliwe, już cztery miesiące upłynęły, a on nie wraca; przez cztery miesiące ileż burz naliczyłam!

Fernand nie okazał wzruszenia, nie starał się nawet otrzeć łez, płynących po twarzy Mercedes, a przecież za każdą jej łzę utoczyłby sobie chętnie szklanek krwi; ale te łzy płynęły przecież za innym. Podniósł się, przeszedł tam i z powrotem po chacie z ponurą twarzą i zaciśniętymi pięściami.

– Posłuchaj, Mercedes – rzekł. – Ostatni raz odpowiedz, czy nie zmienisz postanowienia?

– Kocham Edmunda Dantèsa – odpowiedziała chłodno dziewczyna – i nikt prócz Edmunda nie zostanie moim mężem!

– I będziesz go kochała zawsze?

– Póki życia.

Fernand spuścił głowę, odwaga zdaje się odstaąpiła go

zupełnie, westchnął ciężko i jęk wydobył mu się z piersi, potem, podnosząc nagle czoło, zaciskając zęby i rozdymając nozdrza, odezwał się:

– A jeśli on nie żyje?

– Jeśli nie żyje, ja też umrę.

– Jeśli zapomniał o tobie?

– Mercedes! – z pola dał się słyszeć radosny głos – Mercedes!

– Ach! – krzyknęła dziewczyna, promieniejąc z radości. –

Widzisz, że o mnie nie zapomniał, jeśli wrócił... – Podskoczyła ku drzwiom, otworzyła je i krzyknęła: – Chodź, tutaj jestem, Edmundzie!

Fernand blady i drżący cofnął się nagle w tył, jakby węża spostrzegł i natrafiwszy na krzesło, upadł na nie bez sił.

Edmund i Mercedes stali, tuląc się w ramionach. Pałace słońce Marsylii, którego promienie wpadły przez otwarte drzwi, otoczyło ich falą światła. Nie widzieli z początku nic, co się wokół nich działo; ogrom szczęścia wyrwał ich ze świata, i wymieniali tylko urywane słowa, które są wyrazem takiej radości, że można by je wziąć za objaw bólesci.

Wtem Edmund spostrzegł pochmurną twarz Fernanda, która wyłaniała się z cienia blada i groźna. Młody Katalończyk wyciągnął rękę – a był to ruch, z którego sam nie zdawał sobie sprawy – do noża wetkniętego za pas.

– Ach! Proszę darować – rzekł Dantès, marszcząc brwi. – Nie zauważyłem, że jest nas tu troje.

Po czym zwrócił się do Mercedes:

– Kim jest ten pan?

– Ten pan będzie twoim najlepszym przyjacielem, Edmundzie, bo jest moim przyjacielem; to kuzyn mój, mój brat, Fernand, to człowiek, którego po tobie najbardziej kocham na świecie, nie poznajesz go?

– Rzeczywiście – odrzekł Edmund i tuląc w jednej dłoni rękę Mercedes; drugą wyciągnął serdecznie do Katalończyka.

Fernand jednak stał milczący i nieruchomy jak posąg, nie zamierzając odpowiedzieć na ten przyjacielski gest. Wówczas Edmund spojrzał badawczym wzrokiem na Mercedes wzruszoną i drżącą, i na Fernanda – zasepionego i groźnego.

Zrozumiał wszystko w mgnieniu oka.

Zmarszczył w gniewie czoło.

– Nie wiedziałem, Mercedes, spiesząc się tak do ciebie, że zastanę tu wroga.

– Wroga! – krzyknęła Mercedes, rzucając pełne gniewu spojrzenie na kuzyna. – Wróg w moim domu, mówisz, Edmundzie! Gdybym tak myślała, wzięłabym cię za rękę i pojechała z tobą do Marsylii, opuszczając na zawsze mój dom.

Dziki płomień błysnął w oczach Fernanda.

– A gdyby cię spotkało nieszczęście, Edmundzie – dodała dziewczyna z tym samym spokojem, który przekonał Fernanda, jak głęboko zajrzała w jego najtajniejsze myśli – gdyby cię spotkało nieszczęście, wysłałabym na sam cypel Morgion i stamtąd rzuciłabym się głową w dół, na skały.

Fernand pobladł okropnie.

– Ale mylisz się, Edmundzie – ciągnęła. – Nie masz tu nieprzyjaciół; przecież to Fernand, mój brat, który uściśnie ci rękę jak najbliższemu przyjacielowi.

Mówiąc to, dziewczyna zatrzymała nakazujący wzrok na Fernandzie, który zniewolony tym spojrzeniem podszedł powoli do Edmunda i podał mu rękę.

Nienawiść jego, podobna bezsilnej, chociaż wściekłej fali, rozbiła się o cudowny wpływ, jaki nań wywierała ta kobieta. Ale zaledwie dotknął ręki Edmunda, poczuł, że na nic więcej zdobyć się nie zdoła – i wypadł jak strzała z chaty.

– Och! – wołał, biegnąc jak szaleniec i targając się za włosy. – Och! Któż mnie uwolni od tego człowieka! O ja nieszczęśliwy!

– Hej, Katalończyku! Ej, Fernandzie! Gdzie pędzisz? – zawołał Caderousse.

Młody człowiek stanął jak wryty, rozejrzał się wokół, aż spostrzegł wreszcie Caderousse'a i Danglarsa, siedzących przy stole, w altanie osłoniętej liśćmi.

– Ejże, chodź do nas! – rzekł Caderousse. – Tak ci pilno, że nie możesz przywitać się z przyjaciółmi?

– Zwłaszcza, kiedy przed nimi stoi pełna jeszcze butelka wina? – dodał Danglars.

Fernand spojrzał na nich wzrokiem osłupiałym i nie odpowiedział ani słowa.

– Zdaje się, że zupełnie zgłupiał – rzekł Danglars, trącąc kolanem towarzysza. – Jak to! Czyżbyśmy się zawiedli? I wbrew naszym przeczuciom Dantès triumfuje?

– Do licha, zobaczymy – rzekł Caderousse i zwrócił się do młodzieńca. – No i cóż, Katalończyku? Namysliłeś się wreszcie?

Fernand otarł pot z czoła i wszedł do altany, której cień zdawał się nieco go uspokajać, a świeży chłód wzmacniać siły jego wyczerpanego ciała.

– Jak się macie – rzekł. – Wołaliście, prawda?

I zamiast usiąść, osunął się bezwładnie na ławkę.

– Wołałem cię – rzekł, śmiejąc się, Caderousse – boś leciał jak opętany, bałem się, żebyś się nie rzucił w morze. Do licha! Jak się ma przyjaciół, to nie tylko po to, aby im stawiać szklaneczkę, ale też po to, żeby im przeszkodzić, kiedy któremu przyjdzie do głowy wychłęptać parę kwart wody.

Fernand wydał jęk podobny do łkania i głowa opadła mu na ręce skrzyżowane na stole.

– Chcesz, żebym ci powiedział, jaką masz minę? – rzekł Caderousse, zagajając z właściwym dla ludzi z gminu grubiaństwem, którzy wszelką delikatność poświęcają dla ciekawości. – Jak odprawiony z kwitkiem konkurent!

Przy tym żarcie wybuchnął śmiechem z całego gardła.

– No, no! – odrzekł Danglars. – Taki gracki chłopak musi mieć szczęście w miłości! Kpisz sobie, Caderousse!

– Wcale nie – rzekł tamten – zauważ tylko, jak on wzdycha. No, no, głowa do góry, Fernandzie i odpowiedz. Przecież to nie przystoi nie odzywać się do przyjaciół, którzy pytają cię, jak się miewasz.

– Zdrów jestem – odrzekł Fernand, zaciskając pięści, ale nie

podnosząc głowy.

– Ot, widzisz – powiedział więc Caderousse, rzucając znaczące spojrzenie Danglarsowi. – Rzeczy mają się tak: Fernand, którego masz tu przed sobą, zacny i dzielny Katalończyk, najlepszy rybak w Marsylii, zakochał się w ładnej dziewczynie imieniem Mercedes; ale niestety to ładne dziewczę kocha się nie w nim, ale podobno w zastępcy „Faraona”, a ponieważ statek ten przybył właśnie dziś do portu, pojmujesz więc...

– Właśnie, że nie pojmuję – rzekł Danglars.

– Biedny Fernand posmakował czarnej polewki.

– I cóż z tego – rzekł Fernand, podnosząc głowę i spoglądając na Caderousse'a tak, jakby szukał kogoś, na kim mógłby gniew swój wyrzucić. – Mercedes nie musi się przed nikim usprawiedliwiać, jest wolna, prawda? Może kochać każdego, który jej się podoba.

– Ha, jeśli w ten sposób to sobie tłumaczysz – rzekł Caderousse – to co innego; myślałem, żeś ty prawdziwy Katalończyk; a słyszałem, że Katalończycy nigdy nie dadzą się podejść rywalom, i mówiono mi też, że Fernand potrafi mścić się jak nikt inny.

Fernand uśmiechnął się z politowaniem.

– Człowiek zakochany nie potrafi być okrutnym – rzekł.

– Biedak! – odezwał się Danglars, udając, że współczuje młodzieńcowi z głębi serca. – Cóż chcesz? Czyż Fernand spodziewał się, że Dantès tak prędko powróci? Myślał może,

że już nie żyje albo że się sprzeniewierzył ukochanej, kto wie? Takie rzeczy odczuwamy tym mocniej, jeśli dotyczą nas niespodziewanie.

– Hm, słowo daję – ozwał się Caderousse, który popijał bez przerwy, i zdawało się, że musująca malaga wywierała na nim coraz większy skutek. – W każdym razie niejedyn tylko Fernand ucierpiał na szczęśliwym powrocie Dantèsa, nieprawdaż, Danglars?

– Owszem, i ośmieliłbym się rzec, że może mu to przynieść nieszczęście.

– Bagatelka – rzekł Caderousse, nalewając Fernandowi szklankę wina; napełnił jednocześnie swoją po raz ósmy lub dziewiąty nawet, podczas gdy Danglars ledwie napoczął kieliszek. – Cóż z tego? On tymczasem ożeni się z Mercedes, piękną Mercedes, przecież po to powrócił.

Tymczasem Danglars spoglądał przenikliwie na młodzieńca, którego słowa Caderousse'a paliły jak roztopiony ołów.

– I kiedyż ślub? – zapytał.

– O, do ślubu jeszcze daleko – mruknął Fernand.

– Daleko albo i nie, tak samo jak do mianowania Dantèsa kapitanem, prawda, Danglars?

Danglars zadrżał na ten niespodziany przytyk i spojrzał na Caderousse'a badawczym wzrokiem, chcąc zbadać, czy cios został zadany z premedytacją; ale na twarzy Caderousse'a, otępielej już od alkoholu, malowała się tylko głęboka zawiść.

– Więc dobrze! – odezwał się, napełniając szklanki. –

Wypijmy zdrowie kapitana Edmunda Dantèsa, męża pięknej Katalonki.

Caderousse ocieżyła już ręką podniósł szklanę i wychylił duszkiem. Fernand chwycił swoją i roztrzaskał o ziemię.

– O! O! Co ja widzę – zawołał Caderousse. – Patrzcie no, na wierzchołek tego wzgórza, tam, gdzie wioska katalońska. Spójrz, Fernandzie, masz lepsze oczy ode mnie; bo mnie zdaje się, że coś niewyraźnie widzę, wiesz, że wino jest zdradliwe... To chyba dwoje kochanków, idą obok siebie i trzymają się za ręczki. Panie odpuść, toż oni myślą, że ich nikt nie widzi i proszę, jak się całują!

Danglars pilnie baczył na cierpienie malujące się na twarzy Fernanda.

– Panie Fernandzie, znasz ich?

– Znam – odpowiedział głosem przytłumionym. – To pan Edmund i panna Mercedes.

– Patrzajcież! – rzekł Caderousse. – A ja ich nie poznałem. Hej, Dantès, słuchaj no! Ślicznotko, chodźciez tu, powiedzcie, kiedy wesele? Bo pan Fernand taki uparty, że nam nic nie chce powiedzieć.

– Bądźże cicho! – rzekł Danglars, udając, że chce powstrzymać Caderousse'a, który wychylał się z pijackim uporem z altany. – Na nogach się nie trzymasz, siedź i nie przeszkadzaj kochankom w pieszczotach. Popatrz na pana Fernanda i bierz z niego przykład, spójrz, jak się rozsądnie zachowuje.

Fernand, przywiedziony prawie do ostateczności przez Danglarsa, który drażnił go jak banderillero kłujący byka, już miał się rzucić na rywala – wstał bowiem i jakby zbierał się w sobie do skoku – gdy wtem Mercedes, roześmiana, wyprostowana jak trzcina, podniosła piękną główkę i ogarnęła ich promieniejącym wzrokiem. Fernand przypomniał sobie jej groźbę: że się zabije, jeśli Edmund zginął – i opadł bezsilny na ławkę.

Danglars objął wzrokiem tych dwóch ludzi, z których jeden był otumaniony przez trunek, a drugiego paraliżowała miłość.

„Nic tu nie poradzę z tymi głupcami – szepnął do siebie – aż mi wstyd siedzieć tu w towarzystwie pijaka i tchórza. Zawistnik upija się winem zamiast własną żółcią; a ten niedołęga, któremu zabierają sprzed nosa kochankę, płacze i żali się jak dziecko. A przecież w jego oczach błyska płomień, jak u Hiszpanów, Sycylijczyków, Kalabryjczyków, co się tak dobrze mścić umieją; a pięści ma takie, że zdruzgotałby głowę wołu z taką łatwością, jak pałka rzeźnika! Zdecydowanie, Edmund jest górą. Ożeni się z piękną dziewczyną, zostanie kapitanem, a nas będzie miał w pogardzie. Chyba że... – i na ustach Danglarsa pojawił się blady uśmiech – ja się do tego wmieszam”.

– Hola! – wołał znowu Caderousse, podnosząc się i opierając o stół. – Hola, Edmundzie, nie widzisz przyjaciół, czyś już taki pyszny, że z nami gadać nie chcesz?

– Nie, bynajmniej, kochany Caderousse – odpowiedział Dantès. – Nie jestem pyszny, ale za to szczęśliwy, a szczęście

bardziej zaślepia niż duma.

– I masz, wytłumaczył się – rzekł Caderousse. – A jak się miewa pani Dantès?

Mercedes skłoniła się poważnie.

– Nie jest to jeszcze moje nazwisko – rzekła – a w naszym kraju mówią, że kiedy dziewczynę wołają nazwiskiem narzeczonego, może jej to przynieść nieszczęście. Proszę, nazywajcie mnie nadal Mercedes.

– Daruj Caderousse'owi, bo to dobry sąsiad – rzekł Dantès – a i nie o wiele się pomylił.

– A więc, panie Dantès, wkrótce już będziemy mieli wesele – rzekł Danglars, skłoniwszy się młodej parze.

– Jak można najprędzej. Dziś wszystko ułożymy u mojego ojca, a jutro lub pojutrze zrękowiny, tutaj, w karczmie. Mam nadzieję, że przyjaciele nie odmówią nam obecności na obiedzie, to znaczy pan, panie Danglars, i ma się rozumieć, ty, drogi Caderousse.

– A Fernand – zapytał Caderousse, śmiejąc się chrypliwie – też jest zaproszony?

– Brat mojej żony jest moim bratem – rzekł Edmund – i byłoby nam bardzo przykro, gdyby go z nami nie było w takiej chwili.

Fernand otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale głos mu zamarł i nie mógł wyartykułować ni słowa.

– Dziś przygotowania, jutro lub pojutrze zrękowiny, niech diabli biorą, nie tracisz czasu, kapitanie.

– Panie Danglars – odrzekł Edmund z uśmiechem. – Powiem ci to, co przed chwilą Mercedes Caderousse'owi – nie nadawaj mi tytułu, do którego nie mam jeszcze prawa, bo może to spowodować nieszczęście.

– Ach, przepraszam – odparł Danglars. – Chciałem jedynie rzec, że bardzo ci pilno, a przecież, u diabła, mamy jeszcze sporo czasu. „Faraon” wyjdzie w morze nie prędzej jak za trzy miesiące.

– Ech, każdemu pilno do szczęścia, jeśli nawet trudno uwierzyć w szczęście, bo się wiele cierpiało. Ale nie popycha mnie do tego sam egoizm, muszę natychmiast jechać do Paryża.

– O, aż do Paryża? Pierwszy raz tam pan będziesz?

– Pierwszy.

– W jakichś interesach?

– Nie w moich. Muszę wypełnić ostatnie zlecenie naszego biednego kapitana Leclère, pojmujesz pan, że to mój święty obowiązek. Ale bez obawy, zajmie mi to tylko czas potrzebny na drogę tam i z powrotem.

– A, rozumiem oczywiście – rzekł głośno Danglars. I szepnął do siebie: „Aha, do Paryża jedzie! Z pewnością po to, aby wręczyć list, który otrzymał od marszałka pod wskazany adres. Do czorta, ten list nasuwa mi jedną myśl, wspaniały pomysł! O, drogi panie Dantès, jeszcze nie zapisano cię w rejestrze »Faraona« pod numerem pierwszym”.

I zwrócił się w stronę Edmunda, który odchodził już:

– Szczęśliwej podróży! – zawołał.

– Dzięki – odpowiedział Edmund, odwracając się i podnosząc w serdecznym geście rękę. I kochankowie ruszyli w dalszą drogę, spokojni i szczęśliwi jak wybrańcy wstępujący do nieba.

4. Zmowa

Danglars odprowadził wzrokiem Edmunda i Mercedes aż do bramy Świętego Mikołaja, a gdy odwrócił się, zobaczył, jak Fernand blady i drżący opadł na ławkę. Caderousse tymczasem bełkotał jakąś pijacką piosenkę.

– Cóż, kochany panie Fernandzie – rzekł Danglars – to małżeństwo chyba nie wszystkim pójdzie w smak.

– Mnie do rozpaczy doprowadza – jęknął Fernand.

– Pan kochałeś Mercedes?

– Uwielbiałem!

– Od jak dawna?

– Od kiedy się znamy.

– I zamiast szukać jakiegoś sposobu, żeby temu zapobiec, wyrywasz pan sobie tylko włosy z głowy? Do wszystkich diabłów! Inaczej sobie wyobrażałem charakter waszego narodu.

– Ale cóż ja mam zrobić? – zapytał Fernand.

– Czyż ja wiem? Czy to do mnie należy? Przecież ja się nie kocham w pannie Mercedes, tylko pan. „Szukajcie, a znajdziecie”, mówi Ewangelia.

– Zdawało mi się, że znalazł sposób.

– Jaki?

– Chciałem go zasztyletować; ale ona mi zapowiedziała, że jeśli jej narzeczonego spotka nieszczęście, to się zabije.

– Ej, to tylko gadanie.

– Nie znasz, mój panie, tej dziewczyny, zrobiłaby tak, jak grozi.

– Głupiec! – rzekł z cicha Danglars. – Niech się zabije; wszystko mi jedno, byle Dantès nie został kapitanem.

– A nim Mercedes umrze – ciągnął Fernand z niewzruszonym postanowieniem – pierwszej ja umrę.

– Oj, to dopiero miłość! – wtrącił Caderousse, coraz bardziej niewyraźnym głosem. – Albo już w ogóle się na tym nie znam.

– No, no – rzekł Danglars. – Zdajesz mi się dobrym chłopcem, niech mnie diabli biorą, warto by cię wydobyć z nieszczęścia, ale...

– Tak, warto – rzekł Caderousse.

– Mój kochany – odpowiedział Danglars. – Jesteś już pijany w trzech czwartych, dokończysz butelkę, a dogodzisz sobie do reszty. Pij więc i nie przeszkadzaj. Do naszych zamiarów potrzeba trzeźwej głowy.

– Ja, pijany? Też coś! Wypiłbym jeszcze ze cztery takie buteleczki, co wyglądają jak flakoniki od kolońskiej wody. Mości Pamfilu, wina!

I aby dowieść prawdy tego, co wyrzekł, stuknął co siły szklanką o stół.

– Mówiłeś więc, panie Danglars – przerwał Fernand, oczekując chciwie dalszego ciągu przerwanej frazy.

– Co mówiłem?... Już nie pamiętam. Ten pijaczyna Caderousse przerwał mi i poplątał wątek.

– Pijaczyna? Jak tam sobie chcesz, tym gorzej dla tych, co się

boją wina, bo widać, że mają w sercu jakieś złe myśli i lękają się, aby wino ich nie wypowiadało.

I Caderousse zaczął sobie nucić ostatnie dwa wiersze piosenki bardzo naonczas modnej:

Grzesznik największy, co wodę pije,
A czego dowód mamy w potopie.

– Mówiłeś pan – rzekł Fernand – że chciałbyś bardzo wydobyć mnie z biedy, a na końcu rzekłeś „ale”...

– A, prawda... aby wyciągnąć cię z nieszczęścia, wystarczy tylko, żeby Dantès nie ożenił się z tą, którą kochasz, a przecież małżeństwo to może nie dojść do skutku nie tylko z powodu śmierci Dantèsa.

– Tylko śmierć ich rozdzieli – rzekł Fernand.

– Rozumujesz jak głupiec, mój przyjacielu – rzekł Caderousse – a Danglars, ten spryciarz, ten frant, ten filut zaraz ci dowiedzie, że pleciesz bzdury. Przekonaj go, Danglars, nie rozczaruj mnie; powiedz mu, że Dantès niekoniecznie musi zginąć, a zresztą szkoda by go było, gdyby umarł, to miły chłopak, ja go lubię. Za twoje zdrowie, Dantès.

Fernand wstał zniecierpliwiony.

– Daj mu spokój – rzekł Danglars, wstrzymując młodzieńca – a choć pijany jak gąbka, wcale się tak bardzo nie myli. Nieobecność równie dobrze rozdziela jak i śmierć, a przypuść na chwilę, że Edmunda i Mercedes dzielą mury więzienne, byłiby

tak dobrze rozłączeni, jakby to był grobowy kamień.

– Tak, ale z więzienia się wychodzi – rzekł Caderousse, który czepiał się rozmowy resztką przytomności. – A jak ktoś już wyjdzie z więzienia, a jeszcze nazywa się Dantès, to potrafi się zemścić.

– Cóż z tego – mruknął Fernand.

– Zresztą – rzekł Caderousse – za co mieliby Dantèsa wsadzić do kozy? Nikogo nie okradł, nie zabił, nie zamordował.

– Cicho bądź – rzekł Danglars.

– Nie będę cicho – rzekł Caderousse. – Muszę wiedzieć, za co Dantèsa mają wsadzić do kozy. Ja kocham serdecznie Dantèsa, zdrowie twoje, Dantèsie – i wlał w siebie jeszcze jedną szklankę wina.

Danglars spojrzał na krawca, a widząc w jego mętnych oczach postępujące coraz bardziej objawy zamroczenia, odwrócił się do Fernanda i mówił dalej:

– Rozumiesz więc, że wcale nie trzeba go zabijać.

– A, tak! jeśli, jak mówisz, udałoby się zaprowadzić Dantèsa natychmiast za kraty. Ale w jakiż to sposób? Masz pan pomysł?

– Dobrze poszukawszy – rzekł Danglars – można by coś znaleźć. Ale, ale, po co też mieszam się do tego, co mnie nie dotyczy?

– Nie wiem, czy to pana dotyczy – odpowiedział Fernand, chwytając go za rękę – ale wiem, że masz jakiś osobisty powód do nienawiści wobec Dantèsa. Kto sam nienawidzi, przeczuwa nienawiść w innych.

– Ja nienawidzę Dantèsa? Słowo daję, nie mam najmniejszego powodu! Widzę, żeś nieszczęśliwy i twoje nieszczęście przejęło mnie współczuciem, oto i wszystko. Ale, mój panie, skoro myślisz, że działam z własnych pobudek, bądź zdrow i radź sobie sam, jak chcesz.

To mówiąc – Danglars udał, że wstaje i chce odejść.

– Nie, nie odchodź – rzekł Fernand, powstrzymując go. – Nie obchodzi mnie wcale, czy masz coś do Dantèsa czy nie, wszystko mi jedno, ja mam i wyznaję to głośno! Znajdź sposób, a ja to wykonam, byleby nie szło o zabicie go, bo Mercedes powiedziała, że zabije się, gdyby ktoś zamordował Dantèsa.

Caderousse, któremu głowa dawno opadła na stół, podniósł twarz i spoglądając błędnym wzrokiem na Fernanda i Danglarsa, zawołał:

– Zabić Dantèsa? Kto tu mówi o zabiciu Dantèsa? Ja na to nie pozwolę, to mój przyjaciel; on dziś rano chciał się podzielić ze mną pieniędzmi, jak ja się z nim podzieliłem. Nie chcę, żeby go zabijano!...

– A któż to mówi, durniu, o zabiciu Dantèsa? – odrzekł Danglars. – Żartujemy sobie i nic więcej. Wypij jego zdrowie – dodał, dolewając Caderousse'owi do szklanki – i daj nam spokój.

– Tak, tak, zdrowie Dantèsa – wystękał Caderousse, wychylając szklankę do dna. – Zdrowie Dantèsa! Zdrowie przyjaciela!

– Ale w jaki sposób? W jaki sposób, na Boga! – rzekł Fernand.

– I jeszcze go pan nie wymyśliłeś?

– Nie, przecież to pan miał go znaleźć.

– Prawda – rzekł Danglars. – Francuzi mają tę wyższość nad Hiszpanami, że potrafią coś wymyślić, a Hiszpanie umieją tylko rozmyślać.

– Wynajdź więc pan coś – rzekł niecierpliwie Fernand.

– Garson! Proszę przynieść pióro, kałamarz i papier! – zawołał Danglars.

– Pióro, kałamarz i papier! – szepnął Fernand.

Garson wziął materiały do pisania i położył je na stole w altanie.

– Jak się dobrze zastanowić – rzekł Caderousse, spuszczając rękę na papier – to tym sposobem łatwiej można zabić człowieka, niż zaczaiwszy się w jakim ciemnym lesie. Zawsze bałem się bardziej pióra, kałamarza i kartki papieru niż szpady czy pistoletu.

– A to urwis, nie jest tak pijany, jak by się zdawało, nalej no mu, Fernandzie, jeszcze jedną szklanę.

Fernand napełnił szklanę Caderousse'owi, a ten, jak prawdziwy opój, którym zresztą był, oderwał rękę od papieru i chwycił za szklanę.

– A więc! – odezwał się Katalończyk, spostrzegłszy, że po tej szklance resztki przytomności odstąpiły Caderousse'a.

– A więc – rzekł Danglars – gdyby ktoś doniósł prokuratorowi królewskiemu, że Dantès, który w swojej podróży zahaczył o Neapol i Elbę, jest agentem bonapartystów...

– Ja go mogę oskarżyć! – zawołał żywo młodzieniec.

– Dobrze, ale tam każą ci zaraz podpisać zeznania i skonfrontują cię z tym, kogoś zadenuncjował. Owszem, ja bym ci dostarczył dowodów oskarżenia, ale cóż stąd? Dantès nie zostanie przecież wiecznie w więzieniu; uwolnią go pewnego dnia, a wówczas biada temu, co go tam wtrącił!

– Jednej rzeczy tylko pragnę – rzekł Fernand. – Jednej – aby to on zaczął ze mną zwadę.

– Dobrze, a Mercedes? Mercedes, która by cię znenawidziła, gdybyś tylko zadrasnął jej ukochanego Edmunda?

– Tak, masz słuszość.

– Otóż widzisz, nie tak się robi; jeżeli by ktoś się ważył na coś podobnego, lepiej byłoby wziąć po prostu, tak jak ja oto biorę, pióro, zanurzyć je w atramencie i napisać lewą ręką, aby nikt nie rozpoznał charakteru, króciuteńką denuncjację.

Jak powiedział, tak i zrobił: napisał lewą ręką pochylonymi literami kilka linijek, charakterem zupełnie odmiennym od zwyczajnego i podał kartkę Fernandowi, który półgłosem ją odczytał.

Wierny poddany tronu i religii zawiadamia panu prokuratorowi królewskiemu, że niejaki Edmund Dantès, oficer ze statku „Faraon”, przybyły w dniu dzisiejszym ze Smyrny, zawitawszy po drodze do Neapolu i Portoferraio, otrzymał list od Murata do uzurpatora i od uzurpatora do stronnictwa bonapartystowskiego w Paryżu.

Można przekonać się o Dantèsa występku po aresztowaniu go, jako że list ów znajduje się albo przy nim,

albo u jego ojca, albo w jego pokoiku na statku „Faraon”.

– Ot i wszystko – odezwał się Danglars. – Tym sposobem w twojej zemście będzie jakiś sens, nikt nie będzie w stanie domyślić się, że to ty, a tymczasem sprawa sama się potoczy; teraz nie pozostaje nic więcej, jak złożyć tę kartkę, tak jak ja to robię, i zaadresować: „do pana prokuratora królewskiego”, a wszystko byłoby załatwione. – I niby w żartach Danglars napisał adres na kartce.

– Tak, byłoby załatwione – ozwał się Caderousse, który w ostatnim wysiłku swego umysłu przysłuchiwał się, jak czytano i samym instynktem pojął, jakie nieszczęście mogłoby ściągnąć podobne doniesienie. – Tak, wszystko byłoby załatwione, ale to podłość! – i sięgnął po list.

– Naturalnie, że podłość – rzekł Danglars, odsuwając od niego list – toteż, jest żartem wszystko, co tu mówię i robię, mnie pierwszemu byłoby przykro, gdyby coś miało spotkać Dantès, naszego poczciwego Dantès! Więc popatrz...

Wziął list, zmiął go i rzucił w kąt altany.

– Doskonale – westchnął Caderousse. – Dantès jest moim przyjacielem i nie chcę, żeby mu się stała jaka krzywda.

– Kto tu, u diabła, zamierza wyrządzać mu krzywdę! Nie ja przecież, ani Fernand – rzekł Danglars i podniósł się, bacząc na Fernanda, który spoglądał z ukosa na papier z denuncjacją rzucony w kąt.

– Kiedy tak – rzekł Caderousse – to dajcie wina, wypiję zdrowie Edmunda i pięknej Mercedes!

– Piłeś już dosyć, opoju jeden – powiedział Danglars. – Jeśli jeszcze pociągniesz, będziesz tu chyba nocował, bo nie utrzymasz się na nogach.

– Co, ja nie utrzymam się na nogach? Załóżmy się, że wyjdę sam na dzwonnice, i to bez żadnej pomocy i nawet się nie zachwieję!

– Dobrze, dobrze, nikt nie wątpi – rzekł Danglars. – Założę się, ale jutro, na dziś już dosyć, no, weź mnie pod rękę i chodźmy.

– Chodźmy – rzekł Caderousse – ale obejdę się bez twojej ręki. Chodź z nami, Fernandzie. Wracasz do Marsylii?

– Nie – odrzekł Fernand. – Wracam do swoich.

– Głupiś! Chodź z nami do Marsylii, no chodźże.

– Nie mam po co, a zresztą wcale tam nie chcę iść.

– Jak powiedziałeś? Nie chcesz, pocziwcze? No, to jak tam sobie wolisz, jestem za tym, żeby każdy robił, co mu się podoba, chodźmy, Danglars, a jegomość niech sobie idzie do swojej osady, kiedy tak sobie życzy.

Danglars, korzystając z ustępliwego chwilowo nastroju Caderousse'a, pociągnął go za sobą w stronę Marsylii; tylko, aby zostawić krótszą drogę Fernandowi, zamiast iść bulwarem Rive-Neuve, podążył do bramy Świętego Wiktora. Caderousse, wsparty o jego ramię, szedł także, zataczając się. Uszedłszy ze dwadzieścia kroków, Danglars odwrócił się i dojrzał, jak Fernand rzucił się szybko na papier i schował go do kieszeni, po czym wybiegł z altany i puścił się jak strzała w stronę Pillon.

– A co to? Patrz no, gdzie on idzie – zdziwił się Caderousse.

– Skłamał nam, powiedział, że pójdzie do Katalończyków, a przecież idzie do miasta! Hej! Czekał, Fernandzie, zbłądziłeś, nie tędy!

– To tobie się coś myli – rzekł Danglars. – Idzie prosto drogą Vieilles-Infirmities.

– Prawda; a przysięgłbym, że poszedł na prawo. O! Wino to wielki zdrajca.

– No, no – szepnął Danglars. – Zdaje się, że nieźle pokierowałem sprawą, teraz wystarczy ją zostawić, a potoczy się sama.

5. Przyjęcie zaręczynowe

Nazajutrz dzień był piękny. Słońce wzniosło swoją czystą, błyszczącą tarczę, a pierwsze promienie purpurowej barwy rozrzuciły rubinowe blaski po spienionych fal grzbietach.

Przyjęcie przygotowane było na pierwszym piętrze karczmy, z którą czytelnik zawarł już znajomość. Była to wielka, piękna sala o pięciu czy sześciu oknach, nad każdym (kto zdoła, niech wytłumaczy to zjawisko!) wyryta była nazwa jednego z wielkich miast Francji. Na zewnątrz biegła wzdłuż okien drewniana galeryjka, opasując cały dom.

Już od jedenastej galeryjka zapełniała się niecierpliwie przechadzającymi się gośćmi, chociaż przyjęcie było oznaczone dopiero na południe. Byli to znaczniejsi rangą marynarze z „Faraona” i kilku żołnierzy, przyjaciół Dantèsa. Wszyscy wystąpili w najparadniejszych strojach, na dowód szacunku dla narzeczonych. Między zaproszonymi rozeszła się cicha wieść, że sami nawet właściciele „Faraona” uczczą swoją obecnością ucztę zaręczynową, uważano to jednak za taki zaszczyt dla Dantèsa, że mało kto dawał tej plotce wiarę. Tymczasem Danglars przybyły wraz z Caderousse'em potwierdził ją zupełnie. Widział bowiem z rana samego pana Morrel i słyszał z własnych jego ust, że przybędzie na ucztę Dantèsa.

Jakoż niebawem ukazał się w sali pan Morrel, a marynarze z „Faraona” powitali go głośnym „Hurra!”. Obecność armatora

była dla nich potwierdzeniem pogłoski o wyniesieniu Dantès'a na stopień kapitana, a ponieważ na statku Dantès był bardzo lubiany, dzielni ci ludzie podziękowali serdecznie armatorowi za to, że raz chociaż przypadek tak zrządził, że wybór właściciela zgadzał się zupełnie z życzeniami podwładnych. Zaledwie więc wszedł pan Morrel, dano znać Danglarsowi i Caderousse'owi, a ci popędzili do narzeczonego, aby mu donieść o przybyciu tak znakomitej osoby, której sam widok sprawił na obecnych tak nadzwyczajne wrażenie, i przyspieszyć początek przyjęcia.

Danglars i Caderousse pobiegli co żywo, ale zaledwie uszli sto kroków, zauważyli w pobliżu prochowni mały orszak weselny.

Składał się on z czterech dziewcząt, Katalonek i przyjaciółek Mercedes, towarzyszących narzeczonej, którą prowadził pod rękę Edmund. Obok kroczył ojciec Dantès'a, za nimi zaś Fernand ze złowróżbnym uśmiechem na ustach. Ani Mercedes, ani Edmund nie dostrzegli tego uśmiechu. Biedne dzieci w szczęściu swym nie widziały nikogo prócz siebie i czystego błękitu nieba, które zdawało się im błogosławić.

Danglars i Caderousse zdali sprawę ze swego poselstwa i wymieniwszy mocny, przyjacielski uścisk ręki z Edmundem, zawrócili. Danglars szedł przy Fernandzie, Caderousse zaś obok ojca Dantès'a, na którym skupiała się uwaga wszystkich.

Starzec miał na sobie odzienie z kitajki angielskiej, spinane na haftki z dużymi stalowymi guzami w kwadrat rżniętymi. Chude, ale muskularne łydki obleczone były w przepyszne, bawełniane pończochy w kropki, na milę trąące angielską kontrabandą.

Z trójkątnego kapelusza spadał pęk białych i niebieskich wstążek. Wspierał się na lasce z giętego drewna, o rączce, która przypominała antyczne pedum. Słowem, staruszek wyglądał jak jeden z fircyków, paradyjących w 1796 r. w Tuileries albo w świeżo otwartym ogrodzie luksemburskim.

Obok, jak już wspomnieliśmy, wcisnął się Caderousse, ów Caderousse, który mając nadzieję na dobrą biesiadę, pogodził się już zupełnie z Dantèsem. W jego pamięci pozostało jeszcze jakieś niewyraźne wspomnienie tego, co się działo poprzedniego dnia, tak jak to często po obudzeniu spotykamy we wspomnieniu majaki, co nas w nocy napastowały. Danglars, podchodząc do Fernanda, spojrzał badawczo na wzgardzonego kochanka. Fernand szedł za przyszłymi małżonkami całkiem zapomniany przez Mercedes, bo dziewczyna w młodszej swej radości, aż do egoizmu posuniętej, i uroczą w swym zakochaniu, widziała tylko Edmunda. Fernand to bladł, to czerwieniał, ale rumieńce na jego twarzy ustępowały miejsca coraz to bardziej rosnącej bledzi. Niekiedy spoglądał w stronę Marsylii, wówczas nerwowo dreszcz przejmował mimowolnie jego ciało. Zdawał się oczekiwać na, albo raczej przewidywać jakieś wielkie wydarzenie.

Ubiór Dantèsa był skromny: jako oficer marynarki handlowej nosił strój, który miał coś i z wojskowego munduru, i z cywilnego ubrania; w stroju tym wyglądał znakomicie, a uroda i radość narzeczonej jeszcze przydawała mu wdzięku. Mercedes przypominała z wyglądu greckie piękności z Cypru lub Ceosu

o czarnych oczach i koralowych ustach. Stapała lekko i śmiało jak Arleżjanki lub Andaluzyjki. Dziewczyna z miasta starałaby się może ukrywać swą radość pod lekką jaką zasłoną, albo przynajmniej pod aksamitem powiek, ale Mercedes uśmiechała się i patrzyła na wszystkich, co ją otaczali, a w jej spojrzeniu i uśmiechu czytało się słowa, które mogłyby wyrzec jej usta: „Jeśliście moimi przyjaciółmi, cieszcie się wraz ze mną, bo naprawdę jestem bardzo szczęśliwa”.

Gdy narzeczonych widać już było z orszakiem z samej karczmy, na ich spotkanie wyszedł pan Morrel, a z nim razem podążyli majtkowie i żołnierze, którym powtórzył poprzednio uczynioną obietnicę, że Dantès obejmie miejsce kapitana Leclère. Gdy Edmund go spostrzegł, puścił rękę narzeczonej i wsunął jej dłoń pod ramię pana Morrela. Armator wraz z dziewczyną pierwsi weszli na drewniane schody wiodące do sali, w której miał być podany obiad – a schody jeszcze przez pięć minut skrzypiały pod ciężkimi krokami gości.

– Mój ojcie – rzekła Mercedes, zatrzymując się przy stole.
– Usiądź przy mnie po prawej stronie, chciałabym, aby z lewej siadł ten, co był mi bratem – dodała z taką serdecznością, że ta jak sztylet ukuła Fernanda prosto w serce. Usta mu zbieleły, ze śniadej twarzy, która spłonęła najpierw łuną, odpłynęła krew.

Dantès tymczasem również rozsadzał biesiadników: posadził pana Morrela po swej prawej ręce, po lewej zaś ojca, następnie dał znak całej kompanii, że mogą zajmować miejsca według upodobania.

Wokół stołu jeły krążyć kiełbasy z Arles, brązowe i aromatyczne, langusty w błyszczących skorupach, ślimaki w różowych muszelkach, morskie jeże, które wyglądają jak kasztany osłonięte swoją kolczastą łupiną, kłowisy, które wedle smakoszy z południa górują nad ostrygami z mórz północy, a wreszcie wszystkie owe delikatne przysmaki, które fala zostawia na piaszczystej plaży, a które wdzięczni rybacy zowią owocami morza.

– Jakaż tu cisza – rzekł starzec, próbując ze smakiem żółtego jak topaz wina, które sam stary Pamfil postawił przed Mercedes – kto by powiedział, że jak tu nas jest trzydzieści osób, każdy czeka tylko okazji do śmiechu.

– Ach, człowiek, który się żeni, nie zawsze jest radosny – rzekł Caderousse.

– Prawda jest taka – odparł Dantès – że jestem zbyt szczęśliwy, aby oddać się wesołości. Jeśli to w ten sposób rozumiesz, sąsiedzie, to masz rację; dziwnie objawia się czasem radość, potrafi przynieść jak cierpienie.

Danglars zerknął badawczo na Fernanda, na którego wyrazistej twarzy malowały się wszelkie doznawane wzruszenia.

– Ejże – rzekł do Edmunda. – Czyżbyś się czegoś obawiał? Przecież, jak mi się zdaje, wszystko idzie po twojej myśli.

– To mnie właśnie przeraża, zdaje mi się, że człowiekowi niedozwolone jest tak łatwe i szybkie szczęście. Szczęście jest jak owe pałace na wyspach zaczarowanych, w których strzegą bram smoki – kto chce je zdobyć, musi stanąć do walki, a ja

w rzeczy samej nie wiem, czym zasłużyłem na szczęście bycia mężem Mercedes.

– Mężem! Mężem! – odezwał się ze śmiechem Caderousse. – Jeszcze nim nie jesteś, mój kapitanie; spróbuj no skorzystać choć trochę z przywilejów męża, a zobaczysz, jak cię przyjmą!

Mercedes spłoneęła rumieńcem.

Fernand nie mógł usiedzieć na krześle, wzdrygał się, słysząc najmniejszy szmer, i co chwila ocierał pot perlący mu się obficie na czole, jak pierwsze krople deszczu w czasie burzy.

– Proszę cię, sąsiedzie – odparł Dantès. – Czyż to warto łapać mnie za słowa za tak małą nieścisłość? Prawda, Mercedes nie jest jeszcze moją żoną, ale – i tu spojrzał na zegarek – za półtorej godziny nią będzie.

Biesiadnicy, z wyjątkiem starego Dantèsa, który pokazał w szerokim uśmiechu piękne, białe jeszcze zęby, wydali okrzyk zdumienia. Mercedes uśmiechała się, ale tym razem nie zarumieniała. Fernand porwał konwulsyjnie rękę do noża.

– Za godzinę! – rzekł Danglars i pobladł. – Jak to?

– Tak, moi przyjaciele – odpowiedział Dantès. – Dzięki wpływom pana Morrela, któremu po ojcu najwięcej zawdzięczam w życiu, wszystkie trudności zostały usunięte. Daliśmy na zapowiedzi i o wpół do trzeciej oczekiwać nas będzie w ratuszu mer Marsylii. A ponieważ tylko co wybiło kwadrans po pierwszej, sędzę, że nie bardzo się omyliłem, mówiąc, że za półtorej godziny Mercedes będzie już panią Dantès.

Fernand przymknął oczy, ogień palił mu od spodu powieki;

aby nie upaść, chwycił się stołu i pomimo największych wysiłków nie mógł powstrzymać głuchego jęku, który przeszedł niepostrzeżony w radosnej wrzawie śmiechu i powinszowań biesiadników.

– To dopiero znaczy uwinąć się! – rzekł stary Dantès. – A może myślicie, że traciliśmy czas? Wczoraj wrócił, a dziś o trzeciej się żeni! Jeśli kto umie brać się sprawnie do rzeczy, to tylko marynarze!

– A inne formalności – wtrącił nieśmiało Danglars. – Akt ślubny, intercyza?...

– Intercyza – rzekł Dantès, śmiejąc się – intercyza jest gotowa: Mercedes nie ma nic, ja także! Według prawa gminy złączyliśmy więc nasze fortuny, to wszystko. Nie było wiele do spisania i niewiele też będzie to kosztować.

Żart ten wywołał nowy wybuch śmiechów i oklasków.

– A więc to, co uważaliśmy za zrękowiny – odezwał się Danglars – jest po prostu weselem?

– Ależ nie – zaprzeczył Dantès. – Nic na tym nie straciecie, bądźcie spokojni. Jutro rano wyjeżdżam do Paryża. Cztery dni drogi tam, cztery na powrót, jeden dzień na miejscu, bym mógł wypełnić dane mi zlecenie, pierwszego więc marca będę tu z powrotem, a drugiego urządzimy prawdziwą ucztę weselną.

Perspektywa nowej uczyty tak rozochociła biesiadników, że stary Dantès, który na początku obiadu uskarżał się na ciszę, teraz nie mógł, mimo szczerých wysiłków, wznieść ogólnego toastu za powodzenie przyszłych małżonków. Dantès odgadł

zamiar ojca i odpowiedział mu uśmiechem pełnym miłości. W tej chwili Mercedes spojrzała na zegar z kukułką i dała znak Edmundowi. Przy stole panowała hałaśliwa wesołość i swoboda, właściwa dla ludzi niskiego stanu pod koniec uczty. Kto nie był kontent ze swego sąsiada, wstawał i szedł szukać innego. Wszyscy mówili naraz, nikt nie starał się śledzić toku myśli rozmówcy, myśląc o własnych tylko sprawach.

Bładość Fernanda udzieliła się i Danglarsowi, Fernand zdawał się zupełnie zmartwiał, przypominał potępieńca w ogniu piekielnym. Jako jeden z pierwszych wstał od stołu i zaczął przechadzać się dużymi krokami wzdłuż i wszerz sali, chcąc uwolnić się od wrzawy, śpiewów i brzęku kieliszków. W chwili gdy Danglars, którego Fernand zdawał się unikać, dopadł go wreszcie w kącie sali, zbliżył się doń Caderousse.

– Przyznaję – rzekł Caderousse, który pozbył się dzięki dobremu winu starego Pamfila i uprzejmości Edmunda uraz i nienawiści, jaką niespodziewane szczęście Dantèsa zasiało w jego sercu – przyznaję, że Dantès jest bardzo miłym chłopcem i kiedy go widzę u boku narzeczonej, myślę sobie, że była to wielka krzywda, gdybyście przywiedli do skutku żart, który wczoraj uknuliście.

– Widziałeś przecież – rzekł Danglars – że nie ma to żadnych konsekwencji. Biedny Fernand był wczoraj tak wstrząśnięty, że mi go rzeczywiście było bardzo z początku żal; ale teraz, kiedy się tak dalece oswoił z losem, że został pierwszym drużbą na weselu swego rywala, nie ma już o czym mówić.

Caderousse spojrział na Fernanda – był blady jak trup.

– Ofiara tym większa – mówił następnie Danglars – że dziewczyna, którą traci, jest naprawdę śliczna. Do stu tysięcy diabłów, co za szczęściarz, ten nasz przyszły kapitan! Chciałbym choć przez dwanaście godzin być na jego miejscu.

– Idziemy? – odezwał się słodki głos Mercedes. – Wybiła już druga, a jesteśmy umówieni piętnaście po drugiej.

– Tak, chodźmy już, chodźmy – rzekł Dantès, podnosząc się żywo.

W tejże chwili Danglars, który nie spuszczał z oka Fernanda siedzącego przy oknie, spostrzegł, jak ten otworzył błędne oczy, zerwał się nagle jak piorunem rażony i upadł na powrót na parapet. Jednocześnie na schodach rozległ się przygłuszony hałas, stuk pomieszany z głosami i szczękiem broni, stłumił gwar na sali, jakkolwiek był on duży, zwracając powszechną uwagę: wśród biesiadników zapadło milczenie pełne niepokoju. Hałas się zbliżył, na koniec dały się słyszeć trzy mocne uderzenia we drzwi; wszyscy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

– W imieniu prawa – ozwał się grzmiący głos, któremu nikt nie śmiał odpowiedzieć.

Drzwi otwały się natychmiast; wszedł komisarz przybrany we wstęgę, a za nim czterech zbrojnych żołnierzy z kapralem na czele. Niepokój zamienił się w trwogę.

– O cóż to chodzi? – zapytał pan Morrel, przystępując do komisarza, którego znał osobiście. – Niezawodnie jakaś pomyłka, panie komisarzu.

– Jeśli pomyłka, panie Morrel, bądź pan pewien, że natychmiast ją wyjaśnimy. Tymczasem mam tu rozkaz aresztowania i choć przykro mi, że muszę spełnić takie zlecenie, trzeba je jednak wykonać. Który z was, panowie, nazywa się Edmund Dantès?

Wszyscy zwrócili spojrzenia na młodzieńca, który choć mocno poruszony, zachował jednak godność i postąpił krok naprzód:

– To ja. Czego pan sobie życzy?

– Edmundzie Dantès, aresztuję cię w imieniu prawa.

– Aresztuje mnie pan! – rzekł Edmund i pobił lekko. – Ale za co?

– Nie wiem, za co, ale na pierwszym przesłuchaniu dowiesz się pan niezawodnie.

Pan Morrel zrozumiał, że w takiej sytuacji na nic zda się opór: komisarz przepasany urzędową wstęgą przestaje być człowiekiem, ale jest uosobieniem prawa, zimnym na wszystko, niemym i głuchym. Stary Dantès rzucił się tymczasem na urzędnika z płaczem i prośbami; są rzeczy, których serce ojca czy matki nigdy nie zrozumie. Łzy na nic się nie zdały, rozpacz jego jednak była tak wielka, że wzruszyła komisarza.

– Uspokój się pan – rzekł – być może syn twój nie dopełnił jakiejś formalności celnej lub sanitarnej, i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, skoro tylko udzieli potrzebnych objaśnień, uwolnią go natychmiast.

– A cóż to wszystko znaczy? – zapytał Caderousse,

zmarszczywszy brwi, Danglarsa, który udawał zdumionego.

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł Danglars. – Tyle wiem, co ty; widzę, co się dzieje, nic nie rozumiem i sam nie wiem, co mam na to powiedzieć.

Caderousse poszukał wzrokiem Fernanda, ale Fernanda już nie było.

I cała scena z poprzedniego dnia przedstawiła mu się nagle w przerażającym świetle. Powiedziałbyś, że nieszczęście to zdarło zasłonę, którą wczoraj pijaństwo nałożyło na jego pamięć.

– Aha – rzekł chrapliwym głosem – a może to skutki żartu, o którym wczoraj mówiłeś, panie Danglars? Jeśli tak, to biada temu, kto się nań poważył, bo to straszliwa psota!

– A skąd! – zawołał Danglars. – Wiesz przecież dobrze, że podarłem papier w drobne kawałki.

– Nie podarłeś go – rzekł Caderousse – tylkoś go zmiął i rzucił w kąt, ot, i tyle.

– Bądź cicho, nie widziałeś tego, byłeś pijany.

– A gdzie Fernand? – spytał Caderousse.

– Skąd mogę wiedzieć? – odpowiedział Danglars. – Poszedł pewnie za swymi interesami. Ale dajmy spokój próżnemu gadaniu, zajmijmy się raczej naszymi nieszczęśliwymi przyjaciółmi.

Dantès tymczasem pożegnał każdego z przyjaciół uściskiem ręki i oddał się w ręce komisarza.

– Nie troskajcie się, wszystko się wyjaśni i może nie dojdę nawet do drzwi więzienia.

– O, z pewnością, głowę za to daję – rzekł Danglars, który w tej chwili zbliżył się właśnie, jak już mówiliśmy, do Edmunda.

Dantès zszedł po schodach, z komisarzem policji na przodzie a żołnierzami wokół. Karetka z otwartymi drzwiczkami stała już gotowa. Dantès wsiadł, a za nim komisarz i dwóch żołnierzy. Drzwiczki zamknięto i karetka skierowała się do Marsylii.

– Żegnaj, Edmundzie, żegnaj! – krzyknęła Mercedes, wychylając się za poręcz galeryjki.

Wieżień usłyszał ten ostatni krzyk, który jak łkanie wyrwał się z piersi narzeczonej, wychylił głowę przez drzwiczki i zawołał: „Do widzenia, Mercedes!” – po czym karetka znikła za rogiem twierdzy Świętego Mikołaja.

– Poczekajcie tu na mnie – rzekł pan Morrel. – Biorę natychmiast fiakra, jadę co prędzej do Marsylii i dam wam znać natychmiast, co się stało.

– Jedź pan – zawołali wszyscy razem. – Jedź i wracaj co rychlej.

Po tym podwójnym odjeździe wszyscy trwali jeszcze przez chwilę w osłupieniu. Starzec i Mercedes zdawali się niemi, każde w swej boleści pogrążone. Na koniec spotkały się ich oczy, spojrzeli na siebie, jak ludzie jednym ciosem ugodzeni, i rzucili się sobie w objęcia. Tymczasem Fernand wrócił, nalał sobie szklankę wody, wypił i usiadł na krześle. Przypadek zrządził, że na krzesło obok opadła Mercedes, wysunawszy się z objęć starca. Fernand odsunął się instynktownie.

– To on – rzekł Caderousse do Danglarsa, który nie spuszczał

z oka Katalończyka.

– Nie sędzę – odpowiedział Danglars. – On zbyt głupi na takie rzeczy. W każdym razie, niech cios spadnie na tego, co go sprowadził.

– A o tym, co był doradcą, nic nie powiesz? – spytał Caderousse.

– Och, na litość Boską! – rzekł Danglars. – Gdybyśmy byli odpowiedzialni za każde słowo, które rzucamy na wiatr...

– Tak, zwłaszcza gdy słówko to powróci i uderzy obuchem.

Tymczasem całe towarzystwo roztrząsało zdarzenie z różnych stron.

– A pan, panie Danglars, co myślisz o tym wypadku? – ozwał się ktoś.

– Mnie się zdaje – rzekł Danglars – że musiał pewnie sprowadzić parę paczek kontrabandy.

– Gdyby tak było, musiałbyś pan o tym wiedzieć, jako agent kasowy.

– Prawda, ale powinniście państwo wiedzieć, że agent kasowy wie tylko o tym, co mu deklarują. Wiem tylko, że mamy wielki ładunek bawełny, żeśmy go wzięli od pana Pastreta w Aleksandrii, a w Smyrnie od pana Pascala, o więcej nie pytajcie.

– Ach! Przypominam sobie – wyszeptał nieszczęsny ojciec, chwytając się tej wiadomości jak zbawienia. – Mówił mi wczoraj, że ma dla mnie skrzynkę kawy i drugą tytoniu.

– A widzicie? – rzekł Danglars. – To pewnie o to chodzi; w czasie naszej nieobecności celnicy musieli dokonać rewizji statku

i znaleźli wszystko.

Mercedes nie uwierzyła w to wszystko; trzymając do tej pory na wodzy swoją rozpacz, teraz wybuchnęła głośnym łkaniem.

– No, no, trochę nadziei – rzekł niezbyt jasno stary Dantès.

– Nadziei – powtórzył Danglars.

– Nadziei – starał się mruknąć Fernand, ale słowa uwięzły mu w gardle, usta zadrżały i żaden dźwięk nie wydobył się z piersi.

– Panowie – zawołał któryś z biesiadników postawiony na czatach na galeryjce. Panowie, widać powóz. Ach! To pan Morrel! Pan Morrel wraca, niezawodnie przynosi dobre nowiny.

Mercedes i stary Dantès pobiegli na spotkanie właściciela statku; pan Morrel był bardzo blady.

– No i cóż? – zawołali jednym głosem.

– I cóż, moi przyjaciele – odpowiedział armator. – Rzecz jest daleko poważniejsza, niż myśleliśmy.

– Och, panie Morrel! – zawołała gwałtownie Mercedes. – On jest niewinny!

– I ja tak myślę, ale go oskarżają...

– O co? – zapytał stary Dantès.

– Że jest agentem bonapartystów.

Czytelnicy, którzy przeżyli czasy, w których rozgrywa się nasza historia, przypomną sobie zapewne, jak okropnym oskarżeniem były wówczas takie słowa. Mercedes wydała tylko krzyk bolesny, a starzec upadł na krzesło.

– Aha! – szepnął Caderousse. – Oszukał mnie pan, panie Danglars, żart wasz nie był wcale tylko żartem. Ale ja nie

pozwołę, aby ten starzec i to dziewczę umarli z rozpacz, i wszystko im powiem.

– Milcz, nieszczęsny! – zawołał Danglars, chwytając Caderousse'a za rękę – albo drogo za to zapłacisz. A któż ci powiedział, że Dantès nie jest rzeczywiście winny? Statek zawinął na Elbę, Edmund wysiadł i bawił cały dzień w Portoferraio. Jeśli znaleziono przy nim jakiś kompromitujący list, wszyscy ci, co go zechcą bronić, zostaną posądzeni o współnictwo.

Instynktem egoisty Caderousse pojawił natychmiast, jak prawdziwe było to rozumowanie. Spojrzał na Danglarsa oczyma, które wyrażały strach i rozpacz i jak poprzednio postąpił krok naprzód, tak teraz cofnął się o dwa.

– A więc poczekajmy – wyjąkał obrońca Dantèsa.

– Naturalnie, poczekajmy jeszcze – powtórzył Danglars. – Jeśli jest niewinny, wypuszczą go na wolność, jeśli zaś winny, po cóż byśmy się dla niego narażali.

– Chodźmy więc, ja tu dłużej ani chwili nie wytrzymam.

– Dobrze, chodźmy – rzekł Danglars, rad, że sam nie musi wychodzić. – Niech oni tu sobie radzą, jak mogą.

I wyszli. Fernand jako jedyny znów opiekun Mercedes, wziął ją pod rękę i odprowadził do wsi katalońskiej; przyjaciele Dantèsa zaś odprowadzili do domu na pół omdlałego starca. Wkrótce pogłoska, że Dantèsa uwięziono jako agenta bonapartystów, rozeszła się po całym mieście.

– Przypuściłbyś pan kiedykolwiek coś podobnego, drogi panie

Danglars – wysapał pan Morrel, doganiając swojego agenta kasowego i Caderousse'a, bo sam spieszył do miasta, chcąc dowiedzieć się czegoś o Edmundzie bezpośrednio od zastępcy prokuratora, pana de Villefort, którego cokolwiek znał.

– Przecież mówiłem – odpowiedział Danglars. – Mówiłem zaraz na początku, że Dantès bez żadnego powodu bawił cały dzień na Elbie i że ten postój wydał mi się nieco podejrzany?

– Ale czy nie podzieliłeś się swoimi domysłami z kimś oprócz mnie?

– A niech Bóg broni! – powiedział cicho Danglars. – Wie pan dobrze, że skoro wuj pański, pan Polikarp Morrel służył pod tamtym i do tej pory nie tai swoich sympatii, pana również posądzają o przychyłność dla Napoleona. Czyż mógłbym narażać Edmunda i zarazem pana? Są rzeczy, które winniśmy z całą szczerością wyznawać naszym zwierzchnikom, ale z którymi musimy się kryć przed obcymi.

– Dobrze, drogi panie Danglars – rzekł armator – jesteś zacnym chłopcem, i dlatego myślałem też o tobie, w wypadku gdyby ten biedny Edmund został kapitanem „Faraona”.

– Jak to, proszę pana?

– Pytałem Dantèsa, jakie ma zdanie o tobie i czy nie ma nic przeciw temu, abyś zatrzymał swoje stanowisko; bo nie wiem czemu, ale mi się zdawało, że jakoś dąsaliście się na siebie.

– I cóż on na to odpowiedział?

– Że w rzeczy samej zawinił wobec pana w okolicznościach, o których nic mi nie rzekł; i dodał, że ktokolwiek posiada zaufanie

armatora, może być pewnym i jego zaufania.

– Obłudnik! – mruknął do siebie Danglars.

– Biedny chłopak – rzekł Caderousse. – To fakt, jest bardzo zacnym chłopcem.

– Tak, ale tymczasem – dodał pan Morrel – „Faraon” został bez kapitana.

– Och – ozwał się Danglars. – Trzeba mieć nadzieję, że nim będziemy mogli odpłynąć, to jest nim upłyną trzy miesiące, Dantès będzie już wolny.

– Bez wątpienia, ale co zrobić przez ten czas?

– Przez ten czas jestem do usług pańskich, panie Morrel – rzekł Danglars. – Wiesz pan przecież, że na dowodzeniu statkiem znam się tak przynajmniej jak pierwszy z brzegu kapitan. Powierzając mi to miejsce, będziesz miał pan tę korzyść, że jak Dantès wyjdzie z więzienia, nie będziesz pan potrzebował nikogo zwalniać, on obejmie swoje miejsce, a ja wrócę do własnego.

– Dziękuję! – rzekł armator. – Oto dobra rada. Obejmij więc zaraz dowództwo, masz na to moje upoważnienie i dopilnuj wyładunku, bo niezależnie od nieszczęść, jakie mogą na nas spaść, nasze interesy nie powinny na tym tracić.

– Bądź pan spokojny... ale czy można by się przynajmniej zobaczyć z naszym biednym Edmundem?

– Dam ci o tym znać. Będę się starał widzieć z panem de Villefort i ująć się przed nim za Dantèsem. Wiem wprawdzie, że to zapalony rojalista, ale, u diabła, rojalista, choćby był prokuratorem królewskim, jest też przecież człowiekiem, a pan

de Villefort nie wydaje mi się najgorszy.

– Tak, zapewne – rzekł Danglars – ale mówią o nim, że ambitny bardzo, a to prawie na jedno wychodzi.

– Zresztą zobaczymy – dodał Morrel z westchnieniem. – Idź pan na statek, zaraz sam tam przyjdę.

I udał się w stronę gmachu sądowego.

– Widzisz – rzekł Danglars do Caderousse'a – jaki obrót biorą rzeczy, masz jeszcze ochotę stawać po stronie Dantèsa?

– Naturalnie, że nie; ale to okropne, aby żart mógł mieć tak straszne następstwa.

– Do pioruna, któż go spłatał? Ani ja, ani ty, nieprawdaż, tylko Fernand. Wiesz dobrze, że ja rzuciłem papier ten w kąt, zdaje mi się nawet, że go podarł.

– O nie, nie, ręczę ci za to – rzekł Caderousse. – Co do tego, jestem pewny, jakbym go widział w tej chwili, leży w kącie zmięty, zgnieciony; ależ bym chciał, żeby leżał jeszcze tam, gdzie go widzę.

– Cóż począć? Fernand musiał go wziąć, przepisał lub kazał przepisać, może nawet nie chciało mu się tego uczynić. Ach, mój Boże! Jak pomyślę, że może posłał kartkę napisaną przeze mnie! Szczęście, że zmienił charakter pisma.

– Ale wiedziałeś, że Dantès należał do spisku?

– Nic a nic nie wiedziałem, żartowałem sobie tylko. I zdaje się, że w żartach powiedziałem niechący prawdę.

– Wszystko jedno – odpowiedział Caderousse. – Dałbym nie wiem co za to, żeby się to wszystko nie stało, albo przynajmniej

żebym ja nie był w to zamieszany; zobaczysz, że przyniesie nam to nieszczęście!

– Jeśli ma to komu przynieść nieszczęście, to tylko prawdziwemu winowajcy, a winny jest Fernand, nie my. I powiedz, cóż nam się może stać? Trzeba nam tylko siedzieć cicho i nie pisać nikomu ani słowa o tym, co zaszło, a burza przejdzie i na nikogo grom nie spadnie.

– Amen! – rzekł Caderousse, pożegnał się z Danglarsem i poszedł w stronę Alei Meilhańskich, potrząsając głową i mrucząc sam do siebie, jak się to zdarza ludziom mocno czymś przejętym.

„To i dobrze – rzekł Danglars do siebie – rzeczy przybierają taki obrót, jaki przewidziałem: jestem tymczasowo kapitanem, a jeśli ten głupiec Caderousse będzie milczał, to nim zostanę naprawdę. Chyba że sąd uwolniłby Dantèsa... ale sprawiedliwość jest sprawiedliwością i mogę na nią liczyć”.

I wskoczył do łodzi, każąc wieźć się na „Faraona”, gdzie, jak pamiętamy, armator wyznaczył mu spotkanie.

6. Zastępca prokuratora królewskiego

Przy ulicy Grand Cours, naprzeciw fontanny Meduz, w jednym z owych starych domów o wytwornej architekturze typowej dla Pugeta, tego samego dnia i o tej samej godzinie odbywała się także uczta zaręczynowa. Ale w miejsce marynarzy i żołnierzy, zebrała się tam sama śmietanka towarzyska Marsylii: dawni sędownicy, którzy wystąpili ze służby za panowania uzurpatora; starzy oficerowie, którzy zbiegli z naszych szeregów i przeszli do armii Kondeusza; młodzieńcy, których rodziny ocaliły od służby wojskowej, kupując im zastępców, wychowani w nienawiści do człowieka, którego pięć lat wygnania miało uczynić w oczach Francji męczennikiem, a piętnaście lat Restauracji prawdziwym bogiem.

Wszyscy siedzieli przy stole, rozmowa toczyła się żywo, podsycana wszystkimi namiętnościami ówczesnej epoki, tym straszniejszymi i zacieklejszymi na południu, że od pięciu wieków właśnie religijne spletały się tam z nienawiściami politycznymi.

Cesarz, król wyspy Elby, ten, który był wcześniej panem jednej części świata, panował dziś nad kilkoma tysiącami dusz, choć słyszał niedawno, jak 120 milionów poddanych w dziewięciu różnych językach wołało: „Niech żyje Napoleon!”; i był wśród tych osób traktowany jako człowiek, którego Francja na zawsze straciła i który nigdy nie odzyska tronu.

Prawnicy rozważali jego błędy polityczne, wojskowi rozmawiali o Moskwie i Lipsku, kobiety o jego rozwodzie z Józefiną. Zdawało się temu wesołemu, triumfującemu gronu, z powodu nie tyle upadku jednego człowieka, ile z unicestwienia idei, że teraz nowe otwiera się dla nich życie i że ocknęli się wreszcie z okropnego snu.

Jakiś starzec z Orderem Świętego Ludwika na piersi powstał i wzniosł zdrowie króla Ludwika XVIII. Był to markiz de Saint-Méran. Na ów toast, budzący tyle wspomnień, powstało wielkie poruszenie, wszyscy unieśli szklanki w górę na sposób angielski, kobiety odpięły bukiety i zasłały nimi stół cały. Zapal nieledwie poetycki ogarnął całe towarzystwo.

– Gdyby tu byli, musieliby przyznać – rzekła markiza Saint-Méran, kobieta o surowym wyrazie oczu, wąskich ustach, która mimo wieku 50 już lat zachowała arystokratyczną i wykwinłą postawę – musieliby przyznać ci wszyscy rewolucjoniści, co nas wygnali, a którym my teraz pozwalamy knuć spiski w naszych własnych pałacach kupionych w czasie terroryzmu za wydarty kawałek chleba, że daliśmy przykład prawdziwego poświęcenia, trzymając stronę upadającej monarchii, podczas gdy oni witali wschodzące słońce i robili majątek, gdy my traciliśmy nasze fortuny. Przyznaliby, powtarzam, że nasz król Ludwik XVIII jest nam rzeczywiście miłościwie panującym władcą, zaś ich uzurpator był dla nich tylko Napoleonem złowrogim, czyż nie tak, panie de Villefort?

– Co pani raczyła powiedzieć? Proszę darować, nie uważałem

na bieg rozmowy.

– Ech, daj pokój tym dzieciom, pani markizo – rzekł starzec.
– Mają się pobrać, więc też co innego im w głowie, nie polityka.

– Przepraszam, mam – rzekła młoda, jasnowłosa dziewczyna o aksamitnych, błyszczących oczach. – Oddaję ci pana de Villeforta, którego zagarnęłam. Panie prokuratorze, moja matka rzekła coś do pana.

– Gotów jestem odpowiedzieć pani markizie, jeśli raczy zapytać ponownie, bo nie słyszałem pytania.

– Przebaczam ci, Reniu – rzekła markiza i jej twarz rozjaśniła się uśmiechem, który zadziwiał na tym oschłym obliczu; bo w sercu kobiety, choć przesady i prawa etykiety czynią go zimnym i twardym, znajdzie się zawsze zakątek pełen czułości i uśmiechu, ten, który Stwórca przeznaczył na uczucia macierzyńskie. – Mówiłam właśnie panu de Villefortowi, że bonapartyści nie mieli ani takiej jak my wiary w słuszność idei, ani takiego entuzjazmu, ani takiego poświęcenia.

– Tak, pani markizo, ale jest w nich jednak cecha, która wszystko zastępuje: fanatyzm. Napoleon to Mahomet Zachodu. Dla tych wszystkich prostych, lecz ambitnych do najwyższego stopnia ludzi, jest on nie tylko prawodawcą i panem, ale także wyrazem i wcieleniem równości.

– Równości! – zawołała markiza. – Napoleon uosobieniem równości! A cóż wobec tego powiesz o panu Robespierre? Zdaje mi się, że kradniesz mu pan pierwszeństwo, przyznając to Korsykaninowi, który przecież i tak sobie dużo przywłaszczył?

– Nie, pani markizo, zostawiam każdego z nich na właściwym mu piedestale: Robespierre'a na szafocie zbudowanym na placu Ludwika XV, Napoleona na kolumnie, na placu Vendôme; jeden stworzył równość, która poniża, drugi równość, która wywyższa; jeden sprowadził królów do poziomu gilotyny, a drugi wyniósł lud aż na tron. To jednak nie przeszkadza – dodał Villefort, śmiejąc się – aby obaj nie byli nikczemnymi rewolucjonistami i aby 9 termidora oraz 4 kwietnia 1814¹ roku nie były dla Francji dniami świętymi, godnymi, aby zwolennicy porządku i monarchii obchodzili ich rocznicę jednakowo uroczyście. Ale tłumaczy też, dlaczego Napoleon, choć upadł, aby – jak się spodziewam – nigdy się już nie podnieść, posiada nadal stronników. Cóż robić, pani markizo? Cromwell, który nie miał nawet połowy geniuszu Napoleona, miał także swoich zwolenników.

– Wie pan co, panie de Villefort, wszystko, coś powiedział, na miłą trąci rewolucją. Przebaczam to jednak panu, trudno, aby syn żyrondyisty pozbył się całkowicie ojcowskich wad.

Mocny rumieniec wystąpił na twarz pana de Villeforta.

– Prawda, że mój ojciec był żyrondyistą, ale mój ojciec nie głosował za śmiercią króla, był skazany na wygnanie za tego samego terroru, kiedy i państwo byli wygnani z kraju, i niewiele brakowało, aby głowa jego spadła na tym samym szafocie, na

¹ 9 termidora oraz 4 kwietnia 1814 – 9 termidora, tj. 27 lipca 1794 r. w wyniku przewrotu odsunięto od rządów Maksymiliana Robespierre'a i jego zwolenników; 4 kwietnia 1814 r. abdykował Napoleon Bonaparte. [przypis edytorski]

którym postradał życie ojciec pani.

– Tak – rzekła markiza, a to straszliwe wspomnienie nic nie zmieniło w spokojnym wyrazie jej twarzy. – Ale cierpieli oni za zupełnie odmienne poglądy polityczne, czego dowodem jest to, że cała moja rodzina dochowała wierności wygnanym książętom, a pański ojciec pospieszył co prędzej z hołdem dla nowego rządu; gdy obywatel Noirtier był żyrondyście, hrabia Noirtier został senatorem.

– Mamo, mamó – rzekła Renata – przecież postanowiliśmy nie wracać już do tych okropnych wspomnień.

– Łaskawa pani – dodał Villefort – dołączę moje prośby do prośb panny de Saint-Méran, abyś raczyła puścić w niepamięć moją przeszłość. Po cóż obwiniać się o rzeczy, wobec których sam Bóg jest bezsilny? Bóg może rządzić przyszłością, nie może jednak zmienić przeszłości. I cóż nam, zwykłym ludziom, pozostaje? Możemy się wyprzeć przeszłości lub przynajmniej rzucić na nią zasłonę. Co do mnie, nie tylko wyznaję inne zasady od mego ojca, ale nawet noszę już inne nazwisko. Mój ojciec był, a może i dotąd jest bonapartystą i nazywa się Noirtier, ja zaś jestem rojalistą i nazywam się Villefort. Proszę pozwolić, aby resztki rewolucyjnych soków zginęły w tym spróchniałym pniu; niech pani spogląda tylko na gałązkę owego pnia, która odchyła się od pnia, nie mogąc, a powiem nawet: nie chcąc się od niego całkowicie oderwać.

– Brawo, Villefort, brawo – rzekł markiz. – Świetnieś rzekł. Ileż razy błagałem żonę, aby zapomniała o przeszłości – i

zawsze bez skutku. Mam nadzieję, że będziesz miał pan więcej szczęścia.

– Dobrze – rzekła markiza – zapomnijmy o przeszłości, niczego więcej nie żądam. Pragnę tylko, aby w przyszłości pan de Villefort okazał się nieugięty. Niech pan nie zapomina, że odpowiadamy za pana przed Jego Królewską Mością i Najjaśniejszy Pan za naszym wstawiennictwem raczył zapomnieć – (w tym miejscu wyciągnęła do Villeforta rękę) – tak ja zapomnę na pańską prośbę. Ale pamiętaj, jeśli wpadnie ci w ręce jaki spiskowiec, że zwróconych jest na ciebie wiele baczących oczu, należysz bowiem do rodziny, która może utrzymywać jakieś stosunki z konspiratorami.

– Niestety, droga pani – odrzekł Villefort – mój urząd, a szczególnie czasy, w których żyjemy, nakazują mi surowość. Muszę być surowy. Kilkakrotnie oskarżałem już w sprawach politycznych i dowiodłem pod tym względem mej nieskazitelności. Na nieszczęście to jeszcze nie koniec.

– Tak pan sądzi? – zdziwiła się markiza.

– Obawiam się. Napoleon, osadzony na Elbie, ma blisko do Francji; jego obecność niemal widoczna z naszych brzegów podtrzymuje nadzieje jego stronników. W samej Marsylii jest mnóstwo oficerów na przymusowej emeryturze, którzy codziennie szukają pretekstu do zwady z rojalistami; stąd biorą się pojedynki pomiędzy ludźmi z wyższych klas, stąd morderstwa popełniane przez ludzi z gminu.

– Ale, ale – odezwał się hrabia de Salvieux, stary przyjaciel

markiza de Saint-Méran i szambelan hrabiego d'Artois. – Czy wiecie, że Święte Przymierze postanowiło go przenieść?

– A tak. Była o tym mowa, kiedyśmy wyjeżdżali z Paryża – rzekł pan de Saint-Méran. – A gdzie chcą go wysłać?

– Na Świętą Helenę.

– Na Świętą Helenę! Cóż to takiego? – zapytała markiza.

– Wyspa oddalona o dwa tysiące mil, na południe od równika – odpowiedział hrabia.

– Bogu dzięki! To była wielka niedorzeczność, jak powiada Villefort, zostawiać takiego człowieka pomiędzy Korsyką, gdzie się urodził, i Neapolem, gdzie dotąd panuje jego szwagier, poza tym w takiej bliskości Włoch, które miały zostać królestwem jego syna!

– Niestety – rzekł Villefort. – Istnieje traktat z 1814 roku i nie wolno tknąć Napoleona, nie łamawszy jego zasad.

– No to się je złamie – rzekł pan de Salvieux. – Czy Napoleon myślał o zasadach, kiedy kazał rozstrzelać księcia d'Enghien?

– No – odezwała się markiza – to postanowione, Święte Przymierze uwolni Europę od Napoleona, a Villefort Marsylię od jego stronników. Król panuje albo nie, a jeśli panuje, to rządy jego powinny być silne, a urzędnicy nieugięci, to jedyny sposób, aby przeciwdziałać złu.

– Niestety – rzekł, uśmiechając się, Villefort. – Zastępcą prokuratora królewskiego wzywany jest zawsze wtedy, gdy zło już się stało.

– Powinien je więc naprawić.

– Mogę odpowiedzieć pani markizie otwarcie, że my nie naprawiamy zła, ale je mścimy i nic więcej.

– Ach! Panie de Villefort – wtrąciła młoda dziewczyna, córka hrabiego de Salvieux i przyjaciółka panny de Saint-Méran. – Zaproś nas pan na jakiś zajmujący proces, póki jesteśmy w Marsylii. Nie byłam jeszcze nigdy w sądzie, a mówią, że to bardzo ciekawe.

– Rzeczywiście, bardzo ciekawe – zgodził się Villefort – bo zamiast sztucznej tragedii, jak na deskach sceny, widzimy dramat prawdziwy; zamiast odgrywanego cierpienia, widzimy rozpacz rzeczywistą. Gdy tam zapadnie kurtyna, człowiek, którego widzieliśmy na scenie, powraca do domu i spożywa spokojnie obiad w gronie rodziny, po czym kładzie się spokojnie spać, aby następnego dnia znów występować. Tymczasem tutaj taki człowiek idzie do więzienia, gdzie czeka na niego kat. Widzisz więc, pani, że dla osób nerwowych, szukających mocnych wrażeń, nic nie równa się z takim widowiskiem. Zapewniam, że jak tylko zdarzy się okazja, nie omieszkam pani zaprosić.

– On nas przejmuje zgrozą... a sam się zaśmiewa – rzekła Renata, pobladłszy zupełnie.

– Co robić!... – odpowiedział Villefort. – To pojedynek... Już kilka razy żądałem kary śmierci dla politycznych przestępców i innych zbrodniarzy... I teraz, kto wie, ile sztyletów ostrzy się na mnie gdzieś w ciemności, a ile już we mnie wymierzono?

– Ach, mój Boże! – rzekła Renata, coraz bardziej posępna. –

Czy pan mówi poważnie, panie de Villefort?

– Najzupełniej – odrzekł młody urzędnik z uśmiechem na ustach. – A takie piękne procesy, których tak pożąda panna de Salvieux dla czystej ciekawości, a ja po to, by zadośćuczynić mojej ambicji, pogorszą tylko moje położenie. Czyż ci żołnierze napoleońscy, którzy przywykli rzucać się na oślep w bój, będą się wahać dłużej nad zabiciem człowieka, którego mają za osobistego wroga, niżby się zawahali, uśmiercając Rosjanina, Austriaka czy Węgry, którego nigdy wcześniej nie widzieli? Zresztą to konieczne, bez tych niebezpieczeństw nasz zawód nie miałby zasługi. Ja sam, kiedy widzę w oku oskarżonego iskrzącą się wściekłość, czuję w sobie wzrastającą odwagę i zapał; to już nie proces, to walka! Nacieram na niego, on odpiera natarcia, podwajam atak i walka kończy się jak każda inna, zwycięstwem lub porażką. Oto jest zawód prawnika! Niebezpieczeństwo budzi w nas umiejętność wymowy. Gdyby jakiś oskarżony uśmiechnął się po mojej replice, byłbym przekonany, że źle mówiłem; że to, co powiedziałem, było słabe, mierne i niewystarczające. Pomyśl pani, jakiego uczucia dumy doświadcza prokurator królewski przekonany o winie oskarżonego, gdy winowajca błędnie i drży pod ciężarem dowodów i ciosami elokwencji! Głowa jego pochyła się, aż w końcu spadnie...

Renata wydała lekki okrzyk.

– Oto prawdziwy mówca – rzekł jeden z biesiadników.

– Takich nam teraz trzeba ludzi – dodał drugi.

– Toteż – wtrącił trzeci – podczas ostatniego procesu, byłeś

pan wspaniały. Wiesz pan, ten co zabił własnego ojca; zabiłeś go pan słowami, nim dotknął go kat.

– O, ojcobójcy niewiele mnie obchodzą, nie znam kary godnej takiego występkę, ale ci nieszczęśliwi więźniowie polityczni...

– Ale tacy są jeszcze gorsi, Renato, gdyż król jest ojcem narodu, chceć więc obalić lub zabić króla, znaczy chceć zabić ojca trzydziestu milionów ludzi.

– Dajmy temu pokój, panie de Villefort – rzekła Renata.
– Przrzeknie mi pan pobłażliwość dla tych, za którymi przemówię?

– Dobrze, pani – rzekł Villefort z czarującym uśmiechem – razem będziemy sporządzać wnioski.

– Moja droga – rzekła markiza – zajmuj się swoimi ptaszkami, spanielami i szmatkami, a nie mieszaj się do spraw urzędowych swojego przyszłego męża. Dziś broń odpoczywa, a decyduje toga, jest takie przysłowie łacińskie, w którym zawiera się głęboka myśl.

– *Cedant arma togae* – rzekł skłoniwszy się Villefort.

– Nie śmiałam odezwać się po łacinie – odpowiedziała markiza.

– Wolałabym, żebyś pan był lekarzem – odezwała się Renata.
– Anioł śmierci, nawet jeśli jest aniołem, zawsze nappełniał mnie trwogą.

– Moja kochana! – szepnął Villefort, obejmując dziewczynę rozkochanym spojrzeniem.

– Moja córko – rzekł markiz – pan de Villefort będzie dla

tej prowincji lekarzem zarówno pod względem moralnym, jak i politycznym; wierz mi, że to piękna rola.

– I będzie mógł w ten sposób wymazać z pamięci ludzkiej rolę, jaką odegrał jego ojciec – dodała niepoprawna markiza.

– Pani – rzekł Villefort i smutny uśmiech pojawił się na jego twarzy – już miałem zaszczyt oświadczyć pani, że mój ojciec, jak sądzę, wyrzekł się błędów przeszłości i że jest dziś gorliwym sługą religii i porządku, lepszym może ode mnie rojalistą, gdyż powoduje nim skrucza, a mną tylko umiłowanie zasad.

I po tym zgrabnym frazesie Villefort potoczył wzrokiem po biesiadnikach, aby wybać, jakie wrażenie sprawiła na obecnych jego elokwencja; w podobny sposób rozejrzały się po audytorium, rzuciwszy zza stołu w sędzie trafną replikę.

– Otóż to, mój drogi Villefort – zawołał hrabia de Salvieux. – Tak właśnie powiedziałem wczoraj marszałkowi dworu w Tuileryach, kiedy mnie spytał o ten dziwny związek syna żyryondysty z córką emigranta i oficera armii Kondeusza; i marszałek zrozumiał to doskonale. Takie mariaże zgadzają się wybornie ze sposobem rządzenia Ludwika XVIII. A król przerwał nam właśnie wtedy (choć nawet nie przypuszczaliśmy, że słuchał naszej rozmowy), mówiąc: „Villefort – proszę zwrócić uwagę, że nie nazwał go wcale Noirtier, ale przeciwnie, kładł nacisk na nazwisko Villefort – wysoko zajdzie. To człowiek młody, ale już dojrzały i należy do moich ludzi. Z przyjemnością dowiedziałem się, że państwo de Saint-Méran przyjmują go na zięcia i sam nawet doradziłbym im ten związek, gdyby pierwsi

nie zwrócili się do mnie, prosząc o pozwolenie”.

– Król tak powiedział, hrabio? – zawołał uradowany Villefort.

– Powtarzam ci jego własne słowa i jeśli markiz zechce mówić szczerze, przyzna, że to, co tu panu mówię, zgadza się najzupełniej z tym, co król rzekł do niego samego pół roku temu, kiedy mówił mu o projekcie tego małżeństwa.

– To prawda – rzekł markiz.

– A więc wszystko będę zawdzięczał temu szlachetnemu monarsze! Czegóż bym dla niego nie poświęcił, aby mu służyć?

– Brawo – rzekła markiza. – Kocham cię czule, mój panie, skoro tak mówisz. Niech się tylko pokaże jakiś spiskowiec, a dobrze go przyjmiesz.

– A ja, droga mamó – rzekła Renata – proszę Boga, aby cię nie wysłuchał i aby pan de Villefort miał do czynienia tylko ze złodziejaskami, małymi bankrutami i bojaźliwymi oszustami, tylko wtedy będę mogła zasnąć spokojnie.

– To tak, jakbyś pani życzyła lekarzowi – rzekł uśmiechając się Villefort – aby spotykał tylko pacjentów z migreną, odrą i pokąsanych przez osy, czyli tylko takie choroby, które dotyczą naskórka. Jeśli chcesz mnie kiedyś widzieć prokuratorem królewskim, powinnaś mi przecież życzyć najstraszliwszych chorób, takich, których wyleczenie przynosi mu sławę.

W tejże chwili, jakby przypadek oczekiwał tylko okazji, aby spełnić życzenia sędziego, wszedł lokaj i szepnął Villefortowi na ucho kilka słów. Villefort odszedł od stołu, przepraszając obecnych, i w kilka chwil potem powrócił, uśmiechnięty, z

roześnioną twarzą.

Renata spojrzała nań z miłością, bo też był to naprawdę piękny i wytworny młodzieniec: miał niebieskie oczy, matową pleć, twarz okalały mu czarne faworyty. Dziewczyna z całą uwagą i natężeniem przyłgnęła wzrokiem do ust narzeczonego, pragnąc poznać przyczynę jego nagłego odejścia.

– I cóż, pani – odezwał się Villefort – chciałaś przed chwilą być żoną lekarza. Otóż moje obowiązki w istocie przypominają obowiązki elewów Eskulapa – (w 1815 r. jeszcze tak mówiono) – że nie mogę rozporządzać moim czasem: przeszkadzają mi nawet w chwili, kiedy jestem przy pani, nawet w czasie zaręczyn.

– I dlaczegoż panu przeszkadzają? – zapytało piękne dziewczę z lekkim odcieniem niepokoju w głosie.

– Niestety! Wołają mnie do chorego, a ów chory, jeśli mam wierzyć temu, co mi powiedziano, jest bliski śmierci. To ciężki przypadek i pacjent może skończyć na rusztowaniu.

– Ach, Boże wielki! – krzyknęła Renata, blednąc okropnie.

– Coś podobnego! – zawołali goście.

– Zdaje się, że po prostu odkryto jakiś bonapartystowski spisek.

– Doprawdy? – zdziwiła się markiza.

– Oto list z denuncjacją.

I Villefort przeczytał:

Wierny poddany tronu i religii zawiadamia panu prokuratorowi królewskiemu, że niejaki Edmund Dantès, oficer ze statku „Faraon”, przybyły w dniu dzisiejszym ze

Smyrny, zawitawszy po drodze do Neapolu i Portoferraio, otrzymał list od Murata do uzurpatora i od uzurpatora do stronnictwa bonapartystowskiego w Paryżu.

Można przekonać się o Dantèsa występkę po aresztowaniu go, jako że list ów znajduje się albo przy nim, albo u jego ojca, albo w jego pokoiku na statku „Faraon”.

– Ale list ten – zaprotestowała Renata – jest tylko anonimem i zresztą adresowany do prokuratora królewskiego, nie zaś do pana.

– Tak, ale prokurator królewski wyjechał, i list ten doręczono jego sekretarzowi, który ma pełnomocnictwo otwierania listów. Otworzył i ten, a potem posłał po mnie; nie znalazłszy mnie w domu, wydał nakaz aresztowania.

– Tym sposobem winowajca siedzi już w areszcie? – rzekła markiza.

– Oskarżony, mamó – sprostowała Renata.

– Tak – rzekł Villefort – i jak miałem zaszczyt oświadczyć pani przed chwilą, jeżeli list, o którym tu mowa, się znajdzie, pacjent jest doprawdy w ostatnim stadium.

– A gdzież jest ten nieszczęśliwy? – zapytała Renata.

– Czeka u mnie.

– Idź, drogi przyjacielu – rzekł markiz. – Nie opuszczaj dla nas obowiązków, tym bardziej gdy cię wzywa służba dla króla. Idź więc, gdzie cię wzywają obowiązki urzędu.

– Ach, panie Villefort – rzekła Renata, składając ręce. – Bądź pan wyrozumiały, to dzień naszych zaręczyn.

Villefort obszedł stół, zbliżył się do krzesła narzeczonej i oparłszy się na poręcz, rzekł:

– Zareczam, że będę robił wszystko, co tylko można, droga Renato, aby oszczędzić ci troski; jeżeli jednak poszlaki okażą się pewne, a oskarżenie słuszne, trzeba będzie ściąć ten napoleoński chwast.

Na ten wyraz „ściąć” Renata zadrżała, gdyż ów chwast, który należało wyplenić, posiadał ludzką głowę.

– Ejże, panie Villefort, nie słuchaj tego dzieciaka – wtrąciła markiza – ona to kiedyś zrozumie.

To mówiąc, markiza podała panu Villefortowi do pocałunku szczupłą rękę, którą podniósł do ust, spoglądając w tejże chwili na Renatę, jakby mówił:

– To twoją dłoń całuję, a przynajmniej pragnąłbym ucałować.

– Smutna to wróżba! – szepnęła Renata.

– Moja panno – rzekła markiza – jesteś rozpaczliwie dziecinna. Powiedz mi, proszę, jaki mogą mieć związek losy kraju z twoimi sentymentalnymi kaprysami i czułościami?

– Ach, mamó! – szepnęła Renata.

– Proszę o łaskę, pani markizo, dla swojej niewdzięcznej rojalistki – rzekł Villefort. Przyrzekam, że spełnię sumiennie obowiązki zastępcy prokuratora królewskiego: będę surowy i bezlitosny.

A gdy sędownik zwracał się w te słowa do markizy, narzeczoną ukradkiem spoglądał na ukochaną i w jego spojrzeniu można było wyczytać:

„Bądź spokojna, Renato, przez miłość do ciebie będę pobłażliwy”.

Renata przyjęła to spojrzenie najśłodszym uśmiechem i Villefort wyszedł, czując się tak, jakby zawędrował do samego nieba.

7. Przysłuchanie

Zaledwie Villefort opuścił salę biesiadną, zdjął maskę wesołości a przybrał pełen powagi wyraz, właściwy dla człowieka powołanego do tego najwyższego obowiązku, jakim jest wyrokowanie o życiu lub śmierci bliźniego. Mimo jednak ruchliwości fizjonomii Villeforta, który opanował tę sztukę, ćwicząc godzinami przed lustrem, jak to czynią aktorzy, tym razem musiał zadać sobie sporo trudu, by zmarszczyć brwi i nasepić czoło. I w rzeczy samej, pomijając pamięć o wyborach politycznych własnego ojca, Gerard de Villefort był w tej chwili tak szczęśliwy, jak tylko człowiek być może. Posiadał swój własny majątek, w dwudziestym siódmym zaledwie roku życia piastował wysoki urząd w sądownictwie, a teraz miał poślubić młodą i piękną dziewczynę, którą kochał – nawet jeśli nie była to wielka namiętność, a uczucie wyrozumowane, takie właśnie, jakie wypadało żywić zastępcy prokuratora do przyszłej małżonki – a co więcej, jego przyszła żona, panna de Saint-Méran, dziewczyna niezwyklej urody, pochodziła z rodziny jak najlepiej widzianej u dworu. Na koniec, narzeczona, jedyne dziecko swoich rodziców, którzy swych rozległych wpływów użyją z pewnością na korzyść zięcia, wносиła mężowi w posagu pięćdziesiąt tysięcy dukatów; posag ten, dzięki „nadziejom na spadek” – jeśli zacytować okropną formułę używaną przez zawodowych swatów, mógł powiększyć się kiedyś o dodatkowe

pół miliona. Wszystko to tworzyło dla Villeforta jedną całość, oślepiającą wizję wspaniałego szczęścia, tak że zapatrzonny we własne świetne życie, prędzej dostrzegłby plamy na słońcu.

U drzwi czekał na niego komisarz policji. Widok tego człowieka odzianego w czerni strącił go od razu z siódmego nieba na ziemię; przybrał więc stosowny wyraz twarzy i zbliżył się do urzędnika sprawiedliwości.

– Oto jestem – rzekł doń. – Czytałem list; dobrześ pan zrobił, arestując tego człowieka, teraz proszę mi udzielić wszelkich szczegółów, jakie zebrałeś pan o oskarżonym i o spisku.

– O spisku nic jeszcze nie wiemy. Wszystkie papiery, któreśmy znaleźli u niego, złożyliśmy w jedną paczkę, opieczętowaliśmy i jest już ona w pańskiej kancelarii. Co się tyczy arestowanego, jest to, jak się pan już dowiedział z denuncjacji, niejaki Edmund Dantès, porucznik trójmasztowca „Faraon”, handlującego bawełną z Aleksandrią i Smyrną, który jest własnością firmy Morrel i Syn z Marsylii.

– Czy, nim wstąpił do marynarki handlowej, nie służył przypadkiem w marynarce wojennej? – zapytał Villefort.

– O nie, panie prokuratorze, to bardzo młody człowiek.

– W jakim wieku?

– Dziewiętnaście, może dwadzieścia lat.

Gdy Villefort dotarł do skrzyżowania ulicy Głównej i Sądowej, zaczął go jakiś człowiek, który zdawał się czekać tu na jego spotkanie. Był to Morrel.

– Ach, panie de Villefort – zawołał ten zacny kupiec,

sposprzegając podprokuratora. Rad jestem bardzo, że pana tu spotykam. Wyobraź pan sobie, jaką pomyłkę popełniono, pomyłkę dziwną i niesłychaną: aresztowano zastępcę kapitana mego statku, niejakiego Edmunda Dantèsa.

– Wiem o tym – rzekł Villefort. – Właśnie idę do domu na indagację.

– Ach, panie prokuratorze – ciągnął pan Morrel, a słowa podpowiadała mu przyjaźń do młodzieńca. – Nie zna pan tego, którego oskarżają, a ja go znam doskonale. Niech pan wierzy, że to człowiek najspokojniejszy, uczciwy jak mało kto i śmiem sądzić, najlepszy pod słońcem marynarz. Ach, panie Villefort, polecam go panu najszczerzej i z całego serca.

Villefort, jak to już widzieliśmy, należał do marsylskiej szlachty, Morrel zaś do plebsu; pierwszy był zapalonym rojalistą, drugiego posądzano o sympatie do bonapartyzmu. Villefort spojrzał pogardliwie na pana Morrela i odrzekł oziębło:

– Wiesz pan zapewne, że można być spokojnym i cichym w życiu prywatnym, uczciwym w stosunkach handlowych i znać świetnie swój zawód, a jednocześnie być wielkim przestępcą politycznym; wszak zdajesz pan sobie z tego sprawę, nieprawdaż?

Urzędnik ostatnie te słowa wymówił z naciskiem, jakby je chciał zastosować do samego kupca, i jednocześnie zapuścił badawczy wzrok w głąb serca tego zuchwalca, który ośmiewał się występować w czyjejs obronie, podczas gdy powinien wiedzieć, że sam potrzebuje pobłażliwości władz.

Morrel zarumienił się, albowiem pod względem politycznym jego sumienie nie było zupełnie czyste; ponadto relacja Dantèsa z wizyty z marszałkiem i z rozmowy z cesarzem zakłócała mu nieco spokój ducha, mimo to dodał z wyrazem największego przejęcia:

– Błagam, panie Villefort, bądź pan sprawiedliwy, jak być powinienś, dobry jak zawsze jesteś i zwróć nam co prędzej tego biednego chłopca.

To „zwróć nam” zabrzmiało rewolucyjnym dźwiękiem w uchu prokuratora królewskiego.

„Hm... – szepnął do siebie. – Czyżby ten Dantès miał należeć do jakiejś loży karbonaryjskiej, kiedy jego protektor używa tak machinalnie liczby mnogiej? Zdaje mi się, że komisarz mi mówił, iż aresztowano go w jakiejś karczmie, w licznym towarzystwie; coś w tym musi być”.

Po czym rzekł głośno:

– Możesz pan być zupełnie spokojny, nie na próżno odwołałeś się do mojej sprawiedliwości, byle tylko oskarżony był niewinny; ale jeżeli jest winny – wiesz pan, w jak trudnej epoce żyjemy, pobłażliwość mogłaby stać się fatalnym przykładem; w takim przypadku będę więc zmuszony spełnić mój obowiązek.

To powiedziawszy, Villefort zatrzymał się u drzwi swojego domu, który przylegał do sądu, i pożegnawszy pana Morrela z zimną grzecznością, wszedł majestatycznym krokiem do środka. Nieszczęśliwy kupiec został na miejscu jak skamieniały.

Przedpokój był wypełniony żandarmami i policjantami.

Pośród nich, pilnie strzeżony, stał spokojnie i nieruchomo więzień, nie bacząc na pełne nienawiści spojrzenia żandarmów. Villefort, mijając przedpokój, zerknął z ukosa na Dantès. Odbierając paczkę papierów, które mu wręczył policjant, zniknął za drzwiami, mówiąc:

– Niech tu przyprowadzą więźnia.

Choć szybkie, to jedyne spojrzenie pozwoliło Villefortowi na wyrobienie sobie opinii o człowieku, którego miał właśnie przesłuchiwać: w otwartym i szerokim czole przejawiała się inteligencja, w stanowczym wyrazie oczu i zmarszczonych brwiach – odwaga, a lekko rozchylone usta, spoza których lśniły zęby białe jak kość słoniowa, świadczyły o szczerości. Pierwsze zatem wrażenie, jakie odniósł Villefort, było korzystne dla Dantès. Ale Villefortowi zbyt często powtarzano, że nie można iść za pierwszym odruchem, jeżeli oczywiście był to odruch sympatii, stłumił więc owe przychylnie instynkty, które zawładnęły sercem, chcąc stamtąd przypuścić szturm do rozsądku. Spojrzał w lustro i przybrał surowy wyraz twarzy, po czym – groźny i ponury – zasiadł za biurkiem.

Po chwili wszedł Dantès.

Był blady, ale spokojny i uśmiechnięty. Skłonił się sędziowski uprzejmie, a zarazem swobodnie i powiódł wzrokiem za wolnym krzesłem, jakby się znajdował w salonie pana Morrela. Wówczas dopiero natknął się na zimne spojrzenie Villeforta, zwykłe spojrzenie sędziów, którzy nie chcąc, by odgadywano ich myśli nadają swemu oku wygląd matowego

szkła. Ten wzrok przypominał mu, iż się znajduje przed obliczem sprawiedliwości – pani zimnej i niewzruszonej.

– Kto pan jesteś i jak się nazywasz? – zapytał Villefort, wertując wręczone mu przez policjanta papiery, które w ciągu jednej godziny rozrosły się w plik znacznej grubości.

– Nazywam się Edmund Dantès – odpowiedział dźwięcznym i spokojnym głosem młodzieniec. – Jestem zastępcą kapitana na statku „Faraon” należącego do firmy Morrel i Syn.

– Pański wiek? – pytał dalej Villefort.

– Dziewiętnaście lat.

– Co pan robił w chwili, kiedy cię aresztowano?

– Byłem na moich własnych zaręczynach – rzekł Dantès głosem zdradzającym wzruszenie. Jakże bowiem bolesny był kontrast tych chwil wesela i radości z posępną ceremonią, która się teraz dokonywała, a ponure oblicze Villeforta sprawiało, że promieniejąca twarz Mercedes tym jaśniejszym biła blaskiem!

– Byłeś pan na swoich zaręczynach? – spytał podprokurator, zadrżawszy mimowolnie.

– Tak, panie; mam właśnie ożenić się z dziewczyną, którą kocham od lat trzech.

Choć Villefort zazwyczaj nie dawał do siebie dostępu cieplejszym uczuciom, zaskoczył go ten szczególny zbieg okoliczności, a wzruszony głos Dantèsa, którego pojmano w tak radosnej chwili, obudził w głębi jego duszy współczucie dla obwinionego. Wszak i on miał się żenić, i on jest szczęśliwy, i zakłócono mu szczęście właśnie po to, aby zniszczyć radość

człowieka, który tak samo już miał swoje szczęście uchwycić! „Ta filozoficzna wręcz analogia – pomyślał – sprawi wielkie wrażenie, kiedy o niej opowiem, wróciwszy do salonu państwa de Saint-Méran”. I kiedy Dantès oczekiwał dalszych zapytań, Villefort układał sobie w myśli szereg paradoksów, wyrażań, za pomocą których mówcy budują owe efektowne frazesy, które zawsze zyskują aplauz, a czasem każą nam wierzyć w oratorski talent mówcy.

Gdy już był gotowy ów krótki *speech*, Villefort uśmiechnął się do siebie, myśląc o wrażeniu, jakie sprawi wśród słuchaczy, i zwrócił się do Dantèsa:

- Mów pan dalej.
- Co mam mówić?
- Udzielić sądowi wyjaśnień.
- Raczej niech sąd raczy mi wskazać, jakich wyjaśnień ode mnie żąda, a ja powiem wszystko, co wiem. Jednak uprzedzam – dorzucił z uśmiechem – że nie wiem zbyt wiele.
- Czy służyłeś pan w armii uzurpatora?
- Miałem właśnie być wcielony do marynarki wojennej, kiedy nastąpił jego upadek.
- Mówią, że masz pan skrajne poglądy polityczne – rzekł Villefort, chociaż mu nikt nie szepnął ani słowa na ten temat; ale lubił układać pytania tak, jakby miały być już oskarżeniem.
- Moje poglądy polityczne... Niestety! Wstyd mi wyznać, ale nie miałem nigdy żadnych przekonań. Mam dopiero dziewiętnaście lat, jak już miałem zaszczyt panu oświadczyć;

umiem niewiele, los nie wyznaczył mi żadnej ważnej roli; wszystko, czym jestem i czym mogę zostać, jeśli otrzymam upragnione stanowisko, zawdzięczam panu Morrelowi. Moje przekonania nie są polityczne, ale prywatne i ograniczają się do trzech uczuć: kocham mego ojca, szanuję pana Morrela i ubóstwiam Mercedes. To wszystko, co mogę wyznać przed sądem. Widzi pan, że to nie bardzo zajmujące dla wymiaru sprawiedliwości.

Przysłuchując się Dantèsowi, Villefort wpatrywał się w jego twarz, tak łagodną i szczerą, i przypominał sobie prośby Renaty, która nie znając przecież obwinionego, chciała dla niego pobłażliwości. Przy doświadczeniu, jakie posiadał już podprokurator królewski, stykając się bezustannie ze zbrodnią i przestępcami, widział on w każdym słowie Dantèsa przekonujący dowód jego niewinności. W rzeczy samej, młodzieniec ten, niemal jeszcze dziecko, prosty, naturalny, mówiący to, co mu serce dyktuje – a szczerłość taka nie przychodzi na zawołanie – serdeczny dla wszystkich, bo szczęśliwy, a szczęście złych nawet może uczynić dobrymi, udzielał i sędziemu swej łagodności, której miał tyle w sobie. Villefort był dla niego szorstki i surowy – zaś Edmund w każdym spojrzeniu, każdym goście, tonie głosu okazywał mu przyjaźń.

„Na Boga – rzekł do siebie Villefort – to dopiero uroczy chłopak, nie będę miał chyba nawet wiele kłopotu, aby spełniając pierwsze zlecenie, jakie dała mi Renata, zasłużyć u niej na dobre przyjęcie. To mi może przynieść serdeczny uścisk dłoni przy

wszystkich, a gorący całus w kąciku”.

W tej błogiej nadziei twarz Villeforta przybrała tak radosny wyraz, że kiedy oderwał się od swoich myśli i spojrzał na Dantès’a, Edmund, który śledził każdą zmianę na obliczu sędziego, jął uśmiechać się tak serdecznie, jak sędzia uśmiechał się do siebie.

– Panie Dantès – rzekł Villefort – nie masz pan przypadkiem jakich wrogów?

– Ja, wrogów? – zdumiał się Dantès. – Tak mało na świecie znaczę, że nie mogłem sobie ich do tej pory zdobyć. Wobec zaś moich podwładnych starałem się zawsze łagodzić mój zbyt porywczy charakter. Mam dziesięciu czy dwunastu marynarzy pod rozkazami; racz ich, panie, wybadać, a oni ci powiedzą, że mnie szanują i kochają, nie tyle jak ojca, bom na to za młody, ale jak starszego brata.

– Może, jeśli nie masz pan wrogów, obudziłeś za to niechęć zazdrosnych? Masz zostać kapitanem w dziewiętnastym roku życia, w twoim stanie to ranga bardzo wysoka. Masz się ożenić z piękną panną, która cię kocha, a to jest także rzadko spotykane na ziemi szczęście. Tyle uśmiechów od losu mogło ci narobić zazdrośników.

– Tak, ma pan słuszność; znasz ludzi lepiej niż ja; to możliwe. Ale jeżeli ci zazdrośnicy mieliby przypadkiem się trafić wśród moich przyjaciół, wyznam szczerze, że wolałbym ich nie znać, abym nie musiał zacząć ich nienawidzić.

– Mylisz się pan; każdy powinien rozumieć, co się wokół

niego dzieje. Prawdę mówiąc, zdajesz mi się pan tak godnym szacunku młodzieńcem, że odstąpię dla ciebie od zasad wymiaru sprawiedliwości, aby pomóc ci w rozjaśnieniu mroków tej sprawy pokażę ci denuncjację, którą mi przysłano. To właśnie ów list: czy znasz to pismo?

Villefort wyjął list z kieszeni i podał go Dantèsowi. Dantès przeczytał, zachmurzył się i rzekł:

– Nie, panie prokuratorze, nie znam tego pisma, zdaje się, że charakter jest zmieniony, chociaż bardzo śmiało to napisano. Widzę tu wprawna rękę. Jakież to szczęście dla mnie mieć do czynienia z takim jak pan człowiekiem – i wzrokiem pełnym wdzięczności spojrzał na Villeforta. – Ale ten zazdrośnik jest naprawdę moim straszliwym wrogiem.

W błyskawicy, która przemknęła w oczach młodzieńca, kiedy wymawiał te słowa, Villefort mógł dostrzec, ile gwałtownej energii skrywało się pod tą pozorną łagodnością.

– Teraz więc proszę – rzekł podprokurator – odpowiadaj mi pan szczerze, nie jak winowajca sędziemu, lecz jako człowiek rozmawiający z tym, kogo jego los naprawdę obchodzi, ile jest prawdy w tym anonimie?

I rzucił z niesmakiem na biurko list, który Dantès właśnie mu zwrócił.

– Wszystko tu prawdziwe – i nic. Przysięgam na honor marynarza, na miłość moją do Mercedes, na życie ojca mojego, że to, co powiem, jest najczystsza prawda.

– Mów pan – rzekł głośno Villefort i pomyślał: „Ach, gdyby

mogła mnie widzieć Renata; byłaby ze mnie zadowolona i nie nazywałaby mnie już katem”.

– A więc, kiedyśmy opuścili Neapol, kapitan Leclère zapadł na zapalenie mózgu, a ponieważ nie mieliśmy lekarza na statku, a kapitan nie chciał zatrzymywać się ani chwili w żadnym porcie, spiesząc się na Elbę, jego stan pogorszył się tak, że pod koniec trzeciego dnia, czując, że zbliża się śmierć, przywołał mnie do siebie. „Mój drogi Edmundzie – rzekł do mnie – przysięgnij mi na honor, że wykonasz, co ci powiem. Idzie tu o rzecz najwyższej wagi”. „Przysięgam, kapitanie” – odpowiedziałem. „Dobrze zatem; ponieważ po mojej śmierci dowództwo statku przejdzie na ciebie, każesz zawinąć na Elbę, wylądujesz w Portoferraio, udasz się do wielkiego marszałka i oddasz mu ten list. Być może dadzą ci tam inny list lub jakieś zlecenie, które ja miałbym wykonać. Zlecenie to, Edmundzie, wypełnisz za mnie, a zasługa i cześć spadną na ciebie”. „Dobrze, kapitanie, ale być może nie dostanę się tak łatwo do wielkiego marszałka, jak pan myśli”. „Wówczas każesz mu oddać ten pierścień, a wszelkie trudności będą usunięte”. To mówiąc, oddał mi pierścień. W parę godzin później stracił przytomność, a nazajutrz umarł.

– I co pan następnie uczynił?

– To, co każdy by zrobił, będąc na moim miejscu. Prośba umierającego jest święta, a u marynarzy prośba dowódcy jest rozkazem, który należy wykonać. Kazałem więc wziąć kurs na Elbę, gdzie przybyliśmy następnego dnia. Kazałem wszystkim zostać na pokładzie, a sam zszedłem na ląd. Dzięki

pierścieniowi wszystkie drzwi stały przede mną otworem. Marszałek przyjął mnie, wypytał względem śmierci kapitana Leclère i wręczył mi, jak przewidział kapitan, list, który polecił mi odwiedzić osobiście do Paryża. Przyrzekłem, ponieważ w ten sposób mogłem spełnić ostatnią wolę kapitana. Wróciłem na statek i kazałem płynąć do Marsylii, gdzie przybyliśmy wczoraj. Po załatwieniu wszystkich formalności portowych, pobiegłem do narzeczonej, którą znalazłem piękniejszą i bardziej zakochaną niż kiedykolwiek. Dzięki panu Morrel ominęliśmy część formalności kościelnych; po czym, jak to już panu wiadomo, byłem na swoich zaręczynach, za godzinę mieliśmy się pobrać, a jutro chciałem wyjechać do Paryża. I oto wskutek denuncjacji, którą pan równie jak ja wydajesz się gardzić, zostałem aresztowany.

– Tak, tak – mówił cicho Villefort – to wszystko wydaje mi się prawdą i jeżeliś pan w czym zawinił, to przez nierozwagę; a nierozwaga ta usprawiedliwiona jest rozkazem pańskiego dowódcy. Dajże mi pan list, który ci wręczono na Elbie. I proszę mi jeszcze zaręczyć, że stawisz się na każde wezwanie, po czym możesz pójść do swoich przyjaciół.

– Jestem więc wolny? – zawołał Dantès, przepełniony radością.

– Tak, daj mi pan tylko ten list.

– Jest on zapewne u pana na biurku, albowiem odebrano mi go wraz z innymi papierami, a w tym pliku rozpoznaję niektóre z moich dokumentów.

– Zaraz, zaraz – rzekł podprokurator do Dantèsa, który sięgał już po rękawiczki i kapelusz. – Do kogo list ten był adresowany?

– Do pana Noirtier, przy ulicy Coq-Héron w Paryżu.

Grom z jasnego nieba nie poraziłby tak Villeforta, jak owe niespodziewane słowa. Opadł na fotel, skąd się wcześniej podniósł, aby zabrać plik papierzysk odebranych Dantesowi, przerzucając go szybko, wydobył ów fatalny list i spojrzał nań z niewymowną trwogą.

– Noirtier, ulica Coq-Héron, nr 13 – przeczytał szeptem, błędąc coraz bardziej.

– Tak – odpowiedział Dantès zdziwiony. – Czy go pan zna?

– Nie – odrzekł żywo Villefort. – Wierny poddany króla nie może mieć znajomych wśród konspiratorów.

– Więc chodzi o jakiś spisek? – wykrzyknął Dantès, przejęty znów trwogą, po tym, jak już czuł się na wolności. – Tak czy inaczej, powiedziałem już panu, że nie znał zupełnie treści tego listu.

– Tak – odparł stłumionym głosem Villefort – ale znasz pan nazwisko tego, do którego był adresowany.

– Nie mogłem nie znać, bo jakże mógłbym inaczej oddać list.

– Nikomu tego listu nie pokazywałeś? – pytał Villefort i w miarę jak odczytywał list, bladł coraz bardziej.

– Nikomu, ręczę słowem.

– I nikt nie wie, żeś miał u siebie list z Elby do pana Noirtier?

– Nikt, oprócz tego, który mi go dał.

– I to za wiele, za wiele – wyszeptał Villefort.

Im bardziej zbliżał się koniec listu, tym bardziej Villefort posepniał; jego zbieleiałe usta, drżące ręce i pałające oczy przejmowały Dantesa najokropniejszą obawą.

Przeczytawszy list, Villefort ukrył twarz w dłoniach i przygnębiony trwał tak chwilę w odrętwieniu.

– Mój Boże, cóż ci jest, panie? – spytał nieśmiało Dantès.

Villefort nie odpowiedział, ale po kilku chwilach podniósł głowę; twarz miał bladą i zmienioną... i odczytał raz jeszcze list.

– Mówisz pan zatem, że nie wiesz, co zawiera ten list? – zapytał znów.

– Na honor, powtarzam, że nie. Ale co panu jest? Mój Boże, pan zemdleje! Czy mam zadzwonić lub zawołać kogoś?

– Nie potrzeba – zawołał Villefort, podnosząc się żywo. – Nie ruszaj się pan i nie odzywaj, ja tu rozkazuję, nie pan.

– Proszę pana – zaprotestował dotknięty Dantès. – Chciałem zawołać o pomoc dla pana, to wszystko.

– Nikogo nie potrzebuję, to chwilowy zawrót głowy i nic więcej. Myśl pan raczej o sobie, nie o mnie – i mów.

Dantès oczekiwał na pytania, które – jak by się mogło zdawać – powinny się pojawić po tym stanowczym żądaniu, ale na próżno: Villefort opadł na fotel, otarł pot z czoła lodowatą ręką, i jeszcze raz zabrał się do czytania listu.

„A jeśli on zna treść listu – mówił sam do siebie. – Jeśli się jeszcze dowie, że Noirtier jest ojcem Villeforta, jestem zgubiony na zawsze!”.

I wpatrywał się w Edmunda, jakby chciał wzrokiem przebić

tę niewidzialną zasłonę, okrywającą w sercu tajemnice, których nie chcą zdradzić usta.

– O! Nie można w to uwierzyć – zawołał nagle.

– Ależ na Boga, panie prokuratorze – wykrzyknął nieszczęśliwy młodzieniec. – Jeżeli wątpi pan o mnie, jeżeli ma pan jakiekolwiek podejrzenie, niech mnie pan pyta, bada, gotów jestem na wszystko ci odpowiedzieć.

Villefort przemógł się z trudem i rzekł tonem, któremu chciał nadać spokojne brzmienie:

– Najbardziej obciążające dla pana rzeczy wynikły z tego przesłuchania; nie mogę więc, jak się na początku spodziewałem, uwolnić pana w tej chwili; nim wydam tę decyzję, muszę naradzić się z sędzią śledczym. A tymczasem widziałeś pan, jak z panem postępowałem, prawda?

– O tak, dziękuję, panie prokuratorze – zawołał Dantès – byłeś dla mnie raczej przyjacielem niż sędzią.

– A więc muszę pana na jakiś czas zatrzymać jako więźnia, tak krótko, jak to tylko będzie możliwe, a ów dowód, który cię najbardziej obciąża, ów list... patrz...

Villefort podszedł do kominka, rzucił list w ogień i patrzył nań, póki się nie zamienił w popiół.

– Widzisz pan – rzekł następnie – zniszczyłem go.

– O, panie! – zawołał Dantès. – Jesteś pan nie tylko wcieleniem sprawiedliwości, jesteś samą dobrocią!

– Ale słuchaj; po tym, coś tu widział, powinieneś wiedzieć, że można mi zaufać, nieprawdaż?

– Ach, niech pan rozkazuje, a wykonam wszystko, co zechcesz.

– Nie – rzekł Villefort, podchodząc bliżej. – Nie chcę panu rozkazywać, rozumiesz, ale tylko poradzić.

– Mów pan, a zastosuję się do rad jak do rozkazów.

– Dziś musisz pozostać w Pałacu Sprawiedliwości aż do wieczora; być może kto inny prócz mnie będzie cię badać. Mów tak, jak tu do mnie mówiłeś, ale o liście nie wspominaj ani słowa.

– Przysięgam panu.

Villefort zdawał się błagać, oskarżony zaś uspokajać sędziego.

– Widzisz pan – rzekł Villefort, spoglądając na popioły, które jeszcze zachowały kształt strzępków listu i ulatywały nad płomieniami. – Teraz, gdy list został zniszczony, ty i ja wiemy, że istniał; nikt ci go nie pokaże jako dowodu twojej winy. Zaprzeczaj więc, gdyby ci o nim mówiono, zaprzeczaj śmiało, a będziesz ocalony.

– Zaprzeczę, bądź pan spokojny – odpowiedział Dantès.

– Dobrze, pamiętaj – rzekł Villefort, sięgając po sznurek dzwonka; ale nie zadzwonił.

– Czy nie miałeś więcej żadnego listu? – odezwał się.

– Żadnego.

– Przysięgnij.

Dantès wznosił rękę na znak przysięgi.

– Przysięgam – rzekł.

Villefort zadzwonił.

Wszedł komisarz policji.

Villefort podszedł do niego i powiedział mu do ucha kilka słów. Komisarz odpowiedział tylko skinieniem głowy.

– Idź pan z komisarzem – rzekł Villefort do Dantèsa.

Dantès skłonił się, spojrzał po raz ostatni z wdzięcznością na Villeforta i wyszedł. Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Villeforta opuściły do reszty siły i niemal zemdlny padł na krzesło. Po dobrej chwili wyszeptał:

– Ach, Boże wielki! Od czego zależą los i życie? Gdyby prokurator królewski był w Marsylii, gdyby przywołano zamiast mnie sędziego śledczego, byłbym zgubiony! Ten list, ten list fatalny, o mało nie stracił mnie w przepaść! Ach, ojciec mój, czyż zawsze będziesz stał na zawadzie mojemu szczęściu? Zawsze będę musiał walczyć z twoją przeszłością?

I nagle, jakby światło niespodziewane zabłysło mu w głowie i rozświetliło twarz; uśmiech zarysował się na ustach, jeszcze zaciśniętych, oko błędne nabrało bystrości, zdając się rozpatrywać jakąś myśl.

– Ejże... Tak, ten sam list, co miał mnie zgubić, otworzy mi może drogę do kariery. Dalej, Villefort, do dzieła!

I przekonawszy się, że oskarżony został już wyprowadzony z przedpokoju, pan podprokurator królewski wyszedł czym prędzej i skierował się ku domowi narzeczonej.

8. Zamek If

Mijając przedpokój, komisarz policji skinął na żandarmów, którzy wzięli Dantèsa między siebie. Otworzyły się drzwi prowadzące z mieszkania prokuratora do Pałacu Sprawiedliwości i cała grupa weszła na jeden z tych posępnych korytarzy, które przejmują dreszczem tych, co po nim przechodzą, choćby się wcale nie czuli winni.

Podobnie jak apartament Villeforta łączył się z Pałacem Sprawiedliwości, tak Pałac Sprawiedliwości łączył się z ponurym gmachem więzienia. Długo szli krętym korytarzem, aż na koniec Dantès ujrzał przed sobą drzwi z okienkiem i żelazną zasuwą; komisarz policji po trzykroć uderzył w nie żelazną kołatką, a Dantèsowi wydało się, jakby te uderzenia spadały na jego serce; drzwi się otworzyły, żandarmi popchnęli lekko więźnia, który jeszcze się wahał. Przystąpił ten straszliwy próg i drzwi z łoskotem same zatrzasnęły się za nim. Wciągnął w płuca powietrze: inne było, smrodliwe i ciężkie; znajdował się w więzieniu.

Wprowadzono go do celi dość czystej, ale opatrzonej kratami w oknie i ryglami w drzwiach. Wygląd tego pomieszczenia nie nasuwał Dantèsowi zbyt wiele obaw; zresztą, słowa, które podprokurator wyrzekł głosem, jak mu się zdawało pełnym przejęcia, brzmiały mu ciągle w uchu echem słodkiej obietnicy i nadziei. Kiedy go wprowadzono do tego pokoiku, dochodziła

czwarta. Był to, jak już wspominaliśmy, pierwszy dzień marca, zatem wkrótce zapadła ciemność. Choć nic nie mógł już zobaczyć, wystrzył mu się za to słuch: zrywał się na najmniejszy szmer dochodzący z zewnątrz, w przekonaniu, że oto idą go uwolnić i biegł do drzwi. Wkrótce jednak hałas oddalał się i nikił w innej stronie więzienia, a Dantès znów wracał na zydel.

Na koniec, wieczorem, około dziesiątej, gdy Dantès zaczął tracić wszelką nadzieję, dał się na nowo słyszeć hałas, który tym razem zdawał się przybliżać ku drzwiom jego celi. Rzeczywiście, w korytarzu rozległy się kroki i zatrzymały przed drzwiami; ktoś przekreślił klucz w zamku, zgrzytnęły rygle i otwały się masywne dębowe drzwi: do celi wdarł się nagle oślepiający blask dwóch pochodni. Przy ich świetle Dantès zobaczył połyskujące w mroku szable i karabiny czterech żandarmów. Postąpił dwa kroki naprzód i stanął nieruchomy, zdumiony widokiem eskorty, liczniejszej niż poprzednio.

– Po mnie przyszlście? – zapytał.

– Tak – odpowiedział jeden z żandarmów.

– Na rozkaz podprokuratora królewskiego?

– Rozumie się.

– Dobrze – rzekł Dantès. – Jestem gotów, idę za wami.

Pewność, że żandarmi przyszl na polecenie pana de Villefort, sprawiała, że biedak nie obawiał się wcale. Uspokojony, beztroski, sam stanął pośrodku swojej straży.

U bramy czekała karetka, obok woźnicy siedział na koźle oficer policji.

– Czy na mnie czeka ten powóz? – zapytał Dantes.

– Tak – odpowiedział żandarm. – Wsiadaj pan.

Dantès chciał jeszcze coś mówić, ale drzwiczki otworzyły się i więźnia popchnięto do środka. Ani nie mógł, ani zresztą nie chciał stawić oporu. W jednej chwili posadzono go pomiędzy dwoma żandarmami, dwaj inni usiedli naprzeciw i ciężki pojazd ruszył w drogę, turkocząc posępnie. Więzień spojrzał przez zakratowane okienka i zrozumiał, że tylko zmienił rodzaj więzienia – różniło się o tyle, że obecna jego cela toczyła się naprzód, unosząc go w nieznanym kierunku. Patrząc przez kraty tak gęste, że niepodobna było przecisnąć ręki, Dantès zorientował się, że jechali ulicą Caisserie, a następnie Świętego Wawrzyńca i Tamaris, kierując się w stronę morskiego nabrzeża. Wkrótce ujrzał przez kraty karetki gmach, pod który zajechali, w oknach biur komory celnej jarzyły się światła. Karetka zatrzymała się, oficer wysiadł i poszedł na odwach; natychmiast wyszło ze dwunastu żołnierzy i ustawiło się w szpaler. Przy świetle latarni Dantès ujrzał połysk bagnetów. „Czy to dla mnie – pomyślał – urząda się taką paradę zbrojną?”.

Oficer, otwierając drzwiczki zamknięte na klucz, choć nie wymówił ni słowa, odpowiedział wyraźnie na to nieme pytanie, wskazując mu korytarz pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy, zrobiony dlań od karetki aż do portu. Żandarmi wysiedli, a z nimi Dantès i razem przeszli do łódki, którą marynarz z komory uwiązał łańcuchem do brzegu. Żołnierze przypatrywali się przechodzącemu Dantèsowi z głupkowatą ciekawością. W

jednej chwili Dantès znalazł się na rufie łodzi, nadal otoczony czterema żandarmami, a z przodu usiadł oficer. Zachybotawszy gwałtownie, łódź oderwała się od brzegu i czterech wioślarzy wzięło się do wiosł. Na znak dany z łodzi opadł łańcuch zamykający basen portowy i Dantès znalazł się za redą.

Gdy poczuł się znowu na otwartej przestrzeni, uradował się. Przestrzeń, to już prawie wolność. Wciągnął w piersi świeży powiew bryzy, która na swoich skrzydłach przynosi nieznane wonie nocy i morza. Wkrótce jednak znów westchnął ciężko, przepływali bowiem niedaleko karczmy, gdzie rano jeszcze był tak szczęśliwy.

Edmund złożył ręce, wzniosł oczy do nieba i jął się modlić. Łódź płynęła dalej; minęła już Tête de Mort i małą zatoczkę Faro i miała właśnie ominąć stanowiska artylerii portowej – Dantès nie mógł pojąć tego manewru.

– I gdzież to mnie wieziecie? – zapytał Dantès.

– Dowiesz się pan za chwilę.

– Ale przecież...

– Zakazano nam mówić.

Dantès był sam po trosze żołnierzem, toteż wydało mu się rzeczą bezcelową wypytywanie podwładnych, którym przełożeni nakazali milczenie, zaprzestał więc pytań.

A wtedy najdziwniejsze myśli zaczęły mu się snuć po głowie. Ponieważ tak małą łódką nie można odbyć długiej drogi, a nie widać było w pobliżu żadnego statku na kotwicy, pomyślał więc, że go wywożą na jakiś oddalony punkt wybrzeża, aby tam puścić

wolno; nie był związany, nie okazywano zamiaru zakucia go w kajdany – wszystko to wydawało mu się dobrą wróżbą. A przecież i podprokurator, tak życzliwy człowiek, zapewniał, że byle nie wymieniał owego fatalnego nazwiska Noirtier, nie musi się niczego obawiać. I czyż ten sam prokurator nie zniszczył w jego obecności tego niebezpiecznego listu, jedyne dowodu jego winy? Cekał zatem w milczącym zamyśleniu, usiłując przebić żeglarskim, nawykłym do ciemności okiem mroki nocy. Minęli już na prawo wyspę Ratonneau, i płynąc wzdłuż brzegu, znaleźli się na wysokości zatoki katalońskiej. Tu więzień jeszcze mocniej wyteżył wzrok – tam była przecież Mercedes. I w tej chwili wydało mu się, że widzi rysującą się na ciemnym tle wybrzeża zwiewną sylwetkę kobiety. Czyżby przecucie mówiło Mercedes, że jej ukochany jest zaledwie o trzysta kroków od niej?

Jedno tylko światło paliło się w wiosce katalońskiej. Wpatrzywszy się bliżej, Dantès uznał, że to światło pochodziło z pokoiku jego narzeczonej. Jedna Mercedes czuwała tej nocy we wsi. Gdyby tylko krzyknął głośno, na pewno by go usłyszała, ale powstrzymał go fałszywy wstyd. Co by pomyśleli strzegący go ludzie, gdyby usłyszeli, że krzyczy jak szaleniec?

Nie otworzył więc nawet ust, i tylko natężył wzrok wpatrzony w ten świetlny punkt. Łódź płynęła wciąż dalej, ale więzień zapomniał o tym, przywołując myślami Mercedes.

Nagle jakieś wzgórze zasłoniło światło; Dantès odwrócił się i spostrzegł, że wypływają na pełne morze. Podczas jego

rozmyślał rozwinięto żagle i łódź płynęła już teraz gnana wiatrem. Choć Dantès wzdragał się na myśl, że będzie musiał znów wypytywać żandarma, zbliżył się jednak do niego i chwytając go za rękę, rzekł:

– Bracie, zaklinam cię, jesteś prawy żołnierz, miej litość nademną i odpowiedz mi! Nazywam się Dantès, jestem kapitanem; i choć oskarżono mnie o nie wiedzieć jaką zdradę, dobry ze mnie Francuz. Gdzie mnie wieziecie? Powiedz, a rękę ci na honor marynarza, że spełnię moją powinność i poddam się losowi.

Żandarm podrapał się, spojrzał na towarzysza, jakby go pytał, co ma odpowiedzieć, a tamten odpowiedział gestem, który zdawał się mówić, że nie ma co zachowywać tajemnicy, jeśli dopłynęli aż tutaj. I żandarm zwrócił się do Dantèsa:

– Jesteś z Marsylii i w dodatku jesteś marynarzem... a pytasz mnie, gdzie płyniemy?

– Tak, pytam, bo nie wiem, jak mi Bóg...

– I nie domyślasz się nawet?

– Nie.

– To niemożliwe!

– Przysięgam ci na to, co mam najświętszego w świecie. Mów, przez litość!

– A zakaz?

– Ale nie zakazano ci powiedzieć mi tego, o czym za dziesięć minut sam będę wiedział, za pół godziny może, za godzinę najdalej. Oszczędziłbyś mi tylko wieków niepewności i obawy. Proszę cię o to jak przyjaciela, patrz, nie mam zamiaru buntować

się ani uciekać, zresztą to niemożliwe. Gdzież więc płyniemy?

– Albo masz pan zaćmę na oczach, albo też nigdy nie wychodziłeś z portu marsylskiego, że się niczego nie domyślasz.

– Nie.

– Więc obejrzyj się pan wkoło.

Dantès wstał, odruchowo rzucił okiem w stronę, gdzie się kierowała łódź i ujrzał o sto sążni wyniosłą, czarną i stromą skałę, na której wznosił się, niby jakaś narośl z krzemienia posepny zamek If.

Kształt ów dziwaczny, to więzienie owiane grozą, twierdza, której posepną legendą żyje od lat trzystu Marsylia, która tak nagle ukazała się oczom Dantèsa, co ani o niej nie pomyślał, sprawiła na nim takie wrażenie, jak widok szafotu na skazańcu.

– Ach, Boże mój! – zawołał. – Zamek If. I po cóż my tam płyniemy?

Żandarm uśmiechnął się.

– Przecież nie chcecie mnie uwięzić. Zamek If jest więzieniem stanu, przeznaczonym jedynie dla przestępców politycznych. A ja nie popełniłem żadnej zbrodni. Czy jest tam jakiś sędzia śledczy albo inny sędownik?

– Jak mi się zdaje, nie ma – odpowiedział żandarm. – Jest tylko komendant, dozorczy, garnizon i grube mury. No, no, bracie, nie udawaj tak bardzo zdziwionego, bo gotów jestem pomyśleć, że za uprzejmość odpłacasz mi szyderstwem.

Dantès niemal zgniótł żandarmowi rękę w uścisku.

– Sądzisz więc pan, że mnie wiodą do zamku, aby mnie tam

uwięzić?

– To prawdopodobne – rzekł żandarm – ale, bratku, mimo to nie powinienes mi tak mocno ścisnąć ręki.

– Bez śledztwa i formalności?

– Śledztwo jest przeprowadzone, a formalności wypełnione.

– Więc mimo obietnicy pana Villefort...

– Ja tam nie wiem, czy ci pan de Villefort przyrzekł co, czy nie – rzekł żandarm wiem tylko, że płyniemy do zamku If! Co to! Bracie, co robisz? Hej, do mnie!

Jednym nagłym jak błyskawica ruchem Dantès porwał się, aby skoczyć w morze, ale wprawne oko żandarma spostrzegło zawczasu ten ruch i cztery potężne dłonie wstrzymały go w chwili, gdy odbił się już stopami z łodzi.

Upadł na dno ze wściekłym jękiem.

– Dobrze – zawołał żandarm, przygniatając mu piersi kolanami. – To tak dotrzymujesz mi pan słowa? Bądź grzecznym wobec oszusta! O, teraz, bratku, tylko się rusz, a wpakuję ci kulę w łeb. Zlekceważyłem pierwszy rozkaz, ale ręczę ci, że za drugim razem nie zaniedbam.

Zniżył karabin i Dantès poczuł na skroni chłód lufy.

Przez chwilę przyszła mu myśl, aby uczynić właśnie zakazany gest, aby tym gwałtownym sposobem raz na zawsze położyć kres nieszczęściu, które tak jak sęp niespodziewanie spadło na niego i chwyciło go w szpony. Ale właśnie dlatego, że tak nagle, nie powinno trwać długo; Dantès wspomniał także obietnice Villeforta; ponadto, jeśli mamy i to przyznać, śmierć na dnie

łodzi z ręki żandarma wydała mu się czymś haniebnym.

Opadł więc bezsilny na deski i jęcząc, gryzł sobie ręce z wściekłości.

W tejże chwili łódką wstrząsnęło gwałtowne uderzenie. Jeden z wioślarzy wyskoczył na skałę, o którą tył łodzi właśnie uderzył i Dantès pojął, że znajdują się u celu podróży.

Stróże jego, trzymając go za ręce i kołnierz, podnieśli go i powlekli po schodach do bramy cytadeli, z tyłu zaś szedł oficer uzbrojony w karabinek z bagnetem.

Dantès nie opierał się, gdyż wszelki opór poszedłby na próżno. Jego powolność pochodziła raczej z inercji niż z chęci sprzeciwu. Był zupełnie oszołomiony i chwiał się jak pijany; czuł pod stopami schody, które zmuszały go do podnoszenia nóg, widział, że przechodzi pod jakąś bramą i że ta brama zamknęła się za nim; wszystko to jednak rejestrował machinalnie, nie będąc w stanie, jakby przez mgłę gęstą, rozróżniać przedmiotów. Nie widział już nawet morza, okropna to boleść dla więźnia, który spogląda w wodną przestrzeń z tym dręczącym uczuciem, że niepodobna się do niej dostać. Stanęli na chwilę i Dantès spróbował zebrać myśli, i spojrzał wokoło: znajdował się na obszernym kwadratowym dziedzińcu opasanym murami; słychać było tu tylko powolne echa kroków szyldwachów, a kiedy przechodzili podczas tej wędrówki przez miejsca, na które padało z okien zamku światło, widać było lśnienie na lufach ich karabinów.

Czekano tu z dziesięć minut. Żandarmi, pewni, że im już

więzień nie ucieknie, puścili go wolno. Czekali tylko, jak się zdaje, na rozkazy – aż nadeszły.

– Gdzie więzień? – odezwał się głos jakiś.

– Tutaj – odrzekli żandarmi.

– Niech idzie za mną, zaprowadzę go do celi.

– No idźże – zawołali żandarmi, popychając Dantèsa.

Więzień poszedł za przewodnikiem; weszli do izby, która przypominała loch; jej ściany były nagie i wilgotne – jakby od łez, co tam spływały. Ustawiony na drewnianym stołku kaganek, którego knot pływał w tłustej, cuchnącej mazi, oświetlał lśniąco ściany tego strasznego przybytku i ukazywał zarazem Dantèsowi przewodnika – był to dozorca niskiej rangi, obdarty i o nikczemnej fizjonomii.

– Tu będziesz dziś pan spał – rzekł. – Już późno, pan komendant śpi; jutro, jak się obudzi i przejrzy rozkazy, może ci wyznaczy inne pomieszczenie. Tymczasem masz pan tu chleb, woda stoi w tym oto dzbanku, słoma jest w kącie – to wszystko, czego tylko więzień żądać może. Dobranoc.

I nim Dantès zdążył otworzyć usta do odpowiedzi, zanim obejrzał się, gdzie jest ów chleb wskazany mu przez dozorcę, zanim mógł zdać sobie sprawę, gdzie znajduje się dzbanek z wodą i nim zauważył, gdzie była słoma przeznaczona na poślanie, dozorca wziął kaganek i zamknąwszy drzwi, pozbawił więźnia ostatniego promienia światła, którego blask na chwilę rozjaśnił ociekające mury.

Tak został sam, wśród ciemności i ciszy, posepny i milczący

jak sklepienie celi, której lodowate zimno zdawało się chłodzić jego rozpalone czoło.

Z pierwszymi promieniami dnia, które wpadły do lochu, wszedł dozorca i przyniósł rozkaz, że więzień ma pozostać w tej samej celi. Dantès od wczoraj nie zmienił miejsca; jakaś żelazna ręka przykuła go tam, gdzie stanął wczorajszego wieczoru; stał bez ruchu i patrzył w ziemię.

Tak przetrwał całą noc, nie zmrużywszy ani na chwilę oka.

Dozorca zbliżył się, obszedł go, ale zdawało się, że Dantès go nawet nie dostrzegał.

Poklepał więc Edmunda po ramieniu. Edmund zadrżał i potrząsnął głową.

– Cóż to, nie spałeś pan wcale? – zapytał dozorca.

– Nie wiem – odpowiedział Dantès.

Dozorca spojrzał zdziwiony.

– Jeść się panu nie chce? – zapytał następnie.

– Nie wiem – odpowiedział jeszcze raz Dantès.

– Może chcesz czego?

– Chciałbym widzieć się z komendantem.

Dozorca wzruszył ramionami i wyszedł. Dantès odprowadził go wzrokiem, wyciągnął ręce ku drzwiom na wpół otwartym, ale drzwi się zamknęły.

Wówczas z jego piersi wyrwał się szloch i zdawać by się mogło, że pierś mu od niego pęknie. Łzy potoczyły się z oczu strumieniami. Padł na kolana, pochylając czoło ku ziemi i modlił się długo, przechodząc myślą całe swoje życie i pytał sam siebie,

jaki też mógł występować popełnić w tak młodym wieku, który zasługiwałby na tę ciężką karę!

I tak przeszedł dzień. Nieszczęśnik zjadł zaledwie parę kęsów chleba i zwilżył usta wodą. To siadał i zagłębiał się w myślach, to miotał się po celi jak drapieżne zwierzę zamknięte w żelaznej klatce.

W tym strapieniu jedna go jeszcze dręczyła myśl: podczas przeprawy, kiedy nie wiedział jeszcze, gdzie go prowadzą i zachowywał się spokojnie i cicho, miał z dziesięć razy okazję rzucić się w morze. A skoro byłby już w wodzie, przy swoich umiejętnościach, z których słynął jako najzręczniejszy pływak w Marsylii, mógł był zanurkować, ujść straży, dostać się do brzegu, uciec i skryć się gdzieś w jakiejś odludnej zatoczce, poczekać na jakiś genueński lub kataloński statek, dotrzeć do Włoch lub Hiszpanii i stamtąd napisać do Mercedes, aby do niego przyjechała. I potrafiłby zarobić na życie, dokąd by go los nie rzucił, o to się nie martwił: doświadczonych marynarzy zawsze się potrzebuje; mówił zresztą po włosku jak Toskańczyk, po hiszpańsku jak dziecko Kastylii. Żyłby sobie swobodnie i szczęśliwie z Mercedes, i z ojcem, bo ojciec musiałby także do niego przyjechać. A teraz oto jest więźniem, zamkniętym w zamku If – w tym nieprzebytym gmachu i nie wie, co się dzieje z Mercedes i z ojcem, bo dał się omotać słowom Villeforta. Można było od tego oszaleć – i Dantès wił się i tarzał z wściekłości na świeżej słomie, którą przyniósł dozorca.

Nazajutrz o tej samej godzinie do celi wszedł dozorca.

– No i jak – zapytał. – Zmądrzałeś pan trochę od wczoraj?
Dantès nie odpowiedział.

– No, no, nabierz pan trochę odwagi – ciągnął dozorca. –
Może potrzebujesz czegoś, co by ode mnie zależało. Mówże pan!

– Chcę rozmawiać z komendantem.

– Ej – rzekł zniecierpliwiony dozorca – jużem mówił, że to niemożliwe...

– Dlaczego?

– Ponieważ stosownie do regulaminu więźniowi nie wolno o to prosić.

– A cóż wolno? – zapytał Dantès.

– Jeśli się zapłaci, wolno żądać lepszego jedzenia, można też pójść na spacer, a czasem dostać książki.

– Książek nie potrzebuję, przechadzać się nie mam ochoty, a wikt, moim zdaniem, jest dobry; pragnę więc tylko jednej rzeczy: widzieć się z komendantem.

– Jak będziesz mnie pan tak nudził, powtarzając w kółko jedno i to samo, to przestanę przynosić jedzenie.

– Cóż – rzekł Dantès. – Jak mi nie będziesz przynosił jeść, to umrę z głodu i tyle.

Ton, jakim Dantès wyrzekł te słowa, przekonał dozorcę, że jego więzień rad by umrzeć. A ponieważ każdy więzień przynosi dozorczy przynajmniej dziesięć sous na dzień, opiekun Dantèsa obliczył szybko, jaką stratę przyniosłaby mu jego śmierć i rzekł tonem łagodniejszym:

– Słuchaj no pan; to, czego żądasz, jest niemożliwe; niech

pan więcej nie prosi, bo nie zdarzyło się jeszcze, aby komendant przychodził odwiedzić więźnia na jego żądanie. Ale jak będziesz pan zachowywał się spokojnie, pozwolą panu wyjść na spacer, i być może kiedyś spotkasz pan podczas spaceru komendanta. Wtedy go zaczepisz, jeśli zechce ci odpowiedzieć – to jego sprawa.

– Jak długo miałbym czekać – rzekł Dantès – na taką okazję?

– Ha! Diabli wiedzą – rzekł dozorca. – Może miesiąc, trzy miesiące, pół roku albo i rok.

– To za długo, chcę się z nim widzieć natychmiast.

– Ach, nie daj się pan tak owładnąć jednemu żądaniu, niemożliwemu do spełnienia, bo za piętnaście dni możesz oszaleć.

– Tak sądzisz? – rzekł Dantès.

– Pewnie, oszalejesz pan. To zawsze się tak zaczyna, mamy już jeden przykład. Jest tu ksiądz, który obiecywał komendantowi milion, żeby tylko go wypuścił, tak że w końcu mózg przewrócił mu się zupełnie; mieszkał tu właśnie, w tym pokoju, przed panem.

– A dawno stąd wyszedł?

– Dwa lata temu.

– Uwolniono go?

– O nie, wpakowano do lochu.

– Słuchaj! – rzekł Dantès. – Ja nie jestem ani księdzem, ani wariatem, chyba że zwariuję tutaj. Na moje nieszczęście jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach. Chcę ci coś zaproponować.

– Co takiego?

– Nie ofiaruję ci miliona, bo nie byłbym w stanie ci go dać, ale dostaniesz sto dukatów, jeżeli tylko, kiedy będziesz w Marsylii, udasz się do osady Katalończyków i oddasz list pewnej młodej panience imieniem Mercedes; to nawet nie list, dwie linijki.

– Gdybym odniósł ten list, nawet jeśli zawierałby tylko dwie linijki, a dowiedziano by się o tym, straciłbym miejsce, które mi daje pensję tysiąca liwrów na rok, nie licząc różnych dodatków i wikt. Rozumiesz pan, że byłbym wielkim głupcem, gdybym narażał się na utratę tysiąca liwrów, aby zyskać trzysta.

– A, jeśli tak, to słuchaj i zapamiętaj sobie: jeśli nie oświadczysz komendantowi, że proszę o audiencję, jeżeli nie odniesiesz listu do Mercedes albo nie zawiadomisz jej, że jestem tutaj, to pewnego dnia zaczną się na ciebie za drzwiami i kiedy wejdiesz, tym stołkiem roztrzaskam ci głowę.

– Grozisz pan! – wrzasnął dozorca, cofając się i przybierając obronną pozycję. – Wyrażnie pomieszało ci się w głowie! Ksiądz zaczynał tak samo, i za trzy dni odbije panu do reszty, jak jemu, i będą ci musieli nałożyć kaftan. Na szczęście my tu w zamku mamy niezłe loszki!

Dantès porwał stołek i zaczął nim wywijać nad głową.

– Dobrze, dobrze – rzekł dozorca. – Kiedy się pan tak upierasz, zawiadomimy komendanta.

– Chwała Bogu – rzekł Dantès, postawił stołek na ziemi i usiadł, spuszczając głowę; oczy miał tak błędne, jakby rzeczywiście pomieszały mu się zmysły.

Dozorca wyszedł i po chwili wrócił z czterema żołnierzami i kapralem.

– Z rozkazu komendanta – rzekł – zejdziesz pan o piętro niżej.

– Do lochu, czy tak? – upewnił się kapral.

– Do lochu; wariaci powinni siedzieć z wariatami.

Żołnierze chwycili Dantèsa, który wpadł w jakiś rodzaj odrętwienia i poszedł bez oporu za nimi. Zeszli po schodach i otwały się drzwi lochu. Dantès wszedł, szepcząc:

– Ma rację, wariaci powinni siedzieć z wariatami.

Drzwi zatrzasnęły się, Dantès wyciągnął ręce i jął iść przed siebie, póki nie trafił na mur. Usiadł w kącie i tak pozostał bez ruchu, a jego oczy przyzwyczajały się powoli do ciemności, aż wreszcie zaczął rozpoznawać przedmioty wokół siebie.

Dozorca miał rację: niewiele brakowało, a Dantès naprawdę by oszalał.

9. Wieczór zaręczyn

Villefort, jak to już mówiliśmy, powrócił do państwa de Saint-Méran, gdzie zastał biesiadników, których opuścił przy stole, w salonie, pijących kawę. Renata oczekiwała go z niecierpliwością, wspólną zresztą całemu towarzystwu. Dlatego też przyjęto go z mieszanymi okrzykami.

– I cóż, panie, co głowy ścinasz, podporo kraju, Brutusie królestw – zawołał ktoś z towarzystwa. – Cóż się stało? Powiedz pan!

– Czy znów nam terror zagraża? – zapytał drugi.

– A może potwór korsykański wyszedł ze swojej jaskini? – dopytywał się trzeci.

– Pani markizo! Racz pani wybaczyć – rzekł Villefort, podchodząc do przyszłej teściowej – jeśli w tak nagły sposób zmuszony jestem panią opuścić... Panie markizie, czy nie zechciałby pan zamienić ze mną parę słów na osobności?...

– Ach, widzę, że to rzeczywiście sprawa poważna – ozwała się markiza, widząc zachmurzoną twarz Villeforta.

– Tak poważna, że będę musiał pożegnać państwa na kilka dni. Widzi pani – dodał zwracając się do Renaty – że to naprawdę rzecz najwyższej wagi.

– Jak to! Więc pan wyjeżdżasz? – zawołała Renata, nie mogąc ukryć uczuć, jakie wzbudziła w niej ta niespodziewana nowina.

– Niestety – odpowiedział Villeroft. – Tak trzeba.

– I gdzie się udajesz? – zapytała markiza.

– To już jest tajemnicą urzędową, daruj, pani. Jeśli jednak ktoś z państwa miałby jakie zlecenie do Paryża, proszę powiedzieć; jeden z moich przyjaciół dziś wieczór właśnie tam wyjeżdża i chętnie to załatwi.

Goście spojrzeli po sobie.

– Chciałeś ze mną mówić, panie de Villefort – przypomniał markiz.

– Tak. Przejdźmy, jeśli pan pozwoli, do pańskiego gabinetu.

Markiz ujął Villeforta pod ramię i razem wyszli.

– I co? – zapytał w gabinecie. – Cóż się dzieje? Mówże.

– Dzieją się rzeczy o, jak sędzę, niezwyklej doniosłości, które zmuszają mnie do natychmiastowego wyjazdu do Paryża. Teraz, panie markizie, proszę darować niedyskretne i obcesowe pytanie: czy masz pan rentę w jakichś papierach państwowych?

– Cały mój majątek ulokowałem w obligacjach, będzie tego około sześćset, może siedemset tysięcy franków.

– A więc niech pan je sprzeda, bo stracisz wszystko.

– Ależ jak mogę je tutaj sprzedać?

– Ma pan swojego agenta giełdowego, prawda?

– Mam.

– Niech pan mi da list do niego, w którym zlecisz pan, aby sprzedał wszystko, nie tracąc ni chwili, ni sekundy. Zresztą i tak mogę przybyć za późno.

– Do diabła – zatroskał się markiz. – Nie traćmy więc czasu.

Siadł przy stole i napisał list do agenta giełdowego, w którym

nakazywał mu sprzedać obligacje za każdą cenę.

– Teraz, gdy mam ten list – rzekł Villefort, składając go starannie w portfelu – potrzebuję jeszcze drugiego.

– Do kogo?

– Do króla.

– Do króla?

– Tak.

– Ależ ja nie ośmielę się napisać tak do Najjaśniejszego Pana.

– Toteż nie wymagam tego właściwie od pana. Czy mógłby pan poprosić o to pana de Salvieux? Potrzeba mi takiego listu, za pomocą którego mógłbym dostać się do króla, omijając wszelkie formalności związane z prośbą o audiencję i nie tracąc cennego czasu.

– A czy nie możesz pan zwrócić się do ministra sprawiedliwości, który ciągle bywa w Tuileryach, i za którego pośrednictwem można z łatwością widzieć się z królem, czy w dzień, czy w nocy?

– Tak, naturalnie, ale nie chciałbym dzielić się z kimś zasługą, bo mam nie lada wiadomość. Pan markiz rozumie? Minister usunąłby mnie do drugiego rzędu i zdmuchnąłby mi sprzed nosa cały profit. Powiem panu tylko jedno: mam zapewnioną karierę, jeśli pierwszy przybędę do Tuileries, wyświadczę bowiem taką przysługę królowi, że mu to nigdy nie pozwoli o mnie zapomnieć.

– W takim razie, mój drogi, pakuj manatki, a ja zawołam Salvieux i każę mu napisać list, który ci otworzy wszystkie drzwi.

– Dobrze, ale proszę o pośpiech, bo za kwadrans muszę już

być w dyliżansie pocztowym. Bądź pan uprzejmy wytłumaczyć mnie przed panią markizą i panną Renatą, że w takim dniu, choć z głębokim żalem, ale muszę je opuścić.

– Zastaniesz je pan w moim gabinecie i możesz się sam z nimi pożegnać.

– Dzięki stokrotnie. Proszę, niech się pan zajmie moim listem. Markiz zadzwonił, wszedł lokaj.

– Powiedz hrabiemu de Salvieux, że proszę go do siebie. A pan idź już – zwrócił się do Villeforta.

– Dobrze, idę i wracam za chwilę.

Villefort wybiegł; ale w drzwiach przyszło mu do głowy, że gdyby ujrzano zastępcę prokuratora królewskiego, jak biegnie ulicami, poruszyłoby to całe miasto. Poszedł więc dalej zwykłym urzędowo uroczystym krokiem.

Przed drzwiami domu spostrzegł jakąś postać, która czekała na niego w cieniu jak białe, nieruchome widziadło.

Była to piękna Katalonka, która nie wiedząc, co się stało z Edmundem, wymknęła się o zmierzchu z osady, aby dowiedzieć się sama, dlaczego aresztowano jej ukochanego. Na widok Villeforta oderwała się od ściany, o którą się opierała, i zastąpiła prokuratorowi drogę. Dantès mówił mu o swej narzeczonej i Villefort od razu domyślił się, kim jest dziewczyna. Zdumiała go jej uroda i dystynkcja, a gdy zapytała, co się stało z jej narzeczoną, Villefortowi wydało się przez chwilę, jakby to on był oskarżonym, a ona sędzią.

– Człowiek, o którego mnie pytasz, pani, jest wielkim

przestępcą – rzekł niecierpliwie Villefort. – Nic nie mogę dla niego zrobić.

Mercedes zapłakała, ale gdy Villefort chciał przejść obok niej, na nowo zastąpiła mu drogę.

– Gdzież więc jest? Żebym mogła się choć dowiedzieć, czy jeszcze żyje?

– Nie wiem, nie zajmuję się już tym – odburknął Villefort.

I zakłopotany przenikliwym wzrokiem Mercedes i błagalną postawą, odepchnął ją i wszedł do domu, zatrzasnąwszy drzwi, jakby chciał zostawić za nimi cierpienie, którym tchnęła. Ale niełatwo odegnać czyjąś boleść. Unosimy ją ze sobą, jak człowiek zraniony strzałą śmiertelną, co go dosięgła. Villefort zamknął za sobą drzwi, ale przyszedłszy do salonu, zachwiał się, westchnął – a raczej zaszlochał – i rzucił się na krzesło.

Wtedy na dnie tego chorego serca zrodził się początek śmiertelnego wrzodu. Ów człowiek, którego poświęcał dla swojej ambicji, ów niewinny, co miał ponieść karę za winy jego ojca, stanął mu przed oczyma blady i groźny, ciągnąc za sobą wyrzuty sumienia, brzmiące jak dźwięk głuchy i monotony, wyrzuty, które tylko od czasu do czasu wymierzają cios w serce, zadając ból straszliwy, a ból taki jątrzy się i pogłębia aż do śmierci.

Wówczas Villefort zawahał się przez chwilę. Przecież tym razem skazał na dożywotnie więzienie człowieka niewinnego – niewinnego, który miał wkrótce dostąpić szczęścia, i któremu odbierał więc nie tylko wolność, ale i szczęście: tym razem nie

okazał się sędzią, ale katem. Myśląc o tym, czuł w sobie to nieznane mu dotąd głuche kołatanie, które opisaliśmy powyżej, a które rozbrzmiewało gdzieś z głębin jego duszy i napełniało go niejasnym lękiem.

Gdyby w tej chwili w uchu Villeforta zabrzmiał łagodny głos Renaty, proszący go o łaskę; gdyby weszła piękna Mercedes i rzekła: „W imię Boga, który patrzy na nas i sądzi, zwróć mi narzeczonego”, tak, to czoło pochylone pod ciężarem obowiązku pochyliłoby się jeszcze bardziej i złodowaciała dłoń wyciągnęłaby się, by podpisać rozkaz uwolnienia Dantèsa, bez względu na wszelkie konsekwencje. Żaden jednak głos nie odezwał się w ciszy, a drzwi otwarły się po to tylko, by wpuścić lokaja, który przyszedł dać znać, że konie pocztowe już czekają.

Villefort powstał – a raczej zerwał się, jak ten, co zakończył zwycięsko wewnętrzną walkę, podbiegł do sekretarzyka, zabrał do kieszeni złoto z szufladki, przez chwilę kręcił się jeszcze spłoszony po pokoju, pocierając czoło i mamrocząc coś bez związku; w końcu, gdy poczuł, że służący nałożył mu na ramiona płaszcz, wyszedł, wskoczył do powozu i rozkazał jechać na ulicę du Grand Cours, do państwa de Saint-Méran.

Na nieszczęsnego Dantèsa zapadł wyrok.

Jak to obiecał pan de Saint-Méran, Villefort zastał w gabinecie markizę i Renatę. Spostrzegłszy dziewczynę, zadrżał, bo bał się, że znowu błagać będzie go o uwolnienie Dantèsa. Ale niestety! Przyznajmy to, i niech wstydzą się egoiści: piękna dziewczyna myślała już tylko o wyjeździe narzeczonego.

Kochała Villeforta, a Villefort odjeżdżał niemal w chwili, gdy miał zostać jej mężem, i nie mógł powiedzieć, kiedy powróci; toteż Renata, zamiast żałować Dantès'a, przeklinała w nim tego, który przez swoje zbrodnie rozłączał ją z ukochanym.

A cóż mogłaby rzec Mercedes!

Na rogu ulicy de La Loge biedna Mercedes spotkała Fernanda, który na krok jej nie odstępował; wróciła do wioski i półżywa z rozpaczry rzuciła się na łóżko. Fernand padł przed łóżkiem na kolana, a że Mercedes nie reagowała, mógł tulić i okrywać gorącymi pocałunkami jej lodowatą dłoń, gdyż wydawała się niczego nie odczuwać.

Tak minęła noc, lampa zgasła, gdy zabrakło wreszcie oliwy, a Mercedes nie dostrzegała ciemności, jak wcześniej nie widziała światła; nadszedł dzień, nie dostrzegła i słońca. Cierpienie rzuciło na jej oczy zasłonę, przez którą widziała tylko Edmunda.

– Ach, jesteś tu! – rzekła w końcu, zwracając się do Fernanda.

– Od wczoraj nie opuszczałem cię na chwilę – odrzekł Fernand z bolesnym westchnieniem.

Pan Morrel zaś nie uważał jeszcze sprawy za przegraną. Dowiedziawszy się, że Dantès został po przesłuchaniu uwięziony, pobiegł do wszystkich przyjaciół, był u wszystkich wpływowych osobistości w Marsylii. Ale rozeszła się już pogłoska, że młodzieniec został aresztowany jako agent napoleoński, wszędzie przyjmowano go ozięble, udzielając wykrętnych i lękliwych odpowiedzi lub odmawiając wprost wstawienia się za Edmundem, albowiem w tym czasie

najzuchwalsi uważali wysiłki Napoleona, pragnącego powrócić na tron, za szaleńcze marzenia; i pan Morrel wrócił do domu w rozpacz, przyznając sam przed sobą, że sprawa jest tak trudna, iż nikt nie zdoła jej zaradzić.

Caderousse zdawał się także niespokojny i udręczony. Zamiast wyjść jak pan Morrel, zamiast starać się uczynić coś dla Dantèsa, któremu zresztą i tak niewiele mógłby pomóc, zamknął się w swojej izdebce z dwoma butelkami wina z czarnych porzeczek, chcąc utopić w trunku zmartwienie. Ale w stanie ducha, w jakim się znajdował, dwie butelczyny nie mogły uśpić mu jasności rozumowania. Podchmielił sobie na tyle, że nie mógł wyjść po więcej wina, ale za mało, aby to upojenie zatarło wszystkie wspomnienia; siedział, wsparłszy się łokciami o kulawy stół, naprzeciw dwóch pustych butelek, i zdawało mu się, że widzi wokół, jak płasają w mdłym blasku łojówki wszystkie widziadła, którymi Hoffmann usiał niby czarnym, fantastycznym kurzem stronic swoich manuskryptów, wilgotnych od ponczu.

Danglars tylko nie dręczył się o nic i nie martwił. Danglars był nawet wesoły, bo zemścił się na wrogu, zapewnił sobie na statku stanowisko, które już by utracił. Danglars należał do tych ludzi wyrachowanych, co rodzą się z piórem za uchem i kałamarzem w miejsce serca: wszystko na świecie sprowadzało się dlań do mnożenia lub odejmowania; liczbę cenił więcej od człowieka, gdy ta liczba mogła powiększyć zysk, który człowiek był w stanie zmniejszyć.

Danglars więc położył się o zwykłej porze i spał spokojnie.

Villefort, otrzymawszy rekomendację od pana de Salvieux, ucałował policzki Renaty i dłoń markizy, a także uścisnął rękę markiza i ruszył do Paryża.

Ojciec Dantèsa niemal umierał z boleści i niepokoju.

Zaś co do Edmunda – wiemy, co się z nim działo.

10. Gabinecik w Tuileriach

Zostawmy Villeforta na trakcie do Paryża, po którym pędził jak strzała, płacąc za potrójne zaprzęgi i wejdźmy, mijając kilka większych salonów, do owego słynnego gabineciku z łukowatym oknem: ulubił go sobie Napoleon I, następnie Ludwik XVIII, a dziś Ludwik Filip. W tym to gabinecie król Ludwik XVIII, siedząc przy orzechowym stoliku, który sobie sprowadził z Hartwell – a lubił go niezmiernie (było to jedno z dziwactw, jakie zdarzają się wielkim tego świata) – słuchał dość nieuważnie słów pięćdziesięcioletniego mężczyzny o siwych włosach, szlachetnej postawie i nienagannie ubranego i notował coś na marginesie tomu Horacego (w niezbyt poprawnym, choć cenionym wydaniu Gryphiusa), który miał swój udział w formułowanych przez króla przenikliwych uwagach filozoficznych.

- Mówisz więc pan... – rzekł król.
- Że jestem bardzo niespokojny, Najjaśniejszy Panie.
- Doprawdy? Widziałeś więc pan we śnie siedem krów tłustych i siedem chudych?
- Nie, Najjaśniejszy Panie, bo to zapowiadałoby tylko siedem lat żyznych, a siedem głodu, a za panowania tak przewidującego króla, jak Najjaśniejszy Pan, nie musimy lękać się głodu.
- Jakaż więc inna czeka nas plaga, kochany panie Blacas?
- Najjaśniejszy Panie, sądzę... i mam wszelkie prawo, aby tak sądzić, że od południa zbiera się burza...

– No, mój kochany hrabio – odrzekł Ludwik XVIII – widzę, że źle pana poinformowano, bo ja wiem z całą pewnością, że tam teraz pogoda najpiękniejsza pod słońcem.

Jakkolwiek Ludwik XVIII był człowiekiem dowcipnym, lubił banalne żarciki.

– Czy Najjaśniejszy Pan nie raczyłby posłać, ot tak – aby uspokoić wiernego sługę, kilku zaufanych ludzi do Langwedocji, Prowansji i Delfinatu, aby przekonali się o nastrojach wśród tamtejszej ludności?

– *Canimus surdis* – odrzekł król, nie przestając robić notatek na marginesie Horacego.

– Sire – odpowiedział dworak z uśmiechem, udając, że zrozumiał hemistych poety z Wenuzji. – Wasza Królewska Mość ma zapewne słuszość, polegając na poddanych, ale obawiam się, że nie mylę się całkiem spodziewając się jakichś rozpaczliwych prób...

– Z czyjej strony?

– Ze strony Bonapartego, a przynajmniej jego stronników.

– Kochany Blacas, z pańskimi obawami nie dajesz mi pan pracować.

– A spokój Najjaśniejszego Pana nie daje mi zasnąć.

– Chwileczkę, hrabio. Przyszła mi do głowy wspaniała myśl na temat *Pastor quum traheret*, niech tylko skończę, a będziesz pan mówił dalej.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Ludwik XVIII zapisał maczkiem nową uwagę na marginesie Horacego; po czym

rzekł:

– Mów teraz, drogi hrabio – i powstał z zadowoloną miną człowieka, który sądzi, że wpadł na nową myśl, a nie na komentarz do cudzej idei. – Mów dalej, słucham.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł Blacas, który miał przez chwilę nadzieję, że przejmie dla siebie profit z wieści przyniesionych przez Villeforta. – Muszę uprzedzić Waszą Wysokość, że to niezwykcyjne, nieoparte na niczym pogłoski, gadanie na wiatr, które mnie zaniepokoiło. Właśnie przybył pocztowymi końmi człowiek rozsądny, godny zaufania, któremu powierzyłem czuwanie nad południową częścią kraju – (hrabia wymówił te słowa z pewną trudnością) – przybył po to, aby powiedzieć mi: „królowi grozi wielkie niebezpieczeństwo”. Dlatego przybiegłem co sił, sire.

– *Mala ducis avi domum* – czytał Ludwik XVIII, notując dalej.

– Czy Wasza Królewska Mość zakazuje mi nastawać dłużej na ten temat?

– Bynajmniej, kochany hrabio. Ale sięgnij pan ręką na lewo...

– Tu, sire?

– Mówię panu na lewo, a pan szuka na prawo! Miałem na myśli: na lewo ode mnie. Brawo, trafiłeś pan. Musi tam być raport ministra policji z wczorajszą datą... O, ale proszę, oto i pan Dandré we własnej osobie... Powiedziałeś wszak, że to pan Dandré? – zwrócił się król do kamerdynera, który właśnie zaanonsował ministra policji.

– Tak, Najjaśniejszy Panie, pan baron Dandré – powtórzył

kamerdyner.

– Słusznie, baron – podjął Ludwik z niemal niedostrzegalnym uśmiechem. – Niech pan wejdzie, baronie, i opowie hrabiemu wszystko, co tylko wiesz nowego o panu Bonaparte. Nie kryj nic przed nami, choćby sytuacja była najcięższa. Przekonajmy się, czy wyspa Elba jest wulkanem, z którego wybuchnie wojna gorąca i sroga: *bella, horrida bella*?

Pan Dandré zakołysał się z gracją, wsparty dłońmi o oparcie fotela.

– Czy Najjaśniejszy Pan – rzekł – czy raczył przejrzeć raport wczorajszy?

– Tak, ale powtórz pan to sam hrabiemu, co tam było, bo go nie może znaleźć. Opowiedz mu, co uzurpator robi na wyspie.

– Panie hrabio – rzekł baron. – Wszyscy wierni służą Jego Królewskiej Mości, powinni się cieszyć z najświeższych nowin dochodzących z Elby. Bonaparte...

Tu spojrzał na Ludwika XVIII, który zajęty swoimi notatkami ani się obejrzał.

– Bonaparte – mówił dalej baron – nudzi się śmiertelnie; spędza całe dni na doglądaniu pracy górników w Porto Longone.

– I co rusz się drapie, aby się trochę rozerwać – rzekł król.

– Drapie się – zdumiał się hrabia. – Co Najjaśniejszy Pan ma na myśli?

– Ależ tak, drogi hrabio. Czyżby zapomniał pan, że ten wielki człowiek, ten heros, ten półbóg jest dotknięty chorobą, która go wprost pożera, zwaną *prurigo*?

– Powiem więcej, panie hrabio – dorzucił minister policji – jesteśmy prawie pewni, że uzurpatorowi wkrótce pomiesza się rozum.

– Pomiesza się rozum?

– I to zupełnie. Już teraz bzikuje. Czasem płacze gorącymi łzami, to znowu śmieje się na całe gardło; czasem całe godziny spędza nad brzegiem morza, puszczając kaczkę, a kiedy kamyk odbije się pięć lub sześć razy, kontent jest tak, jakby wygrał znowu bitwę pod Marengo lub Austerlitz; czyż to nie są wyraźne symptomy szaleństwa?

– Albo też mądrości, panie baronie, może mądrości – rzekł Ludwik XVIII, śmiejąc się. – Bo przecież kaczki puszczali z upodobaniem wielcy wodzowie starożytności. Przeczytaj pan u Plutarcha życie Scypiona Afrykańskiego.

Pan de Blacas popadł w głęboką zadumę nad niefrasobliwością tych dwóch osobistości. Villefort nie powiedział mu wprawdzie wszystkiego, nie chcąc pozwolić, by kto inny skorzystał na jego nowinach, ale wyjawiał jednak dość, aby zaniepokoić ministra.

– Tyle wystarczy, panie baronie – odezwał się Ludwik XVIII – widzisz przecież, że pan Blacas nie chce się dać przekonać. Lepiej powiedz, jak tam z nawróceniem uzurpatora?

– Nawrócenie uzurpatora? – szepnął hrabia, patrząc to na króla, to na pana Dandré, którzy rozmawiali w tak nierzeczywisty sposób, jak sielankowi pasterze Wergiliusza.

– Tak, panie hrabio! – odparł minister z najpoważniejszą w

świecie miną. – Napoleon dokonywał ostatnio przeglądu wojsk i gdy kilku wiarusów, jak ich sam nazywa, zdradziło się z chęcią powrotu do Francji, zwolnił ich ze służby i przypomniał, aby służyli prawowitemu królowi. Tak powiedział, panie hrabio, jestem tego całkowicie pewien.

– I cóż pan o tym myśli, Blacas? – zapytał triumfująco król, porzucając na chwilę wertowanie grubego tomu komentarzy, który leżał przed nim.

– Myślę, Najjaśniejszy Panie, że albo minister policji myli się, albo mylę się ja. Ponieważ jednak jest niemożliwe, aby pan minister policji, strzegący bezpieczeństwa i honoru Waszej Królewskiej Mości, mógł być w błędzie, to ja zapewne się omyliłem. Przecież, będąc na miejscu Waszej Królewskiej Mości, wybadałbym osobę, o której wspomniałem; a ja będę nawet nalegał, aby Wasza Królewska Mość wyświadczył jej tę łaskę.

– Bardzo chętnie, hrabio; za pańskim wstawiennictwem przyjmę, kogo zechcesz, ale chcę przyjąć go z orężem w rękę. Panie ministrze, czy nie masz pan nowszego raportu, bo ten jest z 20 lutego, a dziś mamy 4 marca.

– Nie mam, Najjaśniejszy Panie, ale oczekuję go lada moment. Wyszedłem rano; być może w czasie mojej nieobecności coś przyszło.

– Idź więc pan do prefektury, a jeśli nie ma raportu... to cóż... – mówił dalej z uśmiechem Ludwik XVIII. – To go pan wysmaż, przecież tak to się u was robi?

– O, Najjaśniejszy Panie – zaoponował minister. – Dzięki Bogu nie potrzebujemy tu nic wymyślać; co dzień nasze biurka usłane są szczegółowymi denuncjacjami, które są dziełem całego tłumu hołyszów, liczących na wdzięczność za usługi, których naprawdę nie oddają, ale które pragnęliby oddawać. Mówią coś na chybił trafił i mają nadzieję, że pewnego dnia ich przepowiednie nagle się urzeczywistnią.

– Idź więc, mój panie – rzekł Ludwik XVIII – i pamiętaj, że czekam tu na ciebie.

– Pójdę, Najjaśniejszy Panie, i za dziesięć minut wracam.

– A ja, sire – rzekł Blacas – idę po mojego wysłannika.

– Ale nie spiesz się tak pan, nie spiesz – rzekł król. – Doprawdy, chyba muszę zmienić panu herb. Dam panu orła z rozpostartymi skrzydłami, trzymającego w szponach ofiarę, która na próżno usiłuje uciec.

– Słucham, Najjaśniejszy panie – rzekł Blacas, gryząc z niecierpliwości palce.

– Chciałbym się pana poradzić w tym miejscu: *Molli fugies anhelitu*. Wiesz pan naturalnie, że tu chodzi o jelenia ściganego przez wilka. Przecież jest pan myśliwym i wielkim łowczym? Co pan myśli o tym *molli anhelitu*?

– To wyborne, Najjaśniejszy Panie. Ale pozwolę sobie zauważyć, że podobny do owego rączego jelenia jest mój wysłannik, bo zrobił dwieście mil drogi dylizanssem pocztowym, i to zaledwie w trzy dni!

– Tyle trudów i starań, mój kochany hrabio; a czy nie mamy

telegrafu, który w kilka godzin udziela wiadomości, i przy tym wcale się nie zmęczy?

– Najjaśniejszy Panie, czy tak nagradzasz człowieka, który przybywa z tak daleka i z takim poświęceniem, aby ci przekazać pożyteczną informację? Racz go, Najjaśniejszy Panie, przyjąć, choćby przez wzgląd na pana de Salvieux, który mi go polecił.

– Pan de Salvieux, szambelan mego brata?

– Ten sam.

– Rzeczywiście, przecież mieszka w Marsylii.

– Właśnie stamtąd pisze do mnie.

– Czy wspomina ci coś o tym spisku?

– Nie, poleca tylko moim względom pana de Villefort i prosi, abym mu wyjednał audiencję u Waszej Królewskiej Mości.

– Pan de Villefort! – zawołał król. – Ten wysłannik nazywa się Villefort?

– Tak, sire.

– Czemużeś mi od razu nie wymienił jego nazwiska? – spytał król, okazując po raz pierwszy niepokój.

– Sire, nie myślałem, że to nazwisko jest znajome Najjaśniejszemu Panu.

– O, tak, znam go dobrze, kochany Blacas, to człowiek poważny, kształcony, a nade wszystko ambitny; i, do licha, znasz pan przecież jego ojca!

– Jego ojca?

– Tak, to Noirtier.

– Noirtier żyronzysta? Noirtier senator?

– Ten sam.

– I Wasza Królewska Mość przyjął na swe usługi syna takiego człowieka?

– Kochany hrabio, mówiłem, że Villefort to karierowicz; aby dopiąć celu, poświęci własnego ojca.

– A więc mam go wprowadzić?

– Natychmiast, hrabio. Gdzież on jest?

– Czeka na mnie zapewne na dole, w moim powozie.

Hrabia wyszedł żywo jak młodzieniec, zapal, z jakim spełniał swoje obowiązki wobec monarchii, zdawał się ujmować mu z dwadzieścia lat.

Ludwik XVIII pozostał sam, a przenosząc wzrok na otwarty tom Horacego, wyszeptał:

– *Justum et tenacem propositi virum.*

Pan Blacas wrócił z tą samą szybkością, z jaką wypadł z gabinetu; ale w przedpokoju zmuszony był powołać się na autorytet królewski. Zakurzone ubranie Villeforta, ubranie, w którym nie było nic, co zgadzałoby się z wymogami etykiety zdenerwowało pana de Brézé, zdziwionego, że ten młody człowiek miał zamiar stanąć przed królem w takim stroju. Hrabia usunął wszystkie te trudności, rzekłszy tylko: „Rozkaz króla” i pomimo kilku jeszcze zastrzeżeń, jakie wysuwał mistrz ceremonii, Villefort został wprowadzony.

Król siedział na tym samym miejscu, gdzie go zostawił hrabia. Otworzył drzwi, Villefort stanął naprzeciw króla i ulegając pierwszemu odruchowi, zatrzymał się.

– Niech pan wejdzie, panie de Villefort – rzekł król.

Villefort skłonił się i postąpił kilka kroków, czekając, aż król odezwie się pierwszy.

– Panie de Villefort – ciągnął Ludwik XVIII – hrabia de Blacas mi donosi, że pan masz mi coś ważnego do powiedzenia.

– Najjaśniejszy Panie, hrabia ma słuszość, i mam nadzieję, że Wasza Królewska Mość sam to przyzna.

– Przede wszystkim, czy zło jest pańskim zdaniem tak wielkie, jak mi je przedstawiano?

– Najjaśniejszy Panie, sądzę, że jest bliskie, ale mam nadzieję, że dzięki mojemu pośpiechowi uda się mu zapobiec.

– Opowiedz mi pan wszystko dokładnie – rzekł król, zaczynając ulegać wzburzeniu, które tak zmieniło twarz pana de Blacas i czyniło drżącym głos Villeforta. – Mów, a przede wszystkim proszę cię, zaczynaj *ab ovo*; lubię, aby wszędzie panował porządek.

– Najjaśniejszy Panie, przedstawię wierne sprawozdanie z całej sprawy, ale proszę Waszej Królewskiej Mości o pobłażliwość, jeśli moje słowa wydadzą się czasem niejasne, co spowodowane będzie jedynie onieśmieleniem, w jakim się znajduję.

Villefort sprawdził jednym rzutem oka, że to zręczne pochlebstwo zapewniło mu przychylność znakomitego słuchacza i mówił dalej:

– Najjaśniejszy Panie, przybyłem do Paryża jak mogłem najprędzej, aby powiadomić Waszą Królewską Mość, że w

ramach moich czynności urzędowych odkryłem zamach, zamach prawdziwy – nie jeden z owych zwyczajnych spisków bez następstw, jakie codziennie knuje motłoch albo wyrzutki z armii – ale prawdziwa burza zagrażająca tronowi Waszej Królewskiej Mości! Najjaśniejszy Panie, uzurpator uzbroił trzy okręty; ma jakiś plan, być może zupełnie absurdalny, ale niemniej przez to straszliwy. W tej chwili opuścił już zapewne Elbę i zmierza, nie wiem, gdzie – ale będzie na pewno chciał wylądować albo w Neapolu, albo w Toskanii, albo nawet we Francji. Wasza Królewska Mość wie z pewnością, że pan Elby utrzymuje nadal stosunki z Włochami i Francją?

– O, wiem, mój panie, wiem – rzekł król, wyraźnie poruszony. – Niedawno doniesiono mi, że na ulicy Saint-Jacques odbywają się zebrania bonapartystów. Mów pan jednak dalej, skąd masz te wszystkie szczegóły?

– Najjaśniejszy Panie, zebrałem te informacje, przesłuchując pewnego mieszkańca Marsylii, którego kazałem śledzić już od dłuższego czasu i którego aresztowałem w dniu mojego wyjazdu; człowiek ten, marynarz i niespokojny duch, podejrzany dawno o bonapartyzm, był potajemnie na Elbie. Widział się z marszałkiem, odebrał od niego ustne zlecenie do jakiegoś bonapartysty w Paryżu, którego nazwiska nie mogłem od niego w żaden sposób wyciągnąć. Treść tej wiadomości zalecała przygotowywać umysły na pewny i rychły (Najjaśniejszy Pan zwróci uwagę, że są to słowa oskarżonego) powrót Napoleona.

– Gdzież jest ten człowiek? – zapytał Ludwik XVIII.

– W więzieniu, Najjaśniejszy Panie.

– Uważasz więc pan tę sprawę za poważną?

– Tak poważną, Sire, że choć dowiedziałem się o tym zdarzeniu podczas rodzinnej uroczystości, w dzień moich zaręczyn, porzuciłem wszystko, narzeczoną, przyjaciół, odłożyłem wszystko na później, aby złożyć Waszej Królewskiej Mości świadectwo moich obaw i dowód prawdziwego oddania.

– Prawda – odrzekł Ludwik XVIII. – Wszak podobno projektowano pańskie małżeństwo z panną de Saint-Méran?

– Córką najwierniejszego sługi Waszej Królewskiej Mości.

– Tak, tak, ale wróćmy do spisku.

– Najjaśniejszy Panie, obawiam się, że to nie spisek – to prawdziwe sprzysiężenie.

– Zamach w tym czasie – rzekł Ludwik XVIII z uśmiechem – łatwo zaplanować, ale trudniej doprowadzić do skutku, choćby dlatego tylko, że odzyskawszy niemalże wczoraj tron naszych przodków, czujnym okiem spoglądamy zarówno na przeszłość, jak na teraźniejszość i przyszłość. Od dziesięciu miesięcy moi ministrowie wzmacniają straż nad brzegami Morza Śródziemnego. Gdyby Bonaparte wylądował w Neapolu, cała Koalicja zerwałaby się na równe nogi, zanim by doszedł do Piombino; gdyby wylądował w Toskanii, wysiadłby na wrogą mu ziemię, gdyby zaś wylądował we Francji, miałby przecież tylko garstkę ludzi i łatwo byśmy go pokonali, skoro jest tak nienawidzony przez ludność. Przestań się więc pan trapić, ale pamiętaj, że możesz i tak liczyć na naszą wdzięczność.

– Ach! Otóż i minister policji – zawołał hrabia Blacas.

I rzeczywiście, w tejże chwili ukazał się na progu minister policji, blady i drżący; mrużył powieki, jakby poraziło go nagłe światło. Villefort postąpił ku drzwiom, ale zatrzymał go pan de Blacas, ściskając znacząco za rękę.

11. Potwór korsykański

Na widok tak wzburzonego ministra Ludwik XVIII odepchnął gwałtownie stół, za którym siedział.

– Cóż się z panem dzieje, baronie? – zawołał. – Wydajesz się straszliwie poruszony! Czyżby twój niepokój i pomieszanie miały jakiś związek z tym, co mi mówił pan de Blacas, a co właśnie potwierdził pan de Villefort?

Pan de Blacas podbiegł także do barona, ale lęk, jaki odczuwał, będąc dworakiem, nie pozwalał mu na radość z triumfu własnych racji; w takich okolicznościach wołałby bez wątpienia dać się upokorzyć prefektowi policji, aniżeli go zgłębić.

– Sire... – wyjąkał baron.

– No i cóż, mów pan – odezwał się Ludwik.

Minister policji rzucił się w rozpacz do stóp monarchy, który marszcząc brew, cofnął się o krok.

– Ach, Najjaśniejszy Panie! Okropne nieszczęście! Zasluguje tylko na politowanie!

– Mój panie – rzekł Ludwik XVIII – mów pan wreszcie!

– Otóż, Najjaśniejszy Panie, uzurpator 26 lutego opuścił Elbę, a 1 marca wylądował.

– Gdzie? – zagadnął żywo król.

– We Francji, Najjaśniejszy Panie, w małym porcie niedaleko Antibes, w zatoce Juan.

– 1 marca uzurpator ląduje we Francji, niedaleko Antibes, w zatoce Juan, o dwieście pięćdziesiąt mil od Paryża, a pan otrzymujesz tę wiadomość dopiero 3 marca! Ech, panie, to co mi pan tu mówisz to niemożliwe, albo ci dostarczono fałszywy raport, alboś pan oszalał.

– Niestety, Najjaśniejszy Panie, to wszystko prawda.

Ludwik XVIII zerwał się z trudnym do opisanego gniewem i przestraczem, jakby ten niespodziany cios ugodził go razem w serce – i w policzek.

– We Francji! Uzurpator we Francji! Więc nie pilnowano wcale tego człowieka? Albo też kto wie, może mu sprzyjano?

– Ach, Najjaśniejszy Panie! – zawołał hrabia de Balcas. – Pan minister nie jest kimś, kogo można by posądzać o zdradę. My wszyscy, Najjaśniejszy Panie, byliśmy ślepi, a on podzielił tylko to ogólne zaślepienie, i ot, cały powód.

– Ale... – rzekł Villefort, potem nagle wstrzymał się i dodał: – Ach, Najjaśniejszy Panie, przebacz mi zbytnią gorliwość, Niech mi Wasza Królewska Mość daruje.

– Mów pan, mów śmiało – rzekł Ludwik XVIII. – Ty jeden uprzedziłeś nas o nieszczęściu, pomóż więc teraz mu zaradzić.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł Villefort. – Uzurpatora nienawidzą na Południu, zdaje mi się zatem, że jeżeli odważy się zapuścić właśnie na Południe, łatwo będziemy mogli poruszyć przeciw niemu Prowansję i Langwedocję.

– Tak, oczywiście – wtrącił minister. – Ale on postępuje od Gap i Sisteron.

– Postępuje, postępuje! – obruszył się Ludwik XVIII. – A więc idzie prosto na Paryż?

Minister policji umilkł i to milczenie równało się potwierdzeniu.

– A Delfinat? – zapytał król Villeforta. – Sądzisz pan, że będzie można go podburzyć tak jak Prowansję?

– Niechętnie wyznam Waszej Królewskiej Mości okrutną prawdę, ale usposobienie w Delfinacie różni się całkiem od ducha panującego w Prowansji i Langwedocji. Górale są żarliwymi bonapartystami.

– A więc – mruknął ze złością Ludwik XVIII – dobre miał informacje. Ileż ma z sobą ludzi?

– Nie wiem, Najjaśniejszy Panie – odrzekł minister policji.

– Jak to nie wiesz! Zapomniałeś pan dowiedzieć się o ten szczegół! Ale prawda, to rzecz o niewielkim znaczeniu – dodał z ironicznym uśmiechem.

– Najjaśniejszy Panie, depesza obejmowała tylko tę krótką wiadomość i drogę, jaką obrał uzurpator.

– A w jaki sposób otrzymałeś tę depeszę? – zapytał król.

Minister spuścił głowę, żywy rumieniec wystąpił mu na twarz.

– Przez telegraf, Najjaśniejszy Panie.

Ludwik XVIII postąpił krok naprzód i skrzyżował ręce, tak jak to zwykł czynić Napoleon.

– A więc – rzekł, błędąc ze złości – siedem sprzysiężonych armii pokonało tego człowieka; cud boski zwrócił mi tron moich ojców po dwudziestu pięciu latach wygnania; przez te

dwadzieścia pięć lat studiowałem, badałem, zgłębiałem ludzi i sprawy Francji, ziemi, która była mi obiecana, aby w jednej chwili, kiedy już osiągnąłem cel moich pragnień, ta siła, którą już dzierżyłem w ręku, wybuchła i rozerwała mnie na strzępy!

– Najjaśniejszy Panie, to fatum – szepnął minister.

– A więc to prawda, co mówią o nas nasi wrogowie: nic nie nauczyć się, to i nic nie zapomnieć! Pocieszyłbym się jeszcze, gdybym został zdradzony, tak jak on. Ale być otoczonym przez ludzi, których sam wyniosłem na ich stanowiska, którzy powinni strzec mnie jak żrenicy w oku, bo mój los stanowi o ich losie, i zginąć marnie przez ich brak umiejętności, przez ich głupotę! O, tak, masz pan rację, to fatum.

Minister stał, pochylając się coraz niżej pod tym straszliwym oskarżeniem. Pan de Blacas ocierał czoło z potu. Villefort uśmiechał się w duchu, czując, jak wzrasta jego znaczenie.

– Upaść! – mówił dalej Ludwik XVIII, który błyskawicznie pojął, w jak głęboką przepaść staczała się monarchia – upaść! I dowiedzieć się o tym przez telegraf. Och! Wolałbym zginąć jak mój brat Ludwik XVI na szafocie, niż tak schodzić po schodach Tuileriów, wystawiony na pośmiewisko. Nie wiesz pan, co znaczy narazić się na śmieszność we Francji?

– Sire, sire, przez litość! – szeptał minister.

– Zbliź się pan – rzekł król, zwracając się do Villeforta stojącego nieruchomo z boku. – Zbliź się pan i wyjaśnij panu Dandré, że można było jednak dowiedzieć się o tym, o czym on nie wiedział.

– Najjaśniejszy Panie, niemożliwe było dociec, jakie miał zamiary ów człowiek, ukrywał je przed całym światem.

– Niemożliwe! Oto wielkie słowo, proszę pana! Niestety widzę, że wielkie słowa bywają jak wielcy ludzie, dobrze poznałem jedno i drugie. Naprawdę było to niemożliwe dla ministra, który ma w swoim ręku cały aparat administracyjny, biura, agentów, szpicli i szpiegów, i półtora miliona tajnego funduszu, dowiedzieć się, co się dzieje o sześćdziesiąt mil od brzegu Francji? A więc patrz pan: oto człowiek, który nie miał do dyspozycji żadnego z tych środków, oto prosty sędownik, który więcej wiedział niż pan z całą swoją policją, i który, gdyby tak jak pan miał pod swoją władzą telegraf, byłby ocalił moją koronę.

Wzrok ministra, w którym malowała się głęboka niechęć, padł na Villeforta, który pochylił głowę ze skromnością triumfatora

– Nie mówię tego do pana, kochany Blacas – mówił dalej Ludwik XVIII – bo chociaż sam nic nie odkryłeś, upierałeś się przy podejrzeniach, okazując w tym wiele zdrowego rozsądku; ktoś inny może uważałby rewelacje pana de Villefort za nic nieznaczące lub dyktowane pragnieniem zysku.

Była to przymówka do tego, co minister policji jeszcze przed godziną mówił z taką pewnością.

Villefort zrozumiał grę króla. Ktoś inny dałby się może uwieść i odurzyć nektarem pochwał, on jednak, domyślając się, że pan Dandr  traci stanowisko, l kał si  zyska  w ministrze policji  miertelnego nieprzyjaciela. Przecie  ten sam

minister, który będąc u szczytu potęgi, nie umiał przeniknąć tajemnicy Napoleona, mógłby jeszcze w agonii odkryć tajemnicę Villeforta: wystarczyłoby wziąć na przesłuchanie Dantès'a. Zamiast więc pognać do reszty ministra, przyszedł mu na pomoc.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł Villefort. – Szybkość, z jaką rozgrywają się te wypadki, dowodzi, że tylko sam Bóg mógł powstrzymać te plany. A co Wasza Królewska Mość uważa za moją przenikliwość, jest po prostu czystym przypadkiem. A ja tylko, jako wierny sługa tronu, skorzystałem z tego przypadku. Niech Wasza Królewska Mość nie przypisuje mi więcej, niż zasłużyłem.

Minister policji podziękował wymownym spojrzeniem młodemu człowiekowi, a Villefort zrozumiał, że jego zamiary powiodły się: nie tracił nic z wdzięczności króla i zyskiwał jednocześnie przyjaciela, na którego w razie potrzeby mógłby liczyć.

– Dobrze już – rzekł król. – A teraz, moi panowie – zwrócił się do pana de Blacas i ministra – możecie już odejść, nie potrzebuję was; resztą zajmie się minister wojny.

– Szczęściem – ozwał się pan de Blacas – możemy liczyć na wojsko. Wasza Królewska Mość wie, że wszystkie raporty odmalowują jego oddanie dla Najjaśniejszego Pana.

– Nie wspominaj pan o raportach, wiem już, jaką można do nich przywiązywać wagę. Ale, mówiąc o raportach, panie baronie, co się pan dowiedział o aferze z ulicy Saint-Jacques?

– O aferze z ulicy Saint-Jacques! – zawołał Villefort, nie mogąc się powstrzymać.

Lecz nagle urwał i dodał:

– Proszę mi darować, moje oddanie dla Waszej Królewskiej Mości sprawia, że zapominam ciągle nie tyle o czci dla Najjaśniejszego Pana, bo ten szacunek wyryty jest w moim sercu, ale o prawidłach etykiety.

– Panie de Villefort, niech się pan nie kłopotze – rzekł Ludwik XVIII. – Dzisiaj zyskałeś prawo do stawiania pytań.

– Sire – odezwał się minister policji. – Właśnie miałem udzielić Najjaśniejszemu Panu nowych informacji otrzymanych na ten temat, gdy okropna historia z zatoką Juan odwróciła uwagę najjaśniejszego Pana. Ale teraz te wiadomości nie zaciekałyby króla.

– Przeciwnie, przeciwnie, mój panie – rzekł Ludwik XVIII. – Wydaje mi się, że ta afery pozostaje w ścisłym związku z katastrofą, o której mówimy, a śmierć generała Quesnel odkryje nam być może ślad wielkiego spisku wewnątrz kraju.

Villefort zadrżał na wzmiankę o generale Quesnel.

– W rzeczy samej, każe nam sądzić – odpowiedział minister policji – że śmierć ta nie jest skutkiem samobójstwa, jak z początku mniemano, ale morderstwa. Wygląda, że generał Quesnel zniknął zaraz po wyjściu z klubu bonapartystów. Rano przyszedł do niego jakiś nieznajomy i wyznaczył mu spotkanie przy ulicy Saint-Jacques. Niestety lokaj generała, który go czekał w chwili, kiedy wprowadzono tego nieznajomego do

gotowalni, usłyszał dokładnie, że spotkanie miało się odbyć na ulicy Saint-Jacques, ale nie pamięta numeru domu.

W miarę jak minister policji objaśniał ów wypadek, Villefort, który zdawał się wpatrzony w każdy ruch jego warg, czerwieniał się i bladł na przemian.

A król zwrócił się do niego:

– Panie de Villefort, wszak jesteś tego samego zdania co i ja, że generał, którego uważano za stronnika uzurpatora, a który był w rzeczywistości oddany mi całkowicie, padł ofiarą jakiegoś bonapartysty?

– Bardzo możliwe – odpowiedział Villefort – ale czy nic więcej nie wiadomo?

– Policja jest na tropie tego nieznajomego, który wyznaczył spotkanie.

– Na tropie nieznajomego? – powtórzył Villefort machinalnie.

– Tak jest, służący podał jego rysopis: ma to być mężczyzna lat od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu dwóch, brunet o czarnych oczach, z gęstymi brwiami i wąsaty. Ubrany był w granatowy surdut, w klapie miał wstążeczkę oficerskiego krzyża Legii Honorowej. Wczoraj właśnie śledzono takiego osobnika, podobnego jak kropla wody do tego rysopisu, ale straciliśmy jego ślad na rogu ulicy la Jussienne i Coq-Héron.

Villefort wsparł się o poręcz krzesła; im dłużej mówił minister policji, tym wyraźniej podprokurator czuł, jak uginają się pod nim nogi; usłyszawszy jednak, że ów nieznajomy zdołał umknąć śledzącemu go policjantowi, odetchnął z ulgą.

– Odszuka pan tego człowieka – rzekł król – bo jeśli jest tak, jak myślę, że generał Quesnel padł ofiarą morderstwa, chcę, aby morderca, kimkolwiek jest – bonapartystą czy też nie, był ukarany bez litości.

Villefort wezwał na pomoc całą swą zimną krew, aby nie zdradzić trwogi, jaką go napęlił ten rozkaz królewski.

– Dziwna rzecz – mówił dalej Ludwik XVIII w odruchu gniewu. – Policja myśli, że powiedziała wszystko, mówiąc: „zostało popełnione morderstwo”, i że zrobiła wszystko, gdy doda: „trafiliśmy na ślad winowajców”.

– Mam nadzieję, że przynajmniej pod tym względem Najjaśniejszy Pan będzie zadowolony.

– Zobaczymy. Nie zatrzymuję cię, baronie. Panie de Villefort, zapewne jesteś znużony po odbyciu tak długiej podróży, idź pan odpocząć. Zatrzymałeś się zapewne u ojca?

Villefortowi pociemniało w oczach.

– Nie, Najjaśniejszy Panie – rzekł – stanąłem w Hotelu Madryckim; przy ulicy Tournon.

– Ale zapewne widziałeś się z nim?

– Najjaśniejszy Panie, udałem się natychmiast do hrabiego de Blacas.

– Ale się z nim zobaczysz?

– Nie sędzę, Najjaśniejszy Panie.

– Prawda! – rzekł Ludwik XVIII z uśmiechem, który zdradzał, że wszystkie te pytania nie były zadawane bez ubocznego celu. – Zapomniałem, że jesteś pan poróżniony z

panem Noirtier, a to nowe poświęcenie dla sprawy monarchii zasługuje na hojne wynagrodzenie.

– Dobroć, jaką okazuje mi Wasza Królewska Mość, jest nagrodą przechodzącą moje najśmielsze nadzieje, tak więc nie mogę już o nic prosić Najjaśniejszego Pana.

– Mniejsza o to, już my o panu nie zapomnimy, bądź pewien – tu król odpiął krzyż Legii Honorowej, który zwykł nosić na błękitnym fraku, obok Orderu Świętego Ludwika i wręczając go Villefortowi, rzekł: – przyjm pan tymczasem ten krzyż.

– Sire, Najjaśniejszy Pan się zapewne pomylił – rzekł Villefort. – To krzyż oficerski.

– No, bierz pan taki, jaki jest – rzekł Ludwik XVIII. – Nie mam czasu wołać, aby mi przyniesiono inny. Panie de Blacas, zechcesz dopilnować, aby przygotowano dyplom dla pana de Villeforta.

Oczy Villeforta napełniły się łzami dumy i radości; wziął krzyż i ucałował go.

– Jakimi teraz rozkazami raczy mnie zaszczyścić Wasza Królewska Mość?

– Odpocznij, bo potrzebujesz tego, i pamiętaj, że tu w Paryżu nie byłbyś w stanie mi dopomóc, w Marsylii zaś możesz mi oddać usługi najwyższej wagi.

– Najjaśniejszy Panie – skłonił się Villefort – za godzinę opuszczam Paryż.

– Bywaj zdrów, panie Villefort – rzekł król. – Gdybym zapomniał o tobie – bo pamięć królów jest krótka – nie wahaj

się o sobie przypomnieć... Panie baronie, rozkaż pan, aby tu przyszedł minister wojny. A pan, Blacas, niech tu zostanie.

– Ach, panie prokuratorze – rzekł minister policji do Villeforta, kiedy wychodzili z Tuileriów. – Dobrze pan zaczyna i drzwi do pańskiej kariery już otwarte.

– Ale czy długo będzie trwała? – szepnął Villefort, żegnając ukłonem ministra, który karierę już zakończył; i poszukał wzrokiem dorożki, aby się dostać do hotelu.

Dorożka akurat przejeżdżała bulwarami; gdy Villefort dał znak, fiakier podjechał bliżej. Podprokurator podał adres i siadł w głębi, oddając się ambitnym marzeniom.

Po dziesięciu minutach był już u siebie. Kazał, aby konie były gotowe za dwie godziny, poprosił także o śniadanie. Miał właśnie usiąść do stołu, gdy przy drzwiach zabrzmiał dźwięk dzwonka, szarpniętego pewną i śmiałą ręką. Pokojowiec otworzył i Villefort usłyszał nagle swoje nazwisko.

– I któż może wiedzieć już, że jestem tutaj? – zdziwił się.

W tej chwili wszedł lokaj.

– I co tam? – rzekł Villefort. – Kto dzwonił? Kto do mnie przyszedł?

– Jakiś nieznajomy, nie chce wymienić swego nazwiska.

– Jak to? Nieznajomy, i nie chce podać nazwiska? Czego ode mnie chce?

– Chce pomówić z panem.

– I wymówił moje nazwisko?

– Tak.

– Jak wygląda?

– Ma, proszę pana, z pięćdziesiątkę.

– Wysoki? Niski?

– Mniej więcej pańskiego wzrostu. Brunet o ciemnej cerze, czarnych włosach, oczach i brwiach.

– Jak ubrany? – spytał żywo Villefort. – Jak ubrany?

– W granatową switkę, od góry do dołu zapiętą, ozdobioną krzyżem Legii Honorowej.

– To on – szepnął Villefort, błędąc.

– Cóż u diabła – rzekł ów osobnik, którego rysopis już dwa razy podaliśmy, ukazując się we drzwiach. – To dopiero maniery! Syn każe wystawać ojcu w przedpokoju! To chyba jakiś zwyczaj marsylski!

– Ojcie! – krzyknął Villefort. – Więc się nie pomyliłem... Tak myślałem, że to ty.

– Jeżeli się domyśliłeś, że to ja – rzekł gość, kładąc kapelusz na krześle i łaskę w kącik – to pozwól sobie powiedzieć, kochany Gerardzie, że to nieładnie kazać mi tak czekać.

– Zostaw nas, Germain – rzekł Villefort.

Służący odszedł, okazując wyraźne zdziwienie.

12. Ojciec i syn

Pan Noirtier, on to bowiem wszedł właśnie do Villeforta, odprowadził wzrokiem służącego aż do drzwi; potem zapewne z obawy, żeby nie podsłuchiwał z przedpokoju, wyjrzał za nim: przezorność ta nie była zbyteczna, a pośpiech, z jakim imię Germain się wycofał, dowodził, że często dopuszczał się grzechu, który zgubił naszych pierwszych rodziców. Następnie pan Noirtier sam zamknął drzwi w przedpokoju, a zamknawszy zasuwkę w sypialni, podał w końcu rękę Villefortowi, który wciąż w osłupieniu przypatrywał się tym nadzwyczajnym poczynaniom.

– Wiesz, kochany Gerardzie – rzekł pan Noirtier, spoglądając na syna z zagadkowym uśmiechem – nie bardzo wyglądasz na zachwyconego moim przybyciem.

– Skądże – odparł Villefort – rad jestem niezmiernie. Ale nie spodziewałem się twojej wizyty i bardzo mnie to zmieszało.

– Ależ drogie dziecko – rzekł Noirtier, rozsiadając się. – Mógłbym przecież powiedzieć ci to samo. Bo jakżeż? Donosisz mi, że twoje zaręczyny odbędą się 28 lutego w Marsylii, a 4 marca pojawiaasz się w Paryżu?

– Nie wyrzucaj mi mojego przyjazdu, ojcze, bo jeśli tu jestem, to dla ciebie i być może zdołam cię ocalić.

– Ach, doprawdy? – rzekł pan Noirtier, rozpierając się wygodnie w fotelu. – Dla mnie? Wy tłumacz się jaśniej, mój ty

panie prawniku, to może być ciekawe.

– Ojcie, czy słyszałeś o pewnym klubie bonapartystowskim, który ma siedzibę przy ulicy Saint-Jacques?

– Nr 53? A tak, jestem tam wiceprezesem.

– Ojcie, twoja zimna krew przejmuję mnie dreszczem.

– Cóż chcesz, mój drogi. Kiedy ktoś był wygnany przez górali, uciekał z Paryża ukryty w furze siana, tropiły go na wrzosowiskach pod Bordeaux psy gończe Robespierre'a, może się zahartować. Mów zatem, co się stało w tym klubie?

– To się stało, że ściągnięto tam generała Quesnel, że generał wyszedł z domu o dziesiątej wieczorem, a nazajutrz rano znaleziono go w Sekwanie.

– Któż ci opowiadał tę piękną historię?

– Sam król.

– Dobrze, w zamian za to i ja ci także powiem nowinę – rzekł pan Noirtier.

– Ojcie, ja chyba już wiem, co mi chcesz powiedzieć.

– Aha, zapewne wiesz już o wyładowaniu Jego Cesarskiej Mości.

– Ciszej, ojcie, błagam przede wszystkim ze względu na ciebie, a potem i na mnie. Tak, wiem o tym, a nawet wiedziałem o tym przed tobą. Trzy dni pędziłem z Marsylii do Paryża, wściekły, że nie mogę posłać myślą przez te dwieście mil tej wieści, od której płonęła mi głowa.

– Trzy dni! Chybaś oszalał? Przed trzema dniami cesarz jeszcze nie wyładował.

– Cóż z tego, wiedziałem o tych zamiarach.

– Jakim sposobem?

– Dzięki listowi z Elby, pisanemu do ciebie, ojczu. Znalazłem go w kieszeni wysłannika. Gdyby ten list wpadł w inne ręce, już byś był rozstrzelany, mój ojczu.

Noirtier roześmiał się.

– No, no, popatrzcie – rzekł. – Restauracja nauczyła się od cesarstwa szybkiego załatwiania interesów... Rozstrzelany! Ależ, kochasiu, czemu ci tak pilno? I gdzież jest ten list? Znam cię tak dobrze, że jestem pewien, żeś go nie rzucił nigdzie w kąt.

– Spaliłem go, żeby ani śladu po nim nie zostało. Ten list był dla ciebie wyrokiem śmierci.

– I zgubą dla twojej kariery – dodał zimno pan Noirtier. – Tak, dobrze to rozumiem, ale nie mam się czego obawiać, bo ty mnie osłaniasz.

– Więcej zrobiłem dla ciebie: ocaliłem ci życie.

– O, do diabła, sprawa staje się coraz bardziej dramatyczna. Mów jaśniej!

– Wróć więc do sprawy klubu przy ulicy Saint-Jacques.

– O, zdaje się, że ten klub naprawdę leży na wątrobie panom z policji. Ale dlaczego nie szukają lepiej? Na pewno by go już znaleźli.

– Jeszcze go nie odkryli, ale wpadli na ślad.

– To słowa sakramentalne; znam je dobrze. Kiedy policja nic nie wie, to powiada, że trafiła na ślad, a rząd spokojnie czeka, aż mu ci głupcy powiedzą, z uszami po sobie, że go stracili.

– Ale znaleziono trupa. Generał został zabity, a na całym świecie nazywa się to morderstwem.

– Morderstwo, mówisz? Ale przecież nic nie dowodzi, że generał został zamordowany; co dzień znajdujemy tylu ludzi w Sekwanie, których tam albo rozpacz rzuciła, albo utonęli, nie umiejąc pływać...

– Ojcie, wiesz dobrze, że generał nie utopił się z rozpacz i że w styczniu nikt nie kąpie się przecież w Sekwanie. Nie, nie, nie ludź się, ta śmierć jest słusznie kwalifikowana jako morderstwo.

– I ktoś ją tak zakwalifikował?

– Sam król.

– Król! Sądziłem, że jest filozofem na tyle, aby rozumieć, że w polityce nie ma morderstw. W polityce, wiesz to równie dobrze jak ja, nie ma ludzi, tylko idee, nie ma uczuć, a tylko interesy. W polityce nie mówi się, że zabito człowieka, ale że usunięto przeszkodę. Mam ci powiedzieć, jak było? Posłuchaj: Myśleliśmy, że można liczyć na generała Quesnela, bo polecono go nam z Elby. Jeden z naszych idzie do niego i zaprasza na spotkanie do klubu, gdzie spotka przyjaciół. Przychodzi, odkrywamy mu cały plan, ucieczkę z Elby, zamierzone lądowanie. A potem, kiedy wszystkiego wysłuchał, wszystko zrozumiał i kiedy nic już nie mieliśmy przed nim do ukrycia, on oświadcza, że jest rojalistą. Wszyscyśmy spojrzeli po sobie; żądamy, aby przysiągł, przysięga, ale tak niechętnie, że doprawdy była to obraza boska, a nie przysięga; i mimo to puszczamy generała bez przeszkód, wyszedł wolny. A że nie

wrócił do domu, cóż chcesz? Wyszedł od nas i pewnie pomylił drogę, nic więcej. Gdzie tu morderstwo! Doprawdy, zaskakujesz mnie: ty, zastępca prokuratora królewskiego, opierasz oskarżenie na tak marnych dowodach! A czy ja kiedykolwiek odważyłem się powiedzieć ci, kiedy pełnisz obowiązki wiernego rojalisty i ścinasz głowę któremuś z naszych: „mój synu, popełniłeś morderstwo”? O nie! Powiedziałbym: „bardzo dobrze, wygrałeś pan bitwę, jutro rewanż”.

– Ale strzeż się, ojczy, bo kiedy my się weźmiemy za rewanż, będzie on straszliwy.

– Nie rozumiem cię.

– Ojczy, liczysz na powrót uzurpatora?

– Owszem.

– Ale się mylisz; on nie przejdzie we Francji dziesięciu mil, jak go dościgną, osaczą i pojną jak dzikie zwierzę.

– Przyjacielu, cesarz jest w tej chwili na drodze do Grenoble. 10 albo 12 będzie w Lyonie, 20 lub 25 w Paryżu.

– Cały naród powstanie...

– Aby mu iść z pomocą.

– On ma przy sobie garstkę, a tu całą armię wysła przeciw niemu.

– Która stanowić będzie orszak towarzyszący mu do stolicy. W istocie, mój Gerardzie, wielki z ciebie dzieciak. Myślisz, że masz doskonałe informacje, kiedy trzy dni po wylądowaniu telegraf ci donosi: „uzurpator wylądował w Cannes z kilku ludźmi i wysłano za nim pogoń”. Ale gdzie jest? Co robi? O tym

nie wiecie zgoła nic. To tylko wiecie, że go ścigają, i to prawda, ścigać go tak będą bez jednego wystrzału aż do samego Paryża.

– Grenoble i Lyon to wierne miasta, stawiają mu nieprzebyty opór.

– Grenoble z uniesieniem otworzy mu swoje bramy, cały Lyon wyjdzie na jego spotkanie. Wierz mi, że i my mamy dobre wiadomości i nasza policja warta jest waszej. Chcesz na to dowodu? Ukrywasz przede mną swój przyjazd, a ja w pół godziny po tym, jak przejechałeś rogatki, już o tym wiedziałem. Adres powiedziałeś tylko pocztylionowi, a ja, jak widzisz, znam go: najlepszy dowód, że przychodzę do ciebie w chwili, gdy siadasz do stołu; zadzwoni i każ dać drugie nakrycie, zjemy obiad razem.

– Przyznaję – odpowiedział Villefort, spoglądając ze zdziwieniem na ojca – że wydajesz mi się doskonale poinformowany.

– Mój Boże! Rzecz jest prosta: wy, którzy jesteście teraz u władzy, macie tylko te środki, które daje pieniądź; my zaś, którzy czekamy na Napoleona, mamy te środki, które biorą się z poświęcenia i oddania.

– Oddania? – rzekł ze śmiechem Villefort.

– Tak, oddania; to szlachetna nazwa ambicji, która oddycha nadzieją.

I pan Noirtier sięgnął po dzwonek, aby wezwać służącego, którego Villefort nie miał jakoś chęci przywołać. Gerard chwycił go za rękę.

– Poczekaj chwilę – rzekł. – Jeszcze słówko...

– Tak?

– Choć policja królewska jest tak fatalna, zna jednak jeden straszliwy fakt.

– Jaki?

– Rysopis człowieka, który rankiem, tego dnia, gdy zniknął generał Quesnel, był u niego w domu.

– A więc zna jego rysopis ta zacna policja? I jakże on brzmi?

– Cera śniada, włosy, brwi, faworyty czarne, surdut granatowy, zapięty pod szyję, rozetka krzyża Legii Honorowej w klapie, kapelusz z szerokim rondem i laska trzciniowa.

– Ho, ho, wiedzą to wszystko? – rzekł Noirtier. – I czemuż w takim razie nie schwytali go natychmiast?

– Ponieważ wczoraj lub przedwczoraj stracili jego ślad na ulicy Coq-Héron.

– A nie mówiłem ci, że wasza policja to banda durniów?

– Tak, ale dziś lub jutro mogą go znaleźć.

– Tak – rzekł Noirtier, rozglądając się beztrosko wokół. – Tak, jeżeli nikt tego człowieka nie ostrzegł, ale on wie o wszystkim – dodał z uśmiechem – i zmieni natychmiast twarz i ubiór.

To mówiąc, podniósł się, zdjął surdut i halsztuk, poszedł do stołu, gdzie leżały przybory toaletowe syna, wziął brzytwę, namydlił twarz i wprawna ręką zgolił owe kompromitujące faworyty, tak cenny dowód dla policji.

Villefort patrzył na to z przestachem, który graniczył z podziwem.

Zgoliwszy faworyty, Noirtier zmienił fryzurę i zawiązał sobie zamiast czarnego halsztuka kolorowy, który znalazł w walizce; zamiast granatowego surduta pod szyję zapinanego, włożył luźny brązowy surdut Villeforta; przymierzył przed lustrem cylinder syna i kontent ze swego wyglądu postawił w kącie, tuż przy kominku trzciniową laskę, chwytając za to lekką bambusową laseczkę syna, którą machnął kilkakrotnie w powietrzu, przecinając je ze świstem.

– No i co? – zwrócił się do syna oszołomionego widokiem tej całkowitej przemiany. I co, myślisz, że twoja policja pozna mnie teraz?

– Nie, ojcie – bąknął Villefort. – Mam przynajmniej nadzieję, że nie.

– A teraz, kochany Gerardzie, zdaję się na twoją ostrożność – zniszcz wszystkie te szmaty, które zostawiam pod twoją opieką.

– O! Bądź spokojny, ojcie – rzekł Villefort.

– Tak, tak, teraz przyznaję, że masz słuszość i że może rzeczywiście ocaliłeś mi życie. Ręczę ci jednak, że ci się za to wkrótce odwdzięczę.

Villefort potrząsnął głową.

– Wątpisz?

– Mam tylko nadzieję, że się łudzisz.

– Będziesz jeszcze widział króla?

– Być może.

– Chciałbyś ujść w jego oczach za proroka?

– Źle przyjmują na dworze proroków nieszczęść, ojcie.

– To prawda, ale prędzej czy później taki prorok wychodzi na swoje, a jeśli założymy, że będzie druga restauracja, możesz ująć wówczas za wielkiego człowieka.

– Ale co w końcu miałbym powiedzieć królowi?

– Powiedz mu tak: „Waszą Królewską Mość oszukują co do stosunków we Francji, opinii miast i ducha panującego w wojsku. Ten, którego w Paryżu nazywacie potworem korsykańskim, w Nevers nazywa się jeszcze uzurpatorem, ale już w Lyonie nosi imię Bonapartego, a w Grenoble – cesarza. Wasza Królewska Mość sądzi, że on jest otoczony, ścigany, że ucieka, ale nie! Jego marsz jest szybki jak lot orła, tego, który figuruje na jego godle. Jego żołnierze, którzy, jak sądzicie, umierają z głodu, są znużeni i gotowi do dezercji, rosną w liczbę jak tocząca się kula śniegu. Wyjeżdżaj, Najjaśniejszy Panie, oddaj Francję prawdziwemu jej panu, temu, który ją zdobył, a nie kupił, wyjeżdżaj nie dlatego, abyś miał być wystawiony na niebezpieczeństwo; przeciwnik twój jest na tyle silny, że może cię ochronić swoją łaską, ale ty – wnuk Świętego Ludwika – nie powinienesz w tak upokarzający sposób zawdzięczać życia zwycięzcy spod Arcole, Marengo i Austerlitz”. Powiedz mu to, Gerardzie, albo... nie, nic mu nie mów. Nikomu nie zdradzaj, żeś wyjeżdżał, nie chwal się z tego, po coś przybył do Paryża, wsiadaj z powrotem do dyliżansu. W tę stronę gnałeś co koń wyskoczy, teraz wracaj co tchu, wjedź do Marsylii nocą, wejdź do siebie tylnymi drzwiami i zachowuj się cichutko, pokornie i dyskretnie, a nade wszystko neutralnie; bo tym razem, przysięgam, będziemy działać energicznie i znamy

doskonale naszych wrogów. Jedź, synu, jedź, kochany Gerardzie, i jeśli zastosujesz się do tego, czy przez posłuszeństwo dla rozkazów ojca, czy przez wzgląd na przyjacielską radę, nie wyrzucimy cię ze stanowiska. Dzięki temu – dodał Noirtier, uśmiechając się – będziesz mógł ocalić mnie po raz drugi, jeżeli kiedyś szala polityczna wzniesie cię w górę, a mnie pograży w dół. Bądź zdrow, kochany, jeślibyś znowu przyjechał do Paryża, zatrzymaj się u mnie.

I Noirtier wyszedł, zachowując spokój, który go nie opuszczał ani na chwilę podczas tej tak trudnej rozmowy.

Villefort, blady i poruszony, podbiegł do okna, odsunął firankę i ujrzał, jak ojciec, spokojny i niewzruszony, przechodził koło kilku mężczyzn o podejrzanym wyglądzie, zaczajonych tu i ówdzie na ulicy, których postawiono tam zapewne po to, by zatrzymali człowieka z czarnymi faworytami, w granatowym surducie i w kapeluszu z szerokim rondem.

Villefort stał tak, niemal nie oddychając, póki ojciec nie zniknął mu z oczu, skręcając w ulicę Bussy. Potem rzucił się ku pozostawionej odzieży, ukrył czarny halsztuk i granatowy surdut na dnie walizki, założył podróżną czapkę, zawołał na służącego, wzrokiem powstrzymał wszystkie pytania, jakie tamten miał ochotę uczynić, zapłacił rachunek hotelowy, wsiadł do zaprzężonej już karety, w Lyonie dowiedział się, że Bonaparte wkroczył do Grenoble i wśród powszechnego poruszenia, które towarzyszyło mu przez całą drogę, przybył do Marsylii miotany niepokojem, który zakrada się do serca człowieka z ambicjami

przy pierwszym uśmiechu kariery.

13. Sto dni

Pan Noirtier był doskonałym prorokiem, rzeczy postępowały tak szybko, jak przepowiedział. Któż nie zna powrotu z Elby, powrotu nadzwyczajnego, cudownego, bezprzykładnego w dziejach, a niemożliwego zapewne do powtórzenia w przyszłości! Ludwik XVIII stawiał nadzwyczaj słaby opór wobec tak ciężkiego ciosu; nieufność wobec ludzi odjęła mu wszelką wiarę w pomyślny przebieg wypadków. Królestwo, albo raczej monarchia, zaledwie odbudowana, zadrżała na jeszcze słabych swych podstawach i jedno skinienie Cesarza zważyło ten gmach bezkształtny, sklecony ze starych przesądów i nowych idei. Wdzięczność królewska nie tylko nie mogła być użyteczna dla Villeforta, ale nawet w tej chwili niebezpieczna; ponadto otrzymał od króla jedynie krzyż Legii Honorowej, którego wiedziony rozsądkiem nie przypinał, chociaż pan de Blacas stosownie do królewskiego polecenia przysłał mu natychmiast dyplom. Napoleon niewątpliwie złożyłby z urzędu Villeforta, gdyby nie protekcja pana Noirtier, wszechmocnego w czasie studniowego panowania, już to dla przebytych niebezpieczeństw, już to dla wyświadczonych usług. Tak więc, zgodnie z obietnicą, żyrondyście z 1793 roku, a senator z 1806 wspierał tego, który mu poprzednio ocalił życie, w czasie owego na chwilę wskrzeszonego cesarstwa, którego drugi upadek łatwo można było przewidzieć, Villefort zaś użył całej swej władzy na zatarcie

śladów tajemnicy, którą mógłby zdradzić Dantès.

Jedynie prokurator królewski został złożony z urzędu jako podejrzany o chłodne podejście do sprawy napoleońskiej.

Tymczasem zaledwie władza cesarska ugruntowała się na nowo, to jest zaledwie cesarz wszedł do pałacu Tuileries, tylko co opuszczonego przez Ludwika, zaledwie posypały się na wszystkie strony liczne i rozmaite rozkazy z owego małego gabinetu, gdzie z przyczyny Villeforta wprowadziliśmy czytelnika, i w którym cesarz znalazł na orzechowym stoliku otwartą i pełną do połowy tabakierkę Ludwika XVIII, gdy w Marsylii, pomimo postawy tamtejszych sędowników, powstał znów ferment wojny domowej, wciąż żarzącej się na Południu. Niewiele brakowało, aby represje rozwinęły się na szeroka skalę, choć skończyło się ostatecznie na urządzaniu kocię muzyki pod zabarykadowanymi domami rojalistów i publicznym upokarzaniu tych, co wazyli się wymknąć na ulicę. Naturalną kolejną rzeczą, armator, o którym wspomnieliśmy jako o stronniku „partii ludowej”, teraz wystąpił na scenę. Stał się obecnie osobą, nie powiemy wszechmocną, bo pan Morrel był człowiekiem ostrożnym i niezbyt śmiałym jak każdy, co długo i pracowicie dochodzi do majątku na drodze handlowej, ale tak znaczącą (choć zeloci bonapartyzmu posądzali go o umiarkowanie), że mógł podnieść wobec władz sprawę, jak łatwo możemy odgadnąć, Edmunda Dantèsa.

Villefort, pomimo upadku swojego zwierzchnika, utrzymał się na powierzchni, ślub zaś odłożono do szczęśliwszych

czasów. Gdyby cesarz utrzymał się na tronie, potrzebowałby korzystniejszej partii, a ojciec z pewnością by się dla niego o taką postarał. Gdyby zaś nastąpiła druga restauracja i Ludwik XVIII wrócił do Francji, wpływy państwa de Saint-Méran powiększyłyby się jeszcze i planowany mariaż przedstawiałby sobą nierównie więcej korzyści. Podprokurator królewski był zatem tymczasowo najwyższym rangą sędzią w Marsylii, gdy pewnego dnia otworzyły się drzwi i zaanonsowano wizytę pana Morrela.

Kto inny pospieszyłby na spotkanie bogatego kupca i tym sposobem zdradził swe słabe położenie. Villefort był jednak człowiekiem nadzwyczaj opanowanym, który umiał kierować się doskonale jeśli nie doświadczeniem, to instynktem. Nakazał, aby pan Morrel zaczekał w przedpokoju, tak samo, jak by zrobił za monarchii, choć nikogo w tej chwili nie przyjmował; kierował się jednak zasadą, że według zwyczaju należy antyszambrować u królewskiego podprokuratora. Po kwadransie, który poświęcił na przeglądanie kilku gazet o różnej wymowie politycznej, kazał wprowadzić armatora.

Pan Morrel spodziewał się, że zastanie Villeforta w przygnębieniu, ujrzał go jednak takiego, jak przed sześciu tygodniami: spokojnego, stanowczego i pełnego tej chłodnej grzeczności, która stanowi zaporę najtrudniejszą do pokonania spośród wszystkich, które dzielą ludzi wykształconych od plebsu.

Wszedł do gabinetu Villeforta w przekonaniu, że dygnitarz zadrży na jego widok, gdy tymczasem przeciwnie, sam armator

drżał ze zmieszania przed tą osobistością o badawczym spojrzeniu, która oczekiwała go, wsparłszy podbródek na dłoni, a łokieć na biurku.

Zatrzymał się w drzwiach. Villefort zmierzył go wzrokiem, jakby nie mógł sobie od razu przypomnieć. Na koniec, przypatrując się dokładnie armatorowi, który miętosił w rękę kapelusz, Villefort odezwał się:

– Zdaje mi się, że... czy pan Morrel?

– Tak, proszę pana – odpowiedział kupiec.

– Proszę się zbliżyć – rzekł urzędnik, zapraszając protekcyjnym gestem armatora – i powiedzieć, jakiej okoliczności winien jestem ten zaszczyt.

– Pan się nie domyśla? – zapytał Morrel.

– Nie, wcale, to jednak nie przeszkadza, abym nie chciał panu udzielić pomocy, o ile będzie to w mojej mocy.

– Rzecz ta zależy wyłącznie od pana – rzekł pan Morrel.

– Proszę mówić.

– Panie prokuratorze – rozpoczął kupiec, odzyskując coraz więcej pewności siebie, przekonany, że broni słusznej sprawy, a jego pozycja nie może teraz budzić żadnych zastrzeżeń. – Zapewne przypomina pan sobie, że kilka dni przed wylądowaniem Jego Cesarskiej Mości przychodziłem do pana, prosząc o względy dla pewnego nieszczęśliwego młodzieńca, marynarza, zastępcy kapitana na moim statku. Był on, o ile pan sobie przypomina, oskarżony o kontakty z Elbą, co w owym czasie było zbrodnią, a dziś jest źródłem szczególnych łask.

Służyłeś pan wtenczas Ludwikowi XVIII i nie oszczędziłeś go pan, był to pański obowiązek; teraz służysz pan Napoleonowi i winienes otoczyć opieką tego młodzieńca, to także twój obowiązek. Przychodzę więc dowiedzieć się, co się z tym nieborakiem stało.

Villefort użył wszystkich swoich sił, aby zapanować nad sobą.

– Jak się ten człowiek nazywa? – zapytał. – Proszę wymienić nazwisko.

– Edmund Dantès.

Villefort wolałby narazić się na strzał przeciwnika w pojedynku na dwadzieścia pięć kroków niż usłyszeć, jak grom z jasnego nieba, to nazwisko; tymczasem nawet nie mrugnął.

„Tym sposobem – mówił sobie w duchu – nie będzie można mnie obwiniać, że uwięziłem tego młodzieńca z pobudek czysto osobistych”.

– Dantès? – powtórzył. – Edmund Dantès, powiadasz pan?

– Tak.

Villefort wziął z kartoteki gruby rejestr, spojrzął na spis, następnie przerzucił kilka akt i zwrócił się do armatora:

– Czy jesteś pan pewien, że się nie mylisz? – zapytał tonem całkowicie naturalnym.

Gdyby pan Morrel był bystrzejszy lub znał się lepiej na tych sprawach, uznałby za rzecz dziwną, że podprokurator królewski raczy mu odpowiadać w kwestiach, które nie podlegały jego resortowi; zastanowiłby się może, czemu Villefort nie odsyła go do rejestrów więziennych, do zarządu więzień czy prefekta

departamentu. Ale Morrel, nie znajdując u Villeforta żadnych oznak lęku, widział w nim już tylko jego uprzejmość: Villefort zagrał doskonale.

– O nie, panie prokuratorze – rzekł Morrel. – Nie myślę się, zresztą znam przecież tego biedaka od dziesięciu lat, a od czterech pozostaje u mnie na służbie. Byłem już u pana, przypomina pan sobie? Półtora miesiąca temu, prosić dla niego o łaskę, jak teraz przyszedłem prosić o sprawiedliwość; przyjąłeś mnie pan wtedy dość niechętnie i odpowiadałeś mi wielce niezadowolony. O, rojaliści byli wówczas twardzi wobec bonapartystów!

– Proszę pana – odrzekł Villefort, odpowiadając z wrodzoną sobie zręcznością i zimną krwią. – Byłem rojalistą, gdy myślałem, że Burbonowie nie tylko są prawowitymi dziedzicami tronu, ale i wybrańcami narodu. Cudowny powrót, którego byliśmy świadkami, dowiódł mi, że byłem w błędzie. Zwyciężył geniusz Napoleona: prawowitym władcą jest ten, który jest kochany przez wszystkich.

– Brawo! – zawołał Morrel z rubaszną otwartością. – Cieszę się, słysząc, że pan tak mówi, to dobra wróżba dla losu Dantèsa.

– Poczekajże pan – rzekł Villefort, przeglądając inny rejestr. – Aha... to był marynarz, prawda? Miał się żenić z Katalonką? Tak, tak, przypominam sobie teraz: to była poważna sprawa.

– Jak to?

– Wiesz pan pewnie, że kiedy wyszedł ode mnie z przesłuchania, został zaprowadzony do więzienia obok sądu.

– Tak, no i?

– No więc napisałem o tym raport do Paryża, odesłałem znalezione przy nim papiery. Tak powinienem był uczynić, coś robić... i w osiem dni po aresztowaniu więzień został stamtąd zabrany.

– Zabranym? – wykrzyknął Morrel. – Cóż oni mogli z tym biedakiem zrobić?

– Ach, uspokój się pan, może go przetransportowano do Fenestrelle, Pignerol albo na wyspę Świętej Małgorzaty, to jest, mówiąc językiem administracyjnym, „przesiedlono” z kraju. Zobaczysz pan, że pewnego pięknego ranka nagle wróci, aby objąć dowództwo pańskiego statku.

– Niech wraca, kiedy chce, ja mu to stanowisko zachowam. Ale czemu dotąd nie powrócił? Wydaje mi się, że sądy napoleońskie powinny zająć się na pierwszym miejscu oswobodzeniem tych, którzy zostali uwięzieni za poprzednich rządów.

– Nie oskarżaj pan tak lekkomyślnie – odpowiedział Villefort. – Trzeba we wszystkim postępować legalnie. Rozkaz uwięzienia przyszedł z góry, rozkaz uwolnienia też musi przyjść z góry. Napoleon powrócił zaledwie dwa tygodnie temu, zatem rozkazy umarzające kary są rozesłane dopiero co.

– Ale – zapytał Morrel – czy nie da się przyspieszyć tych formalności, teraz, gdy nasza sprawa jest górami? Mam trochę przyjaciół i wpływów również, mógłbym uzyskać umorzenie wyroku.

– Nie było wyroku w tej sprawie.
– Wobec tego skreślenie z rejestru więźniów.
– W sprawach politycznych nie ma czegoś takiego jak rejestry więźniów. Czasem władzy zależy na tym, aby więzień zniknął, tak aby nawet ślad po nim nie został: rejestr więźniów ułatwiłby poszukiwania.

– Tak może było za Burbonów, ale teraz...
– Tak było wszędzie i zawsze, kochany panie Morrel; rządy następują jedno po drugim i wszystkie są do siebie podobne. Aparat karny powstały za Ludwika XIV działa dotąd, z wyjątkiem Bastylii. A cesarz był zawsze daleko większym rygorystą, jeśli chodzi o więzienia, niż Król Słońce, a liczba skazanych, po których nie ma ani śladu w rejestrach, jest olbrzymia.

Tyle dowodów życzliwości mogłoby wyprowadzić w pole osobę całkowicie pewną swoich racji i pan Morrel nie wątpił w ani jedno słowo prokuratora.

– Panie Villefort, jaką dałbyś mi pan radę, aby przyspieszyć powrót biednego Dantèsa?

– Jest jeden sposób: wniesć pan podanie do ministra sprawiedliwości.

– Ach, proszę pana, czyż nie wiemy dobrze, jak to się dzieje z podaniami; minister odbiera ich ze dwieście na dzień, a nie przeczyta nawet i czterech.

– To prawda – odpowiedział Villefort. – Ale przeczyta prośbę, którą ja zarekomenduję, zaadresuję i wyślę.

– I pan zająłby się tym?

– Z największą przyjemnością. Dantès mógł być wtedy winnym, ale dziś jest niewinny; moim zatem obowiązkiem jest zwrócić mu wolność, tak jak przedtem powinienem był go zamknąć w więzieniu.

W taki sposób Villefort zabezpieczał się przed niebezpieczeństwem – wprowadzie mało prawdopodobnym, ale możliwym – śledztwa, które zgubiłoby go całkowicie.

– Ale jak trzeba pisać takie podanie do ministra?

– Siadaj pan na moim miejscu, proszę, ja panu podyktuję. Nie mamy czasu, i tak już dosyć go straciliśmy.

– Prawda, pomyślmy tylko, że ten biedny chłopak czeka tam, cierpi i może rozpacza.

Villefort zadrżał na myśl o tym więźniu, który złorzeczy mu tam w ciszy i ciemności; ale zaszedł zbyt daleko, aby się cofnąć. Dantès musiał zostać zmiażdżony w trybach jego ambicji.

Villefort podyktował prośbę, w której uwydatnił przesadnie (z całą pewnością z najlepszych pobudek) patriotyzm Dantèsa i usługi wyświadczone sprawie bonapartystów. W tym podaniu Dantès stawał się jednym z najaktywniejszych zwolenników powrotu Napoleona. Było oczywiste, że wobec takiego dowodu minister załatwiłby rzecz sprawiedliwie, jeśli sprawiedliwości jeszcze nie stało się zadość.

Skończywszy dyktować, Villefort odczytał głośno petycję.

– Jest napisana tak jak trzeba – rzekł – a teraz spuść się pan na mnie.

– Jak prędko zostanie wysłana?

– Dziś jeszcze.

– I pan ją zarekomendujesz?

– Tak i najlepszą rekomendacją będzie potwierdzenie prawdziwości wszystkiego, co pan w tej prośbie wyrażasz.

Villefort usiadł i z boku petycji napisał poświadczenie.

– Cóż teraz trzeba robić dalej? – zapytał pan Morrel.

– Czekać – odpowiedział Villefort. – Ja odpowiadam za wszystko.

Zapewnienie to wróciło panu Morrelowi nadzieję; wyszedł od prokuratora oczarowany nim zupełnie i pospieszył do starego Dantèsa z wieścią, że wkrótce zobaczy syna.

Villefort zaś, zamiast odesłać petycję do Paryża, schował ją troskliwie, ponieważ petycja, która dziś mogła ocalić Dantèsa, w przyszłości kompromitowałaby go straszliwie, zakładając, że bieg wypadków w Europie zapowiadał nadejście nowej Restauracji.

Dantès pozostał zatem w więzieniu: pogrążony w otchłaniach lochu, nie usłyszał wcale strasznego huku, jaki wywołał upadek tronu Ludwika XVIII ani jeszcze strasliwszego – gdy w gruzy waliło się cesarstwo.

Villefort zaś wszystko obserwował czujnym okiem, wszystko pochwycił uważnym uchem. W czasie owych **Stu dni** – jak nazwano ten krótki okres powrotu Cesarstwa, Morrel dwukrotnie przychodził domagać się wolności dla Dantèsa i dwukrotnie Villefort zbył go najuroczystszy obietnicami; aż

w końcu przyszło Waterloo. Morrel nie pokazał się więcej u Villeforta. Zrobił dla młodego przyjaciela wszystko, co tylko było możliwe. Dalsze próby za panowania drugiej Restauracji skompromitowałyby go tylko niepotrzebnie.

Ludwik XVIII powrócił na tron. Villefort, dla którego Marsylia stała się źródłem przykrych wspomnień, przekształcających się w wyrzuty sumienia, poprosił o wakujące miejsce prokuratora królewskiego w Tuluzie. W dwa tygodnie po przeniesieniu się do nowej siedziby poślubił pannę Renatę, której ojciec zyskał na dworze więcej niż kiedykolwiek wpływów.

Takim to sposobem Dantès, zarówno w czasie Stu Dni, jak i potem, tkwił za kratami więzienia, zapomniany – jeśli nie przez ludzi, to z pewnością przez Boga.

Danglars pojął całą doniosłość ciosu, jaki zadał Dantèsowi, widząc powrót Napoleona do Francji. Jego denuncjacja trafiła w samo sedno. Jak każdy zatem człowiek miernych zdolności w życiu codziennym, a z pewną skłonnością do występku, nazwał ten dziwny zbieg wypadków **wyrokiem Opatrzności**.

Ale gdy Napoleon wrócił do Paryża, a głos jego cesarskiej potęgi zabrzmiał na nowo, Danglarsa zdjął strach. Spodziewał się w każdej chwili powrotu Dantèsa, który wie o wszystkim, Dantèsa groźnego i gotowego do okrutnej zemsty. Oświadczył więc panu Morrelowi, że pragnie opuścić służbę w handlu morskim i polecony przez niego, został w końcu marca, to jest w dziesięć czy dwanaście dni po wejściu Napoleona do Tuileries, buchalterem u pewnego kupca hiszpańskiego. Pojechał do

Madrytu i słuch o nim zaginął.

Fernand zaś nic nie pojmował. Pozbył się Dantèsa, to wszystko, czego potrzebował. Co się z nim stało? – nie chciał nawet wiedzieć. Zyskany w ten sposób dla siebie czas spędzał na okłamywaniu Mercedes i przedstawianiu jej zmyślonych przyczyn nieobecności Edmunda lub medytowaniu nad wyjazdem do obcych krajów i porwaniem dziewczyny. Niekiedy, a były to posępne chwile w jego życiu, siadał na wierzchołku przylądka Faro, skąd widać jednocześnie Marsylię i wioskę Katalończyków, i smutny, nieruchomy jak ptak drapieżny na czatach, wypatrywał, czy nie ujrzy na drodze pięknego młodzieńca, idącego swobodnym krokiem, ze wzniesioną głową – zwiastuna straszliwej zemsty. W takim razie Fernand wiedział już, co ma robić: wypali Dantèsowi w głowę, a potem sam się zabije – mówił sobie, pragnąc uczynić to morderstwo szlachetniejszym. Ale tu Fernand sam siebie oszukiwał, jeśli ktoś żywi wciąż nadzieję, nigdy nie popełni samobójstwa.

W międzyczasie cesarski rząd obwołał pospolite ruszenie, więc wszyscy, którzy tylko byli zdolni nosić broń, pospieszyli poza granice Francji na grzmiący głos cesarza. Fernand poszedł wraz z innymi, opuścił chatę i Mercedes, dręczony okropną myślą, że jego rywal powróci i ożeni się z jego ukochaną.

Gdyby Fernand miał kiedykolwiek zdobyć się na samobójstwo, uczyniłby to po rozstaniu z Mercedes.

Względy, jakimi otoczył dziewczynę, współczucie, jakie okazywał jej w nieszczęściu, starania, które uprzedzały jej

najmniejsze życzenia, wywarły taki skutek, jaki wywierają zazwyczaj na każdym szlachetnym sercu dowody przywiązania. Mercedes kochała zawsze Fernanda jak przyjaciela; przyjaźń ta powiększyła się teraz o nowe uczucie – wdzięczność.

– Bracie – rzekła, mocując mu na plecach żołnierski tornister.
– Bracie, mój jedyny przyjacielu, nie pozwól się zabić, nie zostawiaj mnie samej na świecie. Będę płakać, zostanę sama, jeśli nie wrócisz.

Słowa te, wyrzeczone w chwili pożegnania, obudziły nadzieję w Fernandzie. Gdyby Dantès nie wrócił, Mercedes zostanie może żoną.

Mercedes pozostała sama na tej nagiej ziemi, która nigdy do tej pory nie wydała się jej aż tak jałowa; prócz niej widać było tylko morze, aż po horyzont. Wciąż zapłakana, błąkała się jak owa szalona, o której rozpaczliwej doli nam tyle opowiadano, wokół osady Katalończyków; niekiedy zatrzymywała się nagle pod palącym słońcem południa, i wyprostowana, nieruchoma, niema jak posąg wlepiła wzrok w Marsylię; albo siadała na brzegu i wsłuchiwała się w szum morza, wieczny jak jej boleść, zadając sobie wciąż to samo pytanie: czy nie lepiej byłoby pochylić się i osunąć całym ciężarem ciała w przepaść, która otworzy się przed nią i pochłonie ją, niż tak cierpieć straszliwie bez nadziei i bez końca.

Nie brakowało Mercedes odwagi do spełnienia zamiaru, ale wiara przyszła jej z pomocą i ocaliła od samobójstwa.

Caderousse podobnie jak Fernand został powołany, ale że

miał osiem lat więcej niż Katalończyk i był żonaty, został wcielony do wojska dopiero podczas trzeciej mobilizacji i wysłano go na wybrzeże.

Stary Dantès, utrzymywany przy życiu już tylko nadzieją, po upadku Napoleona utracił ją zupełnie.

Dokładnie pięć miesięcy po rozstaniu z synem, niemal o tej samej godzinie, o której aresztowano Edmunda, oddał ducha w ramionach Mercedes. Pan Morrel wyprawił mu pogrzeb na swój koszt i spłacił drobne, żałosne długi, które starzec zaciągnął podczas choroby. Czyn ten był nie tylko dowodem szlachetności, ale i odwagi. Południe wrzało i wspierać, nawet na łożu śmierci, ojca tak niebezpiecznego bonapartysty jak Dantès uchodziło za zbrodnię.

14. Więzień oszalały i więzień obłąkany

W około rok po powrocie Ludwika XVIII na tron, pan inspektor generalny wizytował więzienia.

Dantès słyszał z głębi lochu dudnienia i zgrzytania – odgłosy przygotowań na przyjęcie inspektora; na górze tak hałaśliwe, na dole były słyszalne jedynie dla ucha więźnia nawykłego wśród ciszy nocnej do słuchania, jak pajak snuje swą sieć i jak jednostajnie kropla wody spada ze sklepienia, gdzie tworzy się przez godzinę.

Domyślił się, że na górze, wśród żywych dzieje się coś niezwykłego – tak długo zamieszkiwał już ten grób, że mógł się liczyć do umarłych.

W rzeczy samej, inspektor wizytował kolejno wszystkie izby, cele i lochy; rozmawiał z wieloma więźniami: z tymi mianowicie, których łagodność lub głupota zyskiwała im u administracji więziennej jakieś względy; inspektor wypytywał, jak są żywieni, jakie mają żądania, które by chcieli przedstawić. Odpowiadali jednogłośnie, że jedzenie jest obrzydliwe i że żądają, aby wypuszczono ich na wolność. Inspektor spytał, czy nie domagają się czegoś innego.

Potrząsali głowy. Jakiegoż innego dobra, prócz wolności, mogą pragnąć więźniowie?

Inspektor odwrócił się od nich z uśmiechem i rzekł do komendanta:

– Nie wiem, po co nam każą robić te bezużyteczne obchody. Kto widział jednego więźnia, to tak, jakby widział stu, wysłuchać jednego – to jak wysłuchać tysiąca. Zawsze jedna śpiewka: złe mają jedzenie i są niewinni. Nie masz pan innych więźniów?

– O, tak, ale są oni niebezpieczni lub cierpią na pomieszanie zmysłów, tych trzymamy w lochach.

– Zobaczmy i tych – rzekł inspektor z miną człowieka znużonego. – Spełnijmy do końca nasz obowiązek i chodźmy do lochów.

– Niech pan zaczeka – powstrzymał go komendant. – Przywołałam choć ze dwóch ludzi. Zdarza się, że więźniowie mając dość takiego życia i pragnąc, aby ich skazano na śmierć, dokonują absurdalnych czynów rozpacz. Mógłbyś pan stać się ofiarą takiego czynu.

– Rób pan to, co dyktuje ostrożność – rzekł inspektor.

Posłano rzeczywiście po dwóch żołnierzy, a gdy przyszli, puszczonego się w dół po schodach tak cuchnących, nieczystych i porośniętych mchem, że samo przejście po nich raziło wzrok i powonienie, a i oddychać było ciężko.

– Faj! A kogóż tu, do diabła, trzymacie? – zapytał inspektor, zatrzymując się w połowie drogi.

– Spiskowca, jednego z najniebezpieczniejszych; uprzedzono nas, że to człowiek gotów na wszystko.

– Sam jeden siedzi?

– Naturalnie.

– Od jak dawna?

– Od roku chyba.

– I siedzi w lochu od początku?

– Nie, panie, od chwili, gdy chciał zabić dozorcę, który mu przynosił codziennie żywność.

– Chciał zabić dozorcę?

– Tak, proszę pana, tego tutaj, który oświeśla nam drogę. Nie tak, Antoni?

– Pewnie, że chciał mnie zabić – odpowiedział dozorca.

– Coś takiego! Więc to jakiś szaleniec?

– Gorzej, proszę pana – odpowiedział dozorca. – To diabeł, a nie człowiek.

– Czy chce pan, abym przedstawił na niego skargę? – zapytał inspektor komendanta.

– Nie ma potrzeby, już jest dosyć za to ukarany; zresztą niedługo oszaleje, a doświadczenie, jakie mamy z obserwacji, mówi nam, że nim upłynie rok, popadnie zupełnie w obłąd.

– A to tym lepiej dla niego – rzekł inspektor. – Jak oszaleje zupełnie, mniej będzie cierpiał.

Jak widzimy, inspektor był człowiekiem pełnym ludzkich uczuć i godnym powierzonych mu filantropijnych obowiązków.

– Masz pan słuszość – odparł komendant. – Uwaga pańska dowodzi, że gruntownie przestudiował pan ten przedmiot. Mamy tu właśnie w jednym lochu, o trzydzieści kroków od tego, do którego dostaniemy się po innych schodach, starego księdza, niegdyś przywódcę jednego z włoskich stronnictw; siedzi tu od 1811 roku, a zwariował około 1813; od tego czasu jest nie do

poznania: przedtem płakał, teraz się śmieje, chudł, teraz tyje. Może wolisz pan raczej zobaczyć tamtego? Jego szaleństwo raczej bawi, niż zasmuca.

– Zobaczę jednego i drugiego – postanowił inspektor. – Trzeba sumiennie dopełniać swoich obowiązków.

Inspektor pierwszy raz wizytował więzienia i chciał, aby jego władze miały o nim dobre wyobrażenie.

– Chodźmy najpierw do spiskowca – rzekł inspektor.

– Bardzo chętnie – odpowiedział komendant.

Dał znak dozorczy, by otworzył drzwi.

Dantès, skulony w kącie, radował się niewypowiedzianie drobnym promykiem słońca, który przeniknął przez wąskie zakratowane okienko. Słyszając zgrzytnięcie olbrzymich zamków i skrzypienie zardzewiałych zawiasów, podniósł głowę. Ujrzawszy nieznajomego, któremu towarzyszyło dwóch dozorców z pochodniami i dwóch żołnierzy oraz samego komendanta z kapeluszem w ręku – więzień odgadł cel odwiedzin; wreszcie nadarzyła się okazja, aby błagać wysokiego urzędnika; i rzucił się ku niemu ze złożonymi dłońmi.

Żołnierze natychmiast skrzyżowali bagnety, sądząc, że więzień poderwał się w złych zamiarach.

Sam inspektor cofnął się o krok.

Dantès zrozumiał, że przedstawiono go jako niebezpiecznego człowieka.

Zebrał więc w spojrzeniu całą łagodność i pokorę, jakie tylko mogą mieścić się w człowieku, i przemawiając słowami

uroczystymi, a wręcz nabożnymi, usiłował trafić inspektorowi do serca. Inspektor wysłuchał do końca Dantèsa, a potem, zwracając się do komendanta, rzekł półgłosem:

– Zwróci się w stronę religii, już jest pełen łagodniejszych uczuć. Widzi pan, jaki wpływ ma na niego strach: cofnął się na widok bagnetów, wariat zaś nie cofa się nigdy. Bardzo ciekawe spostrzeżenia poczyniłem w tym zakresie w Charenton.

Potem zwrócił się do więźnia i zapytał:

– Krótko mówiąc, czego właściwie chcecie?

– Chcę dowiedzieć się, jaką popełniłem zbrodnię; chcę, aby mnie postawiono przed sądem; chcę, aby wznowiono dochodzenie; chcę na koniec, aby mnie rozstrzelano, jeżeli jestem winny, lub uwolniono – jeżeli jestem niewinny.

– Dobrze was tu żywią? – zapytał inspektor.

– Tak, chyba tak, sam nie wiem... I mniejsza o to; najważniejsze jest, i nie tylko dla mnie, ale i dla urzędników wymierzających sprawiedliwość, a nawet dla króla, który nami rządzi, aby niewinny nie padał ofiarą podłego donosu i nie umierał za kratami, złorzeczając swoim katom.

– Jakoś dziś jesteś bardzo łagodny – rzekł komendant. – Nie zawsze taki byłeś, przyjacielu, mówiłeś kiedyś całkiem inaczej, tego dnia, kiedy to chciałeś zatłuc dozorcę.

– To prawda, proszę pana – rzekł Dantès. – Przepraszam najpokorniej tego człowieka, który był zawsze dla mnie dobry... ale cóż chcieć! Byłem wtedy szalony, wpadłem w szal.

– A teraz nie jesteś szalony?

– Nie, proszę pana, więzienie ugięło mnie, złamało, unicestwiło. Już tak długo tu jestem!...

– Długo? Kiedy was zatrzymano? – zapytał inspektor.

– 28 lutego 1815 roku, o godzinie drugiej po południu.

Inspektor jął liczyć.

– Dziś mamy trzydziestego czerwca 1816 roku; i cóż wy mówicie? Siedzicie w więzieniu dopiero siedemnaście miesięcy.

– Siedemnaście miesięcy! – odpowiedział Dantès. – Ach, proszę pana, czy pan wie, ile znaczy siedemnaście miesięcy w więzieniu? To siedemnaście lat, siedemnaście wieków dla człowieka, który jak ja był tak bliski wielkiego szczęścia, który miał poślubić ukochaną kobietę, który widział przed sobą zaszczytną karierę, a który wszystko utracił. Człowiek ten w dniu najpiękniejszym w życiu wpadł w najczarniejszą noc, jego przyszłość jest zniszczona, nie wie, czy ta, którą kochał, kocha go jeszcze, nie wie, czy jego stary ojciec żyje jeszcze, czy umarł. Siedemnaście miesięcy więzienia dla człowieka nawykłego do morskiego powietrza, marynarskiej swobody, do przestrzeni, ogromu, nieskończoności – siedemnaście miesięcy więzienia dla takiego człowieka, proszę pana, to kara cięższa niż zasługują na to wszelkie występki, których ohydne imiona może wymienić język ludzki. Miej pan nade mną litość i żądaj dla mnie nie pobłażania, ale surowości, nie łaski, ale sądu; sędziów, proszę pana, ja domagam się tylko sędziów. Czyż można odmówić oskarżonemu prawa do stawania przed sądem?

– Dobrze – rzekł inspektor. – Zobaczymy.

I zwrócił się do komendanta:

– Doprawdy, ten biedak nappełnił mnie litością. Jak wrócimy na górę, pokażesz mi pan jego akta.

– Oczywiście – odparł komendant. – Ale zdaje mi się, że on tam ma najgorszą opinię.

– Proszę pana – ciągnął Dantès – ja wiem, że sam nie możesz mnie pan stąd uwolnić, ale możesz moją prośbę przedstawić władzom, możesz wyjednać rozpoczęcie śledztwa, możesz mnie kazać oddać pod sąd. Pragnę stanąć przed sądem i nic więcej, niech wiem, jaką popełniłem zbrodnię i na jaką jestem skazany karę, bo niepewność gorsza jest od wszystkich tortur.

– Proszę mówić jaśniej – rzekł inspektor.

– Proszę pana – zawołał Dantès – słysząc z pańskiego głosu, żeś wzruszony, panie! Proszę, niech pan powie, że mogę mieć nadzieję.

– Nie mogę tego powiedzieć – odrzekł inspektor. – Mogę tylko przyrzec, że przejrzę twoją sprawę.

– O! To już jestem wolny, jestem ocalony!

– Kto kazał was aresztować? – zapytał inspektor.

– Pan de Villefort – odpowiedział Dantès – Niech się pan z nim zobaczy i porozmawia.

– Pan de Villefort wyjechał z Marsylii rok temu. Jest w Tuluzie.

– A więc się nie dziwię – szepnął Dantès. – Jedyne mój protektor wyjechał.

– Czy pan de Villefort miał jakiś powód, aby was

nienawidzić? – zapytał inspektor.

– Żadnego, był dla mnie bardzo życzliwy.

– Mogę więc polegać na jego adnotacjach lub na tym, co mi powie?

– Najzupełniej, proszę pana.

– Dobrze. Bądźcie cierpliwi.

Dantès upadł na kolana, wznosząc ręce do nieba, i w modlitwie, którą szeptał, polecał Bogu tego, co wstąpił do jego więzienia jak Zbawiciel uwalniający z piekieł dusze.

Drzwi się zamknęły, ale nadzieja, która pojawiła się tu razem z inspektorem, pozostała w celi Edmunda.

– Czy pan chce przejrzeć rejestr więzienny natychmiast – zapytał komendant – czy też przejdzie pan najpierw do celi księdza?

– Skończmy najpierw z lochami – odrzekł inspektor. – Jeśli wrócę na światło dzienne, może mi już zabraknąć odwagi, aby dokończyć tej smutnej misji.

– Ach, ten więzień jest zupełnie inny, jego szaleństwo jest mniej przygnębiające niż zdrowy rozum jego sąsiada.

– A jak się przejawia jego obłąd?

– O, to dziwne szaleństwo! Ksiądz ma się za posiadacza niezmiernych skarbów. W pierwszym roku uwięzienia ofiarował rządowi milion za uwolnienie, drugiego roku dwa miliony, trzeciego – trzy, i tak dalej. Już piąty rok u nas siedzi, niezawodnie więc będzie chciał pomówić z panem na osobności i ofiaruje pięć milionów.

- No, no, a to rzeczywiście ciekawa historia – rzekł inspektor.
- Jakże się nazywa ten milioner?
- Ksiądz Faria.
- Numer 27. – przeczytał inspektor.
- To tu, Antoni, otwórz.

Dozorca otworzył drzwi i zaciekawione spojrzenie inspektora wpadło do lochu stukniętego księdza.

Tak bowiem zwykle nazywano tego więźnia.

Na środku celi, w kole zakreślonym kawałkiem wapna oderwanego od muru, leżał człowiek, niemal nagi, jego odzienie zwisało w strzępach. W kole tym kreślił wyraźne linie geometryczne i zdawał się nie mniej zajęty rozwiązaniem swego zadania, jak Archimedes, gdy poniósł śmierć z rąk żołnierza Marcellusa. Nie poruszył się więc nawet na dźwięk otwieranych drzwi i wyrwał się z zamyślenia, dopiero gdy światło pochodni oświetliło niecodziennym blaskiem wilgotną podłogę, na której pracował. Odwrócił się więc i zdziwiony spojrzał na ludzi, którzy tak licznie pojawili się w jego lochu.

Powstał żywo z ziemi, pochwycił z barłogu kołdrę i szybko okrył się nią, aby ukazać się nieco przystojniej oczom obcych ludzi.

- Czego potrzebujecie? – zapytał inspektor, nie zmieniając swej sakramentalnej formuły.
- Ja? – zdziwił się ksiądz – Ja nic nie potrzebuję!
- Nie rozumiecie mnie – rzekł inspektor. – Jestem wysłannikiem rządu, mam za zadanie inspekcję wszystkich

więzień, wysłuchuję życzeń i zażaleń więźniów.

– A, to co innego! – zawołał żywo ksiądz. – Mam nadzieję, że się dogadamy.

– Widzi pan – rzekł cicho komendant – czyż nie zaczyna się tak, jak panu zapowiadałem?

– Proszę pana – rzekł więzień. – Nazywam się Faria, jestem księdzem. Urodziłem się w Rzymie. Dwanaście lat byłem sekretarzem kardynała Rospigliosi; zostałem uwięziony, ale nie wiem nawet dobrze za co, na początku 1811. Odtąd zanoszę ciągle prośby o wypuszczenie mnie na wolność do rządu francuskiego i włoskiego.

– Z jakiej racji do francuskiego? – zapytał komendant.

– Ponieważ aresztowano mnie w Piombino, a sądzę, że tak jak Mediolan i Florencja, również Piombino zostało stolicą jakiegoś departamentu francuskiego.

Inspektor i komendant spojrzeli po sobie i roześmiali się.

– Do licha! – rzekł inspektor – wiadomości, jakie ksiądz ma o Włoszech nie są zbyt świeże.

– Pochodzą z dnia, w którym zostałem zatrzymany – odrzekł ksiądz – że zaś Jego Cesarska Mość utworzył królestwo rzymskie dla syna, którym go niebo obdarowało, domyślam się, że dokonawszy dalszych podbojów, spełnił sny Machiavellego i Cezara Borgii – zjednoczył całe Włochy w jedno królestwo.

– Proszę księdza, Opatrzność na szczęście naniiosła nieco poprawek do tego gigantycznego planu, którego zdajesz się być dość żarliwym stronnikiem.

– To jedyny sposób, aby uczynić z Włoch państwo silne, niezależne i szczęśliwe – odpowiedział ksiądz.

– Być może – odparł inspektor – ale nie przyszedłem tu, aby rozprawiać o polityce ultramontańskiej, ale po to, aby zapytać, czy nie macie jakich zażaleń co do wikt i pomieszczenia.

– Jadło jak w każdym więzieniu – jest fatalne. Co do mieszkania, to widzi pan, że jest wilgotne i niezdrowe, jednak jak na loch całkiem przyzwoite. Ale nie o to teraz idzie; chcę uczynić rządowi niezmiernie ważną i szczególnie godną uwagi propozycję.

– Ot, i jesteśmy w domu – szepnął komendant do inspektora.

– I właśnie dlatego cieszę się, że pana widzę, chociaż przeszkodziłeś mi nieco w bardzo ważnych obliczeniach, które, jeśli się powiodą, mogą zmienić system Newtona. Czy możesz mi pan udzielić posłuchania na osobności?

– A co, nie mówiłem? – rzekł komendant do inspektora.

– Znasz pan dobrze swojego pensjonariusza, jak widzę – odrzekł inspektor z uśmiechem, po czym zwrócił się do Farii:

– Żąda pan ode mnie rzeczy niemożliwej.

– A jednak, gdyby chodziło o pozyskanie dla rządu niezmiernej sumy, na przykład pięciu milionów?...

– Słowo daję – rzekł inspektor, obracając się do komendanta.

– Przepowiedziałeś pan wszystko, nawet sumę.

– Zresztą – zawołał szybko ksiądz, widząc, że inspektor zbiera się do odejścia. – Nie musimy koniecznie być sam na sam; pan komendant może być obecny przy naszej rozmowie.

– Na nieszczęście, drogi księże – rzekł komendant – znamy już na pamięć, co chcesz powiedzieć. Wszak chodzi o skarby, prawda?

Faria spojrzał na szydercę takim wzrokiem, że bezstronny widz dostrzegłby w nim z pewnością błysk prawdy i rozsądku.

– Oczywiście – rzekł. – A o czymże miałbym mówić, jeśli nie o tym?

– Panie inspektorze – przerwał komendant. – mogę opowiedzieć całą tę historię z najdrobniejszymi szczegółami tak dobrze jak sam ksiądz, bo od czterech czy pięciu lat uszy mi od tego puchną.

– To dowodzi – rzekł ksiądz do komendanta – że jesteś pan jak owi ludzie, o których Pismo Święte mówi, że mają oczy a nie widzą, mają uszy a nie słyszą.

– Kochany księże – wtrącił inspektor. – Rząd nasz, dzięki Bogu, jest zamożny i nie potrzebuje twoich milionów; zachowaj je sobie, przydadzą się księdzu, kiedy wyjdiesz z więzienia.

Oczy księdza rozplomieniły się; porwał inspektora za rękę.

– A jeżeli nie wyjdę z więzienia – rzekł – jeżeli wbrew wszelkiej sprawiedliwości będę musiał tu pozostać, jeżeli umrę i nie zdążę nikomu odkryć tajemnicy i skarb przepadnie? Czyż nie lepiej, aby i rząd z niego skorzystał i ja także? Dam sześć milionów, tak, zrezygnuję z sześciu milionów, i poprzestanę na reszcie, jeżeli tylko wyjdę na wolność!

– Na honor – rzekł inspektor półgłosem. – Gdybym nie wiedział, że to wariat, uwierzyłbym, że mówi prawdę, tyle w jego

głosie przekonania.

– Nie jestem wariatem, mówię czystą prawdę – odparł Faria, chwytając (dzięki wyostrzonemu słuchowi, właściwemu dla wszystkich więźniów) każde słowo inspektora. – Skarb, o którym mówię, istnieje naprawdę. Proponuję, aby podpisał pan ze mną umowę, na podstawie której zawieziesz mnie pan w miejsce, które wyznaczę: na naszych oczach rozkopie się ziemię, a jeżeli kłamię, jeżeli nic nie znajdziemy, jeżeli jestem wariatem, jak powiadacie, cóż... Weźmiecie mnie na powrót do lochu, zostanę tu na wieki, umrę tu i nic już od was nie będę żądać.

Komendant roześmiał się.

– Daleko ten twój skarb? – zapytał.

– Stąd będzie ze sto mil – rzekł Faria.

– Nieźle pomyślane – powiedział komendant. – Gdyby tak każdy więzień chciał odbywać takie stumilowe spacerki ze swoimi stróżami, a stróże zgadzałyby się na to, więzień miałby doskonałą sposobność, aby wziąć nogi za pas. A podczas takiej podróży na pewno nadarzyłaby się niejedna okazja do ucieczki.

– To znany sposób – dodał komendant – i nasz księżulo nie może sobie nawet przyznać pierwszeństwa.

I zwrócił się do Farii:

– Pytałem księdza, czy cię tu dobrze karmią.

– Panie – odparł Faria – niech mi pan przysięgnie na święte imię Chrystusa, że mnie pan uwolni, jeśli powiem prawdę. A wtedy wskażę miejsce, gdzie ukryto skarb.

– Czy dobrze księdza karmią? – powtórzył inspektor.

– Panie, przecież nic pan nie ryzykuje, widzi pan sam, że bynajmniej nie szukam sposobności ucieczki, ponieważ będę tu, w więzieniu, gdy udacie się w drogę.

– Nie odpowiada mi ksiądz na pytanie – rzekł zniecierpliwiony nieco inspektor.

– I pan także nie odpowiada na moją prośbę! – wrzasnął ksiądz. – Bądź więc przeklęty jak i inni durnie, co mi nie chcieli wierzyć! Nie chcecie mojego złota, dobrze, zachowam je dla siebie; nie chcecie mi dać wolności, Bóg mi ją ześle. Idźcie sobie, nie mam już nic do powiedzenia.

I odrzuciwszy kołdrę, pochwycił kawałek wapna, siadł pośrodku koła i zaczął od nowa kreślić jakieś linie i liczby.

– Co on robi? – zapytał inspektor, wychodząc.

– Liczy swoje skarby – odparł komendant.

Faria odpowiedział na ten sarkazm spojrzeniem wyrażającym najwyższą pogardę. Wyszli, a dozorca zamknął za nimi drzwi.

– Może rzeczywiście posiadał jakieś skarby – rzekł inspektor, wchodząc do góry.

– Albo mu się śniło, że je ma – odparł komendant – a następnego dnia obudził się obłąkany.

– Racja – zauważył inspektor, z naiwnością przyznając się do swej sprzedajności. – Gdyby naprawdę był bogaty, nie znalazłby się w więzieniu.

Tak to skończyła się ta przygoda dla księdza Farii. Pozostał w więzieniu, a po tej wizycie jego reputacja zabawnego szaleńca ugruntowała się jeszcze mocniej.

Kaligula albo Neron, ci wielcy poszukiwacze skarbów, pożądający wszystkiego, co niemożliwe, posłuchaliby tego biedaka i ofiarowaliby mu upragnioną przestrzeń, przestrzeń, którą wyceniał tak wysoko, i wolność, za którą gotów był tak hojnie zapłacić. Ale ci, którzy dzisiaj dzierżą władzę, powstrzymywani przez granice prawdopodobieństwa, nie odważają się już na rozmach w pragnieniach; obawiają się uszu tych, którym rozkazują, oczu, które przypatrują się ich poczynaniom; nie mają już poczucia nadludzkiej wyższości; to tylko ludzie koronowani – i ot, wszystko. Niegdyś uważali się za synów Jowisza, lub przynajmniej mienili się nimi, i zachowywali nieco z postawy szanownego pana ojca: wszak niełatwo sprawdzić, co się dzieje ponad chmurami; a dzisiaj mamy tak łatwy dostęp do królów... I skoro rządy despotyczne nigdy nie pokazywały chętnie skutków więzienia i tortur – rzadko zdarza się, aby ofiara przesłuchań mogła pojawić się przed ludźmi ze zmiażdżonymi kośćmi i krwawymi ranami – podobnie i obłęd, ten wrzód powstający w brudach lochu na skutek tortur duchowych, ukrywany jest tam, gdzie się narodził.

Ksiądz Faria, doznawszy w więzieniu pomieszania zmysłów, był skazany przez własne szaleństwo na dożywotnie więzienie.

Dantèsowi zaś inspektor dotrzymał słowa. Wróciwszy do komendanta, kazał sobie przedłożyć rejestr więźniów. Opinia dotycząca Dantèsa brzmiała następująco:

Edmund Dantès. Żarliwy bonapartysta, wziął czynny udział w przygotowaniu ucieczki z Elby.

Należy trzymać go w tajemnicy i pod najściślejszym dozorem.

Dopisek ten był uczyniony inną ręką i innym atramentem, co dowodziło, że powstał już po uwięzieniu Dantèsa. Oskarżenie było tak ciężkie i stanowcze, że nie warto byłoby starać się je obalić. Pod adnotacją inspektor dopisał zatem: „Nieodwołalne”.

Wizyta inspektora przywróciła, jeśli można tak powiedzieć, życie Dantèsowi; od chwili uwięzienia stracił rachubę dni; inspektor podał mu teraz datę, która utkwiała mu w głowie. Kawałkiem tynku oderwanym z sufitu napisał na murze: „30 czerwca 1816” i aby nie zgubić znowu poczucia upływającego czasu, co dzień żłobił u dołu jedną kreskę.

Tak upływały dni, tygodnie, miesiące – Dantès ciągle czekał. Najpierw oznaczył sobie termin uwolnienia za dwa tygodnie; sądził bowiem, że tyle powinno wystarczyć całkowicie inspektorowi, nawet gdyby włożył w załatwianie sprawy połowę zaangażowania, jakie wydawał się okazywać. Po upływie dwóch tygodni powiedział sobie, że niedorzecznością byłoby przypuszczać, że inspektor mógłby się zająć jego sprawą przed powrotem do Paryża; powrót zaś mógł przecież nastąpić dopiero po ukończeniu objazdu wszystkich więzień, to znaczy po jakichś dwóch miesiącach. Postanowił zatem czekać trzy miesiące zamiast dwóch tygodni. Gdy trzy miesiące upłynęły, przesunął termin na sześć miesięcy; ale po upływie pół roku pokazało się, gdy obliczył dokładnie dni, że czekał już dziesięć i pół miesiąca. W ciągu tego okresu nie nastąpiła w więziennym położeniu

Edmunda żadna zmiana; nie otrzymał żadnej pocieszającej wiadomości; dozorca jak zwykle był głuchy na zapytania. Dantès zaczął już powątpiewać o własnych zmysłach, zaczynał wierzyć, że to, co brał za wspomnienie rzeczywistego faktu, było tylko wytworem wyobraźni, a ów anioł pocieszyciel, który zstąpił kiedyś do więzienia, sfrunął tylko na skrzydłach snu.

Po roku komendant zamku If otrzymał dowództwo twierdzy Ham; między podwładnymi, których wziął ze sobą, był także i dozorca Dantèsa. Przybył nowy komendant. Wydawało mu się, że szkoda zachodu, by uczyć się nazwisk wszystkich więźniów, kazał ich przeto przedstawić sobie po numerach. Ten okropny hotel składał się z pięćdziesięciu „umeblowanych pokoi”; jego mieszkańcy zwali się od tej pory według numerów swych cel; nieszczęśliwy młodzieniec przestał się nazywać Edmund Dantès, został ochrzczony numerem 34.

15. Numer 34 i numer 27

Dantès przeszedł przez wszystkie stopnie męczarni, jakie cierpią więźniowie zapomniani w więzieniu. Rozpoczął od pocucia dumy, które wypływa z nadziei i czystego sumienia; następnie zwątpił o swej niewinności, co w części usprawiedliwiało opinię komendanta, który twierdził, że Dantès zwariował; na koniec pozbył się zupełnie dumy i zaczął prosić, jeszcze nie Boga, ale ludzi; Bóg jest bowiem ostatnią deską ratunku. Nieszczęśliwy, który powinien od Boga zaczynać, dopiero wówczas poleca się Jego opiece, gdy go już zawiodą wszystkie inne nadzieje.

Dantès prosił więc, aby go przynajmniej przeniesiono do innego lochu, chociażby jeszcze ciemniejszego i głębszego; jakakolwiek zmiana, nawet niekorzystna, zawsze byłaby dla niego nowością i rozerwałaby go choć przez kilka dni. Prosił, aby mu pozwolono na spacer, zaczerpnięcie powietrza, prosił o książki, instrumenty. Żadna z tych prośb nie odnosiła skutku, on jednak nie przestawał prosić. Przywykł mówić do swojego nowego dozorca, choć ten był jeszcze większym milczkiem – jeśli to w ogóle możliwe – niż poprzedni; ale przemawiać do człowieka, nawet niemego, sprawiało Edmundowi przyjemność. Mówił dlatego, aby usłyszeć własny głos; próbował mówić do siebie, gdy zostawał sam, ale wtedy ogarniał go strach przed samym sobą.

Gdy Dantès był jeszcze na wolności, bał się straszliwie wspólnych cel, w których siedzieli włóczędzy, bandyci i zbrodniarze, których łączy w jedno haniebna radość niepojętych orgii i straszliwych przyjaźni. Ale tu doszedł już do takiego stanu, że marzył, aby wtrącono go do jednej z tych czeluści, aby przynajmniej mógł widzieć inne ludzkie twarze, nie zaś wyłącznie niewzruszone oblicze milczącego dozorcę; zazdrościł galernikom, zazdrościł im hańbiącej odzieży, kajdan na nogach, piętna na ramieniu. Galernicy są przynajmniej wśród podobnych sobie, żyją na wolnym powietrzu, widzą niebo, słowem, galernicy są bardzo szczęśliwi.

Pewnego razu jął błagać dozorcę, aby mu dano jakiegokolwiek towarzysza, choćby owego obłąkanego księdza, o którym słyszał. Dozorca Dantèsa czuł w głębi duszy litość dla młodego więźnia, choć jego twarz wcale tego nie zdradzała, widział, jak ciężko znosił on więzienie; przedstawił więc prośbę numeru 34 komendantowi; ale komendant, przewidujący jak wielki polityk, wyobraził sobie, że Dantès ma zamiar zbuntować więźniów, uknuć jakiś spisek, zdobyć sobie pomoc przyjaciela w ucieczce – i odmówił.

Dantès wyczerpał już wszystkie środki, leżące w ludzkiej mocy. Zwrócił się wówczas ku Bogu – co, jak mówiliśmy wyżej, musiało w końcu nastąpić.

Wszystkie idee pobożności, rozrzucone po szerokim świecie, a zbierane troskliwie niby kłosa przez nieszczęśliwych, których los nachylił do ziemi, pokrzepiły go na duchu. Przypomniawszy sobie

pacierze, których uczyła go matka i odkrył w nich sens, którego przedtem nigdy nie dostrzegał; bo dla człowieka szczęśliwego modlitwa jest monotonnym zbiorem słów pozbawionych sensu, aż do dnia, w którym cierpienie zaczyna tłumaczyć człowiekowi nieszczęśliwemu ten wzniosły język, którym przemawia do Boga.

Modlił się więc, nie z zapalem, ale z zapamiętałością. Modląc się głośno, przestał się lękać własnego głosu; wpadał więc znowu w rodzaj ekstazy; w każdym wymówionym słowie widział promiennego Boga; wszystkie czyny, spełnione, gdy wiódł jeszcze tak nagle utracone skromne życie marynarza, przypisywał woli wszechmocnego Boga, brał z nich naukę, wyznaczał sobie śluby. A pod koniec każdego pacierza przemyczał ową interesowną prośbę, którą ludzie częściej składają bliźnim niż Bogu: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Ale pomimo tak gorących modlitw Dantès pozostawał nadal w więzieniu.

Wtedy umysł jego otępiał, jeszcze bardziej zgęstniał mu mrok przed oczyma. Dantès był prostym człowiekiem, nie miał wykształcenia, przeszłość zakrywała mu mgła, którą rozprościć może tylko wiedza. W samotności więzienia, zapędzając się w myślach na bezdroża, nie potrafił odbudować myślą ubiegłych wieków, przywołać do życia wygasłych ludów, zrekonstruować starożytnych miast, które imaginacja wyolbrzymia i poetyzuje, przesuwając przed oczyma ich gigantyczne kształty, oświetlone

w niebiańskim ogniu, na wzór babilońskich obrazów Martinna. A on miał tylko swoją przeszłość – tak krótką, teraźniejszość – tak posepną, i przyszłość – tak wątpliwą; pozostało mu tylko dziewiętnaście lat blasku i życia, które miały wystarczyć mu do rozmyślań na całą wieczność nocy! Żadne inne myśli nie mogły go rozerwać. Jego energiczny umysł, który chętnie uleciałby poprzez wieki, był uwięziony jak orzeł w klatce. Uczepił się więc jednej tylko myśli: swojego szczęścia zniszczonego bez widocznej przyczyny, na skutek jakiegoś niesłychanego, fatalnego przypadku; przywiązał się wszystkimi siłami do tej myśli, obracał ją i oglądał ze wszystkich stron, wgryzając się w nią niemal tak, jak w *Piekle* Dantego bezlitosny Ugolino pożera czaszkę arcybiskupa Rogera.

Okres ascetyzmu ustąpił miejsca rozpacz i wściekłości. Edmund miotał przekleństwa, przejmujące grozą samego dozorcę, obijał się ciałem o mury więzienia, rzucał z wściekłością na wszystko, co go otaczało, a zwłaszcza na siebie, i to z powodu najdrobniejszej przeciwności, ziarnka piasku, źdźbła słomy lub powiewu wiatru. Wtedy przypominał sobie ów list denuncjacyjny, który widział na własne oczy u Villeforta, którego dotykał własnymi rękami; każdy wiersz jarzył się ogniem na murach jak *Mane Tekel Fares* Baltazara. Mówił do siebie, że to nienawiść ludzka, a nie kara boska, wtrąciła go w tę otchłań, i poddawał sprawców swego nieszczęścia najokropniejszym torturom, na jakie tylko jego płonąca imaginacja mogła się zdobyć, i zdawało mu się jeszcze,

że najstraszliwsze będą zbyt łagodne, a przynajmniej zbyt krótkie, bo śmierć kładzie kres karze, a śmierć prowadzi, jeśli nie do odpoczynku, to przynajmniej do nieczułości, która go przypomina.

W miarę jak powtarzał – w odniesieniu do swoich wrogów – że spokój to śmierć i że temu, kto chce ukarać okrutnie nieprzyjaciela potrzeba innych środków niż zabójstwo, pograżał się w posępnym bezwładzie, jaki sprowadzają myśli samobójcze. Biada temu, który staczając się w przepaść nieszczęścia, uchwyci się tej czarnej myśli! Bo jest ona niby morze martwe o falach błękitnych i zdradliwie czystych, które oblepia nogi pływaka, wciąga je jak zbiornik smoły, wchłania, wsysa. Kto raz się zagłębi w takich myślach – o ile tylko Bóg nie wesprze go pomocą – zginie i każda próba wydostania się z nich pograża go coraz bardziej w śmierć.

Taka jednak agonia duchowa nie jest równie straszna, jak cierpienie, które ją poprzedziło, i kara, jaka zapewne po niej nastąpi, to rodzaj pociechy, od której możemy dostać zawrotu głowy, która pokazuje nam przepaść ziejącą u stóp, ale w przepaści tej tylko nicość znajduje się na dnie. Doszedłszy do takiego stanu umysłu Edmund znalazł nieco ukojenia. Cała jego boleść, cierpienia i orszak widziadeł, które wlokły się za nimi, zdawały się uciekać z kątów lochu, bo miał tam zstąpić cichą stopą anioł śmierci. Dantès spojrzał ze spokojem na swoją przeszłość, a na przyszłość z trwogą; i wybrał ową drogę środkową, która wydawała mu się bezpiecznym azylem.

„Czasami – myślał – podczas dalekiej żeglugi, kiedy byłem jeszcze człowiekiem, człowiekiem wolnym i silnym i wydawałem moim ludziom rozkazy, które oni wypełniali, widywałem chmurzące się niebo, morze, które zaczynało się piętrzyć i burzyć; na horyzoncie zbierała się burza i na kształt olbrzymiego orła biła w niebo dwoma skrzydłami; czułem wtedy, że mój statek był nietrwałym schronieniem, bo sam, lekki jak piórko w ręku olbrzyma, trząsł się i dygotał. Wśród ryku bijących fal, widok ostrych, sterczących skał zapowiadał mi śmierć, a śmierć napawała mnie strachem i aby uniknąć jej uścisku czyniłem wszystko, rzucałem na szalę wszelkie siły ludzkie i całe doświadczenie marynarza, aby wytrwać w tej walce z Bogiem!... Dlatego, że byłem wówczas szczęśliwy, dlatego że ocalenie oznaczało powrót do szczęścia, dlatego że nie wzywałem ani nie wybierałem tej śmierci; sen na łożu z wodorostów i kamyków wydawał mi się zbyt niewygodny; dlatego że uważałem za niegodne, aby mnie, człowieka stworzonego na Boskie podobieństwo, rozdziobały po śmierci sępy i mewy. Ale dziś to co innego, dziś straciłem wszystko, co sprawiało, że kochałem życie, dziś śmierć wabi mnie swym uśmiechem jak mamka dziecko, gdy je chce ukołysać; dziś umieram, bo chcę umrzeć – zasypiam znużony i złamany, jak usypiałem po owych wieczorach rozpacz i wściekłości, kiedy przemierzałem celę po trzy tysiące razy tam i z powrotem, to znaczy robiłem trzydzieści tysięcy kroków, czyli mniej więcej dziesięć mil”.

Odkąd ta myśl zakiełkowała młodzieńcowi w głowie, złagodniał i twarz mu się rozjaśniła; pogodził się wreszcie z twardym łóżem, czarnym chlebem; jadł coraz mniej, nie spał już wcale i uznał za znośną tę resztkę egzystencji, był bowiem przekonany, że porzuci ją, kiedy tylko zechce – tak jak się zrzuca zużyte odzienie.

Były dwa sposoby samobójstwa; jeden prosty: należało przywiązać chustkę do kraty w oknie i powiesić się; drugi zaś polegał na udawaniu, że się przyjmuje pożywienie, co kończyło się śmiercią głodową. Do pierwszego Dantès czuł wstręt. Wychował się w pogardzie dla korsarzy, tych, których wieszają na rejach statku. Powieszenie uważał zatem za karę hańbiącą i nigdy by jej sobie nie zadał; wybrał więc drugi sposób i tego samego dnia rozpoczął wprowadzać go w czyn.

Na roztrząsaniu powyższych kwestii zeszły mu cztery lata. Pod koniec drugiego roku Dantès przestał liczyć dni i popadł na nowo w tę nieświadomość mijającego czasu, z której inspektor na krótko go wydobył.

Dantès rzekł do siebie: „chcę umrzeć” – i wybrał rodzaj śmierci; dobrze się nad nim zastanowił i lękając się, że mu sił nie starczy, przysiągł sobie, że w taki właśnie umrze sposób. „Kiedy mi będą przynosić – myślał – rano i wieczorem posiłki, będę wyrzucał je przez okno, i wszyscy pomyślą, że zjadłem wszystko”.

Jak postanowił, tak i zrobił. Dwa razy dziennie wyrzucał jedzenie przez małe zakratowane okienko, za którym zaglądał

do niego tylko skrawek nieba; z początku czynił to z radością, następnie z namysłem, na koniec z żalem. Musiał sobie przywozić na pamięć przysięgę, aby mieć siłę do kontynuowania tego strasznego planu. Jadło, na które dawniej spoglądał ze wstrętem, wydawało mu się teraz, gdy szarpał go głód, smakowite, wabiło oko i drażniło węch. Nieraz całą godzinę trzymał w ręku garnek, wpatrując się chciwie w kawał nieświeżego mięsa albo cuchnącej ryby i na spleśniały czarny chleb. Były to resztki instynktu samozachowawczego, które wciąż walczyły w nim przeciw śmierci i które czasem niszczyły jego postanowienie. Wówczas więzienie wydawało mu się mniej posępne, a sytuacja mniej rozpaczliwa; był przecież jeszcze młody, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć, sześć lat, czekało go jeszcze z pół wieku, to znaczy prawie dwa razy tyle, co przeżył do tej pory. Przez tak niezmierny szmat czasu ileż wypadków mogłoby rozbić bramy więzienia, obalić mury zamku If i zwrócić mu wolność! W takiej chwili zbliżał usta do jedzenia, z którego – niby Tantal z własnej woli – sam rezygnował; ale przypominał sobie wówczas przysięgę, i jego szlachetna natura wzdygała się na samą myśl, że mógłby pogardzać sobą, gdyby jej nie dotrzymał. I tak, bezlitosny i surowy wobec samego siebie, zużył tę resztkę sił, jaka mu pozostała, aż nadszedł dzień, kiedy nie miał już siły, aby wstać i wyrzucić przez okienko przyniesioną strawę.

Następnego dnia wzrok mu przygasł, prawie już nie słyszał; dozorca składał to na ciężką chorobę, a Edmund spodziewał się

rychłej śmierci.

Tak upłynął dzień. Edmund czuł, jak ogarnia go jakieś nieokreślone odrętwienie, które przynosiło ze sobą poczucie błogości; kurcze w żołądku ustały, piekące pragnienie przygasło. Kiedy zamykał oczy, widział przed sobą mnóstwo lśniących światełek, podobnych do ogników błędnych, które unoszą się nocą nad bagniskami: nadchodził zmierzch w tym nieznanym kraju, który nazywamy śmiercią.

Nagle około dziewiątej wieczór, usłyszał za ścianą, przy której leżał, głuchy odgłos.

Tyle plugawych zwierząt harcowało w tym więzieniu, że Edmund przywykł do nich i nie zakłócały mu już snu; ale tym razem, czy to dlatego, że przy takim poście wyostrzył mu się słuch, czy dlatego, że hałas był mocniejszy niż zwykle, czy że w tak ważnych, ostatnich chwilach wszystko nabiera znaczenia – Edmund podniósł głowę, aby lepiej słyszeć.

Było to miarowe, jednostajne drapanie, wskazujące, że skrobą po kamieniach jakieś szpony olbrzymie, mocne zęby albo też jakieś narzędzia.

Mimo że umysł Edmunda osłabiony był mocno, rozbudziła go banalna myśl, która nurtuje więźniów nieustannie: wolność. Odgłos ten rozbrzmiał wówczas, gdy miały dla Dantèsa zamrzeć wszelkie dźwięki; wydało mu się przeto, że sam Bóg ulitował się nad jego cierpieniem i zesłał mu ten odgłos na przestrożę, aby zatrzymał się nad grobem, dokąd już osunęła mu się noga. Kto wie, czy czasem któryś z jego przyjaciół, owych tak drogich mu

istot, nie zatroszczył się w tej chwili o jego los i nie usiłował się z nim połączyć?

Ale nie, chyba Edmund się myli, to niewątpliwie jeden z majaków, które polatują przy wrotach śmierci.

A jednak wciąż słyszał ten szmer. Trwało to blisko trzy godziny, a potem jakby się coś zawaliło – i szmer ustał.

Po kilku godzinach szmer odezwał się ponownie, silniejszy i jakby bliższy. Edmund zaczął interesować się tą pracą, która zastępowała mu towarzystwo, gdy nagle wszedł dozorca.

Od mniej więcej tygodnia, to jest od czasu, gdy postanowił umrzeć, i od czterech dni, kiedy rozpoczął głodować, nie wyrzekł ani słowa do tego człowieka, nie odpowiadał na żadne z jego pytań i odwracał się do ściany, gdy dozorca przypatrywał mu się zbyt uważnie. Teraz jednak dozorca mógłby posłyszeć ten głuchy szmer, zaniepokoić się, położyć mu koniec i zniszczyć tym samym tę isierkę nadziei, o której sama myśl rozjaśniała Dantèsowi ostatnie chwile życia.

Dozorca przyniósł śniadanie. Dantès podniósł się na łóżku i wysilając głos, rozpoczął głośno rozprawiać na wszelkie możliwe tematy, mówił, że podłe jest jedzenie, które przynosił dozorca, że w lochu panuje straszliwy ziąb – i mruczał, narzekał co tylko się dało głośniejsz, tak długo, że znecierpliwiał dozorcę, który właśnie tego dnia uzyskał dla chorego więźnia nieco bulionu i świeżego chleba.

Szczęściem pomyślał, że Dantès jest w gorączce, położył więc jedzenie jak zwykle na kulawym stole i odszedł.

Edmund, uwolniony od jego obecności, zaczął się znowu z radością przysłuchiwać szmerowi. A odgłos stawał się tak wyraźny, że można go było usłyszeć bez wysiłku. „Ponieważ ten odgłos nie ustaje w dzień – pomyślał – to na pewno jakiś więzień, równie jak ja nieszczęśliwy, pracuje nad ucieczką stąd. Ach! Gdybym mógł być razem z nim, z jakim zapałem bym mu pomagał!”.

I nagle posępny obłok przysłonił tę jutrzenkę nadziei, umysł bowiem Edmunda, nawykły do nieszczęścia, z trudem dawał do siebie przystęp radości; zrodziła się w nim myśl, czy aby hałas nie jest wywołany przez robotników, którzy z rozkazu komendanta naprawiali coś w sąsiedniej celi.

Łatwo można się było o tym przekonać, ale jak zaryzykować takie pytanie? Nic prostszego, niż poczekać na dozorcę, pozwolić mu wysłuchać tego szmeru i uważać, jaką będzie miał wtedy minę; ale czy godziło się dla tak małej satysfakcji zdradzać może czyjeś najważniejsze plany? Na nieszczęście Edmund był już tak słaby, że nie był w stanie zebrać wokół tej jednej sprawy myśli, gdyż krążyły w jego umyśle jak jakieś skłębione opary. Zrozumiał, że jest tylko jeden sposób, który mógł przywrócić mu jasność myślenia i trzeźwość sądu; spojrzał na dymiący jeszcze bulion, który dozorca zostawił na stole, podniósł się, wziął filiżankę, podniósł do ust i pochłoniął jej zawartość z trudnym do opisania uczuciem zadowolenia.

Miał na tyle siły, aby poprzestać tylko na tym; słyszał kiedyś, że rozbitkowie wycieńczeni od głodu umierali po uratowaniu,

jeśli zbyt prędko zjedli nazbyt posilnej strawy.

Położył zatem na stole chleb, który już podniósł do ust i wrócił znowu na posłanie. Już nie chciał umierać.

Wkrótce poczuł, jak rozjaśnia mu się umysł; jego myśli, dotąd błędne i nieuchwytne, wracały na swoje właściwe miejsca. Mógł zatem myśleć i myśli poprzeć logicznym rozumowaniem.

Rzekł do siebie:

„Trzeba spróbować zbadać tę rzecz, nie narażając nikogo na szkodę. Jeżeli to zwyczajny robotnik, gdy tylko zastukam, przestanie pracować, aby dowiedzieć się, kto i dlaczego stuka. A skoro jego praca jest nie tylko dozwolona, ale nawet nakazana, znowu się do niej weźmie. A jeśli, przeciwnie, jest to więzień, moje uderzenia go przestraszą; będzie się bał, aby go nie odkryto, zaprzestanie pracy i zacznie na nowo dopiero wieczorem, kiedy będzie pewien, że wszyscy śpią”.

I Edmund podniósł się. Teraz nogi już nie chwiały się pod nim, a w oczach nie pojawiły mu się oślepiające błyski. Poszedł w kąt lochu, oderwał kamyk obłuzowany przez wilgoć – i trzykrotnie zastukał nim w mur tam, skąd najwyraźniej dobiegały głuchoe odgłosy.

Przy pierwszym uderzeniu hałas ustał od razu, jakby za dotknięciem różdżki. Edmund całą duszę skupił w nasłuchiowaniu. Upłynęła godzina, dwie, nie dawał się słyszeć najmniejszy szmer; hałas wywołany przez Edmunda spowodował po drugiej stronie całkowitą ciszę.

Pełen nadziei zjadł kilka kęsów chleba, napił się wody i dzięki

mocnej konstytucji, jaką obdarowała go natura poczuł się niemal tak dobrze jak przed głodówką.

Minął dzień, a milczenie trwało nadal.

Nadeszła noc i żaden szmer się nie ponowił.

„To więzień” – rzekł sobie Dantès z niewysłowioną radością.

Głowa jęła mu płonąć; powracał gwałtownie do życia, bowiem znów nabierało ono dla niego aktywnego charakteru.

Minęła noc – bez najmniejszego szmeru. Edmund nie zamknął oczu przez całą tę noc.

Nadszedł dzień, dozorca przyniósł pożywienie. Edmund zdążył już zjeść wszystko, co miał, pochłoniął i ten posiłek, nasłuchując bezustannie, czy znów nie odezwie się chrobot, drżąc, czy już na zawsze nie ustał; krążąc po lochu uszedł z dziesięć do dwunastu mil; całe godziny mocował się z żelaznymi kratami okienka, przywracając siłę i giętkość swoim mięśniom ćwiczeniami, których dawno już poniechał; gotował się w ten sposób – podobny do zapaśnika, który, nim wejdzie na arenę, naciera się oliwą i rozciąga ramiona – do walki z przyszłością. W przerwach między owymi gorączkowymi ćwiczeniami nasłuchiwał znowu, czy nie wznowi się szmer; niecierpliwił się ostrożnością owego więźnia, który nie mógł odgadnąć, że tu inny więzień przeszkodził mu w pracy nad odzyskaniem swobody, i że temu więźniowi spieszyło się do wolności równie jak jemu.

Upłynęły tak trzy dni – siedemdziesiąt dwie śmiertelne godziny, odliczone minuta po minucie!

Wreszcie, trzeciego wieczoru, gdy dozorca już wyszedł i gdy po setny raz Dantès przykładął ucho do muru, wydało mu się, że niewyczuwalny niemal wstrząs rozbrzmiał mu głuchym echem w głowie. Cofnął się, aby uspokoić wstrząśnięty umysł, przeszedł się tam i z powrotem po celi i znów przyłożył ucho w to samo miejsce.

Nie było wątpliwości, coś się działo po drugiej stronie muru; więzień, obawiając się ryzyka swoich zabiegów, zmienił widać taktykę i aby kontynuować bezpiecznie swoje dzieło, w miejsce dłuta użył jakiejś dźwigni.

Edmund ośmielony tym odkryciem postanowił pomóc niestrudzonemu robotnikowi. Najpierw odsunął łóżko, bo zdawało mu się że właśnie za nim toczyło się dzieło oswobodzenia i rozejrzał się wokół za narzędziem, którym mógłby wykruszyć wilgotny cement, a następnie wyrwać głaz z muru.

Jednak nic nie wpadło mu w oko. Nie miał ani noża, ani żadnego ostrego przedmiotu, tylko żelazne pręty w okienku, a przekonał się już, że są tak mocno osadzone, że nie warto nawet próbować ich wyłamywać.

Za umeblowanie celi służyły: łóżko, zydeł, stół, kubel i dzban. W łóżku były żelazne uchwyty, ale przymocowane do drzewa śrubami. Bez śrubokrętu niepodobna było wyciągnąć śruby i oderwać uchwyty. Przy stole i stołku ani śladu żelaza; kubel posiadał niegdyś rączkę, ale ją odjęto.

Jeden tylko środek pozostawał Edmundowi – stłuc dzban i

wziąć się do pracy z ostro zakończonym kawałkiem kamionki. Rzucił dzbankiem o ziemię i dzbanek rozpadł się na kawałki. Dantès wybrał kilka ostrzejszych kawałków i schował w sienniku, a resztę zostawił rozrzuconą na ziemi. Nikt nie będzie się niepokoił stłuczeniem dzbanka, wypadek to przecież całkiem zwyczajny.

Edmund miał teraz przed sobą całą noc do pracy, ale w ciemności robota szła zbyt niemrawo, musiał bowiem robić wszystko po omacku, a spostrzegł wkrótce, że tylko tępił to niezgrabne narzędzie na dużo twardszym murze. Przysunął więc z powrotem łóżko i czekał na światło dnia. Z nadzieją powróciła mu i cierpliwość.

Całą noc słuchał, jak nieznany górnik prowadzi dalej swoje podziemne dzieło.

O poranku przyszedł dozorca. Dantès oświadczył, że pijąc wczoraj duszkiem z dzbanka, upuścił go i stłukł. Dozorca, mrucząc pod nosem, poszedł po drugi, nie pozbierawszy nawet potłuczonych kawałków z ziemi. Po krótkiej chwili wrócił z nowym, zalecił więźniowi większą ostrożność i odszedł.

Dantès słuchał z niewysłowioną radością zgrzytu klucza w zamku, który niegdyś ścisnął mu serce. Słuchał, jak zniknęło echo oddalających się kroków, na koniec, gdy całkiem ucichło, podskoczył z radością ku posłaniu, odsunął je i w słabym blasku świtu, który zaglądał do lochu, ujrzał, że cała nocna praca nie zdała się na wiele: zamiast bowiem wydłubywać cement spajający głązy, złobił lity kamień.

Pod wpływem zaś wilgoci zaprawa murarska była tym słabsza.

Serce zabiło mu radośnie, że odpada ona kawałkami; to prawda, że kawałeczki te miały mikroskopijne rozmiary, ale już po półgodzinnej pracy Dantès wykruszył ich dobrą garść. Matematyk mógłby obliczyć, że po dwóch latach takiej pracy, z założeniem, że się nie trafi na litą skałę, można by wykopać tunel o przekroju dwóch stóp kwadratowych i długi na dwadzieścia stóp.

Teraz jął sobie wyrzucać, że stracił tyle czasu na rozpacz, nadzieję i daremne modlitwy.

Od chwili, gdy go aresztowano, to jest od sześciu lat, ileż można by było wykonać pracy, nawet tak wolno postępującej! Myśl ta dodała mu znowu zapału.

Po trzech dniach udało mu się, przy zachowaniu największej ostrożności, zeszkrobać cały tynk i odsłonić cały jeden kamień. Mur był zbudowany z kamieni łamanych, pomiędzy którymi wstawiano dla wzmocnienia całości pojedyncze kamienie ciosane; właśnie teraz dostał się do takiego ciosanego kamienia, odsłonił go całkowicie i chodziło już tylko o wydobycie go z jego ciasnej wnęki.

Próbował paznokciami, ale okazały się zbyt słabe. Skorupy dzbana wsuwane w szczeliny kruszyły się od razu, gdy Dantès próbował użyć ich w charakterze dźwigni.

Po godzinie próżnych wysiłków Edmund powstał, a niepokój zrosił mu czoło potem.

Czyżby miał już na samym początku opuścić ręce i czekać

bezczynnienie i bezużyteczność, aż sąsiad, który być może również się zniechęci, wykona całą pracę?

Nagle pewna myśl przebiegła mu przez głowę; stał przez chwilę i uśmiechał się sam do siebie; wilgotne od potu czoło nagle samo obeschło.

Dozorca przynosił co dzień zupę w cynowym rondelku. W rondelku tym była zupa dla niego i dla następnego więźnia, co Dantès zauważył już dawno – ronderek był bowiem raz całkiem pełny, a raz napełniony do połowy, w zależności od tego, czy dozorca przyszedł najpierw do niego, czy do jego sąsiada. Ronderek miał żelazny trzonek; o ten właśnie trzonek szło Dantèsowi; oddałby za niego, gdyby tego zażądano, dziesięć lat życia.

Dozorca wylewał zawartość rondla na talerz. Dantès zjadał zupę drewnianą łyżką, po czym mył talerz, który służył mu w ten sposób codziennie.

Tego wieczoru położył talerz na ziemi, w połowie odległości między drzwiami a stołem; po wejściu do celi dozorca stąpnął na talerz i potłukł go w drobne kawałki.

Tym razem trudno mu było złajać Dantèsa; chociaż więzień nie powinien stawiać talerza na ziemi, ale i dozorca powinien patrzeć pod nogi. Dozorca pogderał więc tylko pod nosem, po czym rozejrzał się wkoło, poszukując jakiegoś naczynia, do którego mógłby przelać zupę, ale że cały serwis Dantèsa ograniczał się do tego jednego talerza, nie było w czym wybierać.

– Zostaw mi pan ten rondel – rzekł Dantès. – Odbierzesz go

jutro, kiedy przyniesiesz mi śniadanie.

Rada dogadzała lenistwu dozorczy, który dzięki temu nie musiał już wracać na górę, schodzić i znowu z powrotem wchodzić.

Zostawił rondelek.

Dantès aż zadrżał z radości, zjadł szybko zupę i mięso, które według więziennego zwyczaju wkładano do zupy. Następnie, zaczekawszy godzinę dla pewności, że dozorca się już nie rozmyśli, odsunął łóżko, wziął rondelek, wsadził koniec trzonka pomiędzy kamienie i podważył. Kamień drgnął; znaczyło to, że praca pójdzie dobrze.

Rzeczywiście, po godzinie Edmundowi udało się wyciągnąć głaz – otwór, jaki po nim pozostał w murze miał przeszło półtorej stopy średnicy. Dantès starannie pozbierał odłupany tynk, zaniósł go w kąty celi, uskrobał nieco szarawej ziemi odłamkiem dzbanka i przykrył nią okruchy tynku.

Następnie, chcąc wykorzystać do końca tę noc, kiedy przypadek albo raczej sprytnie pomyślany plan złożył w jego ręce tak cenne narzędzie, z zaciętością wziął się na nowo do rycia w murze. O świcie umieścił głaz z powrotem na miejscu, postawił łóżko przy ścianie i położył się spać.

Na śniadanie dawano kawałek chleba; dozorca wszedł i położył chleb na stole.

– I cóż? Nie przyniesiesz mi pan innego talerza? – zapytał Dantès.

– Nie, mój panie – rzekł dozorca. – Masz pan dwie lewe ręce,

stłukłeś dzbanek, przez pana rozbiłem talerz; gdyby wszyscy więźniowie robili tyle szkody, rząd nie byłby ich w stanie utrzymać. Zostawię ci ronderek, do niego będę nalewał zupę, może tym sposobem nie zniszczysz pan wszystkich naczyń.

Dantès wzniosł oczy do nieba i złożył dziękczynnie ręce pod kołdrą. Ten kawałek żelaza budził w nim teraz większą wdzięczność dla Opatrzności niż w całym jego przeszłym życiu największe dobrodziejstwa, jakich zaznał. Zauważył jednak, że od czasu, gdy zaczął pracować, sąsiad jego zaprzestał.

Cóż z tego, nie był to powód, aby przerywać pracę; jeżeli jego sąsiad nie przyjdzie do niego, on pójdzie do sąsiada.

Pracował bez odpoczynku przez cały dzień; do wieczora wykrobał dzięki swemu nowemu narzędziu przeszło dziesięć garści cementu, gruzu i tynku.

Gdy nadeszła godzina odwiedzin dozorca, wyprostował jak mógł skrzywiony trochę trzonek rondelka i postawił w zwykłym miejscu. Dozorca wlał do rondla zwykłą porcję zupy z mięsem, albo raczej zupy z kawałkiem ryby, bo był właśnie dzień postny, który w więzieniu przypadał trzy razy w tygodniu. Mógłby to być jeszcze jeden sposób na orientowanie się w czasie – gdyby nie to, że Dantès od dawna poniechał obliczania czasu.

Nalawszy porcję zupy, dozorca odszedł.

Teraz Dantès chciał się przekonać, czy jego sąsiad rzeczywiście zaprzestał pracy.

Jął nasłuchiwać.

Panowała cisza, taka jak przez owe trzy dni, kiedy sąsiad

przerwał pracę.

Dantès westchnął; widać było, że sąsiad nie ufał mu. Nie zraziło go to bynajmniej i prowadził pracę przez całą noc. Po paru godzinach pracy trafił na niespodziewaną przeszkodę. Żelazo nie kruszyło już muru i ślizgało się po jakiejś gładkiej powierzchni.

Dantès dotknął owej przeszkody i zrozumiał, że trafił na belkę. Belka ta zasłaniała całkowicie otwór, który zaczął kopać Edmund.

Trzeba więc było teraz zacząć żłobić dziurę powyżej lub poniżej belki. Nieszczęsny młodzieniec nawet nie pomyślał o podobnej przeszkodzie.

– O mój Boże, mój Boże! – zawołał. – Tyle cię błagałem, miałem nadzieję, że mnie wysłuchałeś. Boże mój, najpierw odjąłeś mi wolność, potem zabrałeś mi spokój śmierci i przywołałeś do życia! Boże, miej litość nade mną, nie daj mi umrzeć z rozpaczą w sercu!

– Któż mówi o Bogu i o rozpaczach jednocześnie? – ozwał się głos, który wydawał się wychodzić spod ziemi, a przytłumiony na skutek przeszkody, zabrzmiał w uchu Dantèsa tonami pozagrobowymi.

Włosy powstały mu na głowie, cofnął się na kolanach.

– Ach – szepnął – to mówi człowiek.

Od czterech czy pięciu lat Edmund słyszał jedynie głos dozorczy, a dla więźnia dozorca nie jest człowiekiem: to żywe drzwi, dodatek do drzwi dębowych, to krata z krwi i kości,

uzupełniająca kraty żelazne.

– W imię Chrystusa! – zawołał Dantès. – Kimkolwiek jesteś, mów jeszcze, chociaż mnie głos twój przeraził; kim jesteś?

– Kim ty jesteś? – odpowiedział głos.

– Nieszczęśliwym więźniem – odrzekł Dantès, nie ociągając się z odpowiedzią.

– Z jakiego kraju?

– Jestem Francuzem.

– Jak się nazywasz?

– Edmund Dantès.

– Zawód?

– Marynarz.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Od 28 lutego 1815 roku.

– Coś uczynił?

– Jestem niewinny.

– Ale o co cię oskarżają?

– O spiskowanie na rzecz powrotu cesarza.

– Jak to powrotu cesarza? Czyżby cesarz nie był już na tronie?

– Abdykował w Fontainebleau w 1814 roku i został zesłany na Elbę. Ale od kiedy ty sam tu jesteś, jeżeli nic o tym nie wiesz?

– Od roku 1811.

Dantès zadrżał – ten człowiek przebywał w więzieniu cztery lata dłużej od niego.

– Dobrze... Nie kop dalej – mówił prędko głos – powiedz mi tylko, na jakiej wysokości znajduje się tunel, któryś zrobił?

- Nad samą ziemią.
- Jak go ukrywasz?
- Za łóżkiem.
- Czy przestawiano kiedy to łóżko, od czasu jak tu jesteś?
- Ani razu.
- Do czego przylega twoja cela?
- Do korytarza.
- A korytarz?
- Wychodzi na podwórze.
- Niestety! – szepnął głos.
- O mój Boże! Cóż się stało? – zawołał Dantès.

– Stało się to, że się pomyliłem, że niedokładność moich wykresów mnie oszukała, że nieścisłość kompasu mnie zgubiła, że prosta, którą błędnie wyprowadziłem na planie dała w rzeczywistości odchylenie liczące piętnaście stóp, a ścianę, którą zacząłeś przebijać, wziąłem za zewnętrzny mur cytadeli!

– Ale przecież gdyby było inaczej, dotarłbyś wykopem nad morze?

- Tego właśnie chciałem!
- Więc gdyby ci się udało?
- Rzuciłbym się w morze i wpływ dostał do jednej z wysp otaczających zamek If, do Daume albo Tibouleau, a nawet do łądu stałego i już byłbym ocalony.
- Ale zdołałbyś aż tam dopłynąć?
- Bóg dodałby mi siły; a teraz wszystko stracone.
- Wszystko?

– Tak jest, wszystko. Zatkaj jak najostrożniej otwór, przestań pracy, nie rób nic i czekaj, aż dam ci znać.

– Przynajmniej powiedz mi kim jesteś... powiedz!

– Jestem... jestem... nr 27.

– Więc mi nie ufasz? – zapytał Dantès.

Wydało się Edmundowi, że przez sklepienie otworu przeniknęło echo pełnego goryczy śmiechu.

– Ach, jestem wierzącym chrześcijaninem – zawołał, przeczuwając instynktownie, że ten człowiek ma zamiar go opuścić. – Przysięgam ci na Chrystusa, że dałbym się prędzej zabić, niżbym pozwolił moim lub twoim katom poznać choćby cień prawdy; tylko, na Boga, nie pozbawiaj mnie swojej obecności, swojego głosu, bo inaczej przysięgam ci, jestem już u kresu sił, roztrzaskam sobie głowę o mur, a ty będziesz miał moją śmierć na sumieniu.

– W jakim jesteś wieku? – zapytał nieznajomy. – Z głosu wydajesz mi się młody.

– Nie wiem, ile mam lat, bo straciłem rachubę czasu odkąd tu jestem. Wiem tylko tyle, że gdy mnie aresztowano, to jest 28 lutego 1815 roku miałem niespełna dziewiętnaście lat.

– Więc nie masz jeszcze dwudziestu sześciu lat – wyszeptał głos. – Ech, w tym wieku ludzie jeszcze nie bywają zdrajcami.

– O nie, nie, przysięgam! – powtórzył Dantès. – Już raz ci powiedziałem i powtórzę znowu, że prędzej dałbym się porąbać na kawałki, niżbym cię zdradził.

– Dobrześ zrobił, że mi to powiedziałeś i że mnie tak prosiłeś,

bo zamierzałem obmyślić inny plan i chciałem się od ciebie oddalić. Ale twój wiek mnie uspokoił, wróć do ciebie, poczekaj.

– Kiedy?

– Muszę rozważyć, jakie są nasze możliwości, pozwól mi więc, abym pierwszy dał hasło.

– Ale nie opuścisz mnie, nie zostawisz samego, przyjdiesz do mnie lub pozwolisz, abym ja przyszedł do ciebie. Uciekniemy razem, a jeżeli nie będziemy mogli uciec, możemy rozmawiać, ty o tych, których kochasz, a ja o moich ukochanych. Kogoś pewnie kochasz?

– Jestem sam na świecie.

– Więc pokochasz mnie: jeśli jesteś młody, będę dla ciebie towarzyszem; jeśliś w podeszłym wieku, będę dla ciebie synem. Mam ojca, który musiał już skończyć siedemdziesiąt lat, jeżeli jeszcze żyje. Jego tylko kocham i młodą dziewczynę o imieniu Mercedes. Ojciec o mnie nie zapomniał, o tym nie wątpię, ale ona, Bóg tylko wie, czy jeszcze myśli o mnie. Kochał cię będę jak ojca.

– Dobrze. A więc do jutra! – rzekł więzień.

Tych kilka słów wymówił takim tonem, że przekonał Dantèsa; nie nalegał już dłużej, podniósł się, pozbierał z największą ostrożnością wkruszone kawałki tynku i przysunął łóżko na swoje miejsce.

Od tej pory oddał się całkowicie radości; już na pewno nie miał być sam, może nawet będzie mógł odzyskać wolność, a w najgorszym razie, gdyby został w więzieniu, będzie miał

towarzysza; a więzienie dzielone z inną osobą jest tylko połowicznie więzieniem. Skargi rzucone wspólnie są niemal modlitwami, a modlitwy wspólnie odmawiane są prawie aktami dziękczynienia.

Cały dzień Dantès chodził po lochu tam i z powrotem, a serce biło mu z radości. Chwilami wręcz dusiła go ta radość. Siadał wtedy na łóżku i przyciskał dłoń do piersi. Za najmniejszym szmerem dobiegającym z korytarza podbiegał do drzwi. Ze dwa razy ogarnął go lęk, że mogliby go rozłaczyć z tym człowiekiem, którego wprowadzie jeszcze nie znał, ale już kochał jak przyjaciela. Wówczas powziął decyzję: jeśliby dozorca odsunął łóżko i pochylił się, aby sprawdzić, co to za dziura się za nim kryje, roztrzaska mu głowę kamieniem, na którym stawiał dzbanek.

Wiedział, że go mogą za to skazać na śmierć, ale czyż nie umarłby i tak z tęsknoty i rozpacz, gdyby tamten cudowny odgłos nie przywrócił go do życia?

Wieczorem przyszedł dozorca. Dantès leżał w łóżku; zdawało mu się, że w ten sposób lepiej uchroni niedokończony tunel, musiał dość niezwykłym wzrokiem spoglądać na nieproszonego gościa, skoro tamten spytał:

– Cóż to, znowu pan masz zamiar zwariować?

Dantès nic nie odpowiedział z obawy, że może go zdradzić zmieniony emocją głos.

Dozorca odszedł, kręcąc głową.

Nastała noc. Dantès spodziewał się, że sąsiad wznowi z nim

rozmowę, korzystając z ciemności i ciszy, ale nadzieje spełzły na próżno. Noc minęła i żaden szmer nie odpowiedział na jego gorączkowe oczekiwanie. Ale nazajutrz, po zwykłych rannych odwiedzinach dozorca, kiedy Edmund odsunął łóżko od ściany, dały się słyszeć w miarowych odstępach trzy uderzenia; rzucił się na kolana.

– Czy to ty? – rzekł. – Jestem tu.

– A twój dozorca już poszedł? – zapytał głos.

– Tak – odpowiedział Dantès. – Wróci dopiero wieczorem.

Mamy dwanaście godzin swobody.

– Mogę więc działać? – spytał.

– Tak, tak, tak, natychmiast, błagam!

I nagle kawał muru, na którym Dantès, zagłębiany do połowy w wykopie, opierał ręce, zapadł się pod nim; rzucił się w tył, a wtedy masa ziemi i obluzowanych kamieni poleciała w głąb tunelu, wyżłobionego poniżej poziomu otworu, który zrobił Edmund. Z głębi tej ciemnej jamy, której głębokości Edmund nie mógł ocenić, wyłoniła się nagle głowa, ramiona i wreszcie cała postać mężczyzny, który całkiem zręcznie wylazł z tej jamy.

16. Uczony Włoch

Dantès uściskał nowego przyjaciela, tak długo i niecierpliwie oczekiwanego, a potem doprowadził go do okna, aby przyrzec mu się lepiej przy skąpym świetle, które wciskało się do celi.

Był to człowiek niewielkiego wzrostu o włosach pobielonych raczej udręką niż wiekiem; przenikliwe oczy ocieniały gęste szpakowate brwi; broda, nadal czarna, spływała aż na piersi; wychudzona twarz poorana głębokimi zmarszczkami i śmiały zarys jego charakterystycznej fizjonomii zdradzały, że był to człowiek nawykły raczej do ćwiczenia swych władz umysłowych aniżeli fizycznych. Czoło przybysza pokryte było potem.

Ubiór jego zwisał w strzępach i nie sposób było rozpoznać jego pierwotnej formy.

Wydawał się mieć co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, chociaż jego energiczna postawa wskazywała, że był młodszy od swego wyglądu, który nadało mu wieloletnie więzienie.

Entuzjastyczne przyjęcie ze strony młodzieńca sprawiło mu pewną przyjemność. Wydawało się, jakby jego zlodowaciałe serce na chwilę ogrzało się i roztajało, zetknąwszy się z tą gorącą naturą. Podziękował Edmundowi dość ciepło za serdeczność, mimo wielkiego rozczarowania, jakiego doznał, natykając się – zamiast na wrota do wolności na następną celę.

– Przekonajmy się najpierw – rzekł – czy można będzie ukryć przed naszymi dozorcami ślady tego przejścia. Nasz spokój w

przyszłości zależy od tego, aby się nie domyślili, co tu się stało.

Pochylił się nad otworem, podniósł kamień z łatwością pomimo jego ciężaru i zakrył nim otwór.

– Dość nieumiejętnie wyrwałeś pan ten kamień – rzekł, kręcąc głową. – Nie miałeś narzędzi?

– A pan? – zapytał zdziwiony młodzieniec. – Pan je ma?

– Zrobiłem sobie kilka. Oprócz pilnika mam wszystkie, jakich potrzebuję – dłuto, obcęgi i lewarek.

– Ach, jakżebym chciał zobaczyć te owoce pańskiej cierpliwości i pomysłowości!

– Spójrz, oto moje dłuto.

I pokazał mu mocne i spłaszczone na końcu ostrze, oprawne w trzonek z dobrze obrobionego bukowego drzewa.

– Z czegoś pan to zrobił?

– Z żelaznego pręta, który wyjąłem z łożka. Tym narzędziem wykopałem sobie całą tę drogę aż do ciebie: ma ona pięćdziesiąt stóp długości.

– Pięćdziesiąt stóp? – wykrzyknął Dantès niemal z przestrawieniem.

– Nie mów tak głośno, młodzieńcze, mów ciszej. Często się zdarza, że dozorczy podsłuchują pod drzwiami.

– Wiedzą, że jestem sam.

– To nie ma znaczenia.

– Powiadasz pan zatem, żeś pięćdziesiąt stóp przekopał do tego miejsca?

– Tak, tyle mniej więcej wynosi odległość między naszymi

celami; tyle tylko, że źle obliczyłem krzywą, z braku właściwych narzędzi geometrycznych; zamiast czterdziestu stóp krzywizny wyszło mi pięćdziesiąt. Myślałem, że dojdę, jak ci to już mówiłem, do zewnętrznego muru zamku, że go przebiję i skoczę do morza. Kopałem wzdłuż korytarza, do którego przylega twoja cela, zamiast podkopywać się pod nim; pracowałem na próżno, bo ten korytarz wychodzi na dziedziniec pełen żołnierzy.

– To prawda, ale moja cela dotyka korytarza tylko jednym bokiem, a ścian mam cztery.

– Tak, masz słuszość, ale jedną ścianę stanowi skała; dziesięciu górników zaopatrzonych we wszystkie potrzebne narzędzia potrzebowałoby dziesięciu lat, aby tę skałę przebić. Ta zaś na pewno przylega do fundamentów pod mieszkaniem komendanta – dotarlibyśmy do piwnic, które naturalnie są zamykane na klucz i tak zostalibyśmy schwytani. A ta ściana sąsiaduje... poczekajże, z czym sąsiaduje?...

Była to właśnie ściana z okienkiem, przez które dochodziło światło dnia. Okienko to zwężało się coraz bardziej, aż do otworu zewnętrznego, który był tak mały, że dziecko by się tamtędy nie przecisnęło; prócz tego zaopatrzone było w trzy rzędy żelaznych krat, które sprawiały, że najbardziej podejrzliwy dozorca nie musiał się obawiać ucieczki swego więźnia.

Zadając to pytanie, nieznajomy pociągnął jednocześnie pod okienko stół.

– Stań na stole – rzekł do Dantèsa.

Dantès usłuchał, wszedł na stół, a domyślając się zamiarów

towarzysza, oparł się plecami o ścianę i nadstawił mu obie ręce.

Więzień nr 27 wskoczył na stół ze zręcznością, której trudno byłoby się spodziewać po człowieku w tak podeszłym wieku – zwinnie jak kot lub jaszczurka; potem ze stołu na ręce Dantèsa, w końcu z rąk na ramiona. I zgięty w pół, bo sklepienie celi nie pozwalało mu się wyprostować, wysunął głowę pomiędzy kratami z pierwszego szeregu i spojrzał w dół.

Po chwili cofnął szybko głowę.

– Oho! – rzekł – domyślałem się tego.

I zsunął się z ramion Dantèsa na stół, ze stołu skoczył na ziemię.

– Czegoś się pan spodziewał? – zapytał młodzieniec z niepokojem, zeskakując ze stołu.

Stary więzień zamyślił się.

– Tak – rzekł. – Tak jest; czwarta ściana twojej celi wychodzi na zewnętrzną galerię, jest to coś w rodzaju krużganka, po którym przechodzą patrole i gdzie czuwają strażnicy.

– Jesteś pan tego pewien?

– Widziałem czako żołnierza i lufę karabinu; dlatego się tak prędko cofnąłem, żeby mnie czasem nie dojrzał.

– I cóż? – zapytał Dantès.

– Widzisz więc, że niemożliwe jest uciec z twojej celi.

– A więc? – powtórzył pytającym tonem młodzieniec.

– A więc – rzekł starzec – niech się dzieje wola Boża.

I na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiej rezygnacji.

Dantès spojrzał po części ze zdziwieniem, po części z

głębokim podziwem na tego człowieka, co z tak filozoficznym spokojem zegnał nadzieje żywione od tylu lat.

– A teraz, czy powiesz mi pan, kim jesteś? – zapytał Dantès.

– Czemuż nie, jeśli interesuje cię to teraz, gdy ci już na nic nie mogę się przydać.

– Możesz mnie pan pocieszać i podtrzymywać na duchu, bo wydajesz się przewyższać wszystkich siłą woli.

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

– Nazywam się Faria, jestem księdzem; przebywam od roku 1811, jak to już wiesz, w zamku If, ale wcześniej siedziałem także trzy lata w twierdzy Fenestrelle. W 1811 roku przeniesiono mnie z Piemontu do Francji. Wtedy to dowiedziałem się, że los, który zdawał się w tym czasie ulegać całkowicie woli Napoleona, dał mu syna, i że syn ten już w kolebce mianowany został królem rzymskim. Nigdy bym wtedy nie przypuścił tego, co przed chwilą mi powiedziałeś, że kolos w cztery lata później zostanie obalony. Któż teraz panuje we Francji? Czy Napoleon II?

– Nie, Ludwik XVIII.

– Ludwik XVIII, brat Ludwika XVI? Wyroki boskie są dziwne i tajemnicze! Jaki był zamiar Opatrzności w poniżeniu tego, którego sama wyniosła i w wywyższeniu drugiego, którego straciła?

Dantès pochłaniał wzrokiem tego niezwykłego człowieka, który, aby zająć się losami świata, zdawał się zapominać na chwilę o własnym losie.

– Tak, tak – mówił dalej ksiądz. – To zupełnie to samo, co w Anglii. Po Karolu I Cromwell, po Cromwellu Karol II, może po Jakubie II będzie jakiś zięć, krewniak, książę Orański; stathouder, który sam mianuje się królem; a wtedy nowe ustępstwa dla ludu, konstytucja, a z nią i wolność!... Ty to zobaczysz, młodzieńcze – rzekł, kierując na Dantèsa spojrzenie błyszczące i przenikliwe, takie, jakie musieli mieć prorocy. – Jesteś w takim wieku, że sam to wszystko zobaczysz.

– Tak, jeśli stąd wyjdę.

– Prawda – rzekł Faria. – Wszak jesteśmy w więzieniu. Są chwile, że całkiem o tym zapominam i zdaje mi się, że jestem wolny, gdyż mój wzrok przebija mury, które mnie otaczają.

– Ale dlaczego ksiądz tu trzymają?

– Dlaczego? Dlatego, że w 1807 roku marzyłem o tym, co Napoleon chciał urzeczywistnić w 1811. Dlatego, że chciałem jak Machiavelli, aby z tych wszystkich małych księstw, które czynią z Włoch gniazdo małych, despotycznych, ale słabych królestw, utworzyć jedno, wielkie, zwarte i silne państwo; bo sądziłem, że znalazłem mojego Cesara Borgię w pewnym koronowanym głupcu, który udawał, że mnie rozumie, by mnie tym łatwiej zdradzić. To były plany Aleksandra VI i Klemensa VII. Ale zawsze spełzną na niczym, bo nikomu się to nie powiodło, a i Napoleon nie mógł doprowadzić ich do skutku; stanowczo, nad Włochami wisi przekleństwo.

I starzec opuścił głowę.

Dantès nie pojmował, jak człowiek może narażać życie dla

takich spraw; jeśli wiedział coś nawet o Napoleonie, którego przecież widział i z którym rozmawiał, nazwiska Aleksandra VI i Klemensa VII nie mówiły mu nic.

– Czy nie jest ksiądz aby tym... – odezwał się Dantès, zaczynając podzielać opinię dozorczy więzienia, panującą zresztą w całym zamku If – tym księdzem, o którym mówią, że jest... chory?

– O którym mówią, że jest wariatem, chciałeś powiedzieć, czyż nie?

– Nie śmiałem tego powiedzieć – odpowiedział Dantès z uśmiechem.

– Tak, tak – rzekł Faria z gorzkim uśmiechem – to ja właśnie uchodzę za wariata, moim to kosztem bawią się od lat gospodarze tego więzienia i dobrą zabawę miałyby ze mnie dzieci, gdyby dzieci mieszkały w tym domu cierpienia.

Dantès stał chwilę nieruchomo, nie mówiąc ni słowa.

– Więc ksiądz rezygnuje z ucieczki? – rzekł nareszcie.

– Nie widzę możliwości ucieczki; próbować wciąż czynić to, czemu Bóg nie sprzyja, byłoby buntem przeciw Niemu.

– Dlaczego traci ksiądz odwagę? Za wiele żądałibyśmy od Opatrzności, gdybyśmy chcieli, aby nasze zamiary powiodły się od razu. Czy ksiądz nie może zacząć od nowa, robić to, co do tej pory, w innym kierunku?

– A czy ty wiesz, co robiłem do tej pory, że mi tak pochopnie mówisz o rozpoczynaniu od nowa? Czy wiesz, że potrzebowałem czterech lat, aby wykonać narzędzia? Czy wiesz,

że od dwóch lat ryję w ziemi twardej jak granit? Czy wiesz, że musiałem wywładać głązy, których kiedyś nawet nie ośmieliłbym się poruszyć? Że całe dnie mi upływały na tej tytanicznej pracy i że czasem, wieczorem, czułem się szczęśliwy, jeśli wygrzebałem choć cal kwadratowy tego starego cementu, twardego jak skała? Czy wiesz, czy wiesz w końcu, że musiałem przebić sklepienie, aby dostać się do klatki schodowej i mieć gdzie usunąć całą wykopaną ziemię i kamienie, i wypełniłem nimi przestrzeń pod schodami, tak że teraz nie wiedziałbym nawet, gdzie wyrzucić garść ziemi? Czy wiesz wreszcie, że już byłem pewien, że docieram do końca mojego trudu, że czułem w sobie akurat tyle tylko siły, aby dopiąć celu, gdy nagle Bóg nie tylko oddał ode mnie ten cel, ale mi zaślania do niego drogę? O tak, powiadam ci i powtarzam raz jeszcze, że odtąd nie kiwnę palcem, aby się stąd oswobodzić, bo sam Bóg zdaje się życzyć sobie, abym nigdy nie odzyskał wolności.

Edmund pochylił głowę, aby nie zdradzić, że radość, jaką odczuwał, zyskując towarzysza, nie pozwalała mu współczuć, tak jak powinien, zrozpaczonemu więźniowi.

Faria osunął się na łóżko Edmunda, ten zaś został w miejscu. Młodzieniec nigdy nie pomyślał o ucieczce. Są rzeczy, które uważamy za tak trudne do zrealizowania, że nawet przez myśl nam nie przyjdzie, aby się o nie pokusić i odrzucamy je instynktownie. Wykopać pod ziemią tunel długości pięćdziesięciu stóp, poświęcić na to trzy lata czasu, aby, jeśli się to zadanie powiedzie, dotrzeć nad skałę spadającą

pionowo w dół, w morze, skoczyć z jakichś pięćdziesięciu, sześćdziesięciu stóp, jeżeli nawet nie stu, aby rozbić sobie głowę o pierwszą lepszą skałę, jeżeli oczywiście wcześniej nie dosięgnie cię kula strażnika; potem, założywszy, że się uniknęło tych niebezpieczeństw, być zmuszonym do przepłynięcia całej mili – dosyć było tego wszystkiego, aby zrezygnować z jakichkolwiek prób, a jak widzieliśmy, Dantès posunął rezygnację nieomal do samobójstwa.

Teraz, gdy ujrzał starca czepiającego się życia z taką energią, który dawał przykład, jak zrealizować najrozpaczliwsze zamierzenia, Edmund zaczął zastanawiać się i zgłębiać swoje siły i swoją odwagę. Kto inny porwał się na to, o czym on nawet nie pomyślał; kto inny, starszy, słabszy, mniej od niego zręczny wystarał się sprytem i cierpliwością o wszystkie narzędzia, jakich mu tylko było trzeba do tego niezwykłego zamierzenia, które obróciło się wniwecz tylko dlatego, że w obliczenia wkraść się błąd; skoro ktoś inny wszystko to zrobił, i dla Dantèsa nie było więc rzeczy niemożliwych. Faria wykopał tunel o długości pięćdziesięciu stóp, on wykopie tunel stustopowy. Pięćdziesięcioletni Faria na to dzieło poświęcił trzy lata, a Dantès, liczący o połowę lat mniej poświęcić może na to sześć lat; Faria, ksiądz, uczony, nie lękał się przepłynąć z zamku If do wyspy Daume, Ratonneau albo Lemaire, a Edmund, marynarz, śmiały pływak, który nieraz docierał aż na dno morza, aby znaleźć gałązkę koralu – miałby się zawahać, że trzeba przepłynąć jedną milę? Ileż by czasu zabrało przepłynięcie

mili? Godzinę? Przecież nieraz pływał i po kilka godzin bez odpoczynku! O nie – Dantès potrzebuje tylko przykładu, aby mu dodał odwagi. To, co kto inny mógł zrobić – Dantès uczyni tym bardziej.

Przez chwilę młodzieniec pograżył się w myślach.

– Znalazłem to, czego ksiądz szukał – rzekł wreszcie do starca. Faria zadrżał.

– Ty? – rzekł, podnosząc głowę, a jego postawa wskazywała, że zniechęcenie, któremu uległ, nie potrwa długo. – Cóż znalazłeś?

– Korytarz, który ksiądz wykopał, aby tu się dostać, jest równoległy do zewnętrznej galerii, czy tak?

– Tak.

– Odległość między nimi wynosi jakieś piętnaście kroków?

– Mniej więcej.

– A więc w połowie korytarza zaczniemy kopać drogę, która będzie stanowiła jakby jedno odgałęzienie krzyża. Tym razem ksiądz przeprowadzi dokładniejsze obliczenia. Dotrzemy do zewnętrznej galerii. Zabijemy strażnika i uciekniemy. Przecież, aby ten plan nam się powiódł, potrzeba nam tylko odwagi, której księdzu nie brak, i siły, których ja mam dosyć. Nie mówię już o wytrwałości, bo ksiądz dał jej dowód i ja dam także.

– Chwileczkę – odrzekł Faria. – Nie wiesz, drogi towarzyszu, w jakim stopniu posiadam odwagę i na co chcę przeznaczyć moją siłę. Co do wytrwałości, sędzę, że byłem wystarczająco wytrwały, kiedy każdego ranka rozpoczynałem

robotę wykonywaną nocą, a każdego wieczoru tę, którą przeprowadzałem za dnia. Ale posłuchaj mnie, młodzieńcze: wiesz, zdawało mi się, że służę Bogu, uwalniając jedną z jego istot, istotę niewinną, która nie powinna być skazana.

– Ale czy cokolwiek się zmieniło? Czy ksiądz poczuł się nagle winowajcą, od chwili, kiedy się spotkaliśmy?

– Nie, ale nie chciałbym stać się nim teraz. Dotąd miałem do czynienia z martwą materią. Mogłem przebić mur i zniszczyć schody – ale nie przebiję niczyjej piersi i nie zniszczę niczyjego życia.

Dantès nie mógł powstrzymać lekkiego odruchu zdziwienia.

– Jak to, chociaż ksiądz mógłby być wolny, powstrzymując księdza podobne skrupuły?

– A ty sam – rzekł Faria – czemużeś nie wałnął któregoś wieczora dozorcę, na przykład nogą od stołu, nie ubrałeś się w jego odzienie i nie próbowałeś uciec?

– Bo mi to do głowy nie przyszło – odrzekł Dantès.

– Bo raczej czułeś taką odrazę, taki instynktowny wstręt do zbrodni, że nawet nie mogłeś wpaść na taką myśl – odpowiedział ksiądz. – Bo w rzeczach zwykłych i dozwolonych nasze przyrodzone pragnienia mówią nam, że nie wykraczamy poza nasze prawa. Tygrys, który krew przelewa z natury, potrzebuje jednej tylko rzeczy – aby węch wskazał mu, gdzie znajduje się zdobycz. Natychmiast rzuca się w jej stronę, spada na nią, zabija i rozdziera. To jego instynkt i on jest mu posłuszny. Ale człowieka, przeciwnie, krew napawa wstrętem – i to nie

prawa społeczne powstrzymują człowieka od zbrodni – ale prawa naturalne.

Dantès stał zmieszany; bo rzeczywiście, usłyszał wytłumaczenie tego, co się działo bez udziału jego świadomości w jego umyśle, a raczej w sercu, istnieją bowiem myśli, które powstają w głowie, ale i takie, które rodzą się w sercu.

– A w końcu – ciągnął Faria. – Od dwunastu lat, kiedy jestem w więzieniu, przebiegłem w myśli wszystkie słynniejsze ucieczki z więzienia. Niewiele z nich się udało. Ucieczki szczęśliwe, ukoronowane powodzeniem, są zawsze dobrze pomyślane i długo przygotowywane; w taki sposób książę de Beaufort umknął z zamku Vincennes, a Latude z Bastylii. Zdarzają się znowu ucieczki umożliwione przez przypadek – takie są najpewniejsze; czekajmy na sposobność – a jeśli się nadarzy, skorzystajmy z niej.

– Księdzu łatwo było czekać – rzekł Dantès z westchnieniem. – Ciężka praca zajmowała księdzu niemal cały czas, a kiedy nie mógł ksiądz szukać ucieczki w pracy, to mógł znaleźć pociechę w nadziejach z nią związanych.

– Ależ – sprostował ksiądz – wcale się tym ciągle nie zajmowałem.

– Cóż zatem ksiądz robił?

– Pisałem, studiowałem.

– Dają więc księdzu kałamarz, papier i pióro?

– A gdzieżby tam – sam je sobie sporządzam.

– Jak to? Papier, kałamarz i pióra? – zawołał Dantès.

– Tak.

Dantès spojrział z podziwem na tego człowieka; ale nadal nie mógł uwierzyć jego słowom. Faria spostrzegł owo lekkie powątpiewanie.

– Kiedy będziesz u mnie – rzekł – pokażę ci moje dzieło, rezultat moich rozmyślań i badań gromadzonych przez całe moje życie, gdy marzył pod cieniem Koloseum w Rzymie, u stóp kolumny Św. Marka w Wenecji, we Florencji nad brzegami Arno; ani myślałem, że dozorczy więzienni pozwolą mi kiedyś napisać tę pracę w czterech ścianach celi. Jest to *Traktat o możliwości wprowadzenia we Włoszech jednej monarchii*. W druku byłby to duży tom *in quarto*.

– A ksiądz je napisał...

– Na dwóch koszulach. Wynałazłem pewną substancję, która czyni płótno gładkie i jednolite jak pergamin.

– Więc ksiądz jest też i chemikiem.

– Tak, trochę. Znałem Lavoisiera i byłem dość blisko z Cabanisé.

– Do tego dzieła przecież trzeba było księdzu badań w źródłach historycznych. Miał ksiądz więc i książki?

– W Rzymie miałem około pięć tysięcy tomów w mojej bibliotece. W miarę jak je czytałem po raz drugi i kolejny, przekonywałem się, że sto pięćdziesiąt dzieł dobrze wybranych może nam dać, jeśli nie dokładne streszczenie całej ludzkiej wiedzy, to przynajmniej tyle, co człowiek powinien wiedzieć. Trzy lata poświęciłem na kilkakrotne przeczytanie tych stu pięćdziesięciu tomów – tak, że umiałem

je prawie na pamięć, kiedy zostałem aresztowany. Przy pewnym wysiłku pamięci, w więzieniu odświeżyłem je sobie wszystkie. Tym sposobem mogę ci deklamować z pamięci Tukidydesa, Ksenofonta, Plutarcha, Tytusa Liwiusza, Tacyta, Stradę, Jomandèsa, Dantego, Montaigne'a, Szekspira, Spinozę, Machiavellego i Bossueta. Wymieniam ci tylko najważniejsze nazwiska.

– A więc zna ksiądz wiele języków?

– Mówię pięcioma językami żywymi – po niemiecku, francusku, włosku, angielsku i hiszpańsku; dzięki starogreckiemu rozumiem grecki nowożytny – ale mówię tym językiem jeszcze źle, i właśnie teraz się go uczę.

– Jak to możliwe?

– Zrobiłem sobie słownik wyrazów, które znam, układam je, łączę i przestawiam na wszystkie sposoby, aby mógł wyrazić to, co myślę. Znam około tysiąca wyrazów – to mi w ostateczności wystarczy, chociaż w słowniku jest ich ze sto tysięcy. Nie będę bardzo wymowny, ale będę w stanie się porozumieć – a to mi wystarczy.

Edmund, coraz bardziej zadziwiony, zaczynał uważać zdolności tego człowieka za niemal nadprzyrodzone. Chciał go jednak przyłapać na jakiegokolwiek nieścistości i rzekł:

– Ale skoro nie dali księdzu piór, czymże napisał ksiądz tak ogromny traktat?

– Sam sobie sprokurowałem wyborne pióra, które uznano by niezawodnie za lepsze od zwykłych, gdyby wiedziano, z czego są

zrobione – z ości, które wyjmuję z głów tych ogromnych sielaw, które nam dają w postne dni. I dlatego z radością czekam na każdą środę, piątek i sobotę, bo w te dni mogę sobie powiększyć zapas piór, a przyznać muszę, że moje prace historyczne są moim najmiłszym zajęciem. Gdy zagłębiam się w przeszłość, zapominam o terażniejszości; gdy przechadzam się, swobodny i niezależny, po komnatach historii, nie pamiętam, że jestem w więzieniu.

– A atrament? Z czego książdź sobie zrobił atrament? – zapytał Dantès.

– Był kiedyś w mojej celi kominek – rzekł Faria. – Kominek ten zamurowano na jakiś czas przed moim przybyciem, ale palono w nim przez wiele lat i całe wnętrze pokryte jest sadzą. Rozpuściłem tę sadzę w winie, które mi dostarczają co niedziela, i mam z tego wyborny atrament. A jeśli chodzi o szczególnie ważne spostrzeżenia, które powinny zwracać uwagę czytelnika, kłuję się w palec i piszę krwią.

– I kiedy będę mógł zobaczyć to wszystko? – zapytał Dantès.

– Kiedy zechcesz.

– O! A więc zaraz! – zawołał młodzieniec.

– Dobrze, chodź za mną – zgodził się Faria.

I zniknął w podziemnym korytarzu, Dantès zaś podążył za nim.

17. Cela księdza

Dantès musiał iść pochylony, ale szedł naprzód bez trudu; niebawem dotarł do końca tunelu, którego wylot znajdował się w celi księdza. W tym miejscu chodnik tak się zwężał, że można było przecisnąć się, jedynie czołgając. Podłoga w celi księdza wykładana była kamiennymi płytami; a zatem ksiądz rozpoczął swoje trudne dzieło od oderwania w najciemniejszym kącie jednej z takich płyt.

Zaledwie Edmund wszedł do celi i wyprostował się, od razu zbadał ją wzrokiem z największą ciekawością. Na pierwszy rzut oka nie przedstawiała nic szczególnego.

– Chwała Bogu – rzekł ksiądz. – Jest dopiero kwadrans po dwunastej, mamy więc jeszcze kilka zupełnie spokojnych godzin.

Dantès rozejrzał się wokoło, chcąc znaleźć zegar, który pozwalał księdzu tak dokładnie mierzyć czas.

– Spójrz na ten promień światła zaglądający przez okno – rzekł ksiądz – i obejrzyj na murze te linie, które narysowałem. Dzięki tym liniom, które wyznaczyłem według podwójnego ruchu ziemi – dookoła własnej osi i elipsy, jaką opasuje słońce – znam lepiej czas, niż gdybym miał zegarek, bo zegarek się psuje, zaś Ziemia i Słońce nie psują się nigdy.

Dantès nie zrozumiał ani słowa z tego wszystkiego; widząc, że słońce podnosi się spoza gór, a zachodzi nad Morzem

Śródziemnym, był zawsze przekonany, że to Słońce się porusza, nie zaś Ziemia. Ten podwójny ruch globu ziemskiego, na którym mieszkał, wydał mu się niepodobieństwem, bo go nie zauważał; w każdym słowie swego nowego przyjaciela widział tajemnice nauki równie godne zbadania, jak owe kopalnie złota i diamentów, które zwiedził w dzieciństwie w Guzarate i Golkondzie.

– Proszę księdza, chciałbym poznać skarby, które ksiądz zebrał – rzekł.

Ksiądz podszedł do kominka, odsunął za pomocą dłuta kamienną płytę tworzącą niegdyś palenisko, która skrywała dość głębokie zagłębienie; w tym właśnie miejscu przechowywał wszystkie narzędzia i przedmioty, o których mówił Dantèsowi.

– Cóż chcesz najpierw zobaczyć? – zapytał.

– Niech mi ksiądz pokaże swoje wielkie dzieło o państwie włoskim.

Faria wyjął z cennej skrytki kilka rulonów płótna, podobnych do zwojów papirusowych; były to pasy szerokości około czterech cali, a długie na osiemnaście. Pasy te były ponumerowane, a tekst, jaki zawierały, był zrozumiały dla Dantèsa, zapisany był bowiem w ojczystym języku księdza, to jest po włosku, a dialekt prowansalski, jakim posługiwał się młodzieniec, miał wiele podobieństwa do włoskiego.

– Patrz – rzekł ksiądz. – Przed tygodniem napisałem „koniec” na dole sześćdziesiątego ósmego pasa. Poszły na to dwie moje koszule i wszystkie chustki, jakie tylko miałem; jeżeli

kiedykolwiek stąd wyjdę, a znajdzie się wydawca, który odważy się wydrukować moją pracę, zdobędę sławę.

– O tak – zawołał Dantès. – i ja tak myślę. Teraz niech mi ksiądz pokaże jeszcze pióro, którym to dzieło ksiądz napisał.

– Proszę – rzekł Faria.

I pokazał Dantèsowi patyczek długości sześć cali; gruby jak trzonek pędzla; na końcu przywiązana była nitką powalana atramentem płaska kosteczka, o której wspominał Faria; miała wydłużony kształt i była przycięta na końcu jak zwyczajne pióro.

Dantès przypatrzył mu się dobrze i jął rozglądać się za narzędziem, którym można było z taką dokładnością naostrzyć pióro.

– Ale, ale – rzekł Faria – oto scyzoryk. To moje arcydzieło; zrobiłem go, podobnie jak ten nóż, ze starego żelaznego lichtarza.

Dantès przypatrywał się wszystkim tym przedmiotom z ciekawością, z jaką oglądał jeszcze w Marsylii, w sklepach osobliwości, przedmioty wyrabiane przez dzikich, a sprowadzane z za mórz południowych przez kapitanów wracających z dalekich rejsów.

– Atrament – mówił dalej Faria – sporządzam w miarę potrzeby, sposobem już ci wiadomym.

– Teraz jednemu się tylko dziwię: że ksiądz potrafił tyle zrobić, pracując tylko za dnia.

– Przecież miałem i noce – odrzekł Faria.

– Noce! Jak to? Czy ksiądz ma koci wzrok, że może widzieć

w nocy?

– Nie – ale Bóg dał człowiekowi inteligencję, która winna pomagać jego ograniczonym zmysłom: wystarałem się więc o światło.

– Jakimże sposobem?

– Oddzielam tłuszcz od mięsa, które mi przynoszą; topię go i otrzymuję zeń coś w rodzaju gęstej oliwy. Patrz, oto moja świeca.

I ksiądz pokazał Dantèsowi coś na kształt lampki oliwnej, podobnej do tych, jakich używa się w czasie publicznych iluminacji.

– A skąd ogień?

– Oto dwa kamyki – i kawałek spalonej koszuli.

– Ale zapaliki?

– Udałem, że mam jakąś chorobę skórą, poprosiłem o siarękę i dano mi ją.

Dantès położył wszystkie te przedmioty na stole i spuścił głowę, przygnieciony wytrwałością i siłą tego umysłu.

– To jeszcze nie wszystko – mówił Faria. – Nie można chować wszystkiego w jednym miejscu; zamknijmy najpierw tę skrytkę.

Położyli płytę na swoim miejscu; ksiądz przyprószył ją nieco piaskiem, zatarł nogą, aby ślad nie pozostał po najmniejszej szczelinie, po czym podszedł do łóżka i odsunął je.

Za wezgłowiem znajdowało się zagłębienie zamknięte nadzwyczaj szczelnie kamieniem, a w zagłębieniu drabinka sznurowa długości dwudziestu pięciu do trzydziestu stóp.

Dantès przyjrzał się jej: była nadzwyczaj mocna.

– Któż dostarczył księdzu powrozu na tę zadziwiającą drabinę?

– Poszło na to najpierw kilka koszul, następnie kilka prześcieradeł, z których podczas trzyletniego pobytu w Fenestrelle wyciągałem nitki. Kiedy przeniesiono mnie do zamku If, znalazłem sposób, aby je zabrać ze sobą – i tu robiłem ją dalej.

– I nie spostrzeżono, że prześcieradła księdza były wystrzępione?

– Obrębiałem je na nowo.

– Czym?

– Tą oto igłą.

To mówiąc, ksiądz odsłonił połę podartego ubrania i pokazał Dantèsowi długą, ostrą ość, wciąż nawleczoną, którą zawsze nosił wpiętą w materiał odzienia.

– Tak – ciągnął Faria. – Myślałem najpierw o wyłamaniu tych krat i ucieczce przez to okno, szersze nieco od twojego, jak sam widzisz, a poszerzyłbym je jeszcze tuż przed ucieczką; spostrzegłem jednak, że okno wychodzi na wewnętrzny dziedziniec, zaniechałem więc tego zamiaru, był zbyt ryzykowny. Ale zachowałem drabinę na wszelki wypadek, gdyby nadarzyła się przypadkiem taka okazja, o czym ci już mówiłem.

Dantès, przypatrując się prostej z pozoru drabinie, myślał jednak o czym innym; przyszła mu bowiem do głowy nagła myśl, że ten człowiek, tak inteligentny, pomysłowy i przenikliwy,

może ujrzałby coś w ciemnościach kryjących jego nieszczęście, w których błdził on sam, nie mogąc odkryć przyczyny swojego losu.

– O czym tak myślisz? – zapytał ksiądz z uśmiechem, biorąc to zamyślenie za wyraz podziwu dla siebie.

– Myślę przede wszystkim o tym, jaki ogrom inteligencji był księdzu potrzebny, aby dotrzeć do takich rezultatów – i czego mógłby ksiądz dokonać na wolności!

– Być może nic. Nadmiar inteligencji rozproszyłby się zapewne na głupstwa. Trzeba nieszczęścia, aby dokopać się w ludzkim umyśle do tych tajemniczych, przebogatych skarbów; aby mogły być wydobyte na światło dzienne, najpierw trzeba wysadzić skałę, która tamuje do nich dostęp. Więzienie spowodowało, że moje wszystkie umiejętności skupiły się w jednym punkcie; zamknięte w ciasnej przestrzeni zderzyły się ze sobą, a wiesz, że ze zderzenia chmur bierze się elektryczność, z elektryczności błyskawica, z błyskawicy światło.

– Nic a nic nie wiem – jęknął Dantès, poniżony swoją niewiedzą. – Część słów, jakie ksiądz wypowiada jest dla mnie zupełnie pozbawiona sensu; o, ksiądz jest naprawdę szczęśliwy, posiadając tyle wiedzy.

Ksiądz uśmiechnął się.

– Mówiłeś mi przed chwilą, że myślisz o dwóch rzeczach, prawda? A powiedziałeś mi tylko o jednej. Jakaż jest tedy druga?

– Druga? To ta, że ksiądz opowiedział mi swoje życie, a nic nie wie jeszcze o moim.

– Życie twoje, młodzieńcze, jest zbyt krótkie, aby mogło się w nim wydarzyć coś ważnego.

– Ale mieści już w sobie wielkie nieszczęście – odparł Dantès – a jest to nieszczęście, na które nie zasłużyłem; i chciałbym móc je przypisać ludziom, aby nie bluźnić już Bogu, jak mi się to zdarzało.

– A zatem uważasz się za niewinnego?

– Jestem niewinny – przysięgam na głowę mojego ojca i Mercedes; to dla mnie dwie najdroższe istoty w życiu.

– Dobrze – rzekł ksiądz, zamykając skrytkę i przysuwając na miejsce łóżko – opowiedz mi swoją historię.

Dantès opowiedział mu tedy to, co uznał za historię swojego życia, a która ograniczała się do jednej podróży do Indii oraz dwu czy trzech do Lewantu; na koniec przeszedł do ostatniego rejsu, do śmierci kapitana Leclère, do pakietu, który wręczył marszałkowi, wspomniał o liście od niego otrzymanym, a przeznaczonym dla pana Noirtier z Paryża; wreszcie o przybyciu do Marsylii, rozmowie z ojcem, o miłości do Mercedes, uczcie zaręczynowej, zatrzymaniu go przez policję, przesłuchaniu, tymczasowym uwięzieniu w gmachu sądu i na koniec ostatecznym osadzeniu go w zamku If. Gdy dotarł do tego punktu, Dantès nie wiedział już nic więcej – nawet ile czasu spędził do tej pory w więzieniu.

Gdy skończył opowiadać, ksiądz popadł w głębokie zamyślenie.

– Jest jeden głęboki aksjomat prawny – odezwał się po chwili

– który sprowadza się do tego, co ci niedawno mówiłem: jeżeli tylko zła myśl nie powstaje w spaczonym umyśle, natura ludzka żywi wstręt do zbrodni. Ale cywilizacja nadała nam pewne potrzeby, wady, sztuczne żądze, które częstokroć przygłuszają w nas nasze najlepsze instynkty i wiedzą do złego. Stąd bierze się następująca zasada: „jeżeli chcesz znaleźć winnego, szukaj najpierw tego, komu popełnienie zbrodni mogłoby przynieść korzyść”. Kto mógłby skorzystać z twojego zniknięcia?

– Nikt, mój Boże! Przecież nic nie znaczyłem.

– Nie mów tak, bo w tej odpowiedzi brak logiki i zmysłu filozoficznego; wszystko jest względne, mój drogi; od króla, który stoi na zawadzie swemu następcy, aż do najniższego urzędnika, który zawadza nadetatowemu koledze. Jeśli umiera król, następca dziedziczy koronę; jeśli umiera urzędnik, kolega, któremu brakło etatu, otrzymuje jego tysiąc dwieście liwrów pensji. Te tysiąc dwieście liwrów to jego lista cywilna i są mu tak potrzebne do życia, jak królowi jego dwanaście milionów. Każdy człowiek, na każdym szczeblu hierarchii społecznej, tworzy wokół siebie mały światek rozmaitych interesów, mający swoje wiry i powinowactwa – jak światy u Kartezjusza. I tylko kręgi tych światków ogarniają coraz więcej, w miarę, jak wznoszą się w hierarchii. Ale wróćmy do twojego własnego świata; miałeś więc być mianowany kapitanem „Faraona”?

– Tak.

– Miałeś się ożenić z piękną dziewczyną?

– Tak.

– Czy komuś nie zależało na tym, abyś nie został kapitanem „Faraona”? Czy komuś nie zależało, abyś nie poślubił Mercedes? Odpowiedz najpierw na pierwsze pytanie, bo porządek jest kluczem do rozwiązania wszelkich kwestii. Czy komuś mogło zależeć, abyś nie został kapitanem „Faraona”?

– Nie. Wszyscy mnie bardzo lubili na statku. Gdyby marynarze mieli prawo wybrać sobie dowódcę, jestem pewny, że mnie by wybrali. Jeden tylko człowiek mógł mieć do mnie jakąś urazę; miałem z nim trzy miesiące wcześniej sprzeczkę, wyzwalam go na pojedynek, ale on nie stanął.

– No, no! Jak się ten człowiek nazywa?

– Danglars.

– Kim był na statku?

– Buchalterem.

– Gdybyś był kapitanem, utrzymałbyś go na stanowisku?

– Nie, gdyby tylko ode mnie to zależało, bo zdawało mi się, że były pewne nieścisłości w jego rachunkach.

– Dobrze. Czy był ktoś obecny przy twojej rozmowie z kapitanem Leclère?

– Nikt. Byliśmy sami.

– I nikt tej rozmowy nie mógł podsłuchać?

– Mógł, bo drzwi były otwarte, a nawet... chwileczkę... tak, tak; przechodził tamtędy Danglars, właśnie w chwili, gdy kapitan Leclère oddawał mi paczkę do marszałka wielkiego.

– No tak – kiwnął głową ksiądz – mamy już niewątpliwy ślad. Czy wzięłeś kogoś ze sobą na brzeg, kiedy dopłynęliście do Elby?

– Nikogo nie zabierałem.

– Dano ci tam list?

– Tak, marszałek dał mi list.

– Cóżes z tym listem zrobił?

– Włożyłem go do pugilaresu.

– Miałeś więc ze sobą pugilares? Jak pugilares z urzędowym listem mógł się zmieścić w kieszeni marynarskiego stroju?

– Ma ksiądz słuszość, pugilares został na statku.

– Więc dopiero na pokładzie włożyłeś list do pugilaresu, a gdzie miałes list, gdy wracałeś z Portoferraio na pokład?

– Trzymałem go w ręku.

– Kiedy więc wchodziłeś na pokład, każdy mógł zobaczyć, żeś trzymał list w ręku?

– Tak.

– Danglars tak samo, jak inni?

– Tak samo.

– Teraz słuchaj uważnie i zbierz całą pamięć: czy przypominasz sobie, jak brzmiała denuncjacja?

– O tak, czytałem ją trzy razy i każde słowo utkwilo mi w pamięci.

– Powtórz mi ją.

Dantès powtórzył co do słowa cały list denuncjacyjny.

Ksiądz wzruszył ramionami.

– To jasne jak słońce – powiedział – tylko ty jesteś naiwny i zbyt prostolinijny, skoro od razu wszystkiego nie odgadłeś.

– Tak ksiądz sądzi? – wykrzyknął Dantès – Ach, to byłaby

podłość!

- Jaki charakter pisma miał Danglars?
- Piękny, nieco pochylony.
- Jakim napisano zaś donos?
- Pochylonym w lewo.

Ksiądz uśmiechnął się.

- Naumyślnie zmienionym, prawda?
- To pismo było zbyt śmiałe, aby mogło być sfałszowane.
- Czekać no...

Wziął pióro, czy raczej to, co nazywał piórem, zanurzył w atramencie i napisał lewą ręką na przygotowanym zawczasu pasku płótna pierwsze wiersze donosu. Dantès cofnął się i spojrzał niemal z przestachem na księdza.

– Ach, to zadziwiające – wykrzyknął – jak tamto pismo było podobne do tego.

– To dowodzi, że denuncjacja napisana była lewą ręką. Jedną rzecz zauważyłem – że litery pisane prawą ręką są zawsze różne, zaś pisane lewą ręką wyglądają identycznie.

– Więc ksiądz wszystko widział, wszystko zbadał?

– No, no, idźmy dalej, przystąpmy do drugiego pytania. Czy zależało komuś na tym, abyś nie ożenił się z Mercedes?

– O tak! Był pewien młody człowiek, który się w niej kochał.

– Jak się nazywał?

– Fernand.

– To hiszpańskie nazwisko.

– Jest Katalończykiem.

– Sądzisz, że byłby zdolny do napisania podobnego listu?
– O, nie! Ten mógłby zakłuć mnie nożem – ale nic innego.
– Tak, taka jest natura Hiszpana; morderstwo tak, ale podłość
nie.

– Prócz tego nie znał szczegółów, które podaje ta denuncjacja.
– Nikomu się z nich nie zwierzałeś?
– Nikomu.
– Nawet kochance?
– Nawet narzeczonej.
– Więc to Danglars.
– O! Teraz i ja jestem tego pewien.
– Powiedz mi jeszcze, czy Danglars znał Fernanda?
– Nie... tak!... przypominam sobie...
– Co takiego?
– Dwa dni przed moim ślubem widziałem ich razem, przy jednym stole w altanie u Pamfila. Danglars był wesoły i traktował mnie przyjaźnie, a Fernand był blady i drżący.
– Czy byli sami?
– Nie, byli w trójkę. Siedział z nimi mój dobry znajomy, i to on na pewno poznał ich ze sobą – krawiec, nazywa się Caderousse, ale ten miał już dobrze w głowie. Chwileczkę... chwileczkę... Ach, jak mogłem o tym zapomnieć? Obok stołu, na stoliku stał kałamarz z piórem, leżał papier... – Dantès przetarł dłonią czoło
– O nikczemni! Nikczemni!
– Czy chcesz jeszcze się czegoś dowiedzieć? – rzekł ksiądz z uśmiechem.

– Tak, tak, bo ksiądz potrafi wszystko zgłębić, bo ksiądz widzi jasno wszystkie rzeczy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego byłem przesłuchiwany tylko raz, dlaczego nie stanąłem przed sądem i czemu skazany zostałem bez wyroku?

– A, to co innego, to sprawa nieco trudniejsza; jaśnie pani sprawiedliwość rządzi się ciemnymi i tajemniczymi zasadami, które trudno przeniknąć. To, co wymyśliliśmy tu odnośnie do dwóch twoich przyjaciół, było dziecinną zabawką; zaś jeśli idzie o tę kwestię, musisz mi dać jak najdokładniejsze wyjaśnienia.

– Dobrze, ale niech ksiądz mnie pyta, bo w rzeczy samej ksiądz lepiej potrafi się wyrozumieć w moim życiu niż ja sam.

– Kto cię przesłuchiwał? Prokurator królewski, podprokurator, czy też sędzia śledczy?

– Podprokurator.

– Młody czy stary?

– Młody, mógł mieć dwadzieścia siedem, osiem lat.

– No to jeszcze nie zepsuty, ale już ambitny – rzekł ksiądz.

– Jak się z tobą obszedł?

– Był raczej łagodny niż surowy.

– Opowiedziałeś mu wszystko?

– Wszystko.

– Czy w trakcie śledztwa nie zmieniło się jego zachowanie?

– Tak, przez chwilę zdawał się mocno poruszony, gdy przeczytał list, który mnie kompromitował; wydawało się, jakby moje nieszczęście go mocno przygnębiło.

– Twoje nieszczęście?

– Tak.

– Jesteś pewny, że współczuł twojemu nieszczęściu?

– Dał mi przynajmniej wyraźny dowód sympatii.

– Jaki?

– Sam spalił list, jedyny dowód, który mnie mógł skompromitować.

– Który? Denuncjację?

– Nie – list.

– Jesteś tego pewien?

– Przecież to się stało na moich oczach.

– O, to co innego – ten człowiek może być o wiele większą kanalią, niż mógłbyś sądzić.

– Na honor! Książd mnie przeraża – wykrzyknął Dantès. – Czy na świecie istnieją tylko tygrysy i krokodyle?

– Tak. Z tą różnicą, że dwunożne tygrysy i krokodyle są niebezpieczniejsze od czworonożnych.

– Niech książd pyta dalej, dalej...

– Spalił ten list, powiadasz?

– Tak, i powiedział mi jednocześnie: „Jeden tylko dowód świadczy przeciw tobie i spójrz – niszczę go”.

– Postępowanie to jest tak wspaniałomyślne, że nie może być naturalne.

– Tak książd sądzi?

– Jestem o tym przekonany. Do kogóż ten list był adresowany?

– Do pana Noirtier, mieszkającego na ulicy Coq-Héron nr 13 w Paryżu.

– Jak ci się zdaje, czy ten podprokurator nie miał w tym własnego interesu, aby list zniszczyć?

– Być może, bo mi ze trzy razy kazał przysięgać, że nie wspomnę nikomu ani słowa o tym liście i że nigdy nie zdradzę nazwiska z koperty.

– Noirtier – powtórzył ksiądz. – Noirtier? Znałem jakiegoś Noirtiera na dworze królowej Etrurii, był on żyrondistą za rewolucji francuskiej. A jak się twój podprokurator nazywał?

– De Villefort.

Faria parsknął śmiechem.

Dantès spojrzał nań osłupiały.

– Co się księdzu dzieje? – zapytał.

– Czy widzisz ten jasny promień słońca? – zapytał ksiądz.

– Widzę.

– Otóż teraz wszystko jest dla mnie jaśniejsze od tego promienia, tak świetlistego i przejrzystego. Biedne dziecko, biedny młodzieńcze! I ten urzędnik był dobry dla ciebie?

– Tak.

– Ten szlachetny podprokurator spalił ów list?

– Tak.

– Ten uczciwy dostawca kata kazał ci przysiąc, że nie wymienisz nigdy nazwiska Noirtier?

– Tak.

– Biedny ślepcze – a czy ty wiesz, kim jest ten Noirtier? To jego własny ojciec!

Gdyby nagle piorun uderzył Dantèsowi u stóp i otworzył mu

przepaść, w której głębi byłoby widać piekło, nie sprawiłby na nim wrażenia równie elektryzującego, równie miazdzącego jak te niespodziane słowa. Powstał i porwał się za głowę obiema rękami, jakby w obawie, że mu pęknie.

– Jego ojciec! Jego ojciec! – zawołał.

– Tak, jego ojciec nazywa się Noirtier de Villefort – odpowiedział ksiądz.

I nagle Dantèsowi rozjaśniło się w głowie, wszystko, co do tej pory pozostawało w mroku, w jednej chwili stanęło jakby w jasnym blasku dnia. Owe dziwne wahania Villeforta w czasie badań, zniszczenie listu, wymuszenie przysięgi, ten głos błagający prawie, który zamiast grozić, zdawał się prosić, wszystko to razem stanęło mu przed oczyma. Krzyknął, zachwiał się jak pijany i rzucił się do otworu tunelu, co prowadził do jego celi, bełkocząc:

– Och! Muszę być sam, aby pomyśleć o tym wszystkim.

Doczołgawszy do swego lochu, rzucił się na łóżko; wieczorem dozorca zastał go w tym samym miejscu: siedział na łóżku, nieruchomy i niemy jak posąg, ze ściągniętymi rysami i oczyma wlepionymi w jeden punkt.

W czasie tych rozmyślań, podczas których godziny upływały mu jak sekundy, powziął okropne postanowienie i złożył straszną przysięgę.

Jakiś głos ocucił Dantèsa z tego zamyślenia; był to Faria, u którego dozorca był już także i który przyszedł zaprosić teraz Dantèsa na kolację. Jego status wariata, a co ważniejsze wariata

wesołego, nadawał staremu więźniowi pewne przywileje: co niedzielę dawano mu na przykład nieco bielszy chleb i buteleczkę wina. Była właśnie niedziela i ksiądz zapraszał swego młodego towarzysza, aby podzielił z nim chleb i wino.

Dantès udał się za nim; rysy twarzy nieco mu się odprężyły, ale jego oczy przybrały wyraz stanowczości i surowości, zdradzając powzięte postanowienie. Ksiądz popatrzył na niego uważnie.

– Niekontent jestem, że ci dopomogłem w rozwiązaniu tajemnicy – rzekł.

– Dlaczego? – zapytał Dantès.

– Bo wlałem ci w serce uczucie, które tam nigdy jeszcze nie gościło: żądzę zemsty.

Dantès uśmiechnął się.

– Mówmy o czym innym – rzekł.

Ksiądz patrzył jeszcze na niego przez chwilę, potem pokiwał ze smutkiem głową; na koniec usłuchał prośby Dantèsa i wszczął rozmowę o czym innym.

Dantès słuchał z podziwem każdego jego słowa; czasem to, co mówił Faria, dotyczyło tego, o czym sam Dantès kiedyś już rozmyślał lub spraw związanych z jego marynarskim życiem; czasem poruszał przedmioty całkiem mu nieznane, które jak zorza polarna, oświetlająca żeglarzom drogę w krainach podbiegunowych podróznemu, ukazywały młodzieńcowi nowe krajobrazy, nowe horyzonty, rozjaśnione fantastycznym blaskiem. Edmund zaczął pojmować to szczęście,

jakie stałoby się udziałem dla człowieka inteligentnego, zdolnego wznieść się za tym wybitnym umysłem na te wyżyny wiedzy moralnej, filozoficznej i społecznej, gdzie Faria czuł się jak u siebie.

– Powinien mnie ksiądz nauczyć choć odrobiny tego, co sam wie – rzekł Dantès – choćby tylko dlatego, aby się nie nudzić w rozmowie ze mną. Zdaje mi się teraz, że ksiądz wolałby samotność niż towarzystwo człowieka tak niewykształconego i prostego. Jeśli ksiądz przystanie na moją prośbę, przysięgnę, że nigdy nie będę mówić o ucieczce.

Ksiądz uśmiechnął się znowu.

– Niestety, drogie dziecko – rzekł. – Wiedza ludzka jest bardzo ograniczona i gdy cię nauczę matematyki, fizyki, historii i kilku żywych języków, którymi sam mówię, będziesz umiał tyle, co ja; a całą tę wiedzę mógłbym ci przekazać w ciągu dwóch lat.

– Dwóch lat! Jak to? Myśli ksiądz, że mógłbym wszystkiego nauczyć się w dwa lata?

– Nie nauczysz się praktycznego zastosowania tych nauk, ale zasad jak najbardziej; nauczyć się a umieć, są to rzeczy zupełnie różne; są mędrkowie i mędrcy – dzięki wybornej pamięci można stać się jednymi, drugich rodzi filozofia.

– A czyż nie można nauczyć się filozofii?

– Filozofii nauczyć się nie można; filozofia to połączenie wszystkich nauk, uzyskanych i stosowanych przez geniusza; filozofia to jaśniejący obłok, na którym Chrystus postawił stopę, by wstąpić do nieba.

– O, ciekaw jestem – rzekł Dantès – czego mnie ksiądz będzie najpierw uczył? Chciałbym zacząć jak najprędzej, jestem spragniony wiedzy.

– Wszystkiego – odparł ksiądz.

I w rzeczy samej, tego samego wieczora obaj więźniowie ułożyli plan nauki, a jego realizację rozpoczęli nazajutrz. Dantès miał nadzwyczajną pamięć i niesłychaną łatwość pojmowania: jego wrodzone zdolności matematyczne ułatwiały mu ujmowanie wszystkiego za pomocą rachunku, a obdarowany jednocześnie, jako żeglarz, iście poetyckim usposobieniem – wprowadzał poprawki tam, gdzie dowód mógł się wydawać zbyt materialny, bo sprowadzony do suchych cyfr lub jednostajnych linii geometrycznych. Znał wcześniej język włoski i nowogrecki, którego nauczył się cokolwiek podczas podróży na wschód. Dzięki znajomości tych języków był w stanie szybko pojąć zasady i budowę innych i po upływie sześciu miesięcy zaczynał już mówić po hiszpańsku, angielsku i niemiecku.

Tak jak to przyrzekł księdzu, nie mówił już o ucieczce, czy dlatego, że nauka zastępowała mu jakby wolność, a być może dlatego, że chciał dotrzymać słowa z właściwą sobie surowością; jak widzieliśmy, dni wypełnione nauką upływały mu szybko. Po roku był już innym człowiekiem.

Co do Farii, Dantès zauważył, że ksiądz z każdym dniem stawał się pochmurniejszy, że mimo urozmaicenia, jakie przyniosła mu obecność towarzysza, jakaś nieustająca myśl zdawała się kotłować mu w głowie; wpadał w głębokie zadumy,

wzdychał mimowolnie, powstawał nagle, krzyżował ramiona i przechadzał się posępnie po celi.

Pewnego dnia podczas jednej z takich powtarzanych w nieskończoność wędrówek stanął nagle i zawołał:

– Ach! Gdyby tylko nie było strażnika!

– Strażnik będzie dopóty, dopóki ksiądz sobie będzie tego życzył – rzekł Dantès, który podążył za jego myślą z taką łatwością, jakby ją widział w kryształowej kuli.

– Już ci powiedziałem, że wzdragam się na myśl o morderstwie.

– A jednak to zabójstwo byłoby popełnione z konieczności samoobrony, wynikłoby z naturalnego instynktu samozachowawczego.

– Cóż z tego – nie byłbym w stanie tego zrobić.

– A jednak myśli ksiądz o tym nieustannie?

– Bez przerwy, bez przerwy – szepnął Faria.

– I znalazł ksiądz jakiś sposób, aby się stąd wydostać, prawda? – zawołał żywo Dantès.

– Tak, znalazłem, jeżeli postawią na galerii strażnika ślepego i głucheego!

– Będzie głuchy i ślepy – odpowiedział młodzieniec z akcentem takiej stanowczości, że Faria się przeraził.

– Nie, nie! – zawołał. – To niemożliwe!

Dantès chciał podtrzymać rozmowę, ale ksiądz potrząsnął głową i nie odpowiedział.

Tak minęły trzy miesiące.

– Czy jesteś silny? – zagadnął pewnego razu Faria.

Dantès nie odpowiedział, wziął dłuto, zgiął na kształt podkowy i odgiął znowu.

– Przysięgniesz mi, że tylko w ostateczności zabiłbyś strażnika?

– Tak, przysięgam na mój honor.

– Możemy więc przystąpić do wykonania naszego planu.

– Jak wiele nam trzeba na to czasu?

– Co najmniej rok.

– A kiedy moglibyśmy przystąpić do dzieła?

– Natychmiast.

– Ach, widzi ksiądz! Tośmy stracili cały rok! – zawołał Dantès.

– Sądzisz, że naprawdę go straciliśmy? – uśmiechnął się Faria.

– Ach, przepraszam, przepraszam – zawołał Edmund, rumieniąc się.

– Cicho! – rzekł ksiądz. – Człowiek jest tylko człowiekiem – a ty i tak jesteś jednym z najlepszych, jakich znałem. Patrz, oto mój plan.

I ksiądz pokazał Dantèsowi rysunek celi, izby Dantèsa i łączącego je podziemnego tunelu. Ze środka tego tunelu Faria chciał zacząć kopać wąski chodnik, podobny do tych, jakie się robi w kopalniach. Chodnik ten miał zaprowadzić obu więźniów pod galerię, po której przechadzał się strażnik. Znalazłszy się tam, mieli wykopać szeroką jamę i podważyć jedną z kamiennych płyt, które tworzyły podłogę krużganka;

w odpowiedniej chwili płyta miała się zapisać pod ciężarem żołnierza, który runąłby w głąb jamy. W tejże chwili Dantès miał się rzucić na ogłuszonego upadkiem i niebędącego się w stanie bronić strażnika, związać go i zakneblować mu usta; wówczas obaj więźniowie wydostaliby się przez jedno z okien galerii i spuścili w dół murów po drabince.

Dantès klasnął w ręce, oczy zaiskrzyły mu się radością; plan był tak prosty, że nie mógł się nie udać. Tego samego dnia obaj górnicy wzięli się do pracy z tym większym zapałem, że następowała po tak długim wypoczynku, ponadto była przecież tylko wprowadzaniem w czyn najskrytszych ich pragnień.

Nic im pracy nie przerywało, poza czasem, kiedy każdy z nich musiał udać się do siebie przed wizytą dozorca. Nauczyli się zresztą rozpoznawać, po tym niemal nieuchwytnym odgłosie kroków, kiedy dozorca schodził do lochów, więc żadnego nie złapał nigdy na gorącym uczynku. Ziemię wydobywaną z nowego podkopu wyrzucali stopniowo i z niesłychaną ostrożnością przez okienka w lochu Dantèsa lub w celi księdza, a wiatr nocny rozwiewał proch daleko, nie zostawiając po nim ni śladu. Praca ta trwała przeszło rok, a posługiwali się jedynie narzędziami, o których już pierwaj mówiliśmy: dłutem, nożem i drewnianym drągiem do podważania głązów. Przez ten rok Faria nie przestawał podczas pracy uczyć Dantèsa, rozmawiając z nim to w tym, to w innym języku, ucząc historii narodów i ludzi wielkich, którzy zostawiają za sobą ten błyszczący ślad, zwany sławą. Ksiądz, człowiek światowy, obracający

się w najwyższych sferach, miał obejście pełne dystynkcji, a zarazem jakiejś majestatycznej melancholii, a Dantès, dzięki swej chłonnej naturze, potrafił sobie przyswoić owe wykwintne maniery, których mu brakowało, ów arystokratyczny sposób bycia, których można nabrać jedynie w obcowaniu z osobami z klas najwyższych lub z ludźmi o wyjątkowych walorach umysłu.

Po piętnastu miesiącach chodnik wiodący pod galerię był gotowy; wyraźnie słysząc już było kroki strażnika. Nasi robotnicy, którzy – aby zapewnić sobie jak największe powodzenie w ucieczce – czekali na noc ciemną i bezksiężycową, obawiali się teraz tylko jednej rzeczy: że ziemia zawali się sama, i to zbyt prędko pod stopami strażnika. Zapobiegli więc temu ryzyku, podpierając płytę małą belką, na którą natknęli się w fundamentach. Dantès umocowywał ją właśnie, gdy wtem usłyszał, jak Faria, który został w celi Edmunda, aby zaostrzyć kołek, na którym miała wisieć drabinka, zaczął go rozpaczliwie wzywać do siebie. Dantès wrócił pospiesznie do celi i ujrzał, że ksiądz stoi na środku celi, blady, z czołem pokrytym potem i kurczowo zaciśniętymi dłońmi.

– Ach, mój Boże! – wykrzyknął Dantès. – Co się księdzu dzieje?

– Prędko, prędko, słuchaj mnie – odparł Faria.

Dantès spojrzał na posiniąłą twarz Farii, oczy obwiedzione fioletowym cieniem, zbiele usta, zjeżone włosy i w przerażeniu upuścił na ziemię dłuto.

– Ale co się stało? – zawołał.

– Jestem zgubiony! – wydusił z siebie Faria. – Posłuchaj. Dopada mnie straszliwa choroba, być może nawet śmiertelna, czuję, że właśnie zbliża się atak. Miałem taki sam rok temu. Jedno jest tylko lekarstwo na tę chorobę – powiem ci jakie; biegnij prędko do mojej celi, podnieś nogę od łóżka; noga jest wydrażona i znajdziesz tam kryształową flaszeczkę z czerwonym płynem, przynieś ją tu albo nie, nie... Mogliby mnie tu przyłapać. Pomóż mi wrócić do celi, póki jeszcze mam trochę siły. Bóg wie, co się będzie działo podczas mojego ataku.

Dantès, nie tracąc głowy ani na chwilę, choć nieszczęście było wielkie, szedł do podkopu, z trudem wlokąc za sobą towarzysza; doprowadził go do przeciwległego otworu, wciągnął do celi i położył na łóżku.

– Dziękuję ci – rzekł ksiądz, dygocząc całym ciałem, jakby wyszedł z lodowatej wody. – Atak jest blisko, wpadnę wkrótce w katalepsję. Być może, że nawet się nie poruszę, nie wydam najmniejszego jęku, ale może się też zdarzyć, że piana pocieknie mi z ust, że będę się przeżył i krzyczał. Staraj się, aby nie usłyszano moich krzyków, to ważne, bo wówczas przenieśliby mnie pewnie do innej celi i bylibyśmy rozłączeni na zawsze. Kiedy będę już zupełnie nieruchomy, zimny i jakby martwy, dopiero wtedy, uważaj dobrze, dopiero wtedy otworzysz mi nożem zaciśnięte zęby, wlejesz mi do ust osiem do dziesięciu kropli tego płynu, to może odzyskam przytomność.

– Może? – zawołał z rozpaczą Dantès.

– Ratuj mnie, ratuj – zawołał ksiądz – umie... umie...

Atak był tak nagły i gwałtowny, że nieszczęśliwy ksiądz nie mógł nawet dokończyć rozpoczętych słów; czoło powlekło mu się cieniem, jak wśród morskiej burzy. Cierpienie rozszerzyło mu źrenice, wykrzywiło usta, na lica wystąpił mu krwawy rumieniec; zaczął się rzucać, piana wystąpiła mu na ustach, wydał okropne rżenie; ale Dantès zgodnie z poleceniem stłumił te krzyki, otulając mu twarz kołdrą. Trwało to dwie godziny; na koniec ksiądz opadł na łóżko bezwładnym ciałem, zimniejszy i bielszy od marmuru, zwiotczały jak zdeptana łodyga trzciny, wyprężył się w ostatnich konwulsjach i posiniał.

Edmund poczekał, aż ta pozorna śmierć zawładnie całym zlodowaciałym ciałem i dosięgnie serca; potem wziął nóż, wsunął go księdzu między zęby, rozwarł z największym wysiłkiem zaciśnięte szczęki, wlał do ust dziesięć kropli czerwonego płynu, odliczając kroplę po kropli, i czekał znowu.

Upłynęła dobra godzina, a starzec nie dawał najmniejszego znaku życia. Dantès, przerażony, czy nie nazbyt długo czekał, wpatrywał się weń, zanurzwszy dłonie we włosy. Na koniec lekki rumieniec zaczął wypływać na twarz księdza; oczy obrócone w słupek i nieruchome, zaczęły nabierać wyrazu, lekkie westchnienie wydarło mu się z ust i nagle cały drgnął.

– Ocalony, ocalony! – zawołał Dantès.

Chory nie mógł jeszcze ani słowa wymówić, ale z widocznym niepokojem wyciągnął rękę, wskazując na drzwi; Dantès nadstawił uszu i posłyszał z daleka kroki dozorczy. Nadchodziła siódma, a Dantès nie miał nawet kiedy policzyć czasu, skoczył

szybko do otworu, zniknął w jamie, zasunął nad głową płytę posadzki i wrócił do siebie. Sekundę później otwały się drzwi; dozorca zastał więźnia jak zwykle siedzącego spokojnie na łóżku. Zaledwie się odwrócił, ledwie na korytarzu ucichł odgłos jego kroków, Dantès, nie myśląc nawet o jedzeniu, dręczony niepokojem, wrócił do celi księdza.

Faria odzyskał już przytomność, leżał jednak ciągle nieruchomy i bezsilny na łóżku.

– Nie myślałem, że cię jeszcze zobaczę – rzekł do Edmunda.

– A to czemu? – zapytał młodzieniec. – Czy ksiądz naprawdę myślał, że umrze?

– Nie, ale wszystko gotowe było do ucieczki, myślałem więc, że uciekniesz.

Rumieniec oburzenia pokrył lica Dantèsa.

– Bez księdza! – zawołał. – Czy rzeczywiście ksiądz sądził, że byłbym do tego zdolny?

– Teraz widzę, że się omyliłem – odpowiedział starzec. – Ach, jestem taki jeszcze słaby, złamany, zniszczony!

– Niech ksiądz będzie spokojny, siły powrócą – mówił Dantès, siadając przy Farii i biorąc dłonie księdza w swoje dłonie.

Ksiądz pokiwał głową.

– Ostatnim razem atak trwał tylko pół godziny, po czym poczułem wielki głód i sam o własnej mocy wstałem. Dziś nie mogłem poruszyć ani prawą ręką, ani nogą; czuję jakiś ucisk w głowie, co dowodzi, że mam wylew do mózgu; za trzecim razem albo zostanę zupełnie tknięty paraliżem, albo umrę.

– Nie, nie, niech ksiądz tak nie myśli, nie umrze ksiądz. Trzeci atak, jeżeli przyjdzie rzeczywiście, to nastąpi, gdy ksiądz będzie już wolny; uratujemy księdza jak i tym razem, a nawet ratunek będzie pewniejszy, bo będziemy mieli dostęp do wszystkich środków pomocy.

– Przyjacielu – rzekł Faria. – Nie łudź się daremnie; ten atak skazał mnie już na wieczne więzienie; aby uciec, trzeba móc chodzić.

– Cóż z tego, zaczekamy tu tydzień, miesiąc, dwa miesiące, jeśli trzeba będzie; w ciągu tego czasu siły księdzu powrócą; wszystko jest gotowe do ucieczki, możemy więc wybrać dzień i godzinę, jaka nam się spodoba. Kiedy poczuje ksiądz w sobie tyle siły, aby móc pływać – wtedy doprowadzimy do skutku nasz plan.

– Ja już nie będę mógł nigdy pływać – odparł Faria. – Ta ręka jest sparaliżowana, nie na jeden dzień, ale na zawsze; podnieś ją tylko, a zobaczysz, jaka ciężka.

Młodzieniec podniósł ramię księdza, które opadło bezwładnie; z piersi wydobyło mu się westchnienie.

– Czy jesteś teraz przekonany? – rzekł Faria. – Uwierz mi, wiem, co mówię: od pierwszego ataku tej choroby nieustannie o niej rozmyślam. Spodziewałem się jej, bo to dziedziczna choroba; mój ojciec umarł przy trzecim napadzie, dziadek mój także. Lekarz, który mi ten płyn przygotował, sam sławny Cabanis, przepowiedział mi ten sam koniec.

– Lekarz jest w błędzie – zawołał Dantès – a paraliż księdza

nie przeszkadza mi; wezmę księdza na plecy i popłynę.

– Dziecko jesteś – rzekł ksiądz. – Jesteś marynarzem i znakomicie pływasz, zdajesz więc sobie doskonale sprawę z tego, że człowiek z takim ciężarem nie potrafiłby przepłynąć i pięćdziesięciu sążni. Nie oszukuj siebie na próżno tymi chimerami, bo i tak przecyzysz im w głębi serca, choć jesteś najlepszy z ludzi. Zostanę tutaj, aż wybije ostatnia godzina mej niewoli, a będzie nią już tylko godzina śmierci. A ty uciekaj, uciekaj stąd! Jesteś młody, zręczny i silny, nie troszcz się o mnie, zwracam ci słowo.

– Dobrze; kiedy tak, to i ja zostanę – rzekł Dantès.

Powstał i wyciągając uroczyście dłoń nad starcem, rzekł:

– Na krew Chrystusa przysięgam, że nie opuszczę księdza aż do śmierci.

Ksiądz spojrzał przenikliwie na tego młodego człowieka, jakże szlachetnego, prostolinijnego, wzniosłego i wyczytał w jego rysach ożywionych najczystszym oddaniem szczerą przyjaźń i nieugiętą wierność danemu słowu.

– Dobrze – rzekł chory – przyjmuję i dziękuję.

Po czym wyciągnął ku niemu rękę i dodał:

– Może też kiedyś zostaniesz wynagrodzony za to bezinteresowne poświęcenie; ale ponieważ ja nie mogę uciec, a ty nie chcesz, trzeba będzie zasypać tunel pod galerią: któryś żołnierz mógłby usłyszeć, że jego kroki dudnią w tym miejscu, wezwie inspektora, zostaniemy wykryci i rozłączeni na zawsze. Idź i zrób to sam, bo ja ci już nie mogę pomóc; pracuj całą noc,

jeśli tego będzie trzeba i wróc dopiero jutro rano po wizycie dozorczy; będę miał ci coś ważnego do powiedzenia.

Dantès uścisnął rękę księdza, który dodał mu uśmiechem otuchy, i wyszedł, okazując posłuszeństwo i szacunek, jakimi przyrzekł darzyć starego przyjaciela.

18. Skarb

Nazajutrz, wchodząc do celi księdza, Edmund zastał go siedzącego na łóżku; z jego twarzy bił spokój. Oświetlony blaskiem promienia, co się przedarł przez wąskie okienko, trzymał w lewej ręce – pamiętamy, że tylko w tej mu jeszcze pozostała władza – rulon papieru, który zwinięty już od dawna, opierał się próbom rozprostowania.

Nic nie mówiąc, Faria podał Edmundowi ów papier.

– Cóż to jest? – spytał Dantès.

– Przypatrz się dobrze – rzekł ksiądz z uśmiechem.

– Patrzę i wpatruję się – rzekł Dantès – i widzę tylko jakiś papier, na pół spalony, na którym wypisane są jakimś dziwnym atramentem gotyckie litery.

– Papier ten, mój przyjacielu, jest – mogę ci to teraz powiedzieć, ponieważ cię wypróbowałem – jest moim skarbem, którego połowa należy od dziś do ciebie.

Zimny pot wystąpił na czoło Dantèsa. Aż do tej chwili – a ileż to trwało czasu! – starał się unikać w rozmowie poruszania tematu skarbu, z powodu którego biedny ksiądz zyskał opinię pomylenca. Posłuszny swojej instynktownej delikatności, wołał nie dotykać tak bolesnej strony. Faria także umilkł. Milczenie księdza młodzieniec wziął za powrót do równowagi umysłowej. Ale tych kilka słów, które wymknęły się Farii po tak silnym ataku, zdawały się wskazywać na niebezpieczny nawrót choroby

umysłowej.

– Skarb? – bąknął Dantès.

Faria uśmiechnął się.

– Tak – powiedział. – Masz szlachetne serce, kochany Edmundzie, widzę twoją bladość i drzenie, i rozumiem, co się z tobą w tej chwili dzieje. Ale uspokój się, nie jestem wariatem; ten skarb istnieje, Edmundzie, i jeżeli nie było mi dane go zdobyć, ty go zdobędziesz. Nikt mnie nie chciał słuchać i nikt mi nie wierzył, bo mnie miano za wariata; ale ty powinienes przecież wiedzieć, że tak nie jest, musisz mnie wysłuchać, a potem wierz lub nie, jak ci się spodoba.

– Ach, niestety! – szepnął do siebie Edmund. – Znowu mu gorzej, tylko tego mi brakowało!

Po czym odezwał się głośno:

– Drogi przyjacielu, atak pewnie bardzo cię zmęczył, nie chciałby ksiądz sobie odpocząć? Jutro, jeżeli ksiądz zapragnie, posłucham tej historii; ale dziś chciałbym jedynie czuwać nad księdzem. Zresztą – dorzucił z uśmiechem – czy skarb to dla nas taka pilna sprawa?

– Bardzo pilna, Edmundzie! – odpowiedział Faria. – Kto wie, czy jutro albo pojutrze nie przyjdzie trzeci atak? A wtedy wszystko byłoby stracone... O tak, nieraz z gorzką przyjemnością rozmyślałem o tych skarbach, z których dałoby się uczynić fortuny dla dziesięciu rodzin, straconych na wieki dla tych, co mnie prześladowali; ta myśl była dla mnie rodzajem zemsty, delektowałem się nią w mroku mojej celi, w rozpacz

niemoli. Ale teraz przebaczyłem światu przez miłość dla ciebie; teraz, gdy widzę, jaki jesteś młody, ile budzisz nadziei, teraz, gdy pomyślę, ile szczęścia mógłbyś zyskać, gdy wyjawię ci tę tajemnicę, drzę, że będzie za późno, że nie zdążę uczynić cię posiadaczem tych ogromnych bogactw, a jesteś tego naprawdę godny.

Edmund z westchnieniem odwrócił głowę.

– Nie wierzysz mi nadal, Edmundzie – mówił Faria. – Czy ton mojego głosu cię nie przekonał? Widzę, że potrzebujesz dowodów. Cóż, przeczytaj tę kartkę, jeszcze nigdy nikomu jej nie pokazywałem.

– Jutro, przyjacielu – rzekł Edmund, który nie miał ochoty poddać się szaleństwu księdza. – Myślałem, że się ksiądz zgodził, abyśmy rozmowę o tym odłożyli do jutra.

– Dobrze, porozmawiamy jutro, ale dziś przeczytaj tę kartkę. „Nie trzeba go drażnić” – pomyślał Dantès.

I wziął kartkę, połowy której – być może spalonej – brakowało, i czytał:

drogich kamieniach, diamentach, klejnotach, i że tylko ja
wynoszącego około dwóch milion
znajdzie go, wyważywszy dwudziestą ska
zatoczki na wschodnim
tych wykonano dwa otwo
w kącie najodleglej

– I co? – rzekł Faria, widząc, że młodzieniec skończył czytać.

– Ależ nic tu nie widzę, prócz kilku urwanych zdań, słów bez związku; pismo jest zupełnie niezrozumiałe przez to, że ogień spalił resztę.

– Tylko dla ciebie, bo czytasz to po raz pierwszy, ale nie dla mnie, bo niejedną noc, poblady, wysilałem oczy nad tym świstkiem, rekonstruujać każde zdanie i uzupełniając każdą myśl.

– Sądzi więc ksiądz, że odgadł sens tych nieczytelnych zdań?

– Jestem tego pewien, sam zresztą osądzisz; ale najpierw wysłuchaj, jakim sposobem ten papier dostał się do mnie.

– Cicho! – zawołał Dantès. – Słyszać kroki – ktoś idzie – odchodzę – do widzenia.

I kontent, że się uwolnił od wyjaśnień dotyczących dokumentu, które niezawodnie utwierdziłyby w przekonaniu o szaleństwie przyjaciela, wśliznął się jak wąż w wąski otwór; Faria zaś, któremu przerażenie zwróciło nieco sił, pchnął nogą płytę i nakrył ją matą, aby zasłonić szczelinę, której nie miał już czasu zasypać.

Komendant, dowiedziawszy się o chorobie Farii, przyszedł właśnie, aby przekonać się, czy była ona poważna. Faria przyjął go na siedząco, unikał wszelkich gestów, które mogłyby go zdradzić i zdołał zataić przed komendantem, że jedną połowę ciała miał sparaliżowaną. Lękał się tylko, żeby komendant, zdjęty litością, nie chciał go przenieść do innego, zdrowszego pomieszczenia i nie rozłączył z towarzyszem. Szczęściem stało się inaczej; komendant odszedł w przekonaniu, że biedny wariat,

którego darzył pewną sympatią, cierpi z powodu jakiejś lekkiej niedyspozycji.

Przez ten czas Edmund, siedząc na łóżku i ściskając głowę dłońmi, starał się zebrać myśli. Faria wydawał mu się od chwili, gdy go poznał, tak wybitnym, rozumnym i logicznie myślącym człowiekiem, że nie był w stanie zrozumieć, jak ta głęboka mądrość mogła połączyć się u niego z szaleństwem, i to tylko w jednym punkcie. Czy to Faria był w błędzie co do swoich bogactw, czy też wszyscy mylili się co do Farii?

Dantès przesiedział tak cały dzień u siebie, nie mając odwagi pójść do przyjaciela. Pragnął jak najdalej odsunąć od siebie chwilę, w której miał się przekonać o chorobie umysłowej księdza. Taka pewność byłaby dlań okropna.

Ale pod wieczór, po czasie zwykłego obchodu, Faria, nie mogąc doczekać się młodzieńca, sam postanowił udać się do niego. Edmund zadrżał, usłyszawszy bolesne jęki starca, który usiłował przeczołgać się przez podkop, choć miał sparaliżowaną nogę i bezwładną rękę. Edmund musiał go wciągnąć do siebie, bo starzec nigdy nie zdołałby przedostać się przez wąski wylot tunelu.

– Widzisz, że nielitościwie zapałem się na ciebie – rzekł ksiądz z uśmiechem promieniejącym życzliwością. – Myślałeś, że uda ci się uciec przed moją wspaniałomyślnością – nic z tego. Słuchaj więc.

Edmund zrozumiał, że nie mógł się już wycofać; posadził starca na swoim łóżku, a sam usiadł przy nim na stołku.

– Wiesz, że byłem sekretarzem – zaczął ksiądz – domownikiem i przyjacielem kardynała Spada, ostatniego z książąt tego imienia. Temu szlachetnemu panu zawdzięczam wszystkie chwile szczęścia w tym życiu. Nie był bogaty, chociaż bogactwa jego rodziny stały się przysłowiowe: **bogaty jak Spada**, często słyszałem, jak tak mówiono. On jednak – jak głosi plotka – żył z rozgłosu o swojej zamożności. Jego pałac był dla mnie rajem. Uczyłem jego siostrzeńców, którzy pomarli, a gdy pozostał sam na świecie, zwróciłem mu poprzez całkowite poddanie się jego woli to, com otrzymywał od niego przez lat dziesięć.

Dom hrabiego Spada nie miał dla mnie wkrótce żadnych tajemnic; widziałem nieraz, jak eminencja grzebał w starych księgach i chciwie szperał w rodzinnych dokumentach. Pewnego razu, gdy wyrzucałem mu bezsenne noce, jakie spędzał na tej pracy, po której wpadał w coś w rodzaju przygnębienia, spojrzał na mnie z uśmiechem pełnym gorzkości i otworzył przede mną księgę – była to historia Rzymu. I tam, w dwudziestym rozdziale *Żywotu papieża Aleksandra VI* był fragment, którego nigdy nie mogłem zapomnieć.

Wielkie wojny w Romanii zakończyły się. Cezar Borgia, po dokonaniu podbojów, potrzebował pieniędzy, aby kupić sobie całą Italię; papież potrzebował także pieniędzy dla rozprawienia się ostatecznie z Ludwikiem XII, królem Francji, groźnym jeszcze pomimo ostatnich niepowodzeń. Można było zatem przeprowadzić znakomitą spekulację, ale było to trudne do

wykonania w biednej, wyczerpanej Italii.

Jego Świątobliwość wpadł na pomysł. Postanowił mianować dwóch kardynałów.

Wybór dwóch Rzymian, przede wszystkim zaś bogatych, był dla Ojca Świętego doskonałym interesem; po pierwsze, mógł sprzedać dawne urzędy i dostojenstwa, które ci kardynałowie dotąd piastowali, po drugie, mógł liczyć na znakomitą sumkę za sprzedaż tych dwóch kapeluszy.

Najpierw zatem Aleksander i Borgia wynaleźli dwóch kandydatów na kardynałów: Giovanniego Rospigliosi, który i tak łączył cztery najwyższe godności w stolicy apostolskiej, i Cezara Spadę, szlachcica z jednej z najbardziej arystokratycznych rodzin i najbogatszego Rzymianina. Obaj dobrze wyczuwali, że będą musieli zapłacić dużą cenę za papieską łaskę. Ale byli ambitni. Wkrótce Cezar znalazł też nabywców na ich dawne tytuły.

W rezultacie Rospigliosi i Spada zapłacili za kapelusze, a ośmiu innych za wakujące po nich urzędy. Tym sposobem w kufrach naszych spekulantów znalazło się osiemset tysięcy dukatów.

Przejdźmy do ostatniej części spekulacji – bo już do tego dotarliśmy.

Papież okazał Rospigliosiemu i Spadzie najwyższą życzliwość, powierzył im insygnia kardynalskie i pewny, że chcąc spłacić dług wdzięczności, musieli spieniężyć i zgromadzić cały swój majątek, aby zamieszkać w Rzymie – zaprosił ich

razem z Borgia na ucztę.

Z tego powodu wynikł nawet spór między Ojcem Świętym i jego synem; Cezar chciał bowiem użyć jednego ze środków, które miał zawsze w pogotowiu: najpierw był to słynny klucz, który wręczano upatrzonym osobom z prośbą, aby otworzyły pewną szafę. Klucz ten posiadał malutki kolec – ot, niedbałość rzemieślnika. Kiedy naciskało się mocniej klucz, aby sforsować oporny zamek, kaleczyło się dłoń tym kolcem, a nazajutrz umierało. Istniał także pierścień z głową lwa, który Cezar nakładał wówczas, gdy pragnął uścisnąć określoną dłoń. Lew kąsał skórę owych wybranych rąk, a jego ugryzienie prowadziło po upływie doby do śmierci.

Na taką propozycję Aleksander VI odparł:

– Nie szczędźmy niczego na obiad takim znakomitym gościom. Mówi mi coś, że te wydatki do nas powrócą. Poza tym zapominasz, że niestrawność pojawia się natychmiast, a ukłucie lub ugryzienie owocują dopiero po dwóch dniach.

Oto dlaczego kardynałowie zostali zaproszeni na ucztę.

Uczta została przygotowana w willi, znajdującej się blisko kościoła Świętego Piotra w Okowach: była to urokliwa posiadłość, znana kardynałom bardzo dobrze ze słyszenia.

Rospigliosi, odurzony swoją nową godnością, gotował na ucztę żołądek i jak najlepsze usposobienie; Spada zaś, człowiek przezorny, kochający wyłącznie swojego siostrzeńca, młodego kapitana, który rokował znakomite nadzieje, wziął papier, pióro i napisał testament. Kazał powiedzieć siostrzeńcowi, aby go

oczekiwał niedaleko willi; ale zdaje się, że służący go nie zastał.

Spada znał dobrze obyczaj zaprosin. Odkąd chrześcijaństwo wniosło swój wkład w rozwój cywilizacji w Rzymie, zamiast centuriona pojawiającego się na polecenie tyrana, aby rzec „Cesarz pragnie, abyś umarł”, przybywał legat, który z promiennym uśmiechem oznajmiał ci polecenie papieża: „Jego Świątobliwość pragnie, abyś przybył do niego na ucztę”.

Okolo drugiej Spada udał się do papieskiej willi; Aleksander już tam na niego czekał. Pierwsza twarz, jaką tam ujrzał, była wdzięcznym obliczem siostrzeńca; Cezar Borgia zasypywał go uprzejmościami. Spada zbladł, a Cezar, rzuciwszy nań wzrokiem pełnym ironii, dał poznać po sobie, że wszystko przewidział i że pułapka jest dobrze zastawiona.

Rozpoczął się obiad. Spada mógł jedynie zapytać siostrzeńca: „Czyś odebrał wiadomość ode mnie?”. Siostrzeniec odpowiedział, że nie i zrozumiał doskonale doniosłość tego pytania. Ale już było za późno; właśnie wypił kielich doskonałego wina, które papieski szafarz mu oddzielnie przygotował. W tejże chwili Spada spostrzegł inną butelkę, z której napełniono mu aż nazbyt szczerze kielich. W godzinę później lekarz oświadczył, że obaj zatruli się smardzami. Spada umarł na progu willi, siostrzeniec w drzwiach własnego domu, dając żonie jakieś znaki, których zrozumieć nie była w stanie.

Cezar wraz z papieżem rzucili się natychmiast na spadek, pod pozorem odszukania papierów po zmarłych. Ale spadek składał się z kawałka papieru, na którym Spada napisał:

Darowuję mojemu najukochańszemu siostrzeńcowi kufry i książki, pomiędzy którymi jest i piękny brewiarz ze złocnymi rogami, pragnąc, aby zatrzymał go na pamiątkę po kochającym stryju.

Spadkobiercy szukali wszędzie, podziwiali brewiarz, rozszabrowali sprzęty, ale przy tym dziwili się mocno, że Spada, człowiek tak bogaty, był w rzeczywistości takim nędzarzem; żadnych, ale to żadnych skarbów – poza skarbami wiedzy zawartymi w bibliotece i pracowniach.

I to wszystko! Cezar i jego ojciec szukali, szperali, szpiegowali i nic nie znaleźli, a raczej bardzo mało. Kosztowności warte może z jakie tysiąc dukatów, tyle samo w gotówce. Siostrzeniec jednak, wróciwszy do domu, miał jeszcze siłę powiedzieć do żony: „Szukaj pomiędzy papierami mojego stryja, prawdziwy testament istnieje”.

Szukali z większą nawet energią niż sami dostojni spadkobiercy, jednak nie znaleźli nic. Pozostały tylko dwa pałace i jedna willa; w owej epoce nieruchomości miały nadzwyczaj mizerną wartość; pałace i willę, niegodne pobudzić drapieżnych instynktów w papieżu i jego synu, pozostawiono rodzinie.

Minęły miesiące i lata. Aleksander umarł otruty; wiesz, z powodu jakiej pomyłki; Cezar, otruty w tym samym czasie, wyszedł z tego, zrzucił tylko skórę jak wąż i włożył nową, na której trucizna pozostawiła plamy podobne do tych, które widać na futrze tygrysa; na koniec, zmuszony do opuszczenia Rzymu, dał się zabić w jakiejś tajemniczej bójce nocnej i historia niemal

już o nim zapomniała.

Po śmierci Aleksandra i wygnaniu Cezara spodziewano się, że rodzina kardynała Spady na nowo zacznie wieść książęcy tryb życia, jaki prowadziła za czasów kardynała; ale tak się nie stało: Spadowie nadal żyli w wątpliwej zamożności; wieczna tajemnica okryła tę ciemną sprawę; plotka głosiła, że Cezar, zręczniejszy gracz od swego ojca, zabrał mu majątek obu kardynałów, mówię obu, bo kardynał Rospigliosi, który się zupełnie nie zabezpieczył, został obdarty do szcztetu.

– No, spodziewam się – przerwał Faria z uśmiechem – że dotąd ta historia nie wydaje ci się jakąś bzdurą?

– Ach, nie, przyjacielu, zdaje mi się, że czytam interesującą kronikę! Mów dalej, proszę.

– Dobrze.

Rodzina Spadów oswoiła się wreszcie z tym skromnym życiem. Upłynęło wiele lat. Niektórzy z potomków byli żołnierzami, drudzy dyplomatami; inni duchownymi, jeszcze inni bankierami; jedni zdobyli fortunę, inni doszli do zupełnej ruiny. Przejdę teraz do ostatniego z nich, hrabiego Spada. Słyszałem nieraz jego skargi na dysproporcję, jaka zachodziła między jego majątkiem a pozycją; poradziłem mu więc, aby resztę pozostałego majątku umieścić na dożywotnią rentę. Usłuchał mojej rady i jego dochody się podwoiły.

Sławny brewiarz pozostał w rodzinie i posiadał go teraz właśnie hrabia; przekazywano go z ojca na syna, bo dziwna klauzula w testamencie sprawiła, że uważano go za prawdziwą

relikwię i otaczano zabobonnym szacunkiem. Była to księga iluminowana najpiękniejszymi gotyckimi motywami, a tak grubo pozłacana, że w dzień uroczystości nosił ją zazwyczaj przed kardynałem pokojowiec.

Na widok rozmaitych papierów, dokumentów, kontraktów, pergaminów, przechowywanych w archiwum rodzinnym, a należących niegdyś do otrutego kardynała, wziąłem się i ja z kolei, jak przede mną dwudziestu służących, dwudziestu intendentów, dwudziestu sekretarzy, do wertowania tych ogromnych foliałów. Pomimo największej sumienności i energii, z jaką prowadziłem te poszukiwania, nic znaleźć nie mogłem. Ale poznałem, a nawet napisałem szczegółową historię rodziny Borgia w tym jedynie celu, by się upewnić, czy w chwili śmierci kardynała majątek Borgia się nie powiększył; ale zauważyłem, że ich fortuna wzrosła jedynie o dobra kardynała Rospigliosi, towarzysza niedoli kardynała Spady. Byłem więc niemal pewny, że ani Borgia, ani rodzina zmarłego nie skorzystała z tego spadku – pozostał on bez pana, jak owe skarby z baśni arabskich, drżące w głębi ziemi pod opieką jakiegoś geniusza. Szukałem, liczyłem po tysiąc razy dochody i wydatki rodziny na przestrzeni trzech wieków – wszystko na próżno; trwałem w niewiedzy, a hrabia Spada w ubóstwie.

Opiekun mój umarł. Sprzedając swoje dobra na rentę, oddzielił od nich papiery rodzinne, bibliotekę złożoną z pięciu tysięcy tomów i ów słynny brewiarz. Zapisał mi to wszystko oraz tysiąc dukatów rzymskich, pod warunkiem że co rok będę

dawał na mszę za jego duszę, że stworzę drzewo genealogiczne i kronikę jego rodu; wykonałem to jak najdokładniej...

Nie obawiaj się, kochany Edmundzie, zbliżamy się już do końca.

W 1807 roku, na miesiąc przed osadzeniem mnie w areszcie, a dwa tygodnie po śmierci Spady, dwudziestego piątego grudnia (dowiesz się zaraz, skąd ta data tak mocno utkwiała mi w pamięci), odczytywałem może już po raz setny papiery, które porządkowałem; bo pałac należał już do jakiegoś cudzoziemca, a ja miałem zamiar wyjechać do Florencji. Chciałem tam zabrać ze sobą dwanaście tysięcy liwrów, jakie posiadałem, bibliotekę i słynny brewiarz. Zmęczyłem się bardzo tą pracą, cokolwiek ociężały po obfitym obiedzie, oparłem głowę na rękach i zasnąłem; była trzecia po południu.

Obudziłem się, kiedy wskazówka wskazywała szóstą.

Podniosłem głowę: otaczała mnie ciemność. Zadzwoiłem, aby przyniesiono mi światło; nikt nie przyszedł. Postanowiłem więc obsłużyć się sam. W jednej ręce trzymałem przygotowaną świecę, drugą szukałem papieru, który można by było zapalić od dogorywającego już płomienia na kominku – bo pudełko od zapalek, jak się przekonałem, było puste. Lękałem się jednak, aby w ciemnościach nie wziąć jakiegoś ważnego dokumentu, wahałem się przez chwilę, aż przypomniałem sobie, że widziałem w leżącym na stole brewiarzu jakiś stary, całkiem pożółkły karteluszek, który służył chyba za zakładkę, i przetrwał wieki w tym samym miejscu – dzięki respektowi, jaki żywili

spadkobiercy do pamiątki po zmarłym. Po omacku odszukałem ten niepotrzebny papier; zwinąłem go i przytykając do gasnącego płomienia, zapaliłem.

I nagle pod palcami, w magiczny jakiś sposób, zaczęły mi się pojawiać – w miarę jak ogień ogarniał kartkę – żółtawe litery. Zdjął mnie strach; zmiąłem papier w rękę, zgasilem ogień i zapaliłem świecę wprost od ognia; z niewypowiedzianym wzruszeniem rozprostowałem na powrót kartkę i zrozumiałem, że nakreślono te litery jakimś tajemniczym atramentem sympatycznym, który pojawił się na papierze pod działaniem dużej temperatury; ogień strawił blisko jedną trzecią kartki. To ta sama, którąś dzisiaj rano czytał. Odczytaj to, Edmundzie, jeszcze raz, a jak skończysz, dopełnię te przerwane zdania i wyjaśnię ci ich znaczenie.

I Faria podał z triumfem w oczach ów karteluszek Dantèsowi, który odczytał tym razem chciwie następujące wyrazy wypisane atramentem podobnym do koloru rdzy.

Dnia dzisiejszego, to jest 25 kwietnia 1498 roku, otrz
Aleksandra VI, lękając się, aby —
nie zapragnął jeszcze odziedziczyć po mnie fortuny
i Bentivoglio, którzy zmarli otruci,
jedynemu mojemu spadkobiercy, żem zak
bo byliśmy tam razem, to jest
wysepce Monte Christo, wszystko, co pos
drogich kamieniach, diamentach, klejnotach; i że tylko ja
wynoszącego około dwóch milion

znajdzie go, wyważywszy dwudziestą ska-
zatoczki na wschodnim
tych wykonano dwa otwo-
w kącie najodleglej
leguję mu jako prawowitemu właśc-
25 kwietnia 1498 r.
Cez

– Teraz przeczytaj ten drugi papier.
I podał Dantèsowi inną kartkę.
I Dantès przeczytał następujące słowa:

mawszy zaproszenie na obiad do
nie chcąc poprzestać na tym, żem mu zapłacił za kapelusz
kardynalski – Jego Świątobliwość
i nie zgłował mi losu, jaki spotkał kardynałów Caprą
oświadczam memu siostrzeńcowi Guido Spada,
opał w miejscu, które zna,
w grotach położonych
iałem w sztabach złota, złotych monetach
wiem o egzystencji tego skarbu
ów dukatów rzymskich; a
łę, licząc w prostej linii od małej
brzegu wyspy. W grotach
ry; skarb jest ukryty
szym od drugiego otworu; skarb ten
icielowi i jako memu jedynemu spadkobiercy,
ar Spada

– No – rzekł, spostrzegłszy, że Dantès już dotarł do ostatniego wiersza. – Przyłóż do siebie te dwa urywki, porównaj i sam osądź.

Dantès zrobił, jak mu kazano: urywki zestawione ze sobą dały następującą treść:

Dnia dzisiejszego, to jest 25 kwietnia 1498 roku, otrzymawszy zaproszenie na obiad do Aleksandra VI, lękając się, aby – nie chcąc poprzestać na tym, żem mu zapłacił za kapelusz kardynalski – Jego Świątobliwość nie zapragnął jeszcze odziedziczyć po mnie fortuny i nie zgotował mi losu, jaki spotkał kardynałów Caprarę i Bentivoglio, którzy zmarli otruci, oświadczam memu siostrzeńcowi Guido Spada, jedynemu mojemu spadkobiercy, żem zakopał w miejscu, które zna, bo byliśmy tam razem, to jest w grotach położonych na małej wysepce Monte Christo, wszystko, co posiadałem w sztabach złota, złotych monetach, drogich kamieniach, diamentach, klejnotach; i że tylko ja wiem o egzystencji tego skarbu wynoszącego około dwóch milionów dukatów rzymskich; a znajdzie go, wyważywszy dwudziestą skałę, licząc w prostej linii od małej zatoczki na wschodnim brzegu wyspy. W grotach tych wykonano dwa otwory; skarb jest ukryty w kącie najodleglejszym od drugiego otworu; skarb ten leguję mu jako prawowitemu właścicielowi i jako memu jedynemu spadkobiercy.

25 kwietnia 1498 r.

Cezar Spada

– I co, rozumiesz wreszcie? – spytał Faria.

– I to jest właśnie oświadczenie kardynała Spady i testament, którego tak długo poszukiwano? – rzekł Edmund z akcentem niedowierzania.

– A tak; tysiąc razy tak.

– Któż to uzupełnił?

– Naturalnie ja, dzięki ocalałemu fragmentowi odgadłem całą resztę, obliczając długość wierszy na podstawie rozmiarów papieru, doszedłem do ukrytego sensu za pomocą znaczenia urwanych zdań, podobnie, jak kierujemy się w wędrówce po podziemiach nikłym światłem padającym z góry.

– Cóż ksiądz zrobił, kiedy już się o tym wszystkim upewnił?

– Chciałem tam pojechać i nawet wyruszyłem w podróż, zabierając ze sobą początek mej pracy o jedności państwa włoskiego, ale policja cesarska, która w tych czasach, zanim Napoleon zmienił zdanie po narodzinach jego syna – trwała przy przekonaniu o konieczności podziału na prowincje, nie spuszczała mnie wtedy z oka. Nagły mój wyjazd, którego przyczyny nie była w stanie odgadnąć, obudził podejrzenia i w chwili gdy wsiadałem w Piombino na statek, zostałem aresztowany. Teraz – dodał Faria, wpatrując się w Dantèsa z niemal ojcowską czułością – teraz, kochany chłopcze, wiesz wszystko, wiesz tyle, co i ja. Gdyby nam się udało uciec razem, połowa tego majątku będzie twoja, jeżeli zaś umrę, a ty się ocalisz – będzie należał do ciebie w całości.

– Ale – zawahał się Dantès – czy ten skarb nie ma żadnego prawnitego właściciela?

– Nie, zaręczam ci; ród ten wygaś zupełnie. I przecież ostatni potomek Spadów uczynił mnie swoim spadkobiercą; kiedy mi zapisał ten symboliczny brewiarz, tym samym zapisał mi i wszystko, co się w nim znajduje. Powtarzam ci, nie obawiaj się, jeżeli tylko dostaniemy się do tego skarbu, będziemy mogli używać go bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Mówi ksiądz, że skarb ten zawiera...

– Dwa miliony rzymskich dukatów, czyli mniej więcej trzysta milionów w naszej walucie.

– To niemożliwe! – zawołał Dantès, przerażony ogromem sumy.

– Niemożliwe! A czemuż to? – odpowiedział Faria. – Ród Spadów był w XV wieku jednym z najbogatszych i najznakomitszych rodzin. Zresztą w owych czasach, kiedy nie znano wcale ani przemysłu, ani żadnych spekulacji, nierzadko gromadzono majątek w sztabach złota i klejnotach. Dziś jeszcze zdarzają się rodziny rzymskie, co umierają z głodu, choć mają klejnoty i drogie kamienie o wartości nieraz i do miliona, których nie mogą tknąć, bo należą one do majoratu.

Edmundowi zdawało się, że jest we śnie; wahał się pomiędzy niewiarą a radością.

– Utrzymywałem przed tobą tajemnicę tak długo – mówił dalej Faria – bo chciałem cię wypróbować, a poza tym chciałem ci sprawić niespodziankę. Gdybyśmy byli umknęli przed moim napadem katalepsji, byłbym cię zawiózł na Monte Christo, dziś – dodał z westchnieniem – to ty mnie tam zawieziesz. No i jakże

to, Edmundzie, nie dziękujesz mi?

– Przyjacielu – rzekł Dantès. – Ten skarb nie należy do mnie, jest wyłącznie twoją własnością, nie mam doń żadnego prawa, nie jestem żadnym krewnym księdza.

– Jesteś moim synem, Edmundzie! – zawołał Faria. – Jesteś dzieckiem, które mi się zrodziło w więzieniu. Stan mój skazał mnie na celibat, a Bóg zesłał cię tu do mnie, abyś był zarazem pociechą dla mężczyzny, który nie mógł być ojcem, i więźnia, który nie mógł być człowiekiem wolnym.

Faria wyciągnął zdrową jeszcze rękę do młodzieńca, a ten ze szlochom rzucił mu się na szyję.

19. Trzeci atak

Teraz zatem ów skarb, co był tak długo przedmiotem wszystkich myśli księdza, mógł zapewnić szczęście temu, którego Faria pokochał jak syna: nabierał więc w jego oczach podwójnej wartości. Co dzień mówił tylko o tym, ile dobrego dzięki sumie trzystu milionów można by w naszych czasach uczynić dla przyjaciół; ale wówczas Dantès pochmurniał, przypominał sobie bowiem przysięgę zemsty; i zaczynał myśleć tylko o tym, ile zła swoim wrogom mógłby wyrządzić człowiek posiadający trzysta milionów.

Ksiądz nie znał wyspy Monte Christo, ale Dantès znał ją dobrze: często przepływał koło tej wysepki położonej dwadzieścia pięć mil od Pianosy, między Korsyką a Elbą, raz nawet zarzucili przy niej kotwicę. Wyspa ta była i jest nadal zupełnie bezludna; jest to skała niemal w kształcie stożka, którą jakiś wybuch wulkaniczny wypchnął z głębi mórz na powierzchnię. Dantès narysował Farii plan wyspy, a Faria radził Dantèsowi, w jaki sposób powinien postępować, aby odnaleźć skarb.

Dantès jednak był daleki od entuzjazmu księdza, a zwłaszcza od jego ufności. Wprawdzie nie wątpił już bynajmniej, że Faria nie cierpiał na chorobę umysłową, a sposób, w jaki doszedł do swego odkrycia, które rzuciło nań cień szaleństwa, wzmógł tylko podziw Edmunda; ale nawet założywszy, że ów skarb istniał,

Edmund nie mógł uwierzyć, że przetrwał tam do tej pory.

Tymczasem, tak jakby los chciał odebrać więźniom ostatnią nadzieję i dowieść im, że są skazani na wieczną niewolę, dosięgło ich nowe nieszczęście. Wyremontowano bowiem galerię od strony morza, która od dawna groziła zawaleniem; ponaprawiano przypory i zatkało ogromnymi głazami jamę, którą Dantès zdążył do połowy zasypać; gdyby nie to zabezpieczenie, do którego – jak sobie przypominamy – skłonił Dantèsa ksiądz, spotkałoby ich daleko większe nieszczęście: odkryto by ich zamiar ucieczki i rozłączono więźniów na zawsze; nowe zatem drzwi, mocniejsze i trudniejsze do pokonania, zatrzęsnęły się przed nimi.

– Widzi ksiądz teraz – mówił Edmund z łagodnym smutkiem do Farii – że Bóg nie chce mi nawet przyznać tej zasługi, którą ty nazywasz poświęceniem. Przrzekłem ci, że nigdy księdza nie zostawię, a teraz nie mógłbym nawet nie dotrzymać tej obietnicy; nie dostanę się do tego skarbu podobnie jak ksiądz, bo żaden z nas stąd nie wyjdzie. Zresztą moim prawdziwym skarbem, przyjacielu, jest nie ten, który tkwi w posępnych skałach Monte Christo, ale obecność księdza, przebywanie z księdzem przez pięć lub sześć godzin dziennie, pomimo czujności naszych dozorców, i ten promień mądrości, którym ksiądz oświecił mój umysł, języki, które ksiądz mi zaszczepił, nauki, które ksiądz uczynił mi tak łatwymi dzięki jasności zasad, do jakich je sprowadziłeś; to jest mój skarb, najdroższy przyjacielu, to jest bogactwo, którym mnie uszczęśliwiłeś. Niech mi ksiądz wierzy

i przestanie się dręczyć: więcej to dla mnie znaczy od beczek złota i szkatuł pełnych klejnotów. Być z księdzem, ile tylko można najdłużej, słuchać księdza i doskonalić się dzięki jego mądrym słowom, hartować duszę, przygotowywać całe moje ja do wielkich i strasznych zadań, abym mógł je wypełnić (jeśli wyjdę stąd kiedyś) tak dobrze, żeby rozpacz, za której głosem byłem już gotów pójść, nim poznałem księdza, nie miała już do mnie przystępu. Oto moja własna fortuna. I ta na pewno nie jest tylko chimera; ksiądz dał mi w ten sposób prawdziwy skarb i żaden władca na ziemi, choćby był podobny do Cezara Borgii, nie potrafiłby mi go wydrzeć.

Kolejne dni, jeżeli nie były dla nich szczęśliwe, to przynajmniej mijały dość szybko. Faria, który przez tyle lat milczał o skarbie, dziś przy każdej okoliczności naprowadzał na ten temat rozmowę. Jak przewidywał, prawą rękę i lewą nogę miał zupełnie sparaliżowane – i nie miał już nadziei, że odzyska w nich kiedyś władzę. Rozmyślał teraz już tylko o swym młodym towarzysz, o jego ucieczce, o jego przyszłości i cieszył się tym ze względu na niego. Z obawy, żeby testament nie zginął kiedyś lub nie został zniszczony, kazał Dantèsowi nauczyć się go na pamięć. Następnie zniszczył drugą część pisma w przekonaniu, że choćby ktoś znalazł pierwszą, nie będzie w stanie odgadnąć jej sensu. Czasem całe godziny schodziły Farii na udzielaniu Edmundowi wskazówek, które mogły mu się przydać po ucieczce. Od dnia, w którym odzyska wolność, od tej godziny, od tej chwili, jedna tylko myśl miała go zajmować: dostać się

na Monte Christo, pozostać tam samemu pod jakimś pretekstem niebudzącym podejrzeń, a skoro już będzie tam sam jeden – odszukać tajemnicze groty i przeszukać wskazane w testamencie miejsce.

Tak upływały godziny – dosyć znośnie, chociaż nie bardzo szybko. Faria nie odzyskał władzy w ręce i nodze, ale wróciła mu zupełnie dawna przenikliwość umysłu i powoli wdrażał Dantèsa w ów pełen cierpliwości i wyrafinowany zawód więźnia, który pozwala zrobić coś z niczego. Stale więc się czymś zajmowali: Faria, obawiając się starczej inercji, Dantès, aby stłumić niemal wygasłe wspomnienia przeszłości, które błąkały się w jego pamięci niby odległe światełka zagubione w ciemności.

Pomimo tego pozornego spokoju, ile powstrzymywanych porywów i westchnień stłumionych tało się w sercach obu więźniów! Ujawniały się jedynie wtedy, gdy Faria zostawał sam, a Dantès wracał do swej celi.

Pewnej nocy Edmund nagle zerwał się ze snu, bo mu się wydało, że go ktoś woła.

Otworzył oczy i usiłował przebić wzrokiem gęste ciemności.

Usłyszał nie tyle swoje imię, co jakiś rozpaczliwy głos, który usiłował wyartykułować jego imię. Uniósł się na łóżku, z przerażenia oblał go zimny pot; jał nasłuchiwać. Nie było wątpliwości, jęki pochodziły z celi jego towarzysza.

– Wielki Boże – wyszeptał Edmund. – Czyżby to...

Odsunął łóżko, odwalił głaz, wczołgał się do tunelu; gdy dotarł do końca, płyta była podniesiona. W świetle nieforemnej

lampy, którą już opisywaliśmy, Edmund ujrzał starca: stał blady, czepiając się palcami poręczy łóżka. Jego twarz była zmieniona owymi straszhliwymi symptomami choroby, które znał już dobrze, a które go tak przeraziły, gdy je zobaczył po raz pierwszy.

– Cóż, przyjacielu – rzekł Faria z rezygnacją. – Rozumiesz, co się dzieje, prawda? Nie muszę ci tłumaczyć.

Edmund krzyknął boleśnie i tracąc zupełnie głowę, rzucił się do drzwi, wołając:

– Na pomoc! Na pomoc!

Faria miał jeszcze tyle siły, że zdołał chwycić go za rękę.

– Cicho – rozkazał – albo zginiesz. O tobie teraz tylko powinniśmy myśleć, aby ci uczynić więzienie znośniejszym lub umożliwić ci ucieczkę. Potrzebowałbyś wielu lat, aby zrobić ponownie to, co ja tu zrobiłem, a co mogło być stracone w jednej chwili, gdyby się dozorca dowiedzieli o naszych zamiarach. Nie smuć się zresztą; loch nie pozostanie po mnie długo pusty – gdy umrę, inny biedak zajmie moje miejsce. I pojawisz się przed nim jak anioł pocieszyciel. Może będzie silny, młody i cierpliwy jak ty, i będzie mógł ci pomóc w ucieczce, podczas gdy ja ci tylko przeszkadzałem. Nie będziesz miał już uczonego do siebie półtrupą, co ci paraliżuje wszystkie ruchy. Bóg wreszcie chce coś dla ciebie zrobić; daje ci więcej, niż odbiera, i już czas, żebym umarł.

Edmund zdołał tylko załamać ręce i krzyknął:

– O mój przyjacielu, nie mów tak!

I wreszcie, odzyskując siły osłabione tak nagłym ciosem i odwagę odjętą słowami starca, rzekł:

– Jeśli raz już księdza ocalałem, ocale i drugi.

Podniósł nogę od łóżka i wydobył z niej flakonik, nadal napełniony do jednej trzeciej uzdrawiającym płynem.

– Proszę, niech ksiądz zobaczy, jeszcze mamy dużo tego zbawiennego płynu. Prędejj, prędejj, niech mi ksiądz mówi, co mam teraz robić. Czy tym razem są jakieś nowe wskazania? Niechże ksiądz mówi!

– Nie ma żadnej nadziei – odpowiedział Faria, potrząsając głową – ale mniejsza o to; Bóg, stwarzając człowieka i zakorzeniając w jego sercu tak ogromną miłość do życia, życzy sobie widać, aby człowiek czynił wszystko, co możliwe, aby to życie zachować – choćby i trudne, ale zawsze tak cenne.

– O tak, tak – zawołał Dantès. – I mówię, że uratuję księdza!

– Dobrze, próbuj więc! Zimno mnie już ogarnia, czuję, że mi krew napływa do mózgu, już mną trzęsie to okropne drżenie, które powoduje, że szczękają mi zęby, kości wydają się pękać, w pięć minut choroba owładnie mną całkiem, za kwadrans będę już trupem.

– Och! – krzyknął Dantès, przepełniony rozpaczą.

– Zrobisz tak samo jak poprzednio, tylko nie czekaj tak długo. Wszystkie mechanizmy życia działają już we mnie słabiej, a śmierć – dodał, wskazując na sparaliżowane ramię i nogę – będzie miała tylko połowę roboty. Jeżeli wlejesz dwanaście kropel płynu i przekonasz się, że nie odzyskuję przytomności –

wtedy wlej całą resztę. Teraz zanieś mnie na łóżko, bo się nie mogę utrzymać o własnych siłach.

Edmund wziął na ręce starca i ułożył go na łóżku.

– Teraz, przyjacielu – rzekł Faria – jedyna pociecho mojego nędznego życia, którą mi Bóg zesłał wprawdzie trochę późno, ale jednak zesłał, ty mój darze nieoceniony, za który Mu dziękuję – gdy się mam z tobą rozstać na wieki, życzę ci szczęścia, i wszelkiego dobra, jakiego jesteś godny. Błogosławię cię, synu!

Młodzieniec padł na kolana, opierając głowę o łóżko.

– Ale posłuchaj jednak tego, co ci w tej ostatniej chwili powiem. Skarb Spadów istnieje. Bóg pozwolił teraz, że nie ma dla mnie w tej chwili ani odległości, ani przeszkody. Widzę ten skarb w głębi drugiej groty – mój wzrok przenika już głębiej ziemi, razi mnie blask tych bogactw. Jeżeli uwolnisz się stąd, pamiętaj, że stary ksiądz, którego wszyscy mieli za szaleńca, nie był nim. Jedź na Monte Christo, używaj naszej fortuny, wykorzystaj ją – boś dosyć wycierpiał.

Gwałtowne konwulsje przerwały mowę starcowi. Dantès podniósł głowę i ujrzał, że oczy zachodzą mu czerwienią, wyglądało to tak, jakby fala krwi sięgnęła mu z piersi na twarz.

– Żegnaj! Żegnaj! – jęknął Faria, z konwulsyjnym drżeniem chwytając młodzieńca za rękę. – Żegnaj!

– Jeszcze nie, jeszcze nie – zawołał Edmund. – Nie opuszczaj mnie. O Boże, pomóż! Ratunku, do mnie!

– Cicho, cicho – szeptał konający – żeby nas nie rozłączyli, jeżeli mnie ocalisz.

– Prawda. Och, tak, tak, niech ksiądz będzie spokojny; uratuję księdza. Zresztą zdaje mi się, że chociaż bardzo ksiądz cierpi, to jednak daleko mniej niż za pierwszym razem.

– Ach, nie łudź się! Mniej cierpię, bo mam mniej siły, żeby cierpieć. W twoim wieku można mieć wiarę w życie – to przywilej i cecha młodości – wierzyć i mieć nadzieję; ale starzy widzą śmierć wyraźniej. Och, oto ona... nadchodzi... to już koniec... wzrok mi gaśnie... rozum się miesza... – daj mi rękę, Edmundzie... żegnaj.

I czyniąc ostatni wysiłek, którym zebrał całą swoją siłę, podniósł się:

– Monte Christo! Nie zapominaj o Monte Christo.

I opadł na łóżko.

Ten napad był potworny: powykręcane członki, nabrzmiałe powieki, krwawa piana, bezwładne ciało – tyle pozostało na tym łożu boleści z istoty rozumnej, która przed chwilą jeszcze tu leżała. Dantès chwycił lampkę, postawił u wezgłowia; pełgające światło rzucało dziwny, fantastyczny poblask na tę zniekształconą twarz, ciało nieruchome i skurczone.

Z oczyma wlepionymi w księdza młodzieniec czekał na chwilę, w której miał zacząć ratunek. Gdy wydało mu się, że już nadszedł ten moment, wziął nóż, rozwarł zęby, co mu teraz przyszło z mniejszą trudnością niż za pierwszym razem, odliczył dwanaście kropel płynu i czekał; flaszeczka zawierała drugie tyle mikstury. Czekał dziesięć minut, kwadrans, pół godziny – ksiądz nie poruszył się. Drżący, ze zjeżonymi włosami, obłany zimnym

potem, liczył sekundy po biciu własnego serca.

Wreszcie pomyślał, że nadeszła już chwila powtórnej i ostatniej próby; zbliżył flaszeczkę do posiniałych ust Farii i nie potrzebując już podwahać szczęk, bo pozostały rozchylone, wlał resztę płynu. Lekarstwo wywarło elektryzujący skutek. gwałtowny skurcz wstrząsnął całym ciałem starca, otwarły się oczy, ale ich widok przerażał; wyrwało mu się z piersi westchnienie podobne do rżenia; potem to rozedrgane ciało zaczęło wracać do pierwotnego bezruchu.

Tylko oczy pozostały otwarte.

Upłynęło pół godziny, godzina, półtorej. Przez te półtorej godziny Edmund pochylony nad przyjacielem słuchał z trwogą, przyłożywszy mu dłoń do piersi, jak zamierało z wolna coraz głuchsze i odleglejsze bicie serca, czuł, jak stopniowo stygło ciało. Znikły wreszcie ostatnie ślady życia, ucichło echo ostatniego uderzenia serca, twarz zsiniała, zmatowiały otwarte oczy.

Była już szósta, dzień zaczął już przenikać do lochu, blade światło, które zalało celę, przyćmiło gasnące światło lampki. Dziwne refleksy światła przemykały po twarzy trupa i nadawały mu chwilami pozory życia. Dopóki trwała ta walka dnia z nocą, Dantès mógł jeszcze wątpić, ale skoro tylko zajaśniał dzień, pojął, że jest sam na sam z trupem.

Wówczas ogarnął go okropny, nieprzezwykły strach; nie śmiał teraz dotykać tej dłoni, zwieszanej z łóżka, nie śmiał patrzeć w te nieruchome zbielełe oczy, których nie mógł

przymknąć, bo same się otwierały. Zgasił lampkę, ukrył ją starannie i uciekł, nasuwając z trudem płytę na otwór nad głową.

Zresztą był już czas po temu, zbliżał się dozorca.

Tym razem zaczął odwiedziny od celi Dantèsa; następnie miał udać się do lochu Farii ze śniadaniem i czystą bielizną.

Wyszedł; nic nie wskazywało, że ów człowiek wie, co się tam wydarzyło.

Wtedy niewymowna ciekawość ogarnęła Dantèsa, by dowiedzieć się, co też się będzie działo w celi nieszczęśliwego księdza; wczołgał się więc do podkopu i dotarł do jego wylotu w samą porę, by usłyszeć, jak dozorca woła na pomoc. Wkrótce nadeszli inni dozorczy, potem dały się słyszeć owe ciężkie i jednostajne kroki tak właściwe żołnierzom, nawet gdy nie są na służbie. Potem nadszedł komendant.

Edmund usłyszał skrzypienie łóżka, na którym poruszano ciałem; słyszał głos komendanta, który rozkazywał oblać księdzu twarz zimną wodą, a widząc, że ten środek nie poskutkował, posłał po lekarza.

Komendant wyszedł, do uszu Dantèsa dotarło jeszcze kilka słów współczucia, zmieszanych z szyderstwami i śmiechami.

– No, idźmy już – odezwał się ktoś. – Przecież ten wariat poszedł po swoje skarby, szczęśliwej mu drogi.

– Ale i tak z tymi swoimi milionami nie będzie miał czym zapłacić za trumnę – rzekł drugi.

– Ech, trumny na zamku wcale tyle nie kosztują!

– Może będą mieli dla niego jakieś względy; przecież to osoba

duchowna.

– Pewnie, uhonorują go workiem.

Edmund słuchał i nie tracił ani słowa, ale też niewiele rozumiał.

Na koniec głosy umilkły i wydało mu się, że dozorczy wyszli z celi.

Nie wszedł tam jednak: przy zmarłym mógł przecież czuwać któryś z dozorców. Został więc na miejscu milczący, bez ruchu, wstrzymując nawet oddech.

Po godzinie przerwy słaby odgłos zakłócił ciszę i jął narastać.

Powrócił komendant, a z nim przyszedł lekarz i kilku oficerów.

Nastąpiła chwila milczenia; to na pewno lekarz przystąpił do łóżka i oglądał zmarłego.

Wkrótce dały się słyszeć pytania. Lekarz rozpoznał chorobę, która dotknęła starca i oświadczył, że ksiądz nie żyje.

W padających pytaniach i odpowiedziach wyczuć można było lekceważenie, które oburzyło Edmunda. Wydawało mu się, że cały świat powinien odczuwać choć część tej sympatii, jaką darzył biednego księdza.

– Nie cieszy mnie to bynajmniej – rzekł komendant w odpowiedzi na oświadczenie lekarza, że starzec rzeczywiście zmarł – to był bardzo łagodny więzień, bawił nas swoim bzikiem, a i łatwo go było strzec.

– O tak! – wtrącił dozorca. – Tego to można było wcale nie pilnować, proszę pana komendanta. On by tu przesiedział i

pięćdziesiąt lat, a ręczę, że ani razu nie pomyślałby o ucieczce.

– A jednak myślę – odpowiedział komendant – że należałoby jednak upewnić się, czy więzień rzeczywiście umarł; nie wątpię o pańskiej wiedzy, doktorze, ale jestem tu za wszystko odpowiedzialny.

Znowu nastało absolutne milczenie; Dantès domyślił się, że lekarz zabrał się ponownie do badania trupa.

– Możesz pan być spokojny – rzekł wreszcie lekarz – on nie żyje, ręczę za to.

– Wiesz pan bardzo dobrze – nalegał komendant – że w podobnych wypadkach nie poprzestajemy tylko na obejrzeniu zwłok; pomimo oczywistych pozorów, niech pan będzie łaskaw dokonać dzieła do reszty, czego wymagają przepisy.

– A więc niech rozgrzeją do czerwoności żelazo – rzekł lekarz – chociaż to jest doprawdy zbyt skuteczne.

Ten rozkaz przejął Dantèsa drżeniem.

Dały się słyszeć szybkie kroki, skrzypienie drzwi, ktoś chodził tam i z powrotem po celi, w chwilę później wszedł klucznik więzienny i oznajmił:

– Oto rozpalone węgle, a w nich żelazo.

Nastąpiła znowu chwila ciszy; potem zaskwierczało przypiekane ciało i silny, mdlący odór przeniknął nawet przez mur, za którym Dantès nasłuchiwał z największym przerażeniem. Od tej woni zwęglonego ludzkiego ciała potem zrosiło się czoło młodzieńca, który bliski był już omdlenia.

– Widzisz pan, że nie ma żadnych wątpliwości – rzekł lekarz.

– Przypalanie pięć jest decydujące. Biedny wariat, wyleczył się ze swojego szaleństwa i uwolnił z więzienia.

– Czy nie nosił czasem nazwiska Faria? – zapytał jeden z obecnych.

– Tak właśnie; według tego, co utrzymywał, miało to być bardzo stare nazwisko; zresztą był to człowiek bardzo uczony i rozumny pod każdym względem, poza jednym: gdy rozprawiał o swoich skarbach. W tej sprawie nie dawało się z nim dogadać.

– To jest choroba zwana monomanią – rzekł lekarz.

– Nie mieliście nigdy powodu, aby się na niego skarżyć? – zapytał komendant dozorca, co zwykle przynosił księdzu żywność.

– Nigdy, panie komendancie – rzekł dozorca. – Przeciwnie; nieraz opowiadał mi bardzo ciekawe historie; a gdy razu jednego moja żona była chora, dał mi receptę na lekarstwo, które ją uleczyło.

– Ach! Proszę, proszę, nie wiedziałem, że miałem tutaj kolegę – zadrwił lekarz. – Spodziewam się, panie komendancie – dodał ze śmiechem – że raczysz z nim postąpić z należytymi względami.

– Naturalnie, bądź pan spokojny; wyprawimy mu przyzwoity pogrzeb, będzie miał najlepszy worek, jaki znajdziemy; wystarczy to panu?

– Czy mamy wykonać tę ostatnią formalność w obecności pana komendanta? – zapytał dozorca.

– Oczywiście; tylko pośpieszcie się, nie mogę przecież tu

tkwić przez cały dzień.

Znowu dała się słyszeć krzątanina; w chwilę potem szelest rozkładanego płótna dobiegł uszu Edmunda; skrzypnęło łóżko; na posadzce rozległy się ciężkie kroki, jakby ktoś podnosił wielki ciężar; następnie łóżko znów skrzypnęło pod tym ciężarem.

– Zobaczymy się więc wieczorem – rzekł komendant.

– Czy będzie msza? – zapytał jeden z oficerów.

– Niemożliwe – rzekł komendant. – Kapelan poprosił mnie właśnie wczoraj o urlop na tydzień; chce się udać do Hyères. Zaręczyłem mu w imieniu wszystkich naszych więźniów, że nie będzie potrzebny – biedny ksiądz, niepotrzebnie się pośpieszył, miałby swoje *requiem*.

– Ech, co tam! – odezwał się lekarz z bezbożnością właściwą dla ludzi tego stanu. – Staruszek był przecież duchownym, Bóg będzie miał wzgląd na niego i nie pozwoli, aby piekło cieszyło się złośliwie, że mu przysłano księdza.

Ogólny śmiech skwitował ten prymitywny żart.

Tymczasem trwało owijanie ciała w całun.

– Przyjdźcie wieczorem – rzekł na koniec komendant.

– O której? – zapytał klucznik.

– O dziesiątej albo jedenastej.

– Czy ma ktoś czuwać przy nieboszczyku?

– A po co? Zamknąć celę, jak się zamykało, gdy żył i tyle!

Odgłos oddalających się kroków powoli zanikał, głosy ucichły, drzwi skrzypnęły, klucz zazgrzytał w zamku, zgrzytnęły

zasuwy i nastąpiła cisza bardziej posępna od ciszy, która towarzyszy samotności: cisza śmierci zawładnęła wszystkim, wśliznęła się nawet do zlodowaciałego serca młodzieńca.

Wtedy bardzo powoli wypchnął głową płytę i rozejrzał się badawczo po celi.

Cela była pusta: Dantès wyczołgał się z podkopu.

20. Cmentarz zamku If

Na łóżku, oświetlony słabym blaskiem mglistego dnia, który przenikał przez okienko, leżał płócienny wór, a w jego załamaniach widoczny był zarys długiej, sztywnej sylwetki; był to całun Farii – ten całun, który tak niewiele kosztował wedle dozorców. A więc wszystko się skończyło. Dokonał się materialny rozdział między Dantèsem i jego przyjacielem; Edmund nie spojrzy już w jego oczy, które zostały otwarte, jakby chciały zajrzeć za granicę śmierci; nigdy już nie uściśnie tej przemysłnej ręki, która zdarła zasłonę zakrywającą przed nim tyle tajemnic. Faria, ten użyteczny, dobry człowiek, do którego tak mocno się przywiązał, istniał już tylko w jego pamięci. Edmund usiadł na tym straszliwym łożu i oddał się gorzkim, ponurym rozmyśleniom.

Sam! Znowu został sam! Znowu zapadł w ciszę, a wokół otaczała go nicość!

Sam! Ani widoku, ani głosu tej jedynej istoty, która go przywiązywała jeszcze do życia! Nie lepiej byłoby pójść za Farią, aby zapytać Stwórcę o zagadkę bytu, choćby przyszło przejść przez wrota cierpienia. Myśl o samobójstwie, którą przyjaciel odegnał, którą usunęła jego obecność, zaczęła jak widmo krążyć w myślach Edmunda, gdy tylko znalazł się przy zwłokach Farii.

– Gdybym mógł umrzeć – rzekł sam do siebie – poszedłbym tam, gdzie on i znowu bym go spotkał. Lecz jakże umrzeć? Nic

trudnego – sam sobie ze śmiechem odpowiedział. – Zostanę tu, rzucę się na pierwszego, co tu wejdzie, zabiję go, a potem zetnę mi głowę na szafocie.

Ale jak to się zdarza w wielkich cierpieniach jak i podczas gwałtownego sztormu, nagle przepaść otwiera się między dwoma szczytami bałwanów – podobnie było z Dantèsem: cofnął się na myśl o tej haniebnej śmierci, i odbiwszy się gwałtownie od dna rozpaczy, zapragnął gorąco życia i swobody.

– Umrzeć! O nie! – zawołał. – Po tym, co przeżyłem, po tylu cierpieniach miałbym umrzeć? To było dobre kiedyś, gdy przed laty tak zdecydowałem; ale dziś pomagałbym tylko mojemu nędznemu przeznaczeniu. O nie, ja chcę żyć, chcę walczyć do końca; muszę odzyskać to szczęście, które mi wydarto. Zapomniałem, że nim umrę, powinienem ukarać moich prześladowców, a może, kto wie, nagrodzić też kilku przyjaciół? Ale przecież zapomniany w tym lochu, wyjdę stąd jedynie tak jak Faria.

Powiedziawszy to, Edmund nagle znieruchomiał i wpatrzył się w przestrzeń, jak człowiek, którego niespodziewanie uderzy jakaś myśl straszliwa; powstał nagle, podniósł rękę do czoła, jakby doznał zawrotu głowy, przeszedł się kilka razy tam i z powrotem po celi, a w końcu zatrzymał się przed łóżkiem.

– Ach! – szepnął. – Któż mi zsyła tę myśl? Czy to Ty, o Boże! Ponieważ tylko umarli mogą się stąd wydostać, zajmę miejsce umarłego.

Nie tracąc czasu na dalsze namysły, nie chcąc jakby dać sobie

czasu na to, aby zachwiał się w nim ten zamiar, pochylił się nad ohydny workiem, rozciął go nożem, który zrobił Faria, wyjął trupa, zaniósł do swego lochu, położył na łóżku, okrył kołdrą od stóp do głów, jak zwykł sam się przykrywać, po raz ostatni ucałował złodowaciąle czoło, spróbował przymknąć nieposłuszne oczy, wiecznie otwarte, straszne, bo pozbawione myśli; odwrócił go twarzą do ściany, aby dozorca, przyszedłszy z wieczerzą, myślał, że Dantès śpi, jak się to zwykle zdarzało; wrócił podkopem do celi Farii, otworzył skrytkę, wyjął igłę i nici, zrzucił odzienie, aby ci, co mieli nieść worek czuli, że w środku jest nagie ciało, wsunął się do rozprutego worka, położył się w tej samej pozycji, w jakiej leżał nieboszczyk i zaszył otwór od wewnątrz.

Gdyby nieszczęściem ktoś wszedł w tej chwili do lochu, usłyszałby bicie jego serca.

Dantès mógł poczekać do obchodu dozorca, ale lękał się, by komendant nie zmienił decyzji i nie kazał wynieść zwłok wcześniej. Zniweczyłoby to ostatnie jego nadzieje.

Na wszelki wypadek ułożył sobie gotowy plan.

Jeśli w czasie drogi grabarze zrozumieli, że niosą żywego człowieka zamiast umarłego, Edmund nie da im czasu na opamiętanie się, szybko rozpruje nożem worek od góry do dołu, skorzysta z ich przestachu i ucieknie; gdyby go chcieli zatrzymać, użyje noża.

Jeżeli zaniosą go na cmentarz, ułożą w grobie i przysypią ziemią, pozwoli się zakopać; a potem, skoro wszystko będzie

okrywać ciemność nocy, zaledwie się odwróca, rozkopie miękką ziemię i umknie; miał nadzieję, że warstwa ziemi nad nim nie będzie tak ciężka, aby nie zdołał jej dźwignąć. Jeżeli zaś mylił się i ziemia będzie zbyt ciężka, udusi się – tym lepiej – raz się wszystko skończy.

Od wczoraj nic nie miał w ustach, ale nie pomyślał o głodzie ani rano, ani nawet teraz. Położenie, w jakim się znajdował, było tak ryzykowne, że nie był w stanie zatrzymać się przy żadnej innej myśli.

Pierwszym niebezpieczeństwem, jakie groziło Dantèsowi, było nadejście dozorca, który mógł poznać zamianę; na szczęście, na skutek mizantropii lub zmęczenia, Dantès leżał zwykle odwrócony w łóżku, dozorca zaś wtedy stawiał tylko jedzenie na stole i wychodził z celi, nie odzywając się ni słowem.

Ale tym razem dozorca mógł odstąpić od swoich milkliwych zwyczajów, a widząc, że Dantès nie odpowiada, zbliżyć się do łóżka i wszystko wyszłoby na jaw.

Około siódmej wieczorem Dantès zaczął trwożyć się na dobre. Przyciskając rękę do piersi usiłował powstrzymać bijące gwałtownie serce, a drugą ocierał zimny pot z czoła; co chwilę całe jego ciało przechodził gwałtowny wstrząs, który ścisnął mu serce jakby w żelazne kleszcze. Zdawało mu się wówczas, że umiera. Godziny upływały z wolna, w zamku panowała cisza, a Dantès zrozumiał, że uniknął pierwszego niebezpieczeństwa. To była dobra wróżba. Wreszcie, około wyznaczonej przez komendanta godziny, na schodach dały się słyszeć kroki.

Edmund pojął, że nadeszła decydująca chwila; zebrał całą odwagę, powstrzymał oddech, i byłby jeszcze szczęśliwy, gdyby mógł zatrzymać pulsowanie krwi.

Przy drzwiach zatrzymano się; słysząc było podwójny odgłos kroków; Dantès domyślił się więc, że przyszło pochować zmarłego dwóch grabarzy. Przypuszczenie to zamieniło się w pewność, kiedy usłyszał, jak dozorczy stawiali na ziemi nosze.

Drzwi się otwarły i Dantès dobiegł przyćmiony blask światła; przez okrywające go płótno dojrzał dwa cienie zbliżające się do łóżka. Trzeci z latarnią w ręku pozostał przy drzwiach. Ludzie chwycili worek za dwa końce.

– Ale ciężki ten chudy staruszek – rzekł jeden z nich, podnosząc Edmunda za głowę.

– Mówią, że co rok kości stają się cięższe o pół funta – odpowiedział drugi, biorąc za nogi.

– Zrobiłeś już węzeł? – zapytał pierwszy.

– To byłaby głupota, po co mamy dźwigać dodatkowy ciężar – odparł drugi – zawiążę go na miejscu.

– Racja; to chodźmy.

„Po co ten węzeł?” – pomyślał Dantès.

Przeniesiono domniemanego trupa z łóżka na nosze. Edmund leżał sztywno, chcąc dobrze odgrywać swoją rolę nieboszczyka. Cały orszak, poprzedzany mężczyzną trzymającym latarnię, jął wchodzić na schody.

I nagle owionęło go świeże i ostre nocne powietrze. Dantès rozpoznał podmuchy mistrała. Rozkoszne, a razem dręczące

było to nagle doznane wrażenie. Tragarze uszli jeszcze jakieś dwadzieścia kroków, zatrzymali się i postawili nosze na ziemi.

Jeden z dozorców oddalił się, jego kroki zastukały na kamieniach.

„Gdzież jestem?” – zapytał Edmund sam siebie.

– Wiesz co, on wcale nie jest lekki! – rzekł grabarz, który został, siadając na końcu noszy.

Pierwszą myślą Dantèsa było rzucić się teraz do ucieczki; na szczęście powstrzymał się jednak.

– Poświeć mi, bydlaku – krzyknął ten, co się oddalił – bo nic nie znajdę!

Latarnik pospieszył na to wezwanie, choć sformułowane było niezbyt grzecznie.

„Czego on szuka? – pomyślał znowu Dantès. – Pewnie łopaty”.

Okrzyk zadowolenia wskazał, że grabarz znalazł, czego szukał.

– Ale się naszukałeś – powiedział inny.

– Tak – odparł tamten – ale nasz staruszek nic nie stracił na tym czekaniu.

I podszedł do Dantèsa, który usłyszał stuk jakiegoś ciężkiego przedmiotu, rzuconego na ziemię tuż obok; w tej samej chwili sznur zacisnął się boleśnie wokół nóg Edmunda.

– A co, masz już ten węzeł? – rzekł ten, który niczym się do tej pory nie zajmował.

– I to całkiem niezły. Nie rozwiąże się.

Podnieśli nosze i ruszyli dalej.

Uszli może z pięćdziesiąt kroków, zatrzymali się, aby otworzyć jakieś drzwi, i szli dalej; w miarę, jak się posuwali, szum fal rozbijających się o skałę, na której stał zamek, dochodził coraz wyraźniej uszu Dantèsa.

– Paskudna pogoda – powiedział jeden z grabarzy. – Niezbyt miło znaleźć się dziś w nocy na morzu.

– Masz rację, biedny ksiądz może zmoknąć – dodał drugi i obaj wybuchnęli śmiechem.

Dantès nie rozumiał żartu, ale włosy stanęły mu dęba.

– No, przyszli wreszcie – rzekł pierwszy.

– Jeszcze trochę dalej – odparł drugi. – Wiesz przecież, że ostatni zawisł w połowie drogi, poszarpany o skały; komendant wyzywał nas potem od leni.

Podeszli jeszcze pięć lub sześć kroków w górę, po czym Dantès poczuł, że jeden bierze go za głowę, drugi za nogi i zaczynają huśtać.

– Raz! – zawołali zgodnie.

– Dwa!

– Trzy!

I w tym momencie Dantès uczuł, że został wyrzucony w jakąś bezdenną przepaść; przebijał powietrze jak zraniony ptak, spadając i spadając, a serce ścieło mu się od trwogi. Chociaż jakiś ciężar u nóg przyspieszał ten lot, wydało mu się, że lot ten trwa całe wieki. Na koniec wpadł ze straszliwym pluskiem w wodę zimną jak lód, wydając okrzyk przerażenia, zduszony

natychmiast przez wodę.

Edmunda rzucono w morze i trzydziestosześcioletnia kula ciągnęła go na dno.

Morze jest cmentarzem zamku If.

21. Wyspa Tiboulén

Dantès – oszołomiony, niemal uduszony – miał tyle przynajmniej przytomności umysłu, że wstrzymał oddech, a że przygotowany na wszystko, trzymał, jakeśmy to widzieli, w prawej ręce nóż, w mgnieniu oka rozciął worek, wysunął rękę, potem głowę; ale pomimo wysiłków, jakie czynił, aby uwolnić się od ciężaru, kula nadal wciągała go na dno; skurczył się więc, szukając liny, która krępowała mu nogi i ostatnim wysiłkiem rozciął sznur w chwili, gdy miał stracić przytomność. Odbiwszy się gwałtownie nogą, wypłynął wolny na powierzchnię morza, gdy tymczasem kula porwała za sobą w morskie głębiny worek, który miał się stać całunem śmiertelnym Edmunda.

Młodzieniec wypłynął tylko po to, aby zaczerpnąć powietrza i natychmiast zanurzył się powtórnie, aby nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi.

Kiedy wypłynął drugi raz na wierzch, był już przynajmniej o pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym wpadł; rozejrzał się wokoło i spostrzegł nad sobą czarne niebo, grożące burzą, po którym wiatr przeganiał pędzące chmury, a między nimi przezierał gdzieś skrawek błękitu zwieńczony gwiazdą. Przed Edmundem rozpościerała się mroczna, rycząca płaszczyzna; fale zaczynały już kipieć, jakby zbliżała się burza, a za nim wznosiło się groźne widmo, granitowy olbrzym, czarniejszy od morza, czarniejszy od nieba; jego sterczący

wierzchołek zdawał się drapieżną dłońią sięgającą po ofiarę. U szczytu skały latarnia oświetlała dwa cienie.

Wydało się Edmundowi, że te cienie pochylają się z niepokojem nad morzem. W rzeczy samej, ci dziwaczni grabarze musieli usłyszeć krzyk, który wydał, lecąc w dół. Zanurzył się więc ponownie i długo płynął pod wodą. Manewr ten wykonywał niegdyś z łatwością, ścigał mu on do zatoczki Pharo tłumy wielbicieli, którzy okrzykiwali go najzręczniejszym pływakiem Marsylii.

Gdy drugi raz wypłynął na powierzchnię, latarnia zniknęła.

Trzeba było teraz zorientować się w położeniu. Ze wszystkich wysp otaczających zamek If najbliższe były Ratonneau i Pomègue, ale obie były zamieszkałe; podobnie jak maleńka wysepka Daum. Najbezpieczniejsze wydawały się wyspy Tiboulen i Lemaire, o milę odległe od zamku.

Pomimo tej odległości Dantès nie porzucił myśli o dotarciu do którejś z nich; ale jak je rozpoznać wśród coraz gęstszej nocy?

W tej chwili dostrzegł światło latarni morskiej w Planier, błyszczącej jak gwiazda.

Zmierzając prosto w jej stronę, zostawiłby wyspę Tiboulen nieco po lewej, jeśli zaś popłynie bardziej w lewo, powinien się na nią natknąć.

Powiedzieliśmy jednak, że odległość tej wyspy od zamku If wynosi milę.

W więzieniu jeszcze, Faria często mawiał do młodzieńca, widząc jego smutek i gnuśność:

– Edmundzie, nie poddawaj się tej zniewieściałości, jeśli nie będziesz ćwiczył mięśni, utopisz się, gdy będziesz chciał uciec.

Gdy ciężka fala przygniotła Dantèsa, słowa te zadźwięczały mu w uchu; wypłynął szybko na powierzchnię i jął przecinać fale, aby przekonać się, czy nie stracił coś ze swoich sił; ale ujrzał z radością, że przymusowa beczynność nie pozbawiła go siły ani zręczności, poczuł, że jak dawniej jest panem żywiołu, z którym igrał od dziecka.

Zresztą strach, ten rączy prześladowca, podwajał siły Dantèsa. Nasłuchiwał, wznosząc się na wierzchołkach fal, czy nie dojdzie jego uszu jakiś odległy odgłos. Za każdym razem, gdy fala unosiła go w górę, obejmował bystrym spojrzeniem widzialny dlań horyzont i usiłował przebić wzrok ciemności. Każda wyższa fala zdawała mu się łodzią pościgową, podwajał więc wysiłki; oddalało go to wprawdzie od zamku, ale mogło mu też wyczerpać siły.

Płynął i płynął; posępny zamek wtapiał się powoli w mgły nocne. Nie widział go już, ale nie przestawał odczuwać jego bliskości.

Upłynęła godzina, a Edmund, odurzony świadomością, że jest wolny, rozcinał nadal fale w zamierzonym kierunku.

„Płynę już blisko godzinę – pomyślał – ale że mam przeciwny wiatr, straciłem pewnie jedną czwartą szybkości; a jednak, o ile się nie pomyliłem w kierunku, powinienem być już w pobliżu Tiboulèn... Ale jeśli się pomyliłem?!...”.

Drżenie wstrząsnęło całym ciałem płynącego. Chciał przez

chwilę odpocząć, płynąc na wznak, ale morze stawalo się coraz bardziej wzburzone i Edmund zrozumiał, że nie mógł liczyć na tę formę odpoczynku.

– A niech tam! Będę płynął, póki mi sił starczy, póki nie zmęczą mi się ramiona i kurcz mnie nie chwyci; a potem – pójdę na dno!

I zaczął płynąć, wyteżając z rozpaczą wszystkie siły.

Wtem wydało mu się, że niebo, i tak zasępione, pociemniało jeszcze bardziej, że wali się na niego ogromna, ciężka chmura i jednocześnie poczuł nagły ból w kolanie. Galopująca wyobraźnia podszeptała mu natychmiast, że to trafiła go kula i że zaraz usłyszy odgłos wystrzału; ale nikt nie wystrzelił. Edmund wyciągnął rękę i natknął się na opór. Przyciągnął drugą nogę – i stanął na lądzie. Dopiero wtedy zrozumiał, co było ową chmurą.

O dwadzieścia kroków wznosiło się skupisko dziwacznych skał, które można by wziąć za ogromne ognisko skamieniałe w chwili, gdy płomienie sięgały najwyżej. Była to wyspa Tiboulen.

Edmund podniósł się, postąpił kilka kroków, złożył dzięki Stwórcy i ułożył się na ostrych skałach, które wydały mu się pościelą wygodniejszą od najbardziej miękkiego łóża. Pomimo wiatru i burzy, pomimo ulewy, która właśnie zaczynała chłostać, zasnął, wycieńczony wysiłkiem, tym cudownym snem, który wprawdzie sprowadza na ciało odrętwienie, pozwala jednak duszy radować się niespodziewanym szczęściem. Po godzinie straszliwy grzmot obudził Edmunda: wokół rozszalała się burza i siekła deszczem powietrze; niekiedy błyskawica jak

ognisty wąż spadała z niebios na ziemię, oświecając chmury i fale, które wydawały się występować przeciw sobie, przenikając się w przedziwnym chaosie.

Żeglarski instynkt nie zawiódł Edmunda: dotarł rzeczywiście na wyspę Tiboulen. Wiedział wprawdzie, że jest to wyspa pozbawiona roślinności, bezludna i niemogąca dać mu schronienia; ale po burzy mógł popłynąć do wyspy Lemaire, równie jałowej, ale obszerniejszej i przez to bardziej gościnnej. Pochylony występ skalny nadał mu się na chwilowe schronienie, wpłynął tam i niemal w tejże chwili burza wybuchła na dobre. Edmund czuł drżenie skały, pod którą się schował; bałwany, rozbijające się o podstawę tej gigantycznej piramidy i rozprysnięte bryzgi, sięgały aż do niego. Huk nawałnicy i oślepiający blask błyskawic przyprawiał go o zawrót głowy: zdawało mu się, że wyspa drży pod nim, i że lada moment, podobna statkowi na kotwicy, zerwie łańcuch i wciągnie go w ogromny wir. Wtedy przypomniawszy sobie, że od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach: poczuł nagle głód i pragnienie. Wyciągnął ręce, wychylił się, znalazł w jakimś zagłębieniu skały nieco wody deszczowej i wypił ją.

Gdy wracał na swoje miejsce, nagła błyskawica rozdarła niebo, rzekłbyś, że aż do stóp tronu Wszechmogącego, i rozświetliła wszystko dokoła. W blasku tym Edmund ujrzał między wyspą Lemaire i przylądkiem Croisille, o ćwierć mili od niego, kuter rybacki, unoszący się niczym widmo na grzbiecie fal; w chwilę później runął w przepaść, aby w sekundę potem

znów się pojawić na grzbiecie innej fali, pędząc z przerażającą szybkością. Dantès chciał krzyczeć, szukał kawałka płótna, by powiewając nim w powietrzu, ostrzec ich, że czeka ich tu zguba, ale oni sami to wiedzieli. Przy świetle kolejnej błyskawicy dostrzegł czterech mężczyzn uczepionych kurczowo masztu i sztagów, piąty trzymał się pogruchotanego steru. Ci ludzie ujrzeni go widać także, bo do jego uszu dotarły rozpaczliwe krzyki. Ponad masztem skrzywionym jak trzcina łopotał poszarpany żagiel; nagle pękły liny, które go utrzymywały, żagiel uniósł się niby biały ptak ku czarnym chmurom, znikając w ciemnych głębiach nieba.

Jednocześnie rozległ się straszliwy trzask i krzyki konania dotarły aż do uszu Dantèsa. Uczepiony skały jak sfinks, sięgał wzrokiem w przestrzeń pod sobą i przy blasku błyskawicy ujrzał pogruchotany stateczek, a wśród jego szczątków twarze pełne rozpacz, ramiona wyciągnięte ku niebu. Po czym wszystko pochłonęła noc: straszliwy widok przemknął jak błyskawica.

Dantès rzucił się w dół z oślizgłej skały, narażając się sam na upadek w fale. Patrzył, nasłuchiwał, ale nic już nie usłyszał, nic nie dojrzał. Krzyki umilkły; pozostała tylko burza, to straszne dzieło Boga, ryk wiatru i spienione uderzenia fal.

Wiatr z wolna cichł, chmurne niebo toczyło na zachód szare obłoki, jakby odbarwione przez burzę; znów zajaśniał ciemny błękit z gwiazdami migoczącymi piękniej niż kiedykolwiek; potem na wschodzie długa, czerwonawa wstęga zarysowała na horyzoncie ciemnogranatowy pofałdowany kontur lądu, fale

spiętrzyły się i nagły blask oblał ich spienione wierzchołki, zmieniając je w złociste grzywy.

Nadchodził dzień.

Edmund niemy i bez ruchu patrzył na to wspaniałe widowisko, jakby oglądał je po raz pierwszy. Istotnie, w więzieniu zatarły mu się w pamięci takie obrazy. Zwrócił ku fortecy badawczy wzrok i powiódł spojrzeniem jednocześnie po ziemi i morzu.

Ponury gmach wznosił się pośród fal, majestatyczny i imponujący jak wszystkie budowle, co zdają się zarazem czuwać i rozkazywać.

Mogła być piąta; morze uspokajało się coraz bardziej.

„Za dwie lub trzy godziny – pomyślał Edmund – dozorca przyjdzie do mojej celi, znajdzie ciało mego biednego przyjaciela, rozpozna je, na próżno będzie mnie szukać i wznieci alarm. Znajdą otwór, podkop; przesłuchają ludzi, którzy mnie wyrzucili do morza i którzy słyszeli mój krzyk. Łodzie z żołnierzami natychmiast wyruszą w pogon za zbiegiem, sądząc słusznie, że nie może być daleko. Wystrzał z działa ostrzeże wszystkich na wybrzeżu, że nie wolno pomagać żadnemu człowiekowi, który by nagi i wygłodniały błakał się w okolicy, szpiedzy i łapacze marsylscy będą przeszukiwać wybrzeża, a komendant zamku If zajmie się przeszukaniem morza. Osaczony na lądzie i morzu co pocznę? Jestem głodny i wymarznęty – pozbyłem się wszystkiego, co mi przeszkadzało w pływaniu, nawet noża. Jestem zdany na łaskę łada wieśniaka, który zechce zarobić dwadzieścia franków za wydanie mnie policji. Nie

mam już siły, nie jestem w stanie myśleć ani czegokolwiek postanowić. Ach, Boże, Boże! Popatrz, czy już nie za wiele wycierpiałem i przyjdź mi z pomocą, kiedy już sam nie mogę nic zrobić!”

Gdy Edmund powtarzał tę gorącą modlitwę, stojąc jak w odrętwieniu – wycieńczony i upadły na duchu – i patrząc z trwogą w stronę zamku, zauważył nagle, jak zza cypla wyspy Pomegue wysuwa się łaciński żagiel; był to stateczek, podobny mewie muskającej powierzchnię morza, w którym tylko oko marynarza mogło rozpoznać genueńską tartanę. Nadpływał od strony portu marsylskiego i wychodził już na pełne morze, tnąc ostrym dziobem migotliwą pianę.

– Ach! – zawołał Dantès. – Przecież mógłbym za pół godziny znaleźć się na tym statku, gdyby nie ta obawa, że będą mnie tam wypytywać, rozpoznają we mnie zbiega i odwiozą do Marsylii! Co robić, co im powiedzieć? Jaką wymyślić bajkę, żeby ich w pole wyprowadzić? Z reguły na takich statkach pływają przemytnicy, na pół piraci, udają statki kabotażowe, a w rzeczywistości rabują wybrzeża. Będą woleli mnie sprzedać, niż spełnić bez zapłaty dobry uczynek. Lepiej czekać...

Ale czekać niepodobna. Umieram z głodu – za kilka godzin zupełnie opuszczą mnie siły, a tymczasem zbliża się godzina obchodu; ale nie wszczął się jeszcze alarm, może ci z tartany nie domyślą się niczego. Mogę się podać za marynarza z kutra, co się rozbił tej nocy; ta historyjka jest całkiem prawdopodobna, nikt mi nie zada kłamu, wszyscy leżą na dnie morza. No to w drogę!

To mówiąc, Edmund zwrócił oczy w stronę, gdzie rozbił się mały statek i zadrżał. Na skale wisiała czapka frygijska któregoś z majtków z zatopionego kutra, a blisko niej unosiły się na falach szczątki kadłuba statku.

Dantès szybko powziął decyzję; skoczył do morza, podpłynął do czapki, wcisnął ją sobie na głowę, pochwycił jedną z belek i skierował się ku tartanie, chcąc jej przeciąć drogę.

– Teraz jestem ocalony – szepnął.

Przekonanie to dodało mu sił.

Wkrótce dostrzegł statek, który miał wiatr na dziób i lawirował pomiędzy zamkiem If a latarnią w Planier. Przez chwilę Edmund lękał się, że statek skieruje się na pełne morze, gdyby zamierzał na przykład udać się na Korsykę lub Sycylię, ale przyjrzawszy się halsowaniu, poznał natychmiast, że tartana przepłynie pomiędzy wyspami Jaros i Calaseraigne, jak to zwykle czynią statki zmierzające do Włoch.

Tymczasem statek i pływak przybliżali się do siebie coraz bardziej, choć z wolna; oddzielało ich już tylko ćwierć mili. Młodzieniec wzniosł się wtedy na fali, machając rozpaczliwie czapką, ale na statku tego nie spostrzeżono i tartana wykonała nowy zwrot, przechodząc na kurs przeciwny. Edmund chciał krzyknąć, ale zmierzwszy wzrokiem odległość, pojął, że głos nie dojdzie do statku, zagłuszony szumem fal i wiatru. Wtedy dopiero pogratulował sobie przezorności – że chwycił się belki. Osłabiony tak bardzo mógłby już nie wytrzymać dłużej o swych siłach, i utonąłby, nie dostawszy się do statku; a gdyby statek

przepłynął obok i nikt by go nie spostrzegł, Edmund na pewno nie zdołałby powrócić na ląd.

Jakkolwiek pewny już był kursu statku, ciągle śledził go niespokojnie, aż do chwili, gdy żaglowiec nie zaczął zwracać się w jego kierunku. Wtedy popłynął na jego spotkanie, nim jednak dotarł do niego, statek znów zaczął zmieniać kurs. W ostatnim wysiłku Edmund dźwignął się niemal prostopadle do fali i machając czapką, krzyczał tak rozpaczliwie, jak zwykli czynić marynarze, kiedy wołają o pomoc.

Tym razem spostrzeżono go i usłyszano. Statek wstrzymał manewr i wziął kurs na niego. Edmund spostrzegł, że przygotowują się do spuszczenia łódki. W chwilę później łódź z dwoma marynarzami pomknęła w stronę rozbitka. Wtedy Edmund porzucił belkę, której – jak sądził – już nie potrzebował – i popłynął naprzeciw, aby oszczędzić ratownikom połowy drogi.

Przeliczył się jednak z siłami, które niemal całkiem już zdążył wyczerpać; wtedy dopiero poczuł, jak zbawienna była dlań ta belka – ale fala odniosła ją od niego już o sto kroków. Ręce zaczęły mu drętwieć, nogi straciły giętkość, ruchy utraciły rytmiczność, w piersi brakło tchu.

Krzyknął raz jeszcze z największą rozpaczą, wiosłarze podwoili wysiłek, a jeden z nich zawołał po włosku: „Odwagi!”.

Słowo to dobiegło do niego w chwili, gdy fala, na którą już nie był w stanie się wznieść, przeszła mu ponad głową, zalewając go.

Wyłynął raz jeszcze na powierzchnię, bijąc w wodę

nieskoordynowanymi i rozpaczliwymi ruchami tonącego, krzyknął znowu i poczuł, że wciągany jest na dno, jakby miał wciąż przywiązaną do nóg żelazną kulę. Fala znów przeszła mu nad głową; przez wodę widział sinawe niebo upstrzone czarnymi plamami. Gwałtowny wysiłek wyniósł go znowu na powierzchnię.

Wydało mu się wtedy, że chwyta go ktoś za włosy; a potem nic już nie widział, nic nie słyszał; stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, znajdował się już na pokładzie statku, który kontynuował rejs; przede wszystkim rozejrzał się wokół, aby się upewnić, w którą stronę płynie tartana; oddalali się ciągle od zamku If.

Edmund był tak wycieńczony, że okrzyk radości, jaki wydał, wzięto za jęk bólu.

Leżał, jakeśmy już wspomnieli, na pokładzie; jeden z majtków rozcierał mu członki wełnianą derką; inny, ten, który zachęcał go do odwagi, usiłował mu wetknąć do ust szyjkę manierki, trzeci, stary marynarz, pilot i zarazem dowódca spoglądał nań z owym egoistycznym współczuciem, jakie ludzie odczuwają na ogół wobec nieszczęścia, które ominęło ich wczoraj, ale może ich spotkać jutro.

Kilka kropel rumu ożywiło Edmunda, masowanie zdrętwiałych kończyn przywracało im zwykłą giętkość.

– Coś za jeden? – zapytał dowódca po francusku z fatalnym akcentem.

– Marynarz maltański – rzekł Edmund po włosku, z równie

złym akcentem. – Wracaliśmy z Syrakuz z ładunkiem wina i panoliny. Sztorm dopadł nas niedaleko przylądka Morgion i rozbiliśmy się tam, o te skały.

– A skądże się tu wzięłeś?

– Uczępiłem się skał, o które nasz biedny kapitan roztrzaskał sobie głowę. Trzej inni moi towarzysze utonęli. Zdaje mi się, że tylko ja pozostałem przy życiu. Spostrzegłem wasz statek i z obawy, że będę musiał długo czekać na tej bezludnej, samotnej wyspie, chwyciłem belkę, co się ostała z naszego kutra, w nadziei, że uda mi się do was dostać. Dziękuję, ocaliliście mi życie – ciągnął Edmund. – Byłbym już na dnie, gdyby jeden z pańskich marynarzy nie chwycił mnie za włosy.

– A to ja – rzekł marynarz, na którego twarzy, otoczonej czarnymi faworytami, malowała się szczerłość i otwartość. – Był już czas najwyższy, boś pan już tonął.

– Tak – odpowiedział Edmund, wyciągając ku niemu rękę. – Tak, przyjacielu, i dziękuję ci raz jeszcze z całego serca.

– Ale słowo daję – zawołał marynarz – że się wahałem przez chwilę; z taką brodą na sześć cali i włosami długości stopy wyglądałeś pan raczej na rozbójnika niż na uczciwego człowieka.

Edmund przypomniał sobie, że podczas całego pobytu na zamku If, rzeczywiście nie golono mu ani raz brody, ani nie strzyżono włosów.

– A tak – rzekł – kiedyś w wielkim niebezpieczeństwie uczyniłem ślub Najświętszej Pannie del Pie de la Grotta, że przez dziesięć lat nie będę ani strzygł włosów, ani golił brody. Dziś

właśnie mija dziesięć lat od dnia, gdy złożyłem ten ślub, i o mało nie utopiłem się w rocznicę tej przysięgi.

– I co my teraz z panem zrobimy? – zastanawiał się dowódca.

– Niestety, to, co chcecie – odpowiedział Edmund. – Nasza feluka jest strzaskana, kapitan mój nie żyje. Jak widzicie, uniknąłem takiego samego losu, ale za to jestem zupełnie goły. Na szczęście jestem dobrym marynarzem, zostawcie mnie w pierwszym porcie, do którego przy płyniecie, zawsze znajdę sobie służbę na jakimś kupieckim statku.

– Dobrze znasz Morze Śródziemne?

– Pływam po nim od dzieciństwa.

– Znasz pan tu najlepsze miejsca do rzucenia kotwicy?

– Mało jest przystani, nawet najtrudniejszych, do których nie potrafiłbym wpłynąć lub wypłynąć nawet z zamkniętymi oczami.

– No to powiedzcie, szefie – powiedział majtek, który krzyknął Edmundowi „Odwagi!” – jeżeli oczywiście kolega mówi prawdę, czemu nie mógłby zostać z nami?

– Tak, jeżeli nie kłamie – odpowiedział dowódca tonem wyrażającym wątpliwość. – Tylko, że w sytuacji, w jakiej się biedak znajduje, obiecuje się złote góry, a dotrzymuje, ile zdoła.

– Więcej dotrzymam, niż obiecuję – żywo odpowiedział Dantès.

– Oho – roześmiał się dowódca. – Zobaczymy, zobaczymy.

– Jeżeli pan zechce, mogę spróbować zaraz – odparł Edmund, podnosząc się. – Gdzie płyniecie?

– Do Livorno.

– Po co więc tracicie czas na lawirowanie, zamiast zwrócić się ostrzej na wiatr?

– Dlatego, że wpakujemy się prosto na wyspę Rion.

– Ominiemy ją w odległości dwudziestu sążni.

– To bierz pan ster – rzekł kapitan – a zobaczymy, co umiesz.

Młodzieniec wziął się do steru; pociągnął go lekko i przekonał się, że statek, choć niezbyt zwrotny, jest posłuszny sterowi. Zakomenderował:

– Do brasów i szotów!

I czterej marynarze stanowiący załogę statku rzucili się na stanowiska, a dowódca patrzył tylko na nich bacznie.

– Przyciągaj! – zawołał Edmund.

Marynarze znów wykonali rozkaz z wystarczającą dokładnością.

– A teraz mocować!

Spełniono ten rozkaz jak i dwa poprzednie. Tartana przestała halsować i ruszyła prosto w stronę wyspy Rion, koło której przeszła zgodnie z zapowiedzią Edmunda o dwadzieścia sążni, zostawiając ją po prawej burcie.

– Brawo! – powiedział dowódca.

– Brawo! – powtórzyli majtkowie.

I patrzyli wszyscy z podziwem na tego człowieka, w którego oku zabłysła znów inteligencja, a ciało odzyskało siłę, której nikt w nim nie podejrzewał.

– Widzicie – rzekł Edmund, puszczając ster – że będę mógł się

wam na coś przydać, przynajmniej podczas tego rejsu; a jeśli już mnie nie będziecie chcieli, gdy dopłyniemy do Livorno – no cóż, zostawicie mnie tam; i z pierwszej gaży zwrócę wam za jedzenie i odzież, którą mi pożyczycie.

– Zgoda! Zgoda! – rzekł kapitan. – Dogadamy się, bylebyś pan za dużo nie wymagał.

– Człowiek wart zawsze człowieka – rzekł Edmund. – Zapłaci mi pan tyle, co innym, a umowa stoi.

– To niesłuszne – rzekł marynarz, który wyciągnął z morza Edmunda – ponieważ więcej pan od nas umiesz.

– Po co się do diabła do tego mieszasz, Jacopo? Co cię to obchodzi? – zachnął się dowódca. – Każdemu wolno zaciągnąć się za tyle, ile mu się podoba.

– To prawda – odrzekł Jacopo. – To była tylko taka uwaga.

– Lepiej byś zrobił, gdybyś pożyczył temu chłopakowi – patrz, jaki goły – spodnie i bluzę, jeśli masz drugą parę.

– Nie – odrzekł Jacopo – ale mam koszulę i spodnie.

– To wszystko, czego mi trzeba – zapewnił Dantès – dzięki, przyjacielu.

Jacopo zniknął w lukę i po chwili wyszedł, niosąc ubranie, które Edmund wciągnął na siebie z niewymownym zadowoleniem.

– A teraz czego panu jeszcze trzeba? – zagadnął dowódca.

– Kawałek chleba i parę łyków tego znakomitego rumu, którego już próbowałem. Od dawna nie miałem nic w ustach.

Istotnie – Edmund jadł ostatnio dwie doby temu.

Przyniesiono mu chleba, a Jacopo ofiarował mu manierkę.

– Ster na lewą burtę! – krzyknął kapitan, odwracając się do sternika.

Edmund popatrzył w tę samą stronę, podnosząc do ust manierkę, ale ręka zawisła mu w połowie drogi.

– No, no – zdziwił się kapitan – coś niezwykłego stało się na zamku If!

Rzeczywiście, nad zębatymi blankami południowego bastionu unosił się biały obłoczek dymu, który zwrócił uwagę Edmunda. Sekundę później odgłos dalekiego wystrzału zamarł u burty tartany.

Marynarze podnieśli głowy i spojrzeli po sobie.

– Co to znaczy? – zapytał dowódca.

– Uciekł pewnie tej nocy jakiś więzień – odparł Edmund – i strzelają na alarm.

Kapitan spojrzał spod oka na młodzieńca, który kończąc te słowa, podniósł do ust manierkę; ale zobaczył, że Edmund popija rum z takim spokojem i z tak szczerym zadowoleniem, że jeżeli żywił nawet jakieś podejrzenie, to przebiegło mu ono tylko przez głowę i natychmiast zgasło.

– To mi dopiero mocny rum – zauważył Edmund, wycierając rękawem koszuli mokre od potu czoło.

– W każdym razie – mruknął do siebie kapitan, zerkając na Dantèsa – jeżeli to on jest tym więźniem, tym lepiej; taki odważny człowiek to dobry nabytek.

Pod pretekstem zmęczenia, Edmund poprosił, aby mu

pozwolono usiąść przy sterze. Sternik, zachwycony, że ktoś go może zastąpić, zwrócił pytający wzrok na kapitana, który przyzwolił skinieniem głowy.

W ten sposób Edmund mógł się do syta napatrzyć Marsylii.

– Którego dziś – zapytał Jacopa, który przysiadł się do niego, gdy już stracili z oczu zamek If.

– Mamy 28 lutego – odpowiedział tamten.

– A który rok? – pytał dalej Edmund.

– Jak to, który rok? Pytasz pan, jaki mamy teraz rok?

– Tak, pytam właśnie o rok – powtórzył Edmund.

– Więc zapomniałeś, który mamy rok?

– Co chcesz? Tyle się tej nocy nabawiłem strachu – roześmiał się Edmund – że o mało nie postradałem rozumu; do tego stopnia, że mam jakieś kłopoty z pamięcią; dlatego pytam, jest 28 lutego którego roku?

– 1829 – rzekł Jacopo.

Minęło co do dnia czternaście lat od chwili, gdy Edmund został aresztowany.

Gdy zamknięto go w murach zamku, miał dziewiętnaście lat – wyszedł stamtąd w wieku trzydziestu trzech lat.

Bolesny uśmiech pojawił mu się na ustach; pomyślał, co też się działo z Mercedes przez ten czas, gdy musiała go już uważać za zmarłego.

I nagle w oczach zapłonęła mu nienawiść na wspomnienie ludzi, którzy skazali go na tak długą i okropną niewolę – i ponowił przysięgę, złożoną w więzieniu, że zemści się bez

skrupułów na Danglarsie, Fernandzie i Villeforcie.

A przysięga ta nie była już czczą groźbą, bo teraz nawet najszybszy żaglowiec Morza Śródziemnego nie potrafiłby doścignąć małej tartany, która na pełnych żaglach pruć do Livorno.

22. Kontrabandziści

Dantès nie spędził na statku nawet jednego dnia, a już wiedział, z kim ma do czynienia. Zaczny dowódca „Panny Amelii” (tak się nazywała tartana), chociaż nigdy nie uczęszczał na lekcje księdza Farii, znał jednak niemal wszystkie języki, jakimi mówi się wokół owego wielkiego jeziora, które nazywamy Morzem Śródziemnym – począwszy od arabskiego, skończywszy na prowansalskim. Dzięki temu, nie potrzebując korzystać z usług tłumaczy, ludzi nieznośnych i często niedyskretnych, mógł porozumiewać się łatwo czy to z załogami okrętów, czy małych łodzi, z którymi spotykał się w różnych punktach wybrzeża, czy też z owymi bezimiennymi indywiduami nieznanej narodowości, trudniącymi się równie nieokreślonym rzemiosłem, których pełno na bulwarach portowych, a którzy utrzymują się z jakichś tajemniczych, skrywanych źródeł, wskazywanych im chyba wprost przez Opatrzność, na oko bowiem nie widać, żeby mieli jakiekolwiek środki do życia. Łatwo odgadniemy, że Edmund znajdował się na pokładzie statku przemytniczego.

Dlatego właśnie dowódca przyjął z początku Edmunda z pewną nieufnością: był dobrze znany wszystkim celnikom z wybrzeża, a ponieważ między nim a owymi celnikami toczyła się nieustająca wojna na podstępny, pomyślał z początku, że młodzieniec był po prostu szpiegiem wysłanym przez straż celną,

która chciała w ten sposób przeniknąć sekrety szmuglerskiego zawodu. Jednak błyskotliwy manewr, jaki Dantès wykonał statkiem, wyprowadził go z podejrzeń. Później zaś, gdy ujrzał leciutki obłoczek dymu unoszący się nad zamkiem If i usłyszał daleki odgłos wystrzału, wkradło mu się na chwilę do głowy podejrzenie, czy czasem nie dostał się na jego pokład jeden z tych ludzi, których wjazdom i wyjazdom towarzyszą salwy armatnie, podobnie jak wizytom królów. Rzec jednak należy, że go to mniej zmartwiło, niż gdyby nowo przybyły okazał się celnikiem. Lecz i to przypuszczenie szybko odrzucił na widok niewzruszonego spokoju, jaki zachowywał jego nowy marynarz.

Edmund miał więc tę przewagę, że wiedział, kim jest jego kapitan, a kapitan nie był w stanie dowiedzieć się, kim jest nieznajomy. Z którejkolwiek strony by go nie zaszedł stary wilk lub któryś z załogi, trzymał się dobrze i nie zdradził się ni słowem; rozprawiał z taką dokładnością o Neapolu i Malcie, które znał równie dobrze jak Marsylię, że te opowieści, przynoszące zaszczyt jego pamięci, potwierdzały wszystko, co naopowiadał na początku. Tak więc szczywany Genuieńczyk dał się wywieść w pole Edmundowi, któremu pomagała jego prostolinijność, marynarskie doświadczenie, a szczególnie mistrzostwo w udawaniu.

A zresztą Genuieńczyk należał tylko do tych rozumnych ludzi, którzy wiedzą tylko to, co powinni wiedzieć, i wierzą w to, w co jest im wygodnie uwierzyć.

Tak to ułożyły się między nimi stosunki, gdy przybyli do

Livorno.

Tu Edmund miał się sam wystawić na nową próbę: czy pozna sam siebie, nie widząc swojej twarzy od czternastu lat. Zachował dokładną pamięć tego, jak wyglądał za młodu, a dziś miał zobaczyć siebie jako dorosłego mężczyznę. Towarzysze ze statku wiedzieli, że wypełnione zostało jego ślubowanie, udał się więc do cyrulika przy ulicy Świętego Ferdynanda, którego poznał podczas jednego z licznych pobytów w Livorno.

Golarz spojrzał ze zdumieniem na człowieka o długich włosach i gęstej czarnej brodzie, który przypominał jednego z modeli Tycjana. W owej epoce nie było mody na tak długie włosy i brodę; dzisiaj golarz mógłby jedynie zdziwić się, gdyby człowiek obdarzony tak wspaniałymi atrybutami, chciał się ich dobrowolnie pozbyć.

Cyrulik z Livorno zabrał się do pracy bez najmniejszych uwag.

Po zakończeniu tej operacji, gdy Edmund poczuł, że brodę ma ogoloną do skóry, a włosy doprowadzone do zwyczajnej długości, kazał sobie podać zwierciadło i spojrzał w nie.

Miał teraz lat trzydzieści trzy, jak już wspominaliśmy, i czternaście lat cierpień przyniosło duże zmiany w wyrazie jego twarzy.

Edmund wstępował w bramy zamku If jako pogodny, otwarty, promieniejący szczęściem młodzieniec, któremu życie ułatwiło pierwsze kroki, i który widział przed sobą pomyślną przyszłość jako naturalne przedłużenie tego dobra, co go do tej pory spotkało; to wszystko uległo dużym zmianom.

Ował jego twarzy wydłużył się, wesołe niegdyś usta zacisnęły się i nabrały stanowczego wyrazu; nad myślącym czołem pojawiła się zmarszczka; w oczach odbijał się głęboki smutek, a wytryskiwały z nich od czasu do czasu błyski mizantropii i nienawiści; cera, która tak długo nie widziała światła dnia ani promieni słonecznych, przybrała ową matową karnację, która nadaje przy ciemnych włosach tyle arystokratycznego piękna narodom z Północy; ponadto głęboka wiedza, jakiej nabył w więzieniu, rozświecała jego twarz inteligencją i pewnością siebie; wreszcie, choć z natury dość wysoki, zdobył ową krzepkość charakteryzującą ludzi krępych, którzy koncentrują w sobie wszystkie swoje siły.

Jego sylwetka, niegdyś smukła, delikatna i wykwintna, stała się teraz bardziej przysadzista i muskularna. Modlitwy, łkania i złorzeczenia zmieniły mu zupełnie głos: raz dźwięczał on nadzwyczaj łagodnie, raz przebijały się w nim tony szorstkie i chrypliwe.

Na koniec, od nieustannego przebywania w półmroku lub zupełnej ciemności wzrok jego zyskał niezwykłą zdolność rozróżniania w nocy przedmiotów – jak hiena lub wilk.

Edmund uśmiechnął się do siebie na swój widok: nie rozpoznałby go najlepszy przyjaciel – gdyby taki istniał na świecie; bo sam Edmund siebie nie poznawał.

Dowódcy „Panny Amelii” bardzo zależało, aby zatrzymać u siebie człowieka tak użytecznego jak Edmund; zaproponował mu zaliczkę na poczet przyszłych zarobków i Edmund zgodził się.

Po wyjściu więc od cyrulika, u którego dokonała się pierwsza metamorfoza, wstąpił zaraz do sklepu po strój marynarza. Kostium ten, jak wiadomo, jest bardzo prosty: białe spodnie, koszula w pasy i czapka frygijska. W takim ubiorze, gdy odniósł Jacopowi pożyczone spodnie i koszulę, stanął przed dowódcą „Panny Amelii” i na nowo musiał mu powtórzyć całą zmyśloną historię: kapitanowi nie chciało się wierzyć, że ten elegancki marynarz jest tym samym człowiekiem, który ociekający wodą, nagi, brodaty, z algami we włosach i niemal umierający został przez nich przyjęty na pokład.

Ujęty jego wyglądem ponowił swoje propozycje angażu; ale Edmund, który miał już swoje własne plany, zgodził się służyć tylko przez trzy miesiące.

Załoga „Panny Amelii” rzadko odpoczywała, podlegając dowódcy, który nie zwykł tracić czasu na próżno. Tydzień zaledwie bawili w Livorno, a już statek był załadowany wzorzystymi muślinami, przemyconą bawełną, angielskim tytoniem i prochem, których urzędnicy skarbowi zapomnieli ostemplować. Należało teraz wypłynąć z tym wszystkim z Livorno, portu wolnocłowego, i dokonać wyładunku na wybrzeżu Korsyki, gdzie już oczekiwali na towar spekulanci, gotowi upłynnić wszystko we Francji.

Statek wyruszył. Edmund znowu przemierzał to lazuru morze, które tak często pojawiała mu się we snach, gdy był w więzieniu. Na prawo została Gorgona, po lewej stronie Pianosa; zbliżali się ku ojczyźnie Paoliego i Napoleona.

Nazajutrz kapitan, wszedłszy rano na pomost (a czynił to zawsze bardzo wcześnie), zastał tam Edmunda, wpatrującego się z dziwnym wyrazem twarzy w spiętrzone granitowe skały, które wschodzące słońce zalewało różowawym blaskiem: była to wyspa Monte Christo.

„Panna Amelia” zostawiła ją o trzy czwarte mili po prawej burcie, zmierzając prosto na Korsykę.

Płynąc wzdłuż brzegów wyspy o tak znaczącej dlań nazwie, Edmund rozmyślał, że gdyby tylko skoczył do morza, stanąłby już za pół godziny na tej ziemi obiecanej. Ale cóż by tam począł, nie mając narzędzi do odkopania skarbu ani broni w razie napaści? Zresztą, co by na to powiedzieli marynarze? Co by pomyślał kapitan? Trzeba było poczekać.

Szczęściem Edmund umiał czekać: czekał na wolność przez czternaście lat – teraz więc, gdy jest wolny, może poczekać jeszcze pół roku lub rok na fortunę.

Gdyby ofiarowano mu wolność bez bogactwa, czyż nie przyjąłby jej?

Zresztą, czy te bogactwa nie są jedynie chimera? Narodzone w chorym umyśle biednego Farii, czyż nie umarły razem z nim?

Choć prawda, że list kardynała Spady był zadziwiająco precyzyjny.

Edmund powtarzał go sobie od początku do końca w pamięci, nie zapomniawszy ani słowa.

Nadszedł wieczór, Edmund widział, jak wyspa zmieniała barwę, przechodząc przez wszystkie odcienie zmroku i tonęła na

koniec w ciemnościach, niewidzialna już dla nikogo; tylko on, przywykły do więziennych mroków, dostrzegał ją nadal.

Świt zastał ich na wysokości Alerii; dzień cały lawirowali, wieczorem na brzegu zabłyśły światła. Po układzie tych ogni można było poznać, że wyładunek można rozpocząć. Żaglowiec zbliżył się do lądu na odległość strzału. Cztery łodzie podpłynęły do statku, z którego, zapewne aby oddać im należne honory, spuszczano szalupę; pięć tych szalup tak dobrze się spisało, że o drugiej rano cały ładunek „Panny Amelii” znalazł się na lądzie. Dowódca „Panny Amelii”, jako człowiek ceniący sobie porządek, rozdzielił premię; każdy z załogi otrzymał sto liwrów toskańskich, mniej więcej 80 franków w naszej monecie.

Ale wyprawa jeszcze się nie zakończyła; wzięto teraz kurs na Sycylię. Trzeba było przecież statek na nowo napełnić towarami.

Druga operacja odbyła się równie szczęśliwie jak pierwsza. Gwiazdy sprzyjały „Pannie Amelii”.

Towar przeznaczony był dla księstwa Lukki. Składał się w większej części z cygar hawańskich, kseresu i malagi.

Ale tutaj doszło do zatargu z celnikami, odwiecznymi wrogami kapitana. Padł jeden celnik, a dwóch majtków raniono, pomiędzy rannymi był Edmund. Kula przebiła mu lewe ramię.

Edmund był niemal szczęśliwy z owej potyczki i cieszył się swoją raną; dzięki nim dowiedział się, jak potrafi się zachować wobec niebezpieczeństwa i jak znosi ból. Z uśmiechem przywitał niebezpieczeństwo, a ból przyjął słowami, które wyrzekł niegdyś

grecki filozof: „Bólu! Nie jesteś złem”.

Obejrzał śmiertelnie ranionego celnika, i czy to w podnieceniu wywołanym walką, czy dlatego, że zagasły w nim ludzkie odruchy, nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Był już na ścieżce, którą chciał podążać do celu, jaki pragnął osiągnąć. serce zaczynało zamieniać mu się w kamień.

A Jacopo, widząc, że Edmund pada, i sądząc, że nie żyje, rzucił się do niego, podniósł i opiekował się później jak najlepszy przyjaciel.

Świat ten nie jest zatem tak dobry, jak uważał doktor Pangloss, ale może nie jest też tak zły, jak sądził Edmund; jeśli ten człowiek, który nie mógł się spodziewać od swego towarzysza niczego, chyba przypadającej na Edmunda części zysków, tak wielki smutek poczuł na widok jego domniemanej śmierci?

Szczęściem, jak już to powiedzieliśmy, Edmund był tylko ranny; dzięki pewnym ziołom sprzedawanym przemytnikom przez stare wieśniaczki z Sardynii, rana wkrótce się zagoiła. Edmundowi zachciało się wtedy wybadać do reszty serce Jacopa; zaofiarował mu za opiekę nad sobą swoją premię; Jacopo z oburzeniem odmówił.

Z serdeczności i oddania, jakie od pierwszej chwili Jacopo okazywał Edmundowi, narodziło się w sercu Edmunda coś na kształt sympatii do niego. Ale Jacopo nie wymagał więcej, odgadł u Edmunda instynktem jakąś niezwykłą wyższość, którą Edmundowi udawało się ukrywać przed innymi.

I tak w czasie długich dni na pokładzie, gdy statek przemykał

śmiało po lazurowym morzu, i dzięki pomyślnemu wiatrowi sternik mógł się obejść bez pomocy, Edmund z kartą morską w ręku uczył Jacopa – jak niegdyś biedny ksiądz nauczał jego samego. Pokazywał Jacopowi linię wybrzeży, tłumaczył działanie busoli, uczył go czytać w wielkiej księdze otwartej nad naszymi głowami, która zowie się niebem, a na której błękitnych kartach sam Bóg kaligrafuje diamentowe litery.

A gdy Jacopo pytał:

– Po co te wszystkie nauki dla takiego biednego marynarza, jak ja?

Edmund odpowiadał:

– Kto wie? Może będziesz kiedyś kapitanem statku, twój rodak Bonaparte został przecież cesarzem.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że Jacopo był Korsykaninem.

Dwa i pół miesiąca już upłynęło na tych kolejnych wyprawach; Edmund nabył takiej biegłości w rzemiośle kabotażu, jaką posiadał, gdy wypuszczał się w dalekie rejsy; poznał się ze wszystkimi przemysłowcami wybrzeża, nauczył się ich tajemnych znaków, za pomocą których poznawali się między sobą owi na pół korsarze.

Ze dwadzieścia razy przepływał obok wyspy Monte Christo, nigdy jednak nie znalazł okazji, aby na niej wylądować.

Postanowił więc rzecz następującą:

Gdy tylko upłynie termin umowy z kapitanem „Panny Amelii”, najmie dla siebie małą łódkę i pod jakimkolwiek pozorem uda się na Monte Christo.

Tam zupełnie swobodnie zacznie poszukiwania.

Ach, nie, wcale nie swobodnie, bo śledzić go będą przecież ciekawe oczy towarzyszy wyprawy.

Ale na tym świecie trzeba przecież czasem ryzykować.

Więzienie nauczyło Edmunda ostrożności i wołałby naprawdę obejść się bez ryzyka.

Ale nie był w stanie wymyślić innego sposobu dostania się na wyspę, jak tylko kazać się tam zawieźć. Pograżał się coraz bardziej w tych wahaniach, gdy pewnego wieczoru dowódca, który darzył go wielkim zaufaniem i chętnie zatrzymałby u siebie, wziął go za ramię i zaprowadził do szynku na Via del Oglio, gdzie zwykle zbierała się śmietanka przemysłowców w Livorno.

Tu właśnie rozmawiano o interesach na przemysłowym wybrzeżu. Parę razy Edmund zachodził już do tej giełdy morskiej, a widząc tych zuchwałych korsarzy wywodzących się z całego wybrzeża wokół, liczącego dwa tysiące mil długości, zadawał sobie pytanie, jaką potęgą rozporządzałby człowiek, gdyby mógł pociągać za te zbieżne lub rozbieżne nici.

Tym razem chodziło o istic złoty interes: o statek załadowany tureckimi dywanami, materiałami z Lewantu i kaszmirami. Trzeba było wyszukać miejsce neutralne, gdzie mogłaby nastąpić wymiana, a potem postarać się przewieźć towar na francuskie wybrzeże.

W razie powodzenia zysk miał być ogromny; po pięćdziesiąt lub nawet sześćdziesiąt piastrów na głowę.

Kapitan „Panny Amelii” zaproponował jako miejsce dogodne do przeładunku wyspę Monte Christo, zupełnie bezludną, niemającą ani załogi wojskowej ani straży celnej. Ponoć wysepkę rzucił na morze w czasach pogańskiego Olimpu Merkury, opiekun złodziei i kupców. Dziś oddzieliliśmy od siebie te dwa rzemiosła; starożytni, jak widać, pod jeden podciągali je sztyld.

Na wzmiankę o Monte Christo Edmund zadrżał z radości i aby ukryć wzruszenie, powstał i przeszedł się po zadymionym szynku, w którym wszystkie języki świata stapiały się w jeden jedyny – *lingua franca*.

Gdy powrócił do rozmawiających, decyzja już zapadła: przeładunek miał się odbyć na Monte Christo. Kapitan postanowił wyruszyć następnej nocy. Edmund, zapytany o zdanie, oświadczył, iż położenie wyspy zapewniało bezpieczeństwo i że wszystkie wielkie przedsięwzięcia należy realizować szybko, jeżeli miały być uwieńczone powodzeniem.

Nic nie zostało zatem zmienione w ustalonym planie. Uzgodnili, że od jutrzejszego wieczoru zaczną przygotowywać się do odjazdu, a ponieważ morze było spokojne, a wiatr pomyślny, spodziewali się, że wpłyną na neutralne wody wyspy pojutrze wieczorem.

23. Wyspa Monte Christo

Nareszcie szczęśliwy traf dopisał Edmundowi – bo i ludziom prześladowanym przez los zdarza się spotkać szczęście w życiu – i Edmund miał osiągnąć swój cel w najprostszy, najbardziej naturalny sposób; stanie na wyspie, nie budząc niczych podejrzeń.

Jedna tylko noc dzieliła go od tak upragnionego wyjazdu.

Była to noc najbardziej niespokojna ze wszystkich, jakie przeżył Edmund. Po kolei jawiły mu się najlepsze i najgorsze możliwości: gdy zamykał oczy, widział list kardynała Spady wypisany ognistymi literami na murze, gdy zasnął na chwilę, najbardziej szalone sny kotłowały mu się w głowie. Schodził do grot wybrukowanych szmaragdami, o rubinowych ścianach, w których ze sklepień zwisały diamentowe stalaktyty. Wolniutko, jedna po drugiej, spływały perły, jak sączą się w podziemiach krople wody.

Edmund zachwycony i zdumiony chciwie napełniał kieszenie drogimi kamieniami. Gdy wychodził na światło dzienne, klejnoty zamieniały się w polne kamienie. Usiłował wejść jeszcze raz do cudownych grot, widzianych tylko przez chwilę, ale droga do nich zwijała się w tysięczne skręty, wejście do grot znikało mu z oczu. Na próżno szukał w pamięci tego magicznego słowa, co otwierało jaskinie Ali Baby. Skarb zniknął i przeszedł na własność geniuszów ziemi.

Nadszedł dzień nie mniej niespokojny niż noc, ale wraz z dniem na ratunek imaginacji przybył zdrowy rozsądek, tak że Edmund mógł wreszcie ułożyć plan, który miał do tej pory nader niewyraźne kontury.

Z nadejściem wieczoru zaczęto krzątać się wokół odjazdu. Dzięki tym przygotowaniom Edmund mógł z łatwością ukryć swoje wzruszenie. Powoli zdobył sobie wśród towarzyszy takie poważanie, że słuchali go, jakby sam był dowódcą, że zaś jego rozkazy były zawsze jasne, dokładne i łatwe do wykonania, towarzysze ulegali mu chętnie, spełniając je w mgnieniu oka. Stary kapitan patrzył na to z pobłażliwością; sam uznał już wyższość Edmunda nad innymi marynarzami i nawet nad sobą. Widział w młodzieńcu wymarzonego następcę; żałował tylko, że nie ma córki, by bardziej związać ze sobą Edmunda przez taki wspomniały mariaż.

O siódmej wszystko było gotowe; dziesięć minut później mijali latarnię, dokładnie w chwili, gdy ją zapalano. Morze było spokojne, świeża bryza wiała z południowego wschodu. Płynęli pod szafirowym sklepieniem, na którym Stwórca zapalał kolejno tysiące latarni, z których każda stanowi oddzielny świat. Edmund oświadczył, że cała załoga może iść spać, ponieważ on weźmie się do steru.

Kiedy Maltańczyk (tak bowiem nazywano Edmunda) czynił podobne oświadczenie, wystarczało to wszystkim; wszyscy więc jak najspokojniej poszli spać.

Zdarzało się to nieraz. Edmund, wróciwszy nagle z

samotności w zgiełk świata, odczuwał nieraz jej wielką potrzebę. A gdzież znaleźć doskonalszą i zarazem bardziej poetyczną samotność, jak nie na statku, żeglującym w noc, wśród ciszy wodnego bezmiaru, pod opiekuńczym spojrzeniem Boga?

Gdy kapitan obudził się, statek szedł prędko pod pełnymi żaglami, nie zwisała ani jedna skrawek płótna – wszystkie wydymał wiatr, płynęli ponad dwie i pół mili na godzinę.

Wyspa Monte Christo coraz wyraźniej rysowała się na horyzoncie.

Edmund zdał dowództwo statku właścicielowi, a sam położył się w koi; lecz mimo bezsennie spędzonej nocy ani na chwilę nie zmrużył oka.

Po dwóch godzinach wrócił znowu na pokład. Statek właśnie omijał Elbę. Ubarwiony czerwienią wierzchołek Monte Christo wystrzeliwał w górę na tle czystego błękitu nieba.

Edmund kazał położyć ster na lewą burłę, aby zostawić po prawej stronie Pianosę; wydawało mu się, że manewr ten powinien skrócić drogę o kilka węzłów. Około piątej po południu wyspa widoczna już była przed nimi w całej okazałości. Dostrzec można było najdrobniejsze szczegóły pejzażu, powietrze bowiem było niezwykle przejrzyste, jak to się zwykle dzieje o zachodzie słońca.

Edmund pochłaniał oczyma ten masyw skalny, mieniący się wszystkimi kolorami zmierzchu, od jasnoróżowego aż po granatową. Co chwilę na twarz występowały mu ognie, czoło okrywało się rumieńcem, a purpurowa mgła ćmiła mu wzrok.

Żaden hazardzista, stawiający na jedną kartę cały swój majątek, nie czuł większego lęku, jak ten, który ogarniał Edmunda w przyływach i odpływach nadziei.

Zapadła noc. O dziesiątej wieczorem przybili do brzegu: „Panna Amelia” pierwsza przybyła na spotkanie.

Edmund, umiejący tak dobrze nad sobą panować, nie mógł się powstrzymać i pierwszy wyskoczył na ląd.

Noc była ciemna, ale około jedenastej z morza wychynął księżyc, posrebrzając światłem każdą zmarszczkę na wodzie.

Załoga dobrze знаła wyspę, był to jeden z jej zwyczajowych przystanków. Dantès oglądał ją wiele razy podczas rejsów na Wschód, ale nigdy nie wysiadał na brzeg. Zapytał więc Jacopa:

– Gdzie spędzimy noc?

– Przecież że na tartanie.

– A czy nie lepiej by nam było w grotach?

– W jakich grotach?

– W grotach na wyspie.

– Nie słyszałem o żadnych grotach – rzekł Jacopo.

Zimny pot wystąpił na czoło Edmunda.

– Więc nie ma grot na Monte Christo? – zapytał.

– Nie.

Przez chwilę Edmund stał osłupiały; następnie przyszło mu na myśl, że może groty zniszczyła jakaś katastrofa lub też kardynał Spada z ostrożności ukrył do nich wejście.

W tym ostatnim przypadku szło więc o to, aby to wejście odnaleźć. W nocy nie warto go było szukać, odłożył więc

wszystko do jutra. Zresztą sygnał dany o pół mili od brzegu, na który „Panna Amelia” odpowiedziała podobnym sygnałem, przypomniał, że trzeba zabrać się do roboty.

Opóźniony statek przybliżył się wkrótce, biały i cichy jak zjawia; kotwicę zarzucono w odległości jednego kabla od brzegu.

Podczas przeładunku Edmund rozmyślał, jakie okrzyki radości wśród tych ludzi mógłby wywołać, gdyby wypowiedział głośno myśl dudniącą mu stale w uszach. Ale że nie zamierzał zdradzić tajemnicy, wydało mu się, że i tak już za dużo powiedział; że wzniecił podejrzenia, kręcąc się tu i tam, powtarzając te same pytania, obserwując wszystko pilnie i bezustannie o coś się martwiąc. Szczęściem – przynajmniej przy takiej okazji – że jego tragiczna przeszłość odbiła się na jego twarzy niezatartym piętnem smutku i radość, która ukazywała się czasem na jego obliczu, znikwała równie szybko jak błyskawica.

Nikt nie domyślał się niczego; i gdy nazajutrz Edmund oznajmił, zabrawszy fuzję, śrut i proch, że ma zamiar upolować jedną z kozic śmigających po pobliskich skałach, przypisano to jedynie żylce myśliwskiej i potrzebie samotności. Tylko Jacopo nalegał, aby pójść razem z nim. Dantès nie protestował z obawy, że ten opór mógłby obudzić jakieś podejrzenia. Ale zaledwie uszli ćwierć mili, Edmundowi trafiła się okazja, by zapolować – trafił kozła i poprosił Jacopa, aby zaniósł go dla towarzyszy, niech upieką zwierzę, a potem dadzą mu znać wystrzałem, gdy będzie gotowe. Suszone owoce i butla wina Montepulciano miały dopełnić uczty.

Edmund szedł dalej, oglądając się co chwila za siebie. Gdy dotarł na szczyt skały, zobaczył o tysiąc stóp niżej, jak jego towarzysze razem z Jacopem brali się ochoczo do przygotowania obiadu, powiększonego niespodzianie o pieczeń dzięki zręczności Edmunda.

Edmund patrzył na nich przez chwilę z łagodnym i smutnym zarazem uśmiechem człowieka pewnego swojej wyższości.

– Za dwie godziny – szepnął do siebie – ludzie ci odjadą stąd, o pięćdziesiąt piastrow bogatsi, będą znowu narażać życie, aby zyskać drugie pięćdziesiąt. Powrócą potem, posiadając sześćset liwrow i dumni jak sułtani, pewni siebie jak wschodni nababowie roztrwonią je w pierwszym lepszym mieście. Nadzieja każe mi dziś gardzić ich bogactwem, które mi się wydaje największą nędzą; a jutro spotka mnie może takie rozczarowanie, że będę musiał tę nędzę uważać za szczyt szczęścia... Ale nie! – wykrzyknął. – Tak nie będzie! Mądry, nieomylny Faria nie pomyliłby się w tej jednej rzeczy. W każdym razie wolałbym umrzeć, niż dalej prowadzić tak nędzne, poniżające życie.

Tym więc sposobem Edmund, który przed trzema miesiącami wzdychał tylko do wolności, dziś już nie zadowalał się nią, zaczął wzdychać do bogactwa; wino nie leżała po stronie Edmunda, ale samego Boga – który ograniczając władzę człowieka, obdarzył go jednocześnie pragnieniami bez granic.

Tymczasem Edmund wędrował ścieżką między dwiema ścianami skalnymi; ścieżki tej, wyżłobionej przez wyschły od dawna potok, najprawdopodobniej nigdy nie tknęła ludzka stopa;

zbliżał się wreszcie do miejsca, gdzie – jak przypuszczał – mogły się znajdować groty. Idąc równolegle do wybrzeża morskiego, badawczo przyglądając się najdrobniejszym szczegółom, zauważył, że na niektórych skałach widnieją zagłębienia wykute, jak mu się zdawało, ręką ludzką.

Czas, który zarzuca na rzeczy martwe płaszczyzny z mchu, tak jak spowija płaszczem zapomnienia sprawy ducha, potraktował z uszanowaniem te znaki, wykute w regularnych odstępach, jakby miały wskazywać jakiś trop. Niekiedy znikwały jednak pod kępami kwitnących mirtów lub pasożytniczymi porostami. Musiał wtedy rozgarniać gałęzie lub odrywać mech, aby odnaleźć owe znaki, które prowadziły go naprzód w tym labiryncie. Znaki te ożywiły nadzieje młodzieńca. Czemuż tych śladów nie miałyby zostawić sam kardynał Spada, aby w razie jakiejś katastrofy posłużyły za drogowskaz jego siostrzeńcowi? To pustkowie musiałyby wydać się dogodnie każdemu człowiekowi, który chciałby ukryć swój skarb. Czy tylko te znaki zdradzieckie nie przyciągnęły już innych oczu oprócz tych, dla których były przeznaczone? Czy wyspa mrocznych cudów wiernie strzegła wspaniałej tajemnicy, ukrytej w swym łonie?

Tymczasem, o sześćdziesiąt kroków od zatoczki, wydało się Edmundowi – ciągle chowającemu się przed oczyma towarzyszy za nierównościami terenu – że wyżłobienia urywają się nagle; ale nie było tu żadnej groty. Wielki owalny głaz, mocno osadzony, wydawał się jedynym celem, do którego prowadziły. Edmund

pomyślał, że może to, co wydaje mu się końcem trasy, jest jej początkiem – i zawrócił tą samą drogą.

W tym czasie towarzysze Dantèsa przygotowywali obiad, czerpali ze źródła wodę, przenosili na wyspę chleb i owoce i opiekali koźlę. Właśnie w tej chwili, gdy zdejmowali go z improwizowanego rożna, spostrzegli Edmunda, który przeskakiwał lekko i śmiało jak kozica ze skały na skałę. Aby dać mu znak, że wszystko gotowe, któryś wystrzelił w powietrze. Myśliwy zmienił natychmiast kierunek i jął wracać biegiem w ich stronę. Ale gdy tak śledzili wzrokiem ten niemal lot, taksując jednocześnie zuchwałość Edmunda, młodzieńcowi obsunęła się nagle noga – jakby dla potwierdzenia lęków towarzyszy; zachwiał się na wierzchołku skały, wydał okropny krzyk i zniknął.

Wszyscy rzucili się jednocześnie w to miejsce, każdy bowiem czuł do Edmunda sympatię, mimo jego wyższości; ale Jacopo przybył pierwszy.

Edmund zbaczony krwią leżał nieprzytomny; musiał spaść z wysokości dwunastu, piętnastu stóp. Wlano mu do ust kilka kropel rumu, i to lekarstwo podziałało równie skutecznie, jak za pierwszym razem.

Edmund otworzył oczy; skarżył się mocno na ból w kolanie, ciężar w głowie i nieznośne rwanie w krzyżach. Marynarze chcieli go przenieść na brzeg, ale zaledwie go dotknęli, jęknął – choć za Jacopo kierował operacją – i oświadczył, że nie starczy mu sił, by wytrzymać transport.

Rozumie się, że nie było co myśleć, by Edmund mógł

spróbować obiadu; ale poprosił, by towarzysze, których podobne powody nie skazywały na dietę, wrócili na miejsce. Utrzymywał, że jemu potrzeba tylko trochę odpoczynku, i że gdy powrócą tutaj później, zastaną go w lepszym stanie. Marynarze nie dali się długo prosić, byli głodni; zapach pieczonego dolatywał ich aż tutaj, a wilki morskie nie robią ze sobą ceremonii.

Po godzinie przyszli znowu; przez ten czas Edmund zdołał zaledwie podpełznąć kilkanaście kroków do porośniętej mchem skały i oprzeć się o nią.

Ale bóle nie zmniejszyły się, owszem – zdawały się wzmacniać. Stary kapitan, który musiał ruszyć przed południem, by wyładować towar na granicy Piemontu i Francji, pomiędzy Niceą a Frejus, nalegał mocno, by Edmund starał się podnieść. Edmund czynił największe wysiłki, by zadośćuczynić życzeniu szefa, ale po każdej próbie upadał na ziemię, błądy i drżący.

– Musi mieć połamany kręgosłup – rzekł cicho kapitan. – Mniejsza o to, to dobry towarzysz, nie można go tak zostawić, trzeba go przenieść na pokład.

Edmund jednak oświadczył, że wolałby umrzeć niż się narazić na straszliwy ból, wywoływany przez najmniejszy nawet ruch.

– A więc – rzekł dowódca – niech się dzieje wola Boża; nikt nie powie, żeśmy zostawili bez pomocy tak zacnego towarzysza jak ty. Odpuścimy dopiero wieczorem.

Zdziwiło marynarzy to postanowienie, chociaż żaden się nie sprzeciwił. Kapitan był człowiekiem tak nieustępliwym, że widzieli po raz pierwszy, jak rezygnuje z przedsięwzięcia lub

przynajmniej opóźnia jego wykonanie.

Edmund ze swej strony nie mógł się zgodzić, aby łamano dla niego zasady dyscypliny obowiązującej na statku.

– Nie! – rzekł do dowódcy. – Byłem niezręczny, słusznie poniosę konsekwencje mojej niezręczności. Zostawcie mi mały zapas sucharów, strzelbę, proch i kule, żebym mógł sobie co upolować lub obronić się w razie potrzeby, i łopatę, może sobie zbuduję jakieś schronienie, jeśli byście nie mogli przyjechać po mnie zaraz.

– Ależ ty z głodu umrzesz – sprzeciwił się dowódca.

– Wolę umrzeć, niż czuć ten straszliwy ból za najmniejszym ruchem.

Dowódca spojrzał na statek kołyszący się na falach, z żaglami rozpostartymi już do połowy, gotowy do odpłynięcia, gdy tylko jego toaleta będzie zakończona.

– Cóż mam zrobić, Maltańczyku – rzekł – nie możemy cię tak zostawić ani nie możemy zostać.

– Jedźcie, jedźcie! – zawołał Edmund.

– Zabawimy najmniej tydzień w drodze – rzekł kapitan – a potem będziemy musieli zboczyć z kursu, aby cię zabrać z sobą.

– Posłuchajcie – powiedział Edmund. – Jeśli za parę dni spotkacie jakiś statek rybacki lub inny, który by płynął w tę stronę, polećcie mnie załozę; zapłacę im dwadzieścia pięć piastrów za odwiezienie mnie do Livorno. Jeżeli nie spotkacie nikogo, wróćcie sami.

Kapitan pokręcił głową.

– Posłuchajcie, szefie; na wszystko jest sposób – odezwał się Jacopo. – Odpływajcie, a ja zostanę opiekować się rannym.

– Jak to – spytał Edmund – zrzekasz się swojej części zysków?

– Tak – odpowiedział Jacopo. – I to bez żalu.

– Zaczny z ciebie chłop, mój Jacopo – rzekł Edmund – i Bóg cię wynagrodzi za twoje dobre chęci, ale dziękuję, nie potrzebuję nikogo; parę dni odpoczynku postawi mnie na nogi, a spodziewam się, że w tych skałach znajdę zioła, które są doskonałe na kontuzje.

I dziwny uśmiech przemknął mu po ustach. Ucisnął serdecznie rękę Jacopowi, ale pozostał niewzruszony przy swojej decyzji: zostanie tutaj, chce zostać sam.

Kontrabandziści zostawili Edmundowi wszystko, o co prosił, i odeszli, odwracając się co chwilę i serdecznie go żegnając, na co Edmund odpowiadał tylko ruchem dłoni, jakby nie mogąc poruszyć resztą ciała.

Gdy zniknęli, szepnął z uśmiechem:

– Dziwna rzecz, że właśnie wśród takich ludzi można znaleźć tyle dowodów przyjaźni i poświęcenia.

Z wielką ostrożnością wczołgał się na szczyt skały, która mu zasłaniała widok na morze i stamtąd przypatrywał się, jak na tartanie kończą takłowanie, podnoszą kotwicę; wreszcie statek zakołysał się wdzięcznie, jak mewa zrywająca się do lotu, i odpłynął.

Po godzinie zniknął mu z oczu zupełnie, a przynajmniej nie można było już go dostrzec z miejsca, gdzie Edmund się

znajdował.

Wówczas ranny podniósł się lekko i zwinnie jak kozica, chwycił strzelbę, w drugą rękę wziął łopatę i pobiegł czym prędzej do głazu, przy którym kończyły się nacięcia.

– A teraz – krzyknął, przypomniawszy sobie powiastkę o arabskim rybaku, którą mu opowiedział Faria – a teraz, Sezamie, otwórz się!

24. Olśnienie

Już słońce przebiegło trzecią część swojej zwykłej drogi; gorące, ożywcze majowe promienie padały na skały, które wydawały się rozkoszować tym ciepłem. Tysiące koników polnych ukrytych we wrzosach przepełniało powietrze monotonnym bezustannym cykaniem; listki mirtów i oliwek drżały i trzepotały, wydając niemal metaliczny dźwięk; za każdym krokiem Edmunda na rozpalonych granitach pierzchały jaszczurki podobne do szmaragdów; w oddali po stromych stokach skakały kozice, które nieraz zwabiają tu myśliwych; słowem, wyspa była zamieszкана, tętniła życiem i ruchem, a jednak Edmund czuł się tutaj samotny i tylko oko Stwórcy zdawało się nad nim czuwać.

Doświadczał jakiegoś wzruszenia, które można by porównać z trwogą. Był to ów rodzaj trwogi, który napada nas nagle w biały dzień, nawet na pustkowiu, gdy zdaje nam się, że śledzi nas jakiś badawczy wzrok.

Uczucie to było tak silne, że Edmund nie był w stanie zabrać się od razu do roboty; położył łopatę, porwał znowu za strzelbę i wdrapał się po raz kolejny na szczyt najwyższej skały w okolicy; i stamtąd objął wzrokiem przestrzeń wokół. Przyznać musimy, że nie zwróciła jego uwagi ani romantyczna Korsyka, na której mógł dostrzec nawet domy, ani Sardynia, stanowiąca jakby przedłużenie Korsyki, ani nawet Elba z jej świetną historią, ani

na koniec niemal niedostrzegalna linia na horyzoncie, w której tylko bystre oko marynarza mogło dojrzeć przepyszną Genuę i kupieckie Livorno; o nie! – myśl jego zajmowała brygantyna, co odpłynęła o świcie, i tartana, która wyruszyła ledwo co.

Pierwsza znikwała właśnie w cieśninie Bonifacio; druga, podążając w przeciwnym kierunku, zbliży się niebawem do Korsyki, którą zamierzała opłynąć.

Ten widok uspokoił Edmunda.

Zwrócił wtedy wzrok na to, co otaczało go bezpośrednio; znajdował się na najwyższym szczycie wyspy – stożkowatym obelisku wznoszącym się na tym potężnym piedestale; wokół żadnej ludzkiej twarzy, ani jednej łodzi: nic, tylko szafirowe morze, rozbijające się o skały i otaczające wyspę srebrzystymi frędzlami.

Zbiegł w dół, szybko, lecz ostrożnie: obawiał się, by w tak decydującej chwili nie spotkał go rzeczywiście taki wypadek, jaki wcześniej z powodzeniem udał przed kolegami.

Jak wcześniej mówiliśmy, Edmund zawrócił z drogi, dotarłszy do wielkiego okrągłego głazu, i odkrył, że nacięcia prowadziły nad malutką zatoczkę skrytą przed spojrzzeniami jak owe źródła, w których kąpały się starożytne nimfy; zatoczka ta była na tyle szeroka u wylotu i na tyle głęboka, że niewielki statek mógł swobodnie do niej wpływać. Idąc za wątkiem przypuszczeń opartych na indukcji – jak uczył go Faria – wywnioskował, że kardynał Spada, pragnąc ukryć swoją obecność na wyspie, rzucił kotwicę w tejże zatoczce, ukrył tu stateczek i posuwając

się wzdłuż ścieżki wyznaczonej nacięciami, ukrył skarb na jej krańcu.

Hipoteza ta zaprowadziła Edmunda znów do stóp okrągłego głazu.

Jedna tylko rzecz go niepokoiła i przekreślała wszystkie jego przypuszczenia: jak można było za pomocą tylko ludzkich sił wciągnąć głaz, który ważył pięć, a może sześć tysięcy funtów, na tę płaską podstawę, na której się obecnie znajdował?

I nagle uderzyła Edmunda następująca myśl: zamiast wtaczać głaz pod górę, po prostu zepchnięto go w dół!

Wspiął się po zboczu powyżej głazu, by poszukać miejsca, w którym mógł niegdyś spoczywać. Niebawem zauważył, że wykonano tu coś w rodzaju łagodnie opadającego koryta; głaz ześliznął się po nim i zatrzymał się w wyznaczonym miejscu; od spodu zaklinowano go głazem niewiele większym od zwyczajnych kamieni; szpary po bokach zostały starannie uszczelnione kamieniami i żwirem; to szczególne dzieło murarskie zostało przysypane ziemią, zarosło trawą i mchem, zapuściły weń korzenie mirty i mastykowce – i głaz wydawał się przyklejony do podłoża.

Edmund usunął ostrożnie warstwę ziemi i wydało mu się, że zrozumiał, na czym polegał cały fortel. Wziął łopatę i zaczął wykruszać ten zewnętrzny mur, który czas tak mocno spoił.

Po dziesięciu minutach pracy skała ustąpiła i ukazał się otwór na tyle szeroki, że można by weń włożyć rękę.

Edmund ściął najgrubszą oliwkę, jaką tylko mógł znaleźć,

ogłosił ją z gałązek i wsunął w otwór, próbując użyć jej jako dźwigni. Ale skała była zbyt ciężka i zbyt mocno zespolona z podłożem, aby mógł ją podnieść człowiek, choćby był samym Herkulesem.

Zastanowił się przez chwilę i doszedł do wniosku, że należało najpierw usunąć kamień służący za klin.

Ale jak?

Rozejrzał się dookoła, jak to zwykle czynią ludzie w kłopotcie, i jego wzrok padł na róg napełniony prochem, który zostawił mu Jacopo.

Uśmiechnął się: piekielny wynalazek dokona dzieła.

Za pomocą łopaty Edmund wykopał głęboką dziurę między głazem a klinującym go kamieniem i napełnił ją prochem. Potem, podarłszy chustkę w pasy, obtoczył je w saetrze i zrobił rodzaj lontu. Zapalił go i odszedł.

Nie czekał długo na wybuch: górny głaz został na moment niesłychaną siłą uniesiony w górę, dolny kamień rozprysł się w drobne kawałki. Przez niewielki otwór, który Edmund zrobił najpierw, wyfrunął rój owadów i wypełził ogromny zaskroniec, strażnik tej tajemniczej bramy, i ukazując swoją błękitną skórę, znikł wśród kamieni.

Edmund podszedł bliżej: okrągły głaz pozbawiony podparcia pochylał się w przepaść; obszedł go wokół, wybrał miejsce, w którym głaz chwiał się najmocniej, oparł pień oliwki o jedną z krawędzi, i podobny Syzyfowi, naparł z całej siły na głaz. Ogromna skała, już podważona wybuchem, zachwiała się;

Dantès zwiększył nacisk: niby jeden z Tytanów wyrywający w walce z Dzeusem góry z posad. I wreszcie głaz ustąpił, potoczył się, podskoczył i runął w morze.

W okrągłym śladzie po nim odsłoniła się kwadratowa płyta z żelaznym uchwytem w kształcie pierścienia.

Edmund wydał okrzyk radości i zdumienia. Nigdy wspanialszy efekt nie uwieńczył tak prędko tak krótkich wysiłków.

Chciał kontynuować; ale nogi drżały mu tak mocno, serce biło tak gwałtownie, tak bardzo ćmiło mu się w oczach, że musiał się na chwilę zatrzymać.

Ta chwila wahania minęła szybko jak błyskawica. Edmund włożył dźwignię w otwór pierścienia, mocno nacisnął i płyta otwarła się; wewnątrz widać było strome schodki, które wiodły w coraz głębsze ciemności.

Inny rzuciłby się w dół, radośnie krzyknął; Dantès zaś znów stanął, pobladł i zawahał się.

– No, dalej – rzekł do siebie – odwagi! Przywykłszy do przeciwności, nie dajmy się powalić rozczarowaniu; przecież inaczej cierpiałbym tyle na darmo! Serce pełne nadziei pęka, gdy zetknie się z zimną rzeczywistością. Faria miał tylko sen, Spada nic w tej grocie nie ukrył, może nigdy tu nawet nie był; a jeżeli by się tu nawet pojawił, Cezar Borgia, ten nieustraszony awanturnik, nigdy nieznużony łotr, przybył tu zaraz za nim, trafił na te same co ja ślady, podniósł ten głaz, przede mną wdarł się do środka i nic już dla mnie nie zostawił.

I stał przez chwilę, zamyślony, nieruchomy, ze wzrokiem wlepionym w tę ciemną, niekończącą się jamę.

– A teraz, skoro już na nic nie liczę, gdy powiedziałem sobie, że szaleństwem byłoby żywić jeszcze jakąś nadzieję, dalszy ciąg tej przygody to tylko chęć zaspokojenia ciekawości – i to wszystko.

I nadal stał nieruchomo, zamyślony.

– Tak, to naprawdę przygoda – znaleźć dla siebie miejsce w historii pełnej cieni i blasków tego królewskiego bandyty, w tym splocie dziwnych wypadków, które składają się na barwny wątek jego życia; tak, Borgia przybył tu którejś nocy, z pochodnią w jednej ręce a mieczem w drugiej, a o dwadzieścia kroków, u stóp tej oto skały czuwało dwóch ponurych, groźnych zbirów, którzy baczным wzrokiem penetrowali ziemię, powietrze i morze, podczas gdy ich pan zagłębiał się w jaskini – tak, jak ja to zaraz uczynię – niszcząc ciemności ramieniem zbrojnym w płonąca pochodnię.

Tak, ale co zrobił ze zbirami, którzy poznali w ten sposób jego tajemnicę?

To, co zrobiono – tu uśmiechnął się do siebie – z grabarzami Alaryka, których pochowano razem z tym, którego grzebali.

Jednakże, gdyby Borgia tu był – ciągnął Edmund – gdyby znalazł i zabrał skarb, to przecież ten człowiek, który porównywał Włochy do karczocha i pożerał je cząstka po cząstce, zbyt dobrze umiał używać czasu i nie traciłby go na powtórne zatykanie tego otworu głazem.

Wejdźmy więc.

I wszedł, choć uśmiech niedowierzania trwał mu ciągle na ustach, szepcząc najważniejsze słowo ludzkiej mądrości:

– Może!...

Ale zamiast spodziewanych ciemności, zamiast zepsutego i zgniłego powietrza, Edmunda otoczyła błękitnawa poświata; powietrze i światło przenikało nie tylko przez wejście do jaskini, ale także przez pęknięcia w skałach niewidoczne z zewnątrz, przez które widać było błękit nieba, na tle którego igrały rozkołysane od wiatru gałęzie dębów i kolczaste pędy jeżyn.

Po kilku chwilach spędzonych w grocie oczy Edmunda, przyzwyczajone, jak to już mówiliśmy, do ciemności, mogły już penetrować najdalsze zakamarki jaskini: jej granitowe ściany połyskiwały od miki, jakby usiane były diamentami.

– Niestety! – rzekł Edmund z uśmiechem. – To pewnie cały skarb, jaki kardynał zostawił, a pocziwy ksiądz, widząc we śnie te połyskujące ściany, utwierdził się w swoich nadziejach.

Wtem przypomniał sobie słowa testamentu, który wykuł na pamięć: **w kacie najodleglejszym od drugiego otworu.**

Edmund tymczasem był dopiero w pierwszej grocie, trzeba więc było szukać wejścia do drugiej.

Druga grota musiała znajdować się niżej, bardziej w głąb wyspy. Edmund obejrzał dobrze pokłady granitu i ostukał ścianę, w której, jak sądził, powinien być mieścić się otwór, dla większego bezpieczeństwa z pewnością zamaskowany.

Ostrze łopaty przez chwilę dźwięczało głucho o twardą

skąłę, tak że pot gorący zrosił czoło poszukiwacza. Na koniec wydało mu się, że część granitowego muru odpowiada echem bardziej głuchym i głębszym. Zbliżył przenikliwe oko do ściany i rozpoznał, czego nikt prócz byłego więźnia by nie dokazał, że w tym miejscu musiał znajdować się otwór.

Aby jednak nie trudzić się na próżno, Edmund – który jak Cezar Borgia nauczył się cenić czas – zabrał się do ostukiwania pozostałych ścian, zbadał kolbą strzelby ziemię, rozkopał ją w podejrzanych miejscach, a nie znalazłszy nic, powrócił do miejsca, w którym usłyszał ów pocieszający odgłos.

Uderzył jeszcze raz, wyęzając siły.

I nagle ujrzał szczególną rzecz: od uderzeń łopaty na powierzchni muru wydymał się i opadał płatami jakiś rodzaj tynku, podobny do tego, jaki nakłada się na mur, aby na nim namalować fresk; pod nim było widać jasny, kruchy kamień, na kształt zwykłego piaskowca. Wejście zatem zostało zatkane innymi kamieniami, które powleczone zaprawą, a następnie jakąś substancją imitującą krystaliczne lśnienie granitu.

Edmund uderzył silnie ostrzem łopaty – żelazo weszło na cal w kamień.

Tutaj należało więc szukać.

Dziwny jest charakter człowieka: im więcej było dowodów, że Faria się nie pomylił, tym bardziej, zamiast się podnieść na duchu, Edmund wątpił, a nawet poczuł zniechęcenie. Nowy ten dowód, który powinien mu dodać sił, odjął mu ich resztki; łopata wysunęła mu się niemal sama z ręki, złożył ją na ziemi,

otał czoło z potu i wyszedł z jaskini, pod pretekstem, że chce się przekonać, czy go kto nie śledzi, chociaż w rzeczywistości potrzebował tylko odetchnąć świeżym powietrzem, bo czuł, że inaczej zemdleje.

Na wyspie było pusto; słońce w zenicie obejmowało ją swoim ognistym spojrzeniem; w dali rybackie łodzie odbijały się od szafirowego tła.

Edmund nic jeszcze nie miał w ustach; ale też w takiej chwili jedzenie zabrałoby zbyt dużo czasu; napił się rumu i zszedł, pokrzepiony, na nowo do groty. Łopata, co mu tak do tej pory ciążyła, wydała się nagle lekka, podniósł ją jak piórko i sprawnie wziął się do roboty. Po kilku uderzeniach przekonał się, że kamienie nie były spojone, a tylko poukładane jedne na drugich i pokryte owym dziwnym tynkiem. Wetknął więc w jedną ze szpar ostrze łopaty, oparł się na drzewcu i ujrzał z radością, że kamień wysunął się i upadł mu pod nogi.

Teraz wystarczyło już tylko zazębiać ostrze łopaty o kamienie, aby kolejno spadały obok pierwszego.

Mógł teraz już wejść do drugiej groty, ale ociagał się, w obawie, że nadzieja, której się czepiał kurczowo, spełźnie na niczym.

Wreszcie, po chwili wahania, przeszedł do drugiej groty.

Sklepienie było tu dużo niższe, a zalegające ją ciemności nadawały jej posępny wygląd. Panował tu stęchły zaduch, którego ku zdziwieniu Edmunda nie było w pierwszej komorze. Począł, aż powietrze z zewnątrz odświeży tę martwą atmosferę

groty i wszedł dalej.

Na lewo od przejścia był głęboki i ciemny załom. Ale jak powiedzieliśmy, dla Edmunda nie istniały ciemności.

Rozejrzał się uważnie po drugiej grocie: była pusta, tak samo jak pierwsza.

Jeżeli miał tu się znajdować jakiś skarb, musiał się skrywać w tym ciemnym kącie.

Nadeszła godzina najwyższej trwogi; wszak tylko dwie stopy ziemi, którą trzeba było rozkopać, dzieliło Edmunda od największej radości lub najgłębszej rozpacz.

Zbliżył się do załomu i jakby podjąwszy wreszcie decyzję, zaatakował łopatą ziemię.

Przy piątym, a może szóstym uderzeniu żelazo zadźwięczało nagle o żelazo.

Nigdy żałobny dzwon nie wywarłby na nikim silniejszego wrażenia. Gdyby Dantès nic tu nie znalazł, nie pobladłby mocniej.

Uderzył obok, napotkał znowu opór, ale odpowiedział mu już inny dźwięk.

„Musi to być kufer drewniany z żelaznymi okuciami”, pomyślał.

Wtem śmignął jakiś cień, zasłaniając światło. Edmund rzucił łopatę, porwał za strzelbę i wybiegł z jaskini. Kozica przebiegła tuż koło wejścia do pierwszej groty i o kilka kroków dalej skubała teraz spokojnie trawę.

Była to wyborna okazja, aby zapewnić sobie pieczyste na

obiad. Edmund lękał się jednak, aby odgłos wystrzału nie ściągnął tu kogoś. Pomyślał chwilę, uciął oblaną żywicą gałąź, podpalił ją i powrócił na dół.

Nie chciał stracić najmniejszego szczegółu z tego, co miał zobaczyć.

Zbliżył pochodnię do niekształtnej, niedokończonej jeszcze dziury i przekonał się, że się nie mylił: łopata uderzała rzeczywiście raz o żelazo, raz o drewno.

Zatknął pochodnię w ziemi i wziął się na nowo do dzieła.

W jednej chwili rozszerzył jamę do szerokości dwóch, a długości trzech stóp; ujrzał dębowy kufer, z żelaznymi cyzelowanymi okuciami. Na samym środku wieka, na srebrnej blasze, której nie przyćmiła do tej pory wilgoć, zabłysły herby rodu Spadów: miecz pośrodku tarczy owalnej, jak to zwykle u Włochów, zwieńczony kapeluszem kardynalskim. Edmund rozpoznał je z łatwością; Faria mu je rysował tyle razy!

Wszelkie wątpliwości zniknęły: skarb istniał nadal; niepodobna przecież, aby z taką przezornością zakopywano tu pusty kufer.

W mgnieniu oka odkopał cały kufer, a jego oczom ukazywały się kolejno zamek, dwie kłódki i uchwyty po bokach skrzyni, wszystko to było cyzelowane – jak to czyniono w dawnych czasach, gdy najbardziej pospolite metale zyskiwały na wartości dzięki sztuce.

Edmund porwał za uchwyty i spróbował podnieść kufer, ale okazało się, że to jest niemożliwe.

Spróbował go otworzyć, ale zamek i kłódki stawiały opór, ci wierni stróże nie chcieli oddać powierzonego im skarbu.

Edmund wsunął więc ostrze łopaty między wieko i skrzynię, podważył i wieko ze zgrzytem odskoczyło. Między deszczułkami powstała szeroka szczelina i niepotrzebne już okucia odpadły, wczepione upartymi pazurami w nadwyreżone drewno.

Gorączkowe drżenie opanowało Edmunda; pochwycił strzelbę, nabił i postawił przy sobie. Zamknął oczy, jak to czyni dziecko, chcąc ujrzeć na migotliwym niebie wyobraźni więcej gwiazd, niż może zliczyć na rozjaśnionym jeszcze niebie; potem otworzył je i znieruchomiał olśniony.

Kufer miał trzy przegrody.

W pierwszej świeciły się czerwonym blaskiem złote dukaty.

W drugiej starannie ułożono niewypolerowane sztabki, posiadające z całą pewnością wagę i cenę złota.

W trzeciej na koniec, napełnionej do połowy, Edmund zanurzył rękę; przez palce przesypywały mu się lśniąca kaskadą diamenty, perły, rubiny, które spadając, dzwoniły jak grad o szyby.

Edmund dotknął wszystkiego, zanurzył drżące dłonie w złocie i drogich kamieniach, a potem nagle zerwał się i wybiegł z jaskini drżący, odurzony, jak człowiek bliski szaleństwa. Wspiął się na głaz, skąd mógł objąć wzrokiem całe morze i niczego nie dostrzegł; był sam, sam jeden przy tych nieprzeliczonych, niesłychanych, bajecznych skarbach, które należały do niego:

ale była to jawa czy sen? Przelotna wizja czy namacalna rzeczywistość?

Zaprzagnął jeszcze raz obejrzeć swoje bogactwa, czuł jednak, że nie zdołałby w tej chwili znieść tego widoku. Ścisnął dłońmi głowę, jakby bojąc się, że ucieknie mu rozum; po czym rzucił się na oślep, nie trzymając się żadnej drogi – bo na Monte Christo nie ma dróg – ot, prosto przed siebie, płosząc krzykiem i ruchem kozice i ptaki morskie. Wreszcie zawrócił, nadal pełen wątpliwości, przebiegł pierwszą grotę, wpadł do drugiej, by zatrzymać się przed tą kopalnią złota i diamentów.

Tym razem upadł na kolana, przycisnął drżące konwulsyjnie ręce do serca wrywającego się z piersi i wyszeptał modlitwę, którą tylko Bóg mógł zrozumieć.

Wkrótce uspokoił się nieco i poczuł się wreszcie szczęśliwszy: od tej chwili zaczął już wierzyć w swoje szczęście.

Jął wtedy przeliczać swoje skarby. Było tam tysiąc sztab złota, a każda miała od dwóch do trzech funtów wagi; gdy ułożył w stosy dwadzieścia pięć tysięcy dukatów w złocie, z których każdy był wart najmniej osiemdziesiąt franków w dzisiejszej walucie – a wszystko z wizerunkiem papieża Aleksandra IV i jego poprzedników – spostrzegł, że przegroda została opróżniona zaledwie do połowy; dziesięć razy napełnił swoje dłonie perłami i szlachetnymi kamieniami, z których wiele, oprawionych przez najlepszych złotników owej epoki, miało oprócz wrodzonej im wartości wielką wartość artystyczną.

Dzień miał się już ku schyłkowi; Dantès, lękając się, że ktoś

mógłby go zaskoczyć w grocie, wziął strzelbę i wyszedł. Zjadł kawałek suchara, wypił kilka łyków wina, po czym położył znowu na swoim miejscu płytę, sam legł na niej i osłaniając swoim ciałem wejście do groty, zasnął na kilka godzin.

Była to jedna z tych kilku nocy naraz wspaniałych i strasznych, jakich ten człowiek, który przeżył tyle wstrząsów, doświadczył w życiu.

25. Nieznajomy

Nadszedł dzień. Edmund od dawna czekał na świt, leżąc z otwartymi oczyma. Gdy zabłyśły pierwsze promienie słońca, podniósł się i powędrował na szczyt najwyższej skały na wyspie, aby obejrzeć okolicę. Wokół było pusto jak i dnia poprzedniego.

Edmund zszedł do groty, napełnił kieszenie drogimi kamieniami, nakrył kufer jak mógł najlepiej deskami wraz z okuciami i przysypał go ziemią, przydeptał, obrzucił piaskiem, aby to miejsce nie wyróżniało się świeżo skopaną ziemią z otoczenia; wyszedł, zastawił otwór płytą, narzucił na nią kamienie, zatkał szpary ziemią, posadził na niej mirt i kępki wrzосу, podlał je, aby rosły tu dalej; zatarł ślady swoich stóp, skupiających się tu licznie, i z niecierpliwością oczekiwał na powrót towarzyszy. W istocie, nie warto już było spędzać czasu na podziwianiu złota i diamentów, i tkwić na Monte Christo jak smok strzegący bezużytecznie skarbu. Teraz należało powrócić do życia, do ludzi i uzyskać wśród nich miejsce, wpływy i władzę, którą w świecie tym nadaje bogactwo, ta pierwsza i najwyższa siła, którą rozporządza istota ludzka.

Kontrabandziści wrócili szóstego dnia. Edmund rozpoznał z daleka kształt i chód „Panny Amelii”, powlókł się jak zraniony Filoktet do przystani, a gdy ujrzał swoich towarzyszy, oznajmił, że czuje się cokolwiek lepiej, choć bóle go jeszcze nie opuściły; następnie wysłuchał opowiadania przemytników. Powiodło im

się wprawdzie, ale zaledwie wyładowali towary, dano im znać, że bryg kontrolujący wybrzeża wyszedł z Tulu i udał się w ich stronę. Uciekli więc czym prędzej, żałując, że nie ma z nimi Edmunda, który tak zręcznie umiał nadawać statkowi najwyższą prędkość. Rzeczywiście, wkrótce ujrzeli ścigający ich statek, ale pod osłoną nocy umknęli przed pogonią, chroniąc się za Przylądek Korsykański.

W sumie wyprawa ta nie była najgorsza, żalowali tylko wszyscy, a szczególnie Jacopo, że Edmund nie mógł w niej wziąć udziału, bo zysk, jaki przypadał na każdego, wynosił pięćdziesiąt piastrów.

Edmund pozostał nieprzenikniony; nie uśmiechnął się nawet, kiedy mu wyliczano, ile by zyskał, gdyby mógł opuścić wyspę. Ponieważ „Panna Amelia” zawinęła na Monte Christo tylko po to, by go zabrać, tego samego wieczora odpłynęli do Livorno.

W Livorno sprzedał u pewnego Żyda cztery najmniejsze diamenty, każdy za dwadzieścia pięć tysięcy franków. Żyd miał ochotę dowiedzieć się, jakim to sposobem marynarz stał się posiadaczem takich kosztowności, ale powstrzymał swoją ciekawość, bo na każdym diamencie zyskał tysiąc franków.

Nazajutrz Edmund kupił nowiutką zupełnie łódź i podarował ją Jacopowi, dorzucając mu jeszcze sto piastrów, aby mógł nająć jakąś załogę; Jacopo miał się nią udać do Marsylii i wywiedzieć o starcu nazwiskiem Ludwik Dantès, mieszkającym na Alejach Meilhańskich, oraz o dziewczynie z osady katalońskiej imieniem Mercedes.

Jacopowi wszystko to wydało się jakimś snem. Edmund powiedział mu więc, że został marynarzem dla kaprysu i dlatego, że rodzina nie chciała mu dać środków na utrzymanie; przybywszy teraz do Livorno odziedziczył spadek po stryju, który mianował go jedynym swoim sukcesorem. Opowiadanie to wydawało się bardzo prawdopodobne, zważywszy na rozległe wykształcenie Edmunda. Jacopo ani na chwilę nie wątpił, że jego dawny towarzysz mówi prawdę.

A skoro umowa Edmunda z kapitanem „Panny Amelii” skończyła się właśnie, Edmund pożegnał kapitana, który początkowo próbował go zatrzymać, ale gdy się dowiedział o spadku, wyrzekł się nadziei, że zdołałby odmienić decyzję swego byłego marynarza.

Nazajutrz Jacopo odpłynął do Marsylii; Edmund miał nań czekać na Monte Christo.

Tegoż dnia Edmund pożegnał załogę „Panny Amelii”, nie mówiąc nikomu, gdzie się udaje; obdarował hojnie dawnych towarzyszy i przyrzekł dowódcy, że da mu o sobie kiedyś znać.

Udał się do Genui.

Gdy tam dotarł, właśnie spuszczano na wodę jacht, zamówiony przez pewnego Anglika, który dowiedziawszy się gdzieś, że genueńczycy są najlepszymi budowniczymi statków na całym Morzu Śródziemnym, zapragnął mieć jacht powstały w Genui; Anglik ugodził się na cenę czterdziestu tysięcy franków; Edmund ofiarował sześćdziesiąt tysięcy pod warunkiem że zagłowiec będzie mu oddany jeszcze tego samego dnia.

Anglik w oczekiwaniu na ukończenie statku, podróżował sobie tymczasem po Szwajcarii. Miał wrócić za trzy lub nawet cztery tygodnie: budowniczy pomyślał, że będzie jeszcze miał dość czasu na wykończenie nowego jachtu. Edmund udał się z nim do pewnego Żyda, weszli do kantoru za sklepem – i Żyd wyliczył budowniczemu sześćdziesiąt tysięcy franków. Budowniczy zaofiarował Edmundowi, że najmie mu załogę, ale Edmund podziękował, mówiąc, że zwykle żegluje samotnie; dodał tylko, że jedyne, czego żąda, jest, aby wykonano mu w kajucie, u wezglowia koi, skrytkę z trzema przegrodami, zamykającymi się w sekretny sposób. Podał wymiary skrytki i nazajutrz już była gotowa.

W dwie godziny później Edmund wypływał już z portu, odprowadzany spojrzeniami tłumu gapiów, chcących przypatrzeć się hiszpańskiemu grandowi, który zwykł sam jeden żeglować po morzu.

Edmund radził sobie po mistrzowsku; nie potrzebując oddalać się od steru ani na chwilę, wykonywał jachtem wszelkie możliwe ewolucje. Rzekłoby się, że jacht był rozumną istotą, posłuszną każdemu skinieniu swojego pana. Edmund przyznał więc sam przed sobą, że genuieńscy godni są opinii najlepszych na świecie budowniczych okrętów.

Gapie odprowadzali statek wzrokiem, póki go z oczu nie stracili; a potem rozpoczęło się debatowanie, gdzie też hiszpański grand mógł się udawać; jedni utrzymywali, że na Korsykę, drudzy, że na Elbę, inni chcieli się zakładać, że do

Hiszpanii, inni na koniec z największą pewnością utrzymywali, że do Afryki; nikt jednak nie wymienił wyspy Monte Christo.

A przecież to właśnie na Monte Christo żeglował Edmund.

Przybył tam drugiego dnia wieczorem. Statek miał znakomite żagle, tak że przebył tę odległość w trzydzieści pięć godzin. Edmund znał już dokładnie linię wybrzeża; nie zawinął więc do zwykłego portu, ale zarzucił kotwicę w małej zatoczce.

Zastał wyspę jak przedtem pustą; wydawało się, że nikt nie przybijał tu od jego wyjazdu. Powędrował więc do swoich skarbów i znalazł wszystko tak, jak zostawił.

Następnego dnia przeniósł swoją ogromną fortunę na jacht i schował w trzech przegrodach tajemniczej skrytki.

Czekał jeszcze cały tydzień. Przez ten tydzień opływał wyspę na jachcie, studiując go, jak mastalerz rumaka. Na koniec poznał wszystkie jego zalety i wszystkie braki; pierwsze postanowił wzmocnić, drugie usunąć.

Siódmego dnia spostrzegł małą łódź zbliżającą się do wyspy pod pełnymi żaglami: i rozpoznał barkę Jacopa; dał sygnał, na który Jacopo odpowiedział i po dwóch godzinach łódź znajdowała się już przy jachcie.

Na każde z pytań zadanych przez Edmunda miał smutną odpowiedź.

Stary Dantès umarł, Mercedes zniknęła.

Edmund przyjął obie wiadomości spokojnie, ale natychmiast zszedł na ląd, nie pozwalając nikomu iść za sobą.

Wrócił po dwóch godzinach; dwóch ludzi Jacopa przeszło na

jego jacht, by mu dopomóc w lawirowaniu; Edmund kazał wziąć kurs na Marsylię. Przewidywał, że ojciec nie żyje, ale co się stało z Mercedes?

Edmund nie mógł udzielić szczegółowych instrukcji swojemu wysłannikowi, nie zdradzając własnej tajemnicy; zresztą potrzebował jeszcze innych informacji, które pragnął zdobyć osobiście. Lustro w Livorno przekonało go, że nie ryzykował niczym, nikt nie mógł go rozpoznać; tym bardziej że miał teraz do dyspozycji wszelkie środki, aby zmieniać swój wygląd. Pewnego rana jacht, za którym w ślad szła mała łódź, wpłynął śmiało do portu w Marsylii i stanął akurat na wprost tego miejsca, gdzie pamiętnego wieczoru wepchnięto Edmunda do łodzi i zawieziono na zamek If.

Nie bez drżenia Edmund ujrzał żandarma siedzącego w łodzi sanitarnej zmierzającej do jachtu. Z niezachwianą jednak pewnością siebie, jaką w sobie wyrobił, okazał żandarmowi angielski paszport, który kupił w Livorno; dzięki owemu cudzoziemskiemu paszportowi – a taki dokument cieszy się we Francji dużo większymi przywilejami niż krajowy – bez najmniejszych trudności dostał się na ląd.

Zaledwie postawił krok na Cannebière, natknął się na jednego z marynarzy z „Faraona”. Człowiek ten służył niegdyś pod jego rozkazami, pojawiał się tu więc jakby przez los zesłany, aby upewnić Dantèsa o zmianach, jakie w nim zaszły. Skierował się więc prosto do tego człowieka, zadał mu kilka pytań, na które tamten odpowiedział, nie zdradzając w niczym, ani w

wyrazie twarzy, ani w słowach, że przypominał sobie mężczyznę, z którym rozmawiał.

Edmund dał mu przeto napiwek w podziękę za udzielone mu informacje; po chwili usłyszał, że marynarz biegnie za nim.

Odwrócił się.

– Przepraszam pana – rzekł majtek. – Musiał się pan pomylić; dał mi pan zamiast czterdziestu su podwójnego napoleona.

– To prawda, przyjacielu, pomyliłem się – rzekł Edmund – ale twoja uczciwość zasługuje na nagrodę, przyjmij więc jeszcze jednego napoleona i wypij z towarzyszami za moje zdrowie.

Marynarz spojrział na Edmunda z takim zdumieniem, że nie przyszło mu do głowy podziękować; odprowadził go wzrokiem, mrucząc:

– To chyba jakiś nabab z Indii.

Edmund szedł dalej; za każdym krokiem serce mu się ścisnęło, doznając coraz to nowych wzruszeń; wspomnienia lat dzieciennych, wspomnienia niczym niezatarte, wiecznie obecne w jego pamięci, były tutaj, wyrastały mu przed oczyma na każdym placu, na rogach ulic, na skrzyżowaniach ulic.

Kiedy dochodził do końca ulicy Noailles i ujrzał przed sobą Aleje Meilhańskie, nogi mimo woli ugięły się pod nim i o mało nie zatoczył się pod koła powozu. Doszedł wreszcie do domu, gdzie mieszkał jego ojciec. Z okien mansardy zniknęły powój i nasturcje, które niegdyś z taką troską pielęgnowały ręce biedaczyny.

Edmund oparł się o drzewo i zamyślony wpatrywał się

przez chwilę w ostatnie piętro ubogiej kamieniczki; na koniec skierował się do drzwi, zapytał stróża, czy nie ma w tym domu mieszkania do wynajęcia, a chociaż wszystko było zajęte, nalegał tak długo, że chce obejrzeć pokoje na mansardzie, że stróż pofatygował się na górę, aby zapytać lokatorów, czy pozwolą mu zwiedzić te dwa pokoiki.

Małeńkie to mieszkanie zajmowało młode małżeństwo, które pobrało się zaledwie tydzień wcześniej. Na widok tej młodej pary Edmund westchnął głęboko.

Nie, nic tu już nie przypominało mieszkania jego ojca; inne były nawet tapety; wszystkie stare meble – ci przyjaciele dzieciństwa Edmunda – zniknęły. Tylko mury pozostały te same.

Spojrzał na łóżko: stało w tym samym miejscu co leże dawnego lokatora. Wbrew jego woli, w oczach ukazały mu się łzy: w tym miejscu musiał umierać starzec, wzywając syna.

Młodzi ludzie ze zdziwieniem spoglądali na tego człowieka o surowej twarzy: po licach spływały mu dwie łzy, choć twarz nie uległa najmniejszej zmianie. Ale że każde cierpienie nakazuje szacunek, młodzi nie zadali nieznajomemu żadnego pytania; cofnęli się w głąb pokoiku, aby nieznajomy mógł się swobodnie wypłakać; a gdy wychodził, odprowadzili go, mówiąc, że może ich odwiedzać, kiedy tylko zechce, a zawsze powitają go serdecznie w swoim ubogim domu.

Zszedłszy o piętro niżej Edmund zatrzymał się znowu i zapytał, czy mieszka tu jeszcze krawiec nazwiskiem Caderousse. Stróż odpowiedział, że człowiekowi temu nie wiodło się tu

najlepiej, więc przeprowadził się między Beaucaire a Bellegarde, gdzie prowadzi niewielką oberżę.

Edmund zszedł na dół, wypytawszy się wcześniej o adres właściciela domu; udał się do niego, kazał się zaanonsować jako lord Wilmore (takie nazwisko miał wpisane w paszporcie) i kupił od niego ten domek za dwadzieścia pięć tysięcy franków; zapłacił przeszło dziesięć tysięcy franków więcej niż kamieniczka była warta, ale zapłaciliby i pół miliona, gdyby tego zażądał właściciel.

Tego samego dnia notariusz zawiadomił młode małżeństwo z mansardy, że dom został sprzedany, a nowy właściciel pozwala im wybrać sobie według gustu dowolne mieszkanie w kamienicy, bez żadnej zmiany czynszu, pod warunkiem że opuszczą zajmowane do tej pory dwa pokoiki.

Ten nadzwyczajny wypadek zajmował przynajmniej przez tydzień ciekawość wszystkich, którzy stale bywali na ulicy Meilhańskiej; powstało w tej kwestii tysiące domysłów, ale żaden z nich nie był trafny.

Ale najbardziej wzburzyło wyobraźnię wszystkich co innego: widziano, jak ten sam mężczyzna, który rankiem wszedł do domu na Alejach Meilhańskich, wieczorem pojawił się w wiosce katalońskiej i wstąpił do ubogiej rybackiej chaty, gdzie spędził całą godzinę, wypytując o ludzi, którzy albo od dawna już nie żyli, albo zniknęli z tych stron ponad piętnaście lat temu.

Nazajutrz rybacy, do których zawitał cudzoziemiec zadający tyle pytań, otrzymali w podarku nowiutką katalońską łódź, wraz z dwoma sieciami i niewodem. Poczciwi ci ludzie chętnie

by podziękowali hojnemu gościowi; ale gdy opuścił wioskę, widziano, że wydawszy rozkazy jakiemuś marynarzowi, wsiadł na konia i wyjechał przez roгатki w kierunku na Aix.

26. Oberża

Kto tak jak ja przewędrował piechotą całą południową Francję, zauważył może pomiędzy Bellegarde i Beaucaire, w połowie drogi między tą wsią a miastem, małą oberżę, na której wisi blaszany, skrzypiący za najłżejszym podmuchem wiatru szyld z wizerunkiem Pont du Gard. Maleńka oberża leży przy gościńcu równoległym do lewego brzegu Rodanu, odwrócona tyłem do rzeki. Otacza ją to, co w Langwedocji nazywają grodem, to znaczy, że tylna ściana budynku otwiera się na ogrodzony kawałek gruntu, na którym rozpełzły się karłowate oliwki, zdziczałe drzewa figowe z listowiem posrebrzonym od pyłu; między pniami rosną za cały ogród warzywny czosnek, pieprz turecki i szczypiorek, w kącie zaś, jak zapomniany strażnik wielka pinia prostuje z melancholią swój giętki pień, a jej korona rozwinięta na kształt wachlarza skrzypi w trzydziestostopniowym skwarze. Wszystkie te drzewa, małe czy duże, chylą się naturalnie w kierunku, w jakim przygina je mistral, jedna z trzech plag Prowansji; jak zaś wiecie albo i nie – dwoma innymi są rzeka Durance i tamtejszy trybunał sądowy.

Od siedmiu czy prawie ośmiu lat karczemkę tę prowadziło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, którzy za całą służbę mieli jedną pokojówkę, Kasię, i chłopca stajennego imieniem Pacaud. Podwójne te siły wystarczały najzupełniej na potrzeby oberży, szczególnie od czasu, gdy wykopano między Beaucaire a Aigues-

Mortes kanał, dzięki któremu barki odniosły pełny sukces nad najszybszymi zaprzęgami.

Kanał ów potęgował dodatkowo zmartwienie karczmarza przez to, że przebiegał między Rodanem, z którego czerpał wodę, a gościńcem, skąd wysysał dla siebie życiodajne soki, zaledwie sto kroków od karczmy, której daliśmy właśnie zwięzły, ale wierny opis.

Oberżysta miał już po czterdziestce; słusznego wzrostu, chudy, żyłasty, prawdziwy typ południowca – o błyszczących, głęboko osadzonych oczach, orlim nosie i białych wilczych zębach. Włosy jego, choć pierwsze tchnienie wieku dojrzałego już go owionęło, nie mogły się nadal zdecydować na siwienie; gęste, kędzierzawe, były tylko podobnie jak broda i faworyty przetykane pojedynczymi białymi nitkami. Jego śniada z natury twarz jeszcze bardziej ściemniała przez to, że nieszczęśnik ów wystawał od rana do wieczora na progu karczmy, wypatrując, czy nie nadarzy mu się jakiś gość. Czekał tak zwykle na próżno, a nawet i w najbardziej upalne dni chronił głowę, wiążąc na niej wzorem hiszpańskich mulników jedynie czerwoną chustkę. Oberżysta ten był naszym starym znajomym – Kacprem Caderousse.

Żona jego Magdalena z domu Radelle była kobieciną w kontraście z mężem chudą, bladą i chorowitą; urodziła się w okolicach Arles i do tej pory zachowała jeszcze ślady słynnej piękności swoich rodaczek, chociaż jak sama dostrzegała, jej lica powoli zżerane były nawracającymi napadami malarii, która

dręczyła ludność zamieszkałą w sąsiedztwie stawów Aigues-Mortes i bagnisk na wyspie Camargue. Niemal zawsze więc siedziała w swoim pokoiku na pierwszym piętrze, dygocząc bezustannie z zimna, wtulona w fotel lub oparta o wezgłowie łoża. Mąż jej tymczasem pełnił swoją zwyczajową straż u drzwi karczmy, co mu odpowiadało znacznie bardziej niż siedzenie przy swojej skwaszonej połowicy, bowiem wtedy musiał wysłuchiwać jej nieustannych skarg na los, na które ów zacny małżonek odpowiadał zazwyczaj tylko taką oto filozoficzną sentencją:

– Cicho bądź, Karkontko! Bóg tak chciał, kiedy tak jest.

Przydomek pani Magdaleny wziął stąd, że pochodziła ona ze wsi Carconte, położonej między Salon i Lambese. Mąż nazywał żonę Karkontką zapewne dlatego, że jej imię było może zbyt miłe i melodyjne i nie odpowiadało jego szorstkiemu usposobieniu.

Pomimo jednak pozornego poddania się Caderousse'a wyrokowi Opatrzności, nie wierzymy bynajmniej, że nasz oberżysta nie odczuł boleśnie nędzy, do której doprowadził go ten diabelski kanał, i że nie dręczyły go owe nieustanne lamente pani Magdaleny. Jak wszyscy południowcy był człowiekiem wstrzemięźliwym i niewymagającym wiele dla siebie, ale na zewnątrz rządziła nim próżność. Za lepszych czasów nie opuścili z Karkontką ani jednej okazji świętowania podczas znakowania bydła, ani jednej procesji w Tarascon; ubierał się wtedy w malowniczy strój ludzi z Południa – na wpół kataloński, na wpół

andaluzyjski, a Karkontka przywdziewała urokliwy kostium kobiet z Arles, jakby inspirowany szatami greckimi i arabskimi. Ale z wolna zaczęły znikać owe łańcuszki od zegarka, naszyjniki, wielobarwne pasy, haftowane gorseciki, aksamitne kaftany, eleganckie pończochy, pstrokate kamasze, trzewiki ze srebrnymi sprzączkami, aż zniknęły tak dalece, że Kacper Caderousse, nie mogąc pokazywać się już w dawnej świetności i blasku, wyrzekł się razem z żoną wszelkich światowych uciech. Radosne ich odgłosy, raniąc mu dotkliwie serce, dochodziły aż do tej biednej karczemki, w której siedział już raczej dla mieszkania tylko niż dla zysku.

Caderousse stał zatem od rana w drzwiach i wodził melancholijnym wzrokiem po łysym trawniku, po którym chodziło kilka kur, bądź po pustym gościńcu, którego jeden kraniec nikł na południu, a drugi na północy, gdy nagle skrzekliwy głos żony zmusił go do opuszczenia swego stanowiska. Wszedł do środka, mruczając pod nosem, i wspiął się na pierwsze piętro, zostawiając jednak otwarte na oścież drzwi, jakby zachęcał w ten sposób do wstąpienia ewentualnych podróżnych. W chwili gdy Caderousse wchodził na górę, gościniec był równie nagi i opustoszały jak pustynia w południe. Bieluteńki pas ciągnął się bez końca pomiędzy dwoma rzędami mizernych drzew. Było oczywiste, że żaden podróżny nie zboczy dobrowolnie, mogąc wybrać inną porę dnia, na tę okropną siostrę Sahary.

Gdyby jednak Caderousse pozostał na swym stanowisku,

dojrzałby, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, jeźdźca zbliżającego się od strony Bellegarde. Z postawy jeźdźca i konia widać było, że między człowiekiem a zwierzęciem stosunki były jak najlepsze; wałach biegł inochodem, jeździec był księdzem; ubrany na czarno, na głowie miał trójgraniasty kapelusz mimo nieżnośnego skwaru; zbliżali się umiarkowanym klusem.

Podróżny zatrzymał się przed karczmą; trudno było stwierdzić, czy to koń zdecydował o postoju, czy człowiek. Jakby nie było, jeździec zsiadł z konia, przywiązał go za uzdę do spróchniałej okiennicy, dyndającej na jednym już tylko zawiasie, a potem, obtarłszy czoło z potu czerwoną bawełnianą chustką, podszedł do drzwi i zastukał po trzykroć okutą laską.

Wielki czarny pies powstał natychmiast i podbiegł, szczekając i szczerząc białe ostre kły; owa podwójna demonstracja wrogości dowodziła, że pies nie był przyzwyczajony do podróżnych.

Wkrótce drewniane schodki biegnące wzdłuż kamiennego muru zatrzęsły się pod ciężkimi krokami gospodarza tego ubogiego domostwa, który pochylony zszedł tyłem na dół i stanął przed księdzem.

– Jestem już, jestem! – powtarzał zdziwiony. – Cicho, Margotin! Niech się pan nie boi, on tylko szczeka, ale nie gryzie. Chcesz pan zapewne napić się wina? Bo też okropny jest ten upał. Ach, przepraszam – urwał nagle, przypatrując się lepiej podróżnemu. – Nie wiedziałem, z kim mam zaszczyt mówić. Czego ksiądz sobie życzy? Co ksiądz rozkaże? Jestem do usług księdza.

Ksiądz spoglądał na gospodarza przez kilka sekund ze szczególną uwagą; wydawało się, że chciał jakby zwrócić na siebie uwagę oberżysty; ale skoro się przekonał, że twarz Caderousse'a wyrażała tylko zdziwienie brakiem odpowiedzi, uznał, że czas mu położyć koniec i odezwał się z wyraźnym włoskim akcentem:

– Czy nazywasz się pan Caderousse?

– Tak, proszę ojca – odrzekł gospodarz, bardziej zdziwiony tym pytaniem niż poprzednio milczeniem księdza. – Jestem Kacper Caderousse, do usług.

– Kacper Caderousse... A tak, zdaje mi się, że to właśnie takie imię i nazwisko. A nie mieszkałeś pan kiedyś na Alejach Meilhańskich? Na czwartym piętrze?

– Pewnie, że tak.

– Trudniłeś się wtedy profesją krawiecką?

– Tak, ale mi się nie wiodło. Takie upały w tej piekielnej Marsylii, że ludzie przestaną się chyba w ogóle odziewać. Ale, ale... skoro mowa o upale, nie chciałby się ksiądz czymś orzeźwić?

– Dobrze. Dajże mi pan butelkę najlepszego wina, jakie masz, a potem wrócimy do rozmowy od tego, na czymśmy skończyli.

– Jak ksiądz sobie życzy – odpowiedział Caderousse.

I aby nie stracić sposobności sprzedania jednej z ostatnich butelek wina cahors, czym prędzej podniósł drzwiczki od piwnicy w podłodze parterowej izby, która służyła zarazem za kuchnię i jadalnię dla gości. Gdy powrócił po pięciu minutach,

zastał księdza przy stole, wspartego na łokciu. Margotin, zawarłszy już z nim widać rozejm, słysząc, że – a rzadko to się tutaj zdarzało – ten niezwykle gość zamierza coś zamówić w karczmie, ułożył na jego udzie wychudły pysk i spoglądał nań tęsknie.

– Mieszkasz pan tutaj sam? – spytał ksiądz, gdy gospodarz stawiał przed nim butelkę i szklanę.

– O tak, Mój Boże! Tak, to jest prawie sam, bo żona jest ciągle chora, niewiele mi może pomóc.

– Jesteś więc pan żonaty? – rzekł ksiądz z pewnym zainteresowaniem, obrzucając badawczym wzrokiem lichy dobytek tego ubogiego stadła.

– O tak, widać, że bieda u nas, nieprawdaż? – westchnął Caderousse. – Lecz co robić, nie wystarczy być uczciwym, aby się szczęściło na świecie.

Ksiądz wlepił w oberżystę przenikliwy wzrok.

– A tak, uczciwym; tym przynajmniej mogę się chwalić – mówił gospodarz, wytrzymując odważnie spojrzenie księdza, kładąc ręce na piersi i kiwając potwierdzająco głową. – W naszych czasach nie wszyscy mogą to o sobie powiedzieć.

– Tym lepiej, jeżeli oczywiście to, co mówisz, jest prawdą – powiedział ksiądz. – Jestem bowiem gruntownie przekonany, że prędzej czy później cnotliwy otrzyma nagrodę, a zły karę.

– Ksiądz tak mówi, bo musi tak mówić z urzędu – odrzekł z goryczą Caderousse – nam zaś wolno temu nie wierzyć.

– Nie mów tak – rzekł ksiądz. – Może za chwilę sam ci

dowiodę słuszności tych słów.

– Jak to? – spytał Caderousse ze zdziwieniem.

– Tak, ale najpierw muszę się dokładnie upewnić, czy jesteś pan tym, do którego mam się zwrócić.

– Jakich ksiądz pragnie dowodów?

– Czy znał pan w latach 1814–15 marynarza nazwiskiem Dantès?

– Dantèsa! Czy go znałem, mój Boże, tego biednego Edmunda! I to jak! Był to nawet jeden z moich najlepszych przyjaciół! – wykrzyknął Caderousse, a całą twarz okrył mu rumieniec; tymczasem ksiądz nie spuszczał zeń jasnego i pewnego wzroku, i zdawał się nim wręcz chłonać uczucia rysujące się na twarzy Caderousse'a.

– Tak. Zdaje mi się, że istotnie miał na imię Edmund.

– Czy miał na imię Edmund! Ba! Pewnie! To rzecz tak niewątpliwa, jak to, że ja nazywam się Kacper Caderousse! Co się też stało z tym biednym Edmundem? Ksiądz go zna? Żyje jeszcze? Czy jest wolny i szczęśliwy?

– Umarł w więzieniu w większej rozpacz i nędzy niż galernicy przykuci do kuli w tulońskich galerach – odpowiedział ksiądz.

Śmiertelna bladość okryła twarz Caderousse'a, jeszcze przed chwilą zupełnie purpurową. Odwrócił się i ksiądz ujrzał, jak otarł łzy rogiem czerwonej chustki, którą obwiązaną miał głowę.

– Biedak – szepnął Caderousse. – I proszę, ma tu ksiądz nowy dowód, że mam rację: dobry Bóg jest dobrotliwy tylko

dla złych. Ach! – mówił dalej obrazowym, kwiecistym językiem mieszkańców południa. – Coraz się gorzej dzieje na tym świecie; gdyby tak z nieba dwa dni sypał się proch, a potem przez godzinę leciał ogień, byłby wreszcie spokój.

– Zdaje się, żeś pan kochał z całego serca tego chłopaka? – spytał ksiądz.

– Tak, lubiłem go bardzo, chociaż wyrzucam sobie do dziś, żeś dawniej zazdrościł mu jego szczęścia. Ale niech mi ksiądz wierzy, klnę się na duszę, że nieraz płakałem nad jego nieszczęsnym losem.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której ksiądz ani na chwilę nie przestał obserwować wyrazu oblicza oberżysty.

– Znał ksiądz tego biednego chłopca? – zapytał wreszcie Caderousse.

– Dałem mu ostatnie namaszczenie – odrzekł ksiądz.

– Na co więc umarł? – zapytał Caderousse zdławionym głosem.

– A na cóż się umiera w więzieniu w trzydziestym roku życia, jeżeli nie z powodu samego więzienia?

Caderousse otarł pot, który spływał mu z czoła.

– Najdziwniejsze w tej sprawie jest to – mówił dalej ksiądz – że Edmund, umierając, przysięgał mi na krucyfiks, że nie wie, dlaczego go uwięziono.

– To prawda, to prawda! – zawołał Caderousse. – On nic nie wiedział, księżu dobrodzieju, nie, biedaczysko nie kłamał.

– Właśnie dlatego polecił mi poznać przyczyny jego

nieszczęścia, których sam nie zdołał wyświecić i przywrócić cześć jego pamięci, jeżeli była splamiona.

Ksiądz wydawał się pożerać spojrzeniem spochmurniałą nagle twarz Caderousse'a.

– Pewien bogaty Anglik – mówił dalej – jego towarzysz niedoli, którego uwolniono za drugiej restauracji, posiadał diament o wielkiej wartości. Odzyskując wolność, podarował w podziękę Edmundowi, który opiekował się nim w chorobie jak rodzony brat, ten diament. Edmund nie użył go, aby przekupić dozorców, którzy mogliby przyjąć ten diament, a potem go zdradzić, lecz zachował na wypadek, gdyby wyszedł z więzienia; wtedy bowiem pieniądze, które by dostał za diament, zapewniłyby mu los.

– I był to, powiada ksiądz – zagadnął Caderousse, a oczy nagle mu zabłyśły – diament o ogromnej wartości?

– Wszystko jest względne – odrzekł ksiądz. – Ogromnej wartości dla Edmunda; bo wyceniono go na pięćdziesiąt tysięcy franków.

– Pięćdziesiąt tysięcy franków! – wykrzyknął Caderousse. – To przecież musiał być tak duży jak orzech?

– No, niezupełnie – rzekł ksiądz – ale sam to pan osądzi najlepiej, mam go przy sobie.

Ksiądz wyjął z kieszeni małe pudełko z czarnego szagrynu, otworzył je i ukazał olśnionemu Caderousse'owi migoczący klejnot oprawny w pierścień niepospolitej roboty.

– I to jest warte pięćdziesiąt tysięcy franków? – zapytał

chciwie Caderousse.

– Oprócz oprawy, która ma także swoją cenę – rzekł ksiądz.

Zamknął pudełko i schował na powrót diament, który wciąż jednak migotał przed oczyma Caderousse'a.

– Jakim sposobem ksiądz stał się właścicielem tego klejnotu, Edmund ustanowił księdza swoim spadkobiercą?

– Nie, po prostu wykonawcą swojej ostatniej woli. „Miałem trzech dobrych przyjaciół i narzeczoną”, powiedział mi; „a wszyscy oni, jestem tego pewien, szczerze mnie opłakują, jeden z nich nazywał się Caderousse”.

Caderousse drgnął.

– „Drugi – mówił dalej ksiądz, udając, że nie widzi wzruszenia Caderousse'a – drugi nosił nazwisko Danglars, trzeci, chociaż był moim rywalem, także mnie lubił”.

Uśmiech szatański przemknął po twarzy Caderousse'a, który uczynił gwałtowny ruch, jak gdyby chciał przerwać księdzu.

– Zaczekaj pan – rzekł ksiądz. – Daj mi skończyć, a jeżeli chcesz mi pan coś o tym powiedzieć, zrobisz to później. „Trzeci, chociaż był moim rywalem, także mnie lubił, a nazywał się Fernand; a moja narzeczona zaś nazywała się...” Ach, zapomniałem, jak miała na imię narzeczona.

– Mercedes – rzekł Caderousse.

– Ach! Tak, tak – rzekł ksiądz, tłumiąc westchnienie – Mercedes.

– I co dalej? – spytał Caderousse.

– Daj mi pan karafkę z wodą – rzekł ksiądz.

Caderousse spełnił ten rozkaz w mgnieniu oka. Ksiądz nalał sobie szklanę i wypił kilka łyków.

– Na czym stanęliśmy? – zastanowił się, stawiając szklanę na stole.

– O narzeczonej Edmunda, Mercedes.

– Słusznie. „Pojedźcie ksiądz do Marsylii...”. Rozumiesz pan, że to słowa Edmunda?

– Tak, tak.

– „Sprzeda ksiądz ten diament, podzieli pieniądze na pięć części i rozdzieli między te osoby, bo to jedyne istoty na świecie, które mnie kochały”.

– Jak to na pięć części? – zapytał Caderousse. – Przecież ksiądz wymienił tylko cztery osoby.

– Ponieważ piąta nie żyje, jak mi wiadomo... Był nią ojciec Edmunda.

– Niestety tak – rzekł Caderousse, poruszony mocno sprzecznymi uczuciami, które się w nim miotają. – Niestety, biedak umarł.

– Dowiedziałem się o tym w Marsylii – odrzekł ksiądz, z trudem usiłując zachować obojętność – ale już tyle lat od tego czasu upłynęło, że nie udało mi się dowiedzieć żadnych szczegółów... A może pan wie coś o zgonie starego Dantèsa?

– A któżby to mógł lepiej wiedzieć ode mnie? Mieszkalem z nim prawie przez drzwi... Ach, mój Boże! Zaledwie rok po zniknięciu syna staruszek umarł.

– Na co?

– Według lekarzy umarł na... katar żołądka, jeżeli się nie mylę; ci, co bliżej go znali, utrzymywali, że umarł ze zgryzoty... ale ja, co byłem z nim niemal do ostatniej chwili, myślę, że...

Caderousse zamilkł.

– Że umarł?... – powtórzył z niepokojem ksiądz.

– No cóż! Że umarł z głodu!

– Z głodu! – zawołał ksiądz, porwawszy się na nogi. – Z głodu! Najlichsze stworzenia nie zdychają z głodu! Nawet psy wółczące się po ulicach trafiają czasem na litościwą rękę, która im rzuci kawałek chleba! A człowiek, chrześcijanin umarł z głodu między innymi ludźmi, co również mienią się chrześcijanami? To niemożliwe! Nie, to niemożliwe!

– Co powiedziałem, to myślę.

– I źle zrobiłeś – odezwał się na schodach jakiś głos. – Po co się mieszasz w to wszystko?

Odwrócili się i dojrzeli za drewnianą balustradą galeryjki schorowaną twarz kobiety; Karkontka przywlekła się na schody i siedząc na ostatnim stopniu, podsłuchiwała rozmowę, z głową opuszczoną na kolana.

– To ty się w to niepotrzebnie mieszasz, kobieto – odparł Caderousse. – Ksiądz żąda ode mnie pewnych wiadomości, a grzeczność nakazuje, abym mu ich udzielił.

– Tak, ale roztropność nakazuje, abyś trzymał język za zębami. Kto wie, niedołęgo, w jakich zamiarach ktoś cię tak ciągnie za język?

– W jak najlepszych, proszę pani, zapewniam – rzekł ksiądz.

– Nic nie będzie grozić pani mężowi, jeżeli tylko odpowie mi szczerze na pytania.

– Nic nie będzie mu grozić? Akurat! Zawsze się zaczyna od obiecanek cacanek, potem się mówi, że nic nam nie będzie grozić... A potem taki osobnik rozplywa się w powietrzu, nie dotrzymawszy ani słowa. I pewnego pięknego ranka na takich biednych ludzi, jak my, wali się, nie wiadomo skąd, nieszczęście.

– Dobra kobieto – rzekł ksiądz. – Uspokój się, nie spotka was przez mnie żadne nieszczęście, ręczę ci.

Karkontka mruczała jeszcze przez chwilę coś niezrozumiałego, a potem spuściła znowu głowę na kolana i jęła dygotać, pochwyciona atakiem malarii, nie przeszkadzając dalszej rozmowie; nie ruszyła się jednak na krok z miejsca, nie chcąc opuścić ani słowa.

Tymczasem ksiądz napił się znowu wody i wrócił do równowagi:

– Ale czy ten nieszczęsny staruszek był aż tak przez wszystkich zapomniany, że musiał umrzeć podobną śmiercią?

– O, proszę księdza! Ani Mercedes Katalonka, ani pan Morrel nie opuszczali go na chwilę; ale biedny stary powziął głęboką nienawiść do Fernanda – mówił dalej z ironicznym uśmiechem – tego właśnie, którego Edmund miał za przyjaciela.

– Czyż nie był nim? – zapytał ksiądz.

– Kacprze, Kacprze – zawołała kobieta. – Zastanów się dobrze, nim coś powiesz.

Caderousse zachnął się niecierpliwie i nie odrzekłszy jej ani

słowa, zwrócił się do księdza:

– Czy można być przyjacielem tego, którego żony pożąda się z całej siły? Edmund, złote serce, wszystkich tych ludzi uważał za przyjaciół... Biedny Edmund!... Zresztą może lepiej się stało, że nie wiedział o niczym; pewno ciężko by mu było im przebaczyć przed śmiercią... A, niech mówią, co chcą! Więcej się boję przekleństw umierających niż nienawiści żyjących – dodał Caderousse, a jego słowa były pełne surowej poezji.

– Głupiec! – oznajmiła Karkontka.

– Więc pan wiesz, co ten Fernand zrobił przeciw Edmundowi?

– Co zrobił? Pewnie, że wiem.

– Mów pan!

– Kacprze, robisz, co ci się podoba, jesteś panem swojej woli

– wtrąciła kobieta – ale wierzaj mi, lepiej nic nie mów.

– Tym razem zdaje mi się, że masz rację, kobieto.

– A więc nic mi pan nie powiesz? – zapytał ksiądz.

– A po kiego licha? Gdyby chłopczyzna żył jeszcze i przyszedł do mnie, żeby się wreszcie dowiedzieć, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem, to co innego. Ale teraz przysypali go ziemią, jak ksiądz mówi, nie może już czuć nienawiści ani się mścić, puśćmy to w niepamięć.

– A więc wolisz pan, abym dał ludziom, których uważasz za niegodziwych i fałszywych, pieniądze przeznaczone dla wiernych przyjaciół?

– To prawda, ma ksiądz słuszość – przyznał Caderousse.

– Zresztą, co by dla nich teraz znaczył ten zapis biednego

Edmunda? Ot, kropla w morzu.

– Nie mówiąc już o tym, że mogą cię jednym skinieniem zetrzeć w proch – dodała Karkontka.

– Jak to? Czyżby się stali tak bogaci i potężni?

– Nie zna więc ksiądz ich historii?

– Nie, opowiedz mi pan o nich.

Caderousse zdawał się zastanawiać przez chwilę.

– E, chyba nie warto – rzekł. – Długo by opowiadać.

– Możesz milczeć, przyjacielu – rzekł ksiądz z największą obojętnością – i szanuję twoje pobudki, zresztą twoje zachowanie świadczy, że jesteś naprawdę dobrym człowiekiem, nie mówmy o tym więcej. Co miałem wykonać? Ot, to czysta formalność. Sprzedam ten diament...

To rzekłszy, wyjął pudełko z kieszeni, otworzył i zaświecił diamentem ponownie przed olśnionymi oczyma Caderousse'a.

– Chodź, zobacz, żono – rzekł chrapliwie oberżysta.

– Diament! – zdumiała się Karkontka, wstając i dość pewnym krokiem schodząc po schodach. – Co to znaczy?

– Jak to, nie słyszałaś, kobieto? To diament, który zapisał nam ten pocziwy Edmund: to jest swemu ojcu, trzem przyjaciółom – Fernandowi, Danglarsowi i mnie, no i swojej narzeczonej. Warty jest pięćdziesiąt tysięcy franków.

– Ach, jaki piękny – rzekła.

– Więc piąta część tej sumy należy do nas? – spytał Caderousse.

– Tak, a poza tym jeszcze część należąca do ojca Edmunda,

myślę bowiem, że mam prawo rozdzielić ją między was czworo.

– Dlaczego między czworo? – spytała Karkontka.

– Ponieważ wszyscy czworo byliście przyjaciółmi Edmunda.

– Aha, przyjaciele, co zdradzają – ponuro mruknęła Karkontka.

– Tak, tak – rzekł Caderousse – i to przecież też mówiłem. Toż to profanacja, świętokradztwo wynagradzać zdrajców, a może nawet zbrodniarzy.

– Sam pan tego chciałeś – odrzekł spokojnie ksiądz, chowając diament do kieszeni. – A teraz powiedz mi pan, pod jakim adresem mam szukać przyjaciół Edmunda, abym mógł wykonać jego ostatnią wolę.

Pot spływał grubymi kroplami z czoła Caderousse'a; ksiądz wstał, podszedł do drzwi, aby popatrzeć na konia.

Caderousse i jego żona wpatrywali się w siebie z wyrazem trudnym do opisania.

– Cały diament byłby nasz – szepnął Caderousse.

– Tak myślisz – odpowiedziała żona.

– Przecież to osoba duchowna, nie oszuka nas.

– Czyń, co ci się podoba – rzekła Karkontka – ja się w to nie chcę wtrącać.

I cała dygocząc, zaczęła wspinać się po schodach; zęby jej szczękały, chociaż upał był nie do wytrzymania. Zatrzymała się na chwilę na ostatnim stopniu.

– Zastanów się dobrze, Kacprze – rzekła.

– Wiem dobrze, co mam robić – odparł Caderousse.

Karkontka westchnęła i poszła do swej izby, podłoga skrzypiała pod jej nogami, zanim zbliżyła się do fotela i ciężko nań upadła.

– Cóż więc postanowiłeś? – spytał ksiądz.

– Opowiem księdzu wszystko – odpowiedział Caderousse.

– Sądzę, że w istocie tak będzie najlepiej – rzekł ksiądz. – Nie dlatego, bym chciał koniecznie dowiedzieć się o jakichś sekretach; ale będzie dobrze, jeżeli możesz mi pomóc w podziale spadku zgodnie z życzeniem zmarłego.

– Mam taki zamiar – odpowiedział Caderousse z twarzą rozplomioną nadzieją i chciwością.

– Słucham – rzekł ksiądz.

– Niech ksiądz chwilkę zaczeka. Ktoś mógłby nam przeszkodzić w najbardziej zajmującym miejscu, a szkoda byłoby; zresztą po co ma kto wiedzieć, żeś tu był.

Podszedł do drzwi oberży, zamknął je, a nawet dla większego bezpieczeństwa zasunął sztabę, która broniła ich nocą.

Ksiądz zaś wybrał sobie najdogodniejsze miejsce; usiadł w kącie, tak że sam znajdował się w cieniu, podczas gdy na twarz karczmarza, dla którego miejsce było naprzeciw, musiało padać światło. Z pochyloną głową, złożywszy, a raczej skrzyżowawszy ręce, przygotowywał się do słuchania z jak największą uwagą.

Caderousse przysunął zydel i usiadł naprzeciw.

– Pamiętaj, że cię do tego nie namawiałam! – odezwał się głos drżący Karkontki, jakby mogła poprzez podłogę widzieć, co się zaczyna.

– Dobrze, dobrze – rzekł Caderousse. – Nie mówmy już o tym, biore wszystko na siebie.

I zaczął mówić.

27. Opowiadanie

– Przede wszystkim, proszę księdza, chciałbym prosić, aby ksiądz obiecał mi jedno.

– Co takiego? – zapytał ksiądz.

– Żeby, jeżeli kiedykolwiek zechce ksiądz uczynić jakiś użytek z tego, co zaraz opowiem, nie powiedział ksiądz nikomu, że te wiadomości pochodzą ode mnie; osoby, o których mam mówić, są tak bogate i potężne, że gdyby chciały mnie tknąć końcem palca, zgniotłyby mnie na proch.

– Bądź spokojny, przyjacielu – rzekł ksiądz. – Jestem kapłanem i wszelkie ludzkie wyznania giną na zawsze w moim sercu. Przypomnij sobie, że mamy tylko jeden cel – wypełnić sprawiedliwie ostatnią wolę naszego przyjaciela. Mów pan więc, nie oszczędzając nikogo, ale i bez nienawiści; mów prawdę, samą prawdę, nic więcej. Nie znam i pewnie nigdy nie będę znać ludzi, o których masz mówić; zresztą jestem Włochem, nie Francuzem; służyć Bogu, a nie ludziom i niebawem wracam do klasztoru, który opuściłem tylko po to, aby wypełnić ostatnie życzenie umierającego.

Ta stanowcza obietnica podniosła nieco na duchu Caderousse'a.

– No cóż, w takim razie – powiedział – chcę więc, a nawet uważam, że powinienem to zrobić, chcę wyprowadzić księdza z błędu co do tych mniemanych przyjaciół, których Edmund

uważał za tak mu oddanych.

– Zacznijmy od jego ojca – poprosił ksiądz. – Edmund tyle mi mówił o nim, tak głęboko go kochał...

– O, to smutna opowieść – rzekł Caderousse, kiwając głową.
– Zna ksiądz pewnie jej początek?

– Tak. Edmund opowiedział mi wszystko aż do chwili, gdy został aresztowany w jakiejś oberży pod Marsylią.

– U starego Pamfila, tak, mój Boże, tak! Stoi mi to jeszcze wszystko przed oczyma!

– I to się stało podobno w czasie przyjęcia zaręczynowego?

– Tak. Przyjęcie, co się tak wesoło zaczęło, miało smutny koniec. W pewnej chwili wszedł komisarz policji z żandarmami i Edmund został aresztowany.

– I tu się wszystko kończy, co wiem – przerwał ksiądz. – Zresztą Edmund nic więcej nie wiedział, bo nie zobaczył już żadnej z tych pięciu osób i nigdy o nich nie usłyszał.

– Skoro tylko Edmund został uwięziony, pan Morrel pobiegł dowiedzieć się, co się stało; wrócił ze smutnymi wiadomościami. Ojciec Edmunda powrócił sam do domu, płacząc, ułożył w szafie swój ślubny strój, przez cały dzień chodził tam i z powrotem po pokoiku; nadszedł wieczór, ale on się nie położył – mieszkalem pod nim i słyszałem, jak calutką noc chodził po izbie; muszę się przyznać, że sam nie mogłem też zmrużyć oka; cierpienie tego biednego ojca bolało mnie strasznie, każdy jego krok gniótł mi serce, jak gdyby naprawdę deptał mi po piersiach.

Następnego dnia Mercedes udała się do Marsylii, chcąc

brać o wstawiennictwo pana de Villefort; nic nie uzyskała; poszła też odwiedzić starca. Znalazłszy go tak przygnębionym i załamany, dowiedziawszy się, że spędził bezsennie całą noc, że nie jadł od wczoraj, chciała zabrać go do siebie, aby się nim opiekować, ale staruszek się na to nie zgodził. „Nie – mówił – nie opuszczę domu, chłopak nikogo tak nie kocha jak mnie, a gdy wyjdzie z więzienia, przybiegnie najpierw do mnie. Cóż by sobie pomyślał, gdyby mnie tu nie zastał?”.

Słuchałem tej rozmowy ze schodów i pragnąłem bardzo, aby Mercedes wreszcie go nakłoniła; te kroki dzień i noc nad moją głową nie dawały mi ani chwili spoczynku.

– A pan nie poszedłeś sam do starca, żeby go pocieszyć?

– Ach, proszę księdza! Pocieszać można tylko tych, którzy pragną, by ich pocieszano. Zresztą nie wiem dlaczego, ale zdawało mi się, że mnie mocno nie lubił. Pewnej jednak nocy nie mogłem już wytrzymać, słysząc, jak zanosi się od płaczu i pobiegłem na górę; ale gdy podszedłem do drzwi, stary już nie płakał, tylko się modlił. Nie umiem księdzu powiedzieć, jak wymowne słowa to były, jak rozdzierające błagania, to było więcej niż pobożność, więcej niż rozpacz; tak że choć nie jestem nabożniakiem i nie cierpię jezuitów, powiedziałem sobie wtedy: „Ależ mam szczęście, że jestem sam jeden i że Bóg nie dał mi dzieci, bo gdybym był ojcem i żył w takiej rozpacz, jak ten biedny starzec, nie potrafiłbym znaleźć w duszy ani w sercu słów, jakie on mówił Bogu, i rzuciłbym się w morze, aby nie cierpieć już dłużej”.

– Nieszczęsny ojciec – wyszeptał ksiądz.

– Co dzień stawał się coraz większym odludkiem i był coraz bardziej osamotniony; pan Morrel i Mercedes nieraz przychodzili do niego, ale drzwi zawsze były zamknięte, nie odpowiadał na pukanie, chociaż wiedziałem, że był u siebie. Pewnego dnia wpuścił jednak Mercedes, a gdy ta biedna dziewczyna, sama udręczona rozpaczą, usiłowała go pocieszać, rzekł do niej: „Wierz mi, on nie żyje... i już nie my na niego, ale on na nas czeka... Jestem szczęśliwy, bom z was najstarszy i pierwszy go ujrzę...”.

Wiem ksiądz, że nawet najlepszy człowiek zaczyna rychło unikać ludzi, którzy go przejmują smutkiem; stary Dantès został w końcu zupełnie osamotniony. Widywałem tylko od czasu do czasu, jak wychodzili od niego jacyś nieznajomi, ukrywając niezręcznie większe lub mniejsze paczuszki; później nieco zrozumiałem, co to były za paczki: stary wyprzedawał po trochu wszystko, co miał, żeby kupić jedzenie.

Na koniec biedaczysko nie miał nic do sprzedania... Winien był trzy miesiące komornego: zagrożono mu usunięciem; poprosił o tydzień zwłoki i właściciel zgodził się. Wiem o tym od właściciela, który wychodząc od niego, zaszedł do mnie.

Przez trzy dni jeszcze słyszałem, jak chodził po izbie według zwyczaju; ale czwartego dnia nic już nie było słychać. Ośmieliłem się pójść na górę: drzwi były zamknięte, ale zajrzałem przez dziurkę od klucza i zauważyłem, że był nadzwyczaj blady i wycieńczony; uznałem, że jest ciężko chory,

powiadomiłem pana Morrela i poleciałem do Mercedes. Oboje przyszli natychmiast. Pan Morrel przyprowadził lekarza, który stwierdził, że chory cierpi na katar żołądka i nakazał dietę. Byłem tam, proszę księdza, i nigdy nie zapomnę, z jakim uśmiechem stary przyjął to zalecenie.

Odtąd nie zamykał już drzwi; miał doskonałą wymówkę, aby się głodzić: lekarz nakazał mu dietę

Ksiądz westchnął boleśnie.

– Ta historyjka księdza nie nudzi? – rzekł Caderousse.

– Nie, to naprawdę poruszająca historia.

– Mercedes znów przyszła do Dantèsa; widząc, jak bardzo jest wycieńczony, chciała go znowu przenieść do siebie. Tak też uważał pan Morrel i chciał to nawet wykonać ale starzec tak mocno krzyczał, że się zlekli. Mercedes pozostała przy łóżku, pan Morrel odszedł, wskazując jej sakiewkę, którą zostawił na kominku. Ale chory, zasłaniając się zaleceniem lekarza, nie chciał nic wziąć do ust. Na koniec, po dziewięciu dniach rozpacz i głodówki stary umarł, przeklinając tych, którzy byli sprawcami jego nieszczęścia, i mówiąc do Mercedes: „Gdybyś zobaczyła kiedyś Edmunda, powiedz mu, że błogosławiłem mu, umierając”.

Ksiądz wstał i obszedł dwukrotnie salę, dotykając drżącą ręką gardła, w którym zaschło.

– Więc umarł, jak powiadasz...

– Z głodu... mój ojciec, z głodu – rzekł Caderousse. – O, przysięgam na Chrystusa, że to prawda.

Ksiądz chwycił konwulsyjnie szklanę wody, wychylił do dna duszkiem i usiadł; oczy mu się zaczerwieniły, policzki pobrały.

– Co za straszliwe nieszczęście! – rzekł chrapliwie.

– Tym większe, proszę księdza, że nie jest dziełem Boga; to ludzie, tylko ludzie do tego doprowadzili.

– No, to przejdźmy do tych ludzi – podchwycił ksiądz. – Lecz pamiętaj pan – dodał z niemal groźbą w głosie – żeś obiecał powiedzieć mi wszystko; dalej, co to za ludzie, przez których syn umarł z rozpacz, a ojciec z głodu?

– To ludzie, którzy mu zazdrościli, dwóch ich było, proszę księdza, jeden kierował się miłością, drugi ambicją; to Fernand i Danglars.

– Jakże się ta zazdrość objawiła?

– Zadenuncjowali Edmunda, że jest agentem napoleońskim.

– Ale który z nich na niego doniósł? Który był prawdziwym winowajcą?

– Obaj. Jeden napisał donos, a drugi zaniósł go na pocztę.

– Gdzież napisali ten donos?

– W karczmie Pamfila, w przeddzień ślubu.

– To prawda, to prawda – szeptał ksiądz. – Faria! Faria! Jak ty dobrze znałeś ludzi i świat!

– Przepraszam, ksiądz mówił?... – spytał Caderousse.

– Nie, nic – powstrzymał się ksiądz. – Mów pan dalej.

– Danglars napisał denuncjację lewą ręką, aby nie rozpoznano jego pisma, a Fernand ją wysłał.

– Ależ – wykrzyknął ksiądz – ty także tam byłeś!

– Ja? – zdziwił się Caderousse. – A któż to księdzu powiedział?

Ksiądz spostrzegł się, że zbyt się zagalopował.

– Nikt mi nie powiedział – odrzekł. – Ale skoro tak dobrze znasz wszystkie szczegóły, musiałeś pan chyba być tego świadkiem.

– To prawda – rzekł Caderousse stłumionym głosem. – Ja też tam byłem.

– I nie sprzeciwiłeś się pan tej nikczemności? Jesteś więc ich współnikiem.

– Proszę księdza – usprawiedliwił się Caderousse. – Tak dokumentnie mnie spili, żem niemal całkiem stracił przytomność. Wszystko widziałem jak przez mgłę. Próbowałem im coś powiedzieć, sprzeciwić się, ale człowiek w takim stanie nic nie może zrobić... A oni mi powiedzieli, że to tylko niewinny żart, który nie pociągnie za sobą żadnych skutków.

– Ale nazajutrz zobaczyłeś pan, że pociągnął, i nic pan nie powiedział, chociaż byłeś przy aresztowaniu.

– Tak, proszę księdza, byłem i chciałem wszystko wyjawić, ale Danglars mnie powstrzymał. „A jeżeli przypadkiem rzeczywiście jest winny – mówił do mnie – jeżeli prawdą jest, że był na Elbie, że ma przy sobie list do komitetu bonapartystów w Paryżu, jeżeli ten list znajdą przy nim, ci, co się za nim ujmą, będą poczytani za współników”.

Przyznaję, że się przestraszyłem; nic nie powiedziałem; stchórzyłem, to prawda, ale to nie zbrodnia.

– Rozumiem, nie sprzeciwiałeś się złemu i tyle.

– Tak, proszę dobrodzieja – odrzekł Caderousse. – I to mnie dręczy dniem i nocą. Przysięgam księdzu, tak często błagam Boga, aby mi przebaczył, zwłaszcza, że ten grzech, jedyny, jaki mam sobie naprawdę z całego życia do wyrzucenia, jest przyczyną moich nieszczęść. Pokutuję za jedną chwilę egoizmu. Jakoż gdy Karkontka się uskarża, mówię jej zawsze: „Milcz, kobieto, Bóg chce, aby tak było”.

I Caderousse zwiesił głowę z oznakami szczerej skruchy.

– Dobrze – rzekł ksiądz. – Mówisz pan bardzo szczerze. Kto się w ten sposób obwinia, ten zasługuje na przebaczenie.

– Niestety, Edmund już umarł, a on mi nie przebaczył.

– On o niczym nie wiedział... – odpowiedział ksiądz.

– Teraz może wie; powiadają, że zmarli wiedzą wszystko.

Nastąpiła chwila milczenia, ksiądz wstał i przechadzał się w zamyśleniu; po chwili wrócił na miejsce i usiadł.

– Wspomniałeś mi pan kilka razy o panu Morrelu; co to za człowiek?

– Armator, właściciel statku „Faraon”, na którym służył Edmund.

– Jakąż to on grał rolę w całej tej smutnej sprawie? – spytał ksiądz.

– Rolę człowieka uczciwego, odważnego i szczerze przywiązanego. Dwadzieścia razy wstawiał się za Edmundem, gdy cesarz wrócił, niczego nie szczędził, pisał, prosił, groził; do tego stopnia, że za drugiej Restauracji mocno go prześladowano

jako bonapartystę. Z dziesięć razy, jak to księdzu mówiłem, namawiał ojca Edmunda, żeby się przeniósł do niego, a w przeddzień jego śmierci zostawił na kominku sakiewkę z pieniędzmi, za które spłacono długi zmarłego i pokryto kosztą pogrzebu; dzięki temu biedaczysko mógł przynajmniej umrzeć tak, jak żył, nie wyrządzając krzywdy nikomu. Mam jeszcze tę sakiewkę, duża, z czerwonego jedwabiu.

– Czy ten pan Morrel żyje jeszcze? – zapytał ksiądz.

– Żyje.

– To pewnie takiemu człowiekowi niebo pobłogosławiło, musi być bogaty... szczęśliwy?...

Caderousse uśmiechnął się gorzko.

– Aha, szczęśliwy tak jak ja.

– Jak to! Więc mu się nie wiedzie? – zawołał ksiądz.

– Zbliża się do nędzy, proszę księdza, a co więcej, grozi mu dyshonor.

– Jak to?

– Tak – odrzekł Caderousse – właśnie tak. Po dwudziestopięcioletnich trudach, uzyskawszy jedno z najpierwszych miejsc wśród marsylskich kupców, pan Morrel jest zrujnowany z kretesem. W ciągu dwóch lat zatoneło mu pięć statków, trzy razy zbankrutował; teraz cała jego nadzieja tkwi w tym samym „Faraonie”, którym dowodził biedny Edmund, a który ma właśnie wrócić z Indii z ładunkiem koszenili i indygo. Jeżeli i ten statek zawiedzie go jak inne, pan Morrel jest zgubiony.

– Ten nieszczęśliwy człowiek ma żonę, dzieci?

– Ma żonę, prawdziwie świętą kobietę – tak pogodnie znosi tę sytuację; jego córka miała wyjść za mąż z miłości, ale rodzina jej narzeczonego nie pozwala mu teraz ożenić się z dziewczyną ze zrujnowanej rodziny; ma na koniec syna, który jest porucznikiem. Ale to wszystko nie tylko nie łagodzi cierpień tego biedaka, wręcz przeciwnie, tym bardziej boleje on nad sytuacją. Gdyby był sam, odebrałby sobie życie i byłoby po wszystkim.

– To okropne! – szepnął ksiądz.

– I widzi ksiądz, tak to Bóg nagradza cnotę! A proszę bardzo – ja na przykład nie popełniłem nic złego, prócz tego, co już księdzu opowiedziałem, i to ja właśnie żyję w nędzy; będę patrzył na śmierć żony, dla której nic nie mogę zrobić, a potem umrę z głodu jak ojciec Edmunda; Fernand tymczasem i Danglars tarzają się w złocie.

– Jak to?

– Bo kanaliom powiodło się w życiu, podczas gdy ludziom uczciwym nie.

– Cóż się stało z Danglarsem, głównym winowajcą, bo to on do tego podzegał?

– Co się z nim stało? Wyjechał z Marsylii i za rekomendacją pana Morrela, który nie wiedział nic o jego zbrodni, wszedł jako prokurent do pewnego hiszpańskiego bankiera. Podczas wojny hiszpańskiej zajmował się dostawami dla naszego wojska i zrobił na tym majątek; potem włożył pieniądze w obligacje

państwowe i pomnożył we czwórnasób swój kapitał. Ożenił się z córką swojego bankiera, a gdy zmarła, poślubił wdowę, panią de Nargonne, córkę pana de Salvieux, szambelana królewskiego, który cieszy się wielkimi łaskami na dworze. Kiedy już został milionerem, zrobili go baronem; no i jest baronem Danglars, ma pałac przy ulicy Mont-Blanc, dziesięć koni w stajni, sześciu lokajów w przedpokojach i sam nie wiem ile milionów w kasie.

– Ach! – odezwał się ksiądz szczególnym tonem. – I jest szczęśliwy?

– O! To co innego. Nie sposób się dowiedzieć, co zamykają w sobie mury, nieszczęście czy szczęście; ściany mają uszy, lecz nie mają języków; jeżeli ogromny majątek daje szczęście, Danglars musi być bez wątpienia szczęśliwy.

– A Fernand?

– Fernand? To jeszcze inna historia.

– Jakimże sposobem mógł dorobić się majątku taki biedny rybak kataloński, niemający żadnych środków, ani nawet wykształcenia? To mi się w głowie nie mieści.

– Nie tylko księdzu, innym też się nie mieści w głowie; w życiu Fernanda musi być jakaś niezwykła tajemnica, której nikt jeszcze nie zna.

– Ale po jakich szczeblach doszedł do tej znakomitej fortuny, czy może do znakomitej pozycji?

– Do jednej i drugiej, mój księżu, ma jedno i drugie, dostał mu się i majątek, i świetna pozycja.

– Opowiadasz mi pan jakieś bajki!

– To naprawdę zakrawa na bajkę; ale niech ksiądz posłucha, a zrozumie.

– Na kilka dni przed powrotem Napoleona Fernand wyciągnął los do wojska. Burbonowie dali mu pokój i siedział sobie spokojnie w swojej wsi; ale gdy Napoleon wrócił, ogłoszono pospolite ruszenie i Fernand nie mógł się wymigać. Ja także musiałem wyruszyć; ale że nie byłem taki młody i właśnie się pobrałem z moją biedną Karkontką, wysłano mnie tylko na wybrzeże. Fernand został wcielony do oddziału liniowego, doszedł ze swoim pułkiem do granicy i wziął udział w bitwie pod Ligny.

Pierwszej nocy po bitwie stał na warcie przed namiotem generała, który porozumiewał się w tajemnicy z nieprzyjacielem. Tej jeszcze nocy ów generał miał się przekraść do Anglików i zaproponował Fernandowi, żeby mu towarzyszył. Fernand przystał na to i udał się za generałem.

Ten postępek, za który poszedłby pod sąd wojenny, gdyby Napoleon utrzymał się na tronie, za Burbonów posłużył mu za rekomendację. Powrócił do Francji ze szlifami podporucznika; że zaś generał, który był w wielkich faworach u dworu nadal go protegował, w 1823 roku został kapitanem, to jest w czasie wojny hiszpańskiej, właśnie wtedy, gdy Danglars zaczynał swoje pierwsze spekulacje. Fernand jako Hiszpan został posłany do Madrytu, aby zbadał tam nastroje. Znalazł tam Danglarsa, zwąchał się z nim, przyrzekł swemu generałowi współdziałanie rojalistów ze stolicy i z prowincji, uzyskał różne obietnice, podjął

się ważnych zobowiązań, przeprowadził swój pułk sobie tylko znanymi ścieżkami przez wąwozy, których strzegli rojaliści; jednym słowem – tyle ważnych usług wyświadczył w tej krótkiej kampanii, że po zdobyciu Trocadero został mianowany pułkownikiem i udekorowany Krzyżem Legii Honorowej, a ponadto nadano mu tytuł barona.

– Dziwne ścieżki losu! – szepnął ksiądz.

– To prawda; lecz niech ksiądz słucha, to jeszcze nie wszystko. Po wojnie z Hiszpanią w Europie zapowiada się długi okres pokoju, który zakończy karierę Fernanda. Tylko w Grecji toczyły się walki – właśnie powstała przeciw Turcji i rozpoczęła wojnę o niepodległość. Wszystkie oczy były zwrócone na Ateny, do dobrego tonu należało żałować i wspierać Greków. Rząd francuski, chociaż nie popierał oficjalnie Grecji, ale tolerował pojedyncze wyprawy na własną rękę. Fernand poprosił o pozwolenie zaciągnięcia się do armii greckiej i otrzymał je, a jednocześnie nie został wykreślony z francuskiej ewidencji wojskowej. Wkrótce potem dowiedziano się, że hrabia de Morcef (takie właśnie nazwisko przybrał) wszedł do służby Ali Paszy w stopniu generała-instruktora. Ali Pasza został zabity, jak wiadomo, ale przed śmiercią wynagrodził Fernanda znaczną sumką, z którą Fernand powrócił do Francji; od razu też potwierdzono mu stopień generała-lejtnanta.

– Tym to sposobem dzisiaj?... – zapytał ksiądz.

– Tym to sposobem dzisiaj – dokończył Caderousse – posiada wspaniały pałac w Paryżu, ulica Hhelderska, nr 27.

Ksiądz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć i wahał się, na koniec przewyciężył się:

– A Mercedes – rzekł w końcu. – Mówiono mi, że zniknęła.

– Zniknęła tylko jak słońce o zachodzie – odrzekł Caderousse – aby o wschodzie zabłysnąć wspanialszym blaskiem.

– Czyżby i ona zrobiła fortunę? – zapytał ksiądz z ironicznym uśmiechem.

– Mercedes jest w tej chwili jedną z największych dam w Paryżu.

– Nie przerywaj sobie, mów, mów. Zdaje mi się, że opowiadasz mi jakiś sen. Ale sam już widziałem tak nadzwyczajne rzeczy, że to mnie już mniej dziwi.

– Mercedes z początku rozpacziała po stracie Edmunda. Opowiedziałem już księdzu, co starała się osiągnąć u pana de Villefort i jak się poświęcała dla ojca Edmunda. I nagle nowy cios ją dotknął: odjazd Fernanda, którego kochała jak brata, nie wiedząc nic o zbrodni, jakiej dokonał.

Fernand wyjechał i Mercedes została sama.

Przepłakała trzy miesiące – nie było wiadomo nic ani o Edmundzie, ani o Fernandzie; pozostał jej tylko starzec, który umierał z rozpacz.

Pewnego wieczoru, spędziwszy cały dzień jak zwykle na rozdrożu dróg wiodących z Marsylii do wsi katalońskiej, wróciła do domu szczególnie przygnębiona: na żadnej z tych dróg nie pojawił się ani ukochany, ani przyjaciel, i nadal nie dawali znaku życia.

Nagle wydało się jej, że słyszy znane kroki; odwróciła się niespokojnie, drzwi otwały się i wszedł Fernand w mundurze podporucznika.

Nie jego to wprawdzie najgoręcej opłakiwała, ale i on stanowił część jej minionego życia. Mercedes chwyciła go za dłonie z radosnym uniesieniem, które Fernand wziął za miłość, a co było tylko radością – radością, że nie jest już sama na świecie, że nareszcie widzi przyjaciela po długich godzinach rozpaczliwej samotności. A poza tym, musimy powiedzieć, że Mercedes nie żywiła nienawiści do Fernanda – ot, po prostu go nie kochała, kto inny posiadał jej serce, a tego innego nie było... zniknął... może nawet już nie żył. Na tę ostatnią myśl Mercedes wybuchała płaczem i załamywała ręce; ale ta sama myśl, którą odpychała dawniej, gdy jej to ktoś inny podpowiadał, teraz sama przychodziła jej do głowy; zresztą stary Dantès powtarzał nieustannie: „Nasz Edmund nie żyje, gdyby żył, wróciłby już do nas”.

Jak już księdzu mówiłem, stary umarł – gdyby żył, może Mercedes nie wyszłaby za mąż, bo staruszek wyrzucałby jej zawsze, że nie dochowała wierności Edmundowi. Fernand pojmował to dobrze, bo wrócił wtedy dopiero, gdy się dowiedział o śmierci starca. Tym razem był już porucznikiem. Podczas pierwszych odwiedzin nie wymknęło mu się ani słowo o miłości; podczas drugich przypomniawszy Mercedes o uczuciu, jakie do niej żywił. Mercedes poprosiła o pół roku zwłoki – chciała jeszcze poczekać na Edmunda, a i jeszcze go nie opłakała.

– Tak więc – rzekł ksiądz z gorzkim uśmiechem – to uczyniło razem półtora roku. Czy najbardziej uwielbiany kochanek może żądać więcej?

I wyszeptał wiersz angielskiego poety:

Frailty, thy name is woman!

– W sześć miesięcy później – mówił dalej Caderousse – odbył się ślub w kościele des Accules.

– W tym samym, gdzie miała wyjść za Edmunda – szepnął ksiądz. – Ot, zmieniła tylko narzeczonego.

– Mercedes poszła więc za mąż, a chociaż wydawała się zupełnie spokojna, zemdląła, gdy przechodzili koło karczmy, gdzie półtora roku wcześniej odbyły się jej zaręczyny z tym, którego jeszcze kochała, a zrozumiałaby to, gdyby zajrzała w głąb własnego serca.

Fernand, szczęśliwy, ale nadal niespokojny – widywałem go wtedy, więc wiem, że się obawiał powrotu Edmunda – szybko postarał się wynieść z tych okolic: zbyt wiele niebezpieczeństw i zbyt wiele wspomnień wiązało się z rodzinną wsią. Wyjechali tydzień po ślubie.

– Widziałeś ją pan jeszcze kiedyś? – spytał ksiądz.

– Tak, podczas wojny z Hiszpanią, w Perpignan, gdzie ją zostawił Fernand; zajmowała się wtedy edukacją syna.

Ksiądz zadrżał.

– Syna?

– Tak. Małego Alberta.

– Ale przecież chcąc kształcić syna, przecież sama musiałaby

pobierać nauki. A zdaje mi się, że Edmund mi mówił, że to była córka prostego rybaka, piękna, lecz nieokrzescana.

– O, to naprawdę źle znał swoją narzeczoną! Mercedes mogłaby zostać królową, proszę księdza, gdyby koroną zdobiono głowy najpiękniejsze i najinteligentniejsze. Jej fortuna rosła, a jednocześnie Mercedes stawiała się wielką damą. Uczyła się rysunku, muzyki, uczyła się wszystkiego. Ale mówiąc między nami, sądzę, że robiła to, żeby się rozerwać, zapomnieć; nabijała sobie tym wszystkim głowę, aby przygłuszyć głos serca. Ale teraz ten cały majątek i zaszczyty już ją zapewne pocieszyły. Jest bogata, ma tytuł hrabiny, a przecież...

– A przecież? – powtórzył ksiądz.

– Jestem pewien, że nie jest szczęśliwa – odrzekł Caderousse.

– Co wzbudza w tobie to przekonanie?

– A bo kiedy już nie mogłem wytrzymać tej nędzy, przyszło mi na myśl, że mogliby mi pomóc moi dawni przyjaciele. Udałem się do Danglarsa, ale wcale mnie nie przyjął; potem do Fernanda, i ten mi przekazał przez lokaja sto franków.

– I ani z jednym nie zdołałeś się zobaczyć, ani z drugim?

– No, nie, ale za to widziała mnie pani de Morcef.

– Jakim sposobem?

– Gdym wychodził, pod nogi upadła mi sakiewka; w środku było dwadzieścia pięć luidorów. Podniosłem szybko głowę i ujrzałem Mercedes, jak zasuwiała żaluzję.

– Hm, a pan de Villefort? – ksiądz zmienił temat.

– Ee, ten to nie był moim bratem ani swatem; nie znałem go,

jak mogłem coś od niego wypraszać?

– Ale czy nie wiesz pan, co się z nim stało? I jaki był jego udział w nieszczęściu Edmunda?

– Nie, wiem tylko, że w jakiś czas po aresztowaniu Edmunda poślubił pannę de Saint-Méran i opuścił Marsylię. Szczęście musiało się także do niego uśmiechnąć, jest zapewne bogaty jak Danglars, a ważny jak Fernand. Tylko u mnie, jak ksiądz widzi, bieda aż piszczy. Bóg o mnie zapomniał.

– Mylisz się, przyjacielu – zaoponował ksiądz. – Wydaje się często, że Bóg zapomina, gdy tylko odpoczywa jego sprawiedliwość; ale prędzej czy później nadchodzi zawsze chwila, gdy sobie przypomni. Proszę, oto dowód.

To rzekłszy, wyjął diament z kieszeni i podając go Caderousse'owi, rzekł:

– Masz, przyjacielu, weź ten diament, należy do ciebie.

– Jak to do mnie? – zawołał Caderousse. – Ej, niech ksiądz ze mnie nie kpi!

– Diament miał być podzielony między przyjaciół Edmunda; a ponieważ miał tylko jednego przyjaciela, to i podział spadku jest niepotrzebny. Weź ten diament i sprzedaj go; powtarzam ci, że wartý jest pięćdziesiąt tysięcy franków; i mam nadzieję, że dzięki tej sumce wydzwigniesz się kiedyś z biedy.

– Ach, proszę dobrodzieja – bełkotał Caderousse, wyciągając nieśmiało jedną rękę po klejnot, a drugą ocierając pot perlący mu się na czole. – Niech dobrodziej sobie nie żartuje kosztem czyjegoś szczęścia lub rozpaczý!

– Wiem, co to szczęście i rozpacz, i nie mógłbym czynić sobie igraszki z tych uczuć – odrzekł ksiądz. – Bierz pan diament, ale za to...

Caderousse cofnął szybko rękę, którą już niemal dotykał klejnotu.

Ksiądz uśmiechnął się.

– Ale za to – mówił dalej – daj mi tę jedwabną czerwoną sakiewkę, którą pan Morrel zostawił na kominku u ojca Edmunda, a którą, jak mówiłeś, masz jeszcze u siebie.

Caderousse, zdziwiony coraz mocniej, podszedł do wielkiej dębowej szafy, otworzył, i wyjął długą sakiewkę z czerwonego, wypłowiałego jedwabiu, zaopatrzoną w dwie miedziane obrączki, niegdyś pozłacane. Ksiądz wziął sakiewkę i podał diament Caderousse'owi.

– O! Ksiądz jest prawdziwym sługą bożym – wykrzyknął Caderousse. – Wszak nikt nie wiedział, że Edmund dał księdzu ten diament i mógłby ksiądz zatrzymać go dla siebie.

– Aha, widać, że ty byś, kochaneczku, tak właśnie zrobił – szepnął do siebie ksiądz. Następnie wstał, wziął kapelusz, rękawiczki i nagle rzucił:

– Ale, ale; czy to, coś mi pan powiedział, to na pewno prawda, na której można polegać?

– Niech ksiądz popatrzy – odrzekł Caderousse – na ten krucyfiks z poświęconego drzewa, tam w kącie, i na tę Ewangelię mojej żony; niech ksiądz otworzy tę księgę, a ja przysięgnę na nią i na krucyfiks, na zbawienie duszy, na chrześcijańską wiarę,

żem opowiedział wszystko, jak było i jak mój anioł stróż ludzki szepnie do ucha Najwyższego w dzień Sądu Ostatecznego.

– No, dobrze, dobrze – rzekł ksiądz, zawierzywszy szczeremu tonowi karczmarza. Niech ci te pieniądze przyniosą szczęście. Bądź zdrow, wracam do klasztoru, tam, gdzie daleko do ludzi, którzy tyle zła sobie wyrządzają.

I ksiądz, wyrwawszy się nie bez trudu Caderousse'owi i jego entuzjastycznym podziękowaniom, sam odsunął sztabę ryglującą drzwi, wsiadł na konia, skinął ostatni raz głową oberżyscie, który płatał się w głośnych pożegnaniach i odjechał tą drogą, którą przybył.

Gdy Caderousse odwrócił się, spostrzegł za sobą Karkontkę, bledszą i bardziej dygoczącą niż kiedykolwiek.

– Czy to prawda, co słyszałam?

– Co? Żeśmy dostali cały diament na własność? – zawołał Caderousse niemal nieprzytomny z radości. – Pewnie, że prawda, popatrz!

Karkontka obejrzała klejnot, potem wyrzekła głucho:

– A jeśli jest fałszywy?

Caderousse zbladł i zachwiał się.

– Fałszywy – powtórzył. – Fałszywy... Dlaczegoż by miał mi dawać fałszywy diament?

– Głupcze! Po to, żeby się dowiedzieć wszystkiego za darmo!

Waga tego przypuszczenia jakby ogłuszyła na chwilę Caderousse'a.

– O! – rzekł po chwili i chwycił za kapelusz, kładąc go

sobie na głowę obwiązaną czerwoną chustką. – Zaraz się o tym przekonamy.

– Jak?

– W Beaucaire jest jarmark; przyjechali jubilerowie z Paryża; pokażę im ten diament. A ty pilnuj domu, kobieto. Za dwie godziny wrócę.

Wypadł z domu i pobiegł drogą w przeciwnym kierunku, niż odjechał ksiądz.

– Pięćdziesiąt tysięcy franków! – mruknęła Karkontka. – To jest trochę pieniędzy... ale to nie majątek.

28. Wykazy więzienne

Nazajutrz po wydarzeniu, któreśmy właśnie opowiedzieli, mężczyzna mający około trzydziestu lat, w modrym fraku, w nankinowych spodniach i białej kamizelce, zdradzający postawą i mową angielskie pochodzenie, złożył wizytę merowi Marsylii.

– Szanowny panie – rzekł do niego. – Jestem prokurentem firmy Thomson i French w Rzymie. Od lat dziesięciu utrzymujemy stosunki z Domem Handlowym Morrel i Syn w Marsylii. Mamy około stu tysięcy franków zaangażowanych w obrotach z tą firmą; i dlatego też zaniepokoił się poważnie, zważywszy na pogłoski o ruinie tej firmy. Przyjechałem umyślnie z Rzymu, aby zebrać informacje w tej materii.

– Wiem, proszę pana – odrzekł mer – że od kilku lat same nieszczęścia spadają na Pana Morrela: stracił jeden po drugim pięć statków i parę razy zbankrutował. Ale chociaż sam jestem wierzyicielem na jakieś dziesięć tysięcy franków, nie wypada mi udzielać wiadomości o stanie jego majątku. Jeśli spyta mnie pan jako mera, co myślę o panu Morrelu, odpowiem, że jest to człowiek rzadkiej prawości i że do tej pory wywiązywał się ze wszystkich zobowiązań jak najrzetelniej. To wszystko, co sam mogę powiedzieć. Jeżeli życzy pan sobie dokładniejszych informacji, proszę się udać do pana de Boville, inspektora więzień, na ulicę de Noailles 15; ma on ulokowanych u pana Morrela, o ile się nie mylę, dwieście tysięcy franków; jeżeli

więc w istocie są jakieś powody do obaw, pan de Boville zapewne będzie lepiej ode mnie poinformowany, bo zaangażował znacznie większą sumę.

Anglik wydawał się przyznawać słuszność tej delikatności, uklonił się, wyszedł i udał się owym szczególnym krokiem, właściwym synom Wielkiej Brytanii, na wymienioną ulicę.

Pan de Boville był akurat w swoim gabinecie; ujrawszy go, Anglik drgnął z zaskoczenia, jakby widział już kiedyś inspektora. Zaś pan de Boville wydawał się przejęty taką desperacją, tak zaabsorbowany jakąś jedną myślą, że nie był w stanie zapuszczać się pamięcią czy wyobraźnią w przeszłość.

Anglik z flegmą właściwą swoim rodakom powtórzył pytanie, jakie już merowi zadał, niemal w tym samym brzmieniu.

– O, proszę pana! – zawołał pan de Boville. – Pańskie obawy na nieszczęście są aż zbyt uzasadnione i widzisz pan przed sobą człowieka w rozpacz. Uplasowałem dwieście tysięcy franków w firmie Morrel i Syn, to stanowiło posag mojej córki, którą miałem wydać za mąż za dwa tygodnie; połowa miała być spłacona piętnastego bieżącego miesiąca, a druga połowa za miesiąc. Uprzedziłem pana Morrela, że życzyłbym sobie otrzymać tę kwotę bez opóźnienia, aż tu nagle pan Morrel przychodzi do mnie – pół godziny temu – i oświadcza mi, że jeżeli statek jego „Faraon” nie wróci przed piętnastym, nie będzie mi w stanie oddać tych pieniędzy w terminie.

– Wygląda to na granie na zwłokę – rzekł Anglik.

– Wygląda to raczej na bankructwo! – wykrzyknął w rozpacz

pan de Boville.

Anglik zdawał się zastanawiać przez chwilę, a następnie rzekł:

– A zatem ta wierzytelność budzi w panu obawę?

– Raczej – uważam ją za straconą.

– No cóż, chętnie ją przejmę.

– Pan?

– Tak, ja.

– Ale zapewne musiałbym panu dużo ustąpić?

– Skądże; płacę dwieście tysięcy! Nasza firma – dodał Anglik z uśmiechem – nie robi podobnych interesów.

– I zapłaciłbyś pan?...

– Gotówką.

I wyjął z kieszeni plik banknotów na sumę dwa razy większą od tej, o jaką pan de Boville się obawiał. Radość przemknęła mu po twarzy; powściągnął się jednak i rzekł:

– Muszę jednak uprzedzić pana, że możesz nie odzyskać nawet sześciu procent tej sumy.

– To już nie moja sprawa – odpowiedział Anglik. – To sprawa firmy Thomson i French, w której imieniu działał. Może jest ona zainteresowana upadkiem konkurencyjnej firmy... Wiem jedno: jestem gotów wypłacić panu tę sumę, jeżeli dokonasz pan przeniesienia praw. Ale poproszę jeszcze pana o komisowe.

– Ależ oczywiście, proszę pana! Oczywiście, że tak! – zawołał pan de Boville. – Płaci się zwykle za komisowe półtora procent; chcesz pan dwa? trzy? pięć? a może więcej? Niech pan mówi.

– Drogi panie – roześmiał się Anglik. – Jestem taki jak moja

firma, nie robię takich interesów. Komisowe, o jakim myślałem, jest zupełnie innej natury.

– Mówże pan, słucham.

– Jesteś pan inspektorem więzień?

– Już od przeszło czternastu lat.

– To u pana znajdują się wykazy więźniów?

– Naturalnie.

– Te rejestry mają jakieś noty dotyczące poszczególnych więźniów?

– Każdy ma swoje akta.

– Otóż, proszę pana, byłem wychowany w Rzymie, przez pewnego biednego księdza, który zniknął nagle. Dowiedziałem się potem, że był trzymany w zamku If i dlatego chciałbym się dowiedzieć o szczegółach jego śmierci.

– Jakże się nazywał?

– Ksiądz Faria.

– O! Przypominam go sobie doskonale – zawołał pan de Boville. – To był wariat.

– Tak mówiono.

– O! Był nim na pewno.

– Być może. A jakież to był rodzaj obłąkania?

– Utrzymywał, że wie, gdzie się znajduje ogromny skarb i obiecywał rządowi niesłychane sumy w zamian za wolność.

– Biedak! I zmarło mu się?

– Tak, jakieś pięć czy sześć miesięcy temu, w lutym chyba.

– Masz pan znakomitą pamięć, skoro sobie tak przypominasz

daty.

– Pamiętam to dlatego, że śmierci księdza towarzyszył pewien szczególny wypadek.

– Można wiedzieć, jaki? – zapytał Anglik, a na flegmatycznym obliczu malowała mu się teraz taka ciekawość, że z pewnością zadziwiłaby baczego obserwatora.

– Ależ oczywiście! Otóż cela księdza oddalona było o jakieś pięćdziesiąt stóp od lochu pewnego agenta napoleońskiego, który był wśród tych, którzy najczynniej przysłużyli się do powrotu Napoleona w 1815 roku; był to człowiek zdecydowany na wszystko i nadzwyczaj niebezpieczny.

– Doprawdy? – rzekł Anglik.

– O tak! Miałem okazję sam się z nim spotkać w roku 1816 lub 1817; do jego lochu można było zejść tylko z pikietą żołnierzy: uczynił na mnie ogromne wrażenie i nigdy nie zapomnę jego rysów.

Anglik uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

– Powiadasz więc pan – powtórzył – że te dwa lochy...

– Oddalone były od siebie o pięćdziesiąt kroków, zdaje się jednak, że ten Edmund Dantès...

– Więc ten niebezpieczny człowiek nazywał się...

– Edmund Dantès. Otóż ów Dantès załatwił sobie skądś narzędzia albo sam je jakoś zrobił, bo znaleziono podkop, dzięki któremu więźniowie się odwiedzali.

– Ten podkop miał zapewne posłużyć do ucieczki?

– Właśnie tak, ale na ich nieszczęście ksiądz Faria dostał ataku

katalepsji i umarł.

– Rozumiem; i to musiało uniemożliwić zamiar ucieczki.

– Zmarłemu tak, ale nie żywemu; wręcz przeciwnie, ów Dantès uznał to za sposób ułatwiający jego ucieczkę; myślał niewątpliwie, że więźniów zmarłych na zamku grzebano na zwykajnym cmentarzu; przeniósł więc nieboszczyka do swej celi, sam zajął jego miejsce w worku, w którym był zaszyty, i czekał na pogrzeb.

– To był środek ryzykowny, objawiający dużą odwagę tego człowieka – zauważył Anglik.

– Och, już mówiłem panu, że to był człowiek nadzwyczaj niebezpieczny; szczęściem, sam uwolnił rząd od obaw na jego punkcie.

– Jak to?

– Jeszcze pan nie rozumiesz?

– Nie.

– Zamek If nie ma cmentarza; rzuca się zmarłych prosto do morza, uwiązawszy im najpierw do nóg trzydziestosześcioletnią kulę.

– I co dalej? – zapytał Anglik, jak gdyby trudno kojarzył fakty.

– Przywiązano mu więc do nóg tę kulę i rzucono do morza.

– Coś takiego! – zawołał Anglik.

– Tak właśnie. Pojmujesz pan, jakie musiało być zdumienie uciekiniera, gdy poczuł, że go rzucono ze skały w morze. Chciałbym widzieć jego minę w owej chwili.

– Trudno byłoby trochę.

– Nieważne! – uśmiechnął się pan de Boville, którego pewność odzyskania dwustu tysięcy franków wprowadziła w znakomity humor. – I tak ją sobie wyobrażam.

I wybuchnął śmiechem.

– Ja także – dodał Anglik.

I również zaczął się śmiać, ale półgębkiem – tak, jak się śmieją Anglicy.

– Tym więc sposobem – podjął Anglik, który pierwszy odzyskał zimną krew – zbieg utopił się.

– Raz na zawsze.

– I tym sposobem komendant zamku uwolnił się razem i od szaleńca, i od wariata?

– Właśnie.

– Ale musiano sporządzić jakiś protokół tego wypadku? – zapytał Anglik.

– A tak, akt zejścia. Pojmujesz pan, krewni Dantèsa, jeżeli takich miał, mogliby się chcieć upewnić, czy Dantès umarł czy żyje.

– Teraz więc mogą być spokojni, jeżeli dostali po nim spadek. Umarł na dobre.

– O tak. I akt zejścia może być im wydany, gdy tylko zażądają.

– Amen – zakończył Anglik. – Ale wróćmy do rejestrów.

– A, prawda. Ta anegdotka nas od nich bardzo oddaliła. Proszę mi wybaczyć.

– Wybaczyć, co takiego? Anegdotka wydała mi się bardzo ciekawa.

– Istotnie, taka jest. Chcesz więc pan zobaczyć wszystko, co dotyczy biednego księdza, który był wcieloną łagodnością?

– Bardzo byłbym rad.

– Chodźmy do gabinetu, tam wszystko panu pokażę.

W gabinecie panował niezwykle porządek: każdy rejestr był oznaczony numerem, wszystkie akta leżały w swoich przegródkach. Inspektor posadził Anglika w swoim fotelu i położył przed nim rejestr i akta dotyczące zamku If, zostawiając mu wszelką swobodę przeglądania tych papierów; sam zaś usadowił się w kącie i rozłożył gazetę.

Anglik znalazł bez trudu miejsca odnoszące się do księdza Farii; ale chyba musiała go mocno zainteresować opowieść pana de Boville, gdyż przeczytawszy notatki dotyczące Farii, dopóty wertował papiery, aż trafił na sprawę Edmunda Dantèsa. Znalazł tu wszystko: denuncjację, protokół przesłuchania, petycję Morrela, poświadczoną przez pana de Villefort. Złożył ostrożnie denuncjację i schował do kieszeni; po czym przeczytał protokół i spostrzegł, że ani raz nie pojawiała się w nim nazwisko Noirtier; przebiegł oczyma petycję z 10 kwietnia, w której Morrel, za radą prokuratora, wychwalał z przesadą – w najlepszych zresztą zamiarach, bo przecież panował wtedy Napoleon – wagę usług Edmunda dla sprawy cesarskiej, a które dzięki poświadczeniu Villeforta stawały się niepodważalne. I wtedy zrozumiał wszystko. Ta petycja do Napoleona, którą Villefort zachował jednak u siebie, stała się za drugiej Restauracji straszliwą bronią w ręku podprokuratora królewskiego. Nie

zdziwił się więc, przeglądając dalej rejestr, gdy znalazł na brzegu przy nazwisku Edmunda krótką notatkę ujętą w klamrę:

Edmund Dantès. Żarliwy bonapartysta, wziął czynny udział w przygotowaniu ucieczki z Elby.

Należy trzymać go w tajemnicy i pod najściślejszym dozorem.

Pod tym napisano inną ręką:

Z uwagi na powyższą notę, nieodwołalne.

Porównując charakter pisma w adnotacji ujętej w klamrę z poświadczeniem prośby Morrela, Anglik przekonał się, że zostały napisane przez jedną osobę, to znaczy ręką Villeforta.

Jeśli zaś idzie o dopisek, który towarzyszył notatce, Anglik domyślił się, że musiała go skreślić ręka jakiegoś inspektora, który przelotnie zainteresował się sytuacją Dantèsa, ale wobec notatki, którą zacytowaliśmy, uznał jakiegokolwiek działanie w tej kwestii za niemożliwe.

Inspektor, jak powiedzieliśmy, jako człowiek dyskretny, nie chcąc przeszkadzać wychowankowi księdza Farii, usiadł w kącie i czytał „Drapeau Blanc”. Nie widział więc, jak Anglik złożył i schował do kieszeni denuncjację napisaną przez Danglarsa, opatrzoną stemplem poczty marsylskiej z datą 27 lutego, szósta po południu.

Ale choćby to i zauważył, tak mało przywiązywał wartości do tego papieru, a tak wiele do swych dwustu tysięcy franków, że nie sprzeciwiłby się owemu niewłaściwemu postępowaniu Anglika.

– Dziękuję panu – rzekł Anglik, zamykając z trzaskiem wykaz. – Znalazłem już, czego mi było trzeba; teraz czas, abym i ja dotrzymał obietnicy; napisz mi poświadczenie, że przekazujesz mi swoją wierzytelność, pokwituj odbiór sumy, a ja ją zaraz panu wypłacę.

I ustąpił miejsca przy biurku panu de Boville; inspektor usiadł bez zbędnych ceregieli i zajął się pisaniem żadanego przekazu; Anglik tymczasem liczył banknoty na brzegu półki.

29. Dom Morrela

Ten, kto wyjechałby przed kilku laty z Marsylii, a znał stan firmy Morrela, i wrócił w czasach, do których doszliśmy, znalazłby w niej wielkie zmiany.

Zamiast atmosfery ożywienia, dostatku i szczęścia, którą promieniuje firma prosperująca, zamiast wesołych twarzy widocznych za firankami, zamiast zaaferowanych urzędników, którzy z piórem za uchem biegają po korytarzach, zamiast podwórza zarzuconego skrzyniami, na którym rozbrzmiewają nawoływania i śmiechy tragarzy, dziś dostrzegłby na pierwszy rzut oka przedziwny jakiś smutek i martwą ciszę.

Z mnóstwa urzędników, którzy dawniej zaludniali biura, pozostało tylko dwóch: młodzieniec liczący około dwudziestu czterech lat – Emanuel Raymond, który zakochany w córce Morrela pozostał w firmie, choć jego rodzice robili wszystko, co możliwe, aby ją opuścił, i stary woźny z kasy, ślepy na jedno oko, zwany Koklesem; przydomek ten nadali mu młodzi ludzie, kręcący się niegdyś po całym tym brzęczącym ulu, dziś opustoszałym; a tak dobrze zastąpił on mu jego prawdziwe nazwisko, że prawdopodobnie nawet by się już nie obejrzał, gdyby ktoś go zawołał po nazwisku.

Kokles pozostał zatem w służbie u pana Morrela i w jego sytuacji nastąpiła niezwykła zmiana: został wyniesiony na stanowisko kasjera, a jednocześnie zdegradowany do rangi

służącego.

Był to jednak zawsze ten sam Kokles, dobry, cierpliwy, oddany, ale nieugięty jak skała, gdy szło o arytmetykę, dla której postawiłby się nawet panu Morrelowi – uznawał jedynie tabliczkę mnożenia, którą miał w małym palcu i nigdy się w niej nie pomylił, choćby go na wszelkie sposoby usiłowano wprowadzić w błąd.

Wśród przygnębienia, które opanowało cały dom, jeden tylko Kokles zachował zwykły swój spokój. Nie należy jednak sądzić, że ta obojętność pochodziła z nieczułości – wręcz przeciwnie, wynikała z nieugiętego przekonania. Jak szczury, o których mówią, że uciekają jedne za drugimi ze statku skazanego przez los na zgubę w głębinach morza, tak cały ten tłum urzędników i komisantów, którzy żyli dzięki firmie armatora, stopniowo opuścił biura i magazyny. Skoro Kokles spostrzegł, że wszyscy odchodzą, nie pomyślał nawet, jaka może być tego przyczyna; wszystko, jak mówiliśmy, sprowadzało się dlań do kwestii cyfr, a że już od dwudziestu lat widział, że płatności bez wypowiedzenia odbywały się u Morrela z największą punktualnością, nie mógłby sobie nawet wyobrazić, że ta punktualność mogłaby zostać zawieszona, że te wypłaty mogłyby być wstrzymane – zupełnie jak młynarz, w którego młynie kołem obraca bieg rzeki, nie mógłby sobie wystawić, że ta rzeka mogłaby przestać płynąć. Jakoż dotąd żaden jeszcze fakt nie zachwiał przekonaniem Koklesa. W ostatnich dniach miesiąca dokonano ze zwykłą punktualnością wypłat. Kokles wykrył, że pan Morrel pomylił

się o siedemdziesiąt centymów na swoją szkodę i tego samego dnia odniósł mu tę nadwyżkę, którą pan Morrel wrzucił z melancholijnym uśmiechem do niemal już pustej szuflady, mówiąc:

– Dobrze, Koklesie, jesteś perłą wśród kasjerów.

I Kokles odszedł uszczęśliwiony do granic: pochwała pana Morrela, owej perły wśród mieszkańców Marsylii, więcej mu pochlebiała niż pięćdziesiąt dukatów gratyfikacji.

Ale po owym miesiącu, tak zwyczajsko zakończonym, pan Morrel przeżył ciężkie chwile. Żeby podołać tym wypłatom, zgromadził wszystkie swoje środki, i w obawie, by nie rozeszła się w Marsylii pogłoska o jego kłopotach i ostateczności, do jakiej musiał się posunąć, pojechał sam na jarmark do Beaucaire, aby sprzedać część klejnotów żony i córki oraz trochę domowych sreber. Za cenę tej ofiary firma Morrel wyszła z tego wszystkiego jeszcze raz z honorem, ale kasa była już całkowicie pusta. „Kredyt”, przerażony pogłoskami, wycofał się ze zwykłym sobie egoizmem, i pan Morrel, który musiał piętnastego bieżącego miesiąca wypłacić panu de Boville sto tysięcy franków i za miesiąc drugie tyle, nie liczył już na nic, poza powrotem „Faraona”, zapowiedzianego przez załogę innego statku, który podniósłszy kotwicę w tym samym czasie, dopłynął już szczęśliwie do Marsylii.

Ale statek ów, który podobnie jak „Faraon” wracał z Kalkuty, przybył już dwa tygodnie temu, a „Faraon” nie dawał znaku życia.

Taki był właśnie stan rzeczy, gdy wysłannik rzymskiego domu Thomson i French, nazajutrz po załatwieniu ważnej i znanej już czytelnikowi sprawy z panem de Boville, stawiał się u pana Morrela.

Przyjął go Emanuel. Młodzieniec, którego przerażała każda nowa twarz – każda bowiem nowa twarz oznaczała przybycie kolejnego wierzyciela, który z niepokojem przychodził wypytywać szefa firmy – chciał ochronić pana Morrela przed kolejną nieprzyjemną wizytą, zapytał go więc, w jakim przybył interesie; ale przybysz oświadczył, że nie ma nic do powiedzenia Emanuelowi i że pragnie mówić osobiście z panem Morrelem.

Emanuel westchnął i zawołał Koklesa, nakazując mu zaprowadzić nieznajomego do pana Morrela.

Kokles poszedł przodem, a gość za nim. Na schodach natknęli się na śliczną siedemnastoletnią dziewczynę, która spojrzała niespokojnie na nieznajomego.

Kokles nie dostrzegł wyrazu jej twarzy, ale nie uszedł on uwagi nieznajomego.

– Pan Morrel jest w swoim gabinecie, prawda, panno Julio? – zapytał kasjer.

– Chyba tak – zawahała się dziewczyna. – Ale zobacz najpierw sam, Koklesie, a jeśli ojciec jest, zaanonsuj tego pana.

– Byłoby to niepotrzebne – odpowiedział Anglik – ponieważ pan Morrel nie zna mego nazwiska. Niechże ten pocziwiec powie tylko, że jestem prokurentem firmy Thomson i French w Rzymie, z którą ojciec pani pozostaje w stosunkach handlowych.

Dziewczyna zbladła i zesła na dół, gdy tymczasem Kokles z cudzoziemcem poszli na górę.

Weszła do biura, w którym urzędował Emanuel; Kokles zaś wyjął klucz, który miał zawsze przy sobie, otworzył drzwi na drugim piętrze, wprowadził gościa do przedpokoju, otworzył drugie drzwi, zamknął je za sobą i zostawiwszy przez chwilę wysłannika domu Thomson i French samego, ukazał się znowu, dając mu znak, że może wejść.

Anglik wszedł; pan Morrel siedział przy biurku, błędąc coraz bardziej przed straszliwymi kolumnami rachunków wykazujących jego pasywa.

Spostrzegłszy nieznajomego, pan Morrel zamknął księgę, wstał i przysunął gościowi krzesło, po czym sam usiadł.

Czternaście lat zmieniło bardzo tego godnego kupca. Miał trzydzieści sześć lat na początku tej historii, dochodził więc dziś pięćdziesiątki. Posiwał, czoło porały mu zmarszczkami troski, spojrzenie, niegdyś tak zdecydowane i stanowcze, było teraz niepewne i pełne wahania: jak gdyby pan Morrel musiał zmuszać się do zatrzymywania wzroku na jednej osobie, a myśli na jakiejś sprawie.

Anglik wpatrywał się weń z ciekawością zmieszaną z widoczną sympatią.

– Chciałeś pan ze mną rozmawiać? – rzekł Morrel, którego przygnębienie zwiększyło się jakby od badawczego spojrzenia.

– Tak, proszę pana. Wiadomo już pewnie panu, w którym imieniu?

– W imieniu firmy Thomson i French, tak mi przynajmniej powiedział kasjer.

– I powiedział prawdę, łaskawy panie. Firma Thomson i French w ciągu tego i następnego miesiąca ma do wypłacenia we Francji około czterystu tysięcy franków, a znając pańską rzetelność, wykupiła wszystkie weksle, jakie tylko mogła znaleźć z pańskim podpisem i poleciła mi, abym w miarę, jak będą upływać terminy płatności, pobierał gotówkę u pana i dalej ją inwestował.

Morrel westchnął głęboko i otarł dłonią czoło zroszone potem.

– Jesteś więc pan – rzekł mu – posiadaczem weksli z moim podpisem?

– Tak, łaskawy panie, i to na sumę dość znaczną.

– Na jaką? – spytał Morrel, usiłując zachować pewne brzmienie głosu.

– Oto najpierw – mówił Anglik, wyciągając plik papierów z kieszeni – przelew na dwieście tysięcy franków, dokonany przez pana de Boville, inspektora więzień. Czy pan przyznajesz, żeś winien tę sumę panu de Boville?

– Tak. Umieścił ją u mnie na cztery i pół procent, niemal pięć lat temu.

– I masz pan spłacić tę sumę?...

– Połowę piętnastego tego miesiąca, a drugą połowę za miesiąc.

– Tak właśnie. A oto znowu trzydzieści dwa tysiące pięćset

franków płatne do końca miesiąca; są to weksle podpisane przez pana, które wykupiliśmy od osób trzecich.

– Tak, zgadza się – potwierdził Morrel, rumieniając się ze wstydu na myśl, że po raz pierwszy w życiu nie będzie mógł zapewne honorować swojego podpisu. – Czy to już wszystko?

– Nie, jeszcze nie; mam ponadto te oto weksle, płatne do końca następnego miesiąca, które nam przekazała firma Pascal oraz Wild i Turner z Marsylii, chyba z pięćdziesiąt pięć tysięcy franków. A ogółem wypada dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków.

Niepodobna opisać, co cierpiał nieszczęsny Morrel w czasie tego wyliczania.

– Dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków – powtórzył machinalnie.

– Tak, łaskawy panie – odpowiedział Anglik. – Owóż – dodał po chwili milczenia nie będę przed panem ukrywał, że – choć nikt nie przeczy pańskiej nieposzlakowanej do tej pory uczciwości – w Marsylii mówi się głośno, że jesteś pan bliski bankructwa.

Na to szczere i niemal brutalne oświadczenie Morrel zbladł okropnie.

– Łaskawy panie – odrzekł – aż do tej chwili, a minęły już dwadzieścia cztery lata, jak przejąłem tę firmę z rąk ojca, który ją prowadził przez lat trzydzieści pięć, od naszej kasy nie odszedł z kwitkiem ani jeden wierzyciel z wekslem podpisanym Morrel i Syn.

– Tak, wiem o tym – odpowiedział Anglik – ale mówmy otwarcie i szczerze, jak ludzie honorowi: czy również te weksle spłacisz pan z tą samą akuracnością?

Morrel wzdrygnął się, ale spojrzał w oczy Anglikowi dużo pewniej niż poprzednio.

– Na tak szczerze pytanie – odparł – należy dać równie szczerą odpowiedź. Tak, proszę pana, zapłacę, jeżeli, jak się spodziewam, mój statek wróci szczęśliwie do Marsylii, bo dzięki temu powrotowi odzyskam kredyt, który straciłem z powodu kolejnych a nieszczęśliwych wypadków, których byłem ofiarą. Lecz jeżeli jakimś nieszczęsnym trafem „Faraon”, mój ostatni ratunek, zaginie...

Łzy napłynęły do oczu biednego bankiera.

– I co wtedy, jeżeli „Faraon” zaginie? – powtórzył Anglik.

– Cóż, wtedy, proszę pana... trudno mi to powiedzieć... ale kiedy już przywykłem do nieszczęścia, trzeba się oswajać i z hańbą... wtedy... tak! Chyba będę musiał zawiesić wypłaty.

– To już pan nie masz przyjaciół, którzy by ci podali rękę?

Morrel uśmiechnął się gorzko.

– W interesach, kochany panie – rzekł – nie ma przyjaciół, wiesz pan o tym dobrze; są tylko wspólnicy.

– To prawda – szepnął Anglik. – Zostaje więc panu jedna tylko nadzieja?

– Jedyna.

– Ostatnia?

– Ostatnia.

– A jeżeli ta nadzieja pana zawiedzie?

– Będę zgubiony, zgubiony na zawsze.

– Gdym szedł do pana, jakiś statek wpłynął do portu.

– Wiem... Młodzieniec, który został mi wierny w tej biedzie, większą część czasu siedzi na wieżyczce w nadziei, że pierwszy przyniesie mi dobrą nowinę. Powiedział mi o przybyciu tego statku.

– I to nie jest pański statek?

– Nie, to „Żyronda”, statek z Bordeaux; wraca także z Indii, ale nie, to nie mój.

– Może wiecie jakieś wiadomości o „Faraonie”?

– Mam panu wyznać prawdę? Boję się niemal tak samo wieści o moim trójmasztowcu, jak i samej niepewności. Ale w niepewności tkwi jeszcze nadzieja...

I dodał głucho:

– To opóźnienie nie jest naturalne. „Faraon” wypłynął z Kalkuty piątego lutego, powinien był wrócić już miesiąc z górą.

– Cóż to? – odezwał się Anglik, natężając słuch. – Co to za hałas?

– O mój Boże! Boże! – zawołał Morrel blednąc. – Co się znów stało?

Rzeczywiście, na schodach było głośno: ktoś biegał tam i z powrotem, słyhać było głośnie lamenty.

Morrel wstał, chciał pójść do drzwi, ale zabrakło mu sił i opadł znowu na krzesło.

Obaj mężczyźni pozostali tak nieruchomo naprzeciw siebie.

Morrel drżał na całym ciele, nieznajomy przypatrywał mu się z wyrazem głębokiej litości. Hałas już ustał, a jednak Morrel zdawał się jeszcze na coś czekać; ów hałas miał przyczynę, musiał więc mieć i skutek.

Cudzoziemcowi wydało się, że ktoś idzie wolno po schodach – szło kilka osób, a zatrzymały się na podeście.

Wsunięto klucz do zamka w pierwszych drzwiach, które skrzypnęły w zawiasach.

– Tylko dwie osoby mają klucz od tych drzwi – szepnęła Morrel. – Kokles i Julia.

W tym momencie otworzyły się drugie drzwi i ukazała się dziewczyna, blada, z twarzą zalaną łzami.

Morrel wstał drżący i oparł się o poręcz fotela, bo nie mógł już o własnej mocy ustać na nogach. Chciał zapytać, ale zabrakło mu głosu.

– O mój ojcze! – zawołała dziewczyna, załamując ręce. – Przebacz swemu dziecku, że ci musi przynieść złą nowinę.

Morrel zbladł okropnie; Julia rzuciła się w jego objęcia.

– Ojcze! Ojcze! – mówiła. – Bądź odważny!

– „Faraon” zatonął? – rzekł Morrel, a słowa więzły mu w gardle.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale skinęła głową, którą trzymała na piersi ojca.

– A załoga? – zapytał Morrel.

– Ocalona, przez statek, który wszedł teraz do portu.

Morrel podniósł ręce do nieba, a ów podniosły gest wyrażał

wdzięczność i rezygnację jednocześnie.

– Dzięki ci, Boże – powiedział – cios tylko mnie dotyka!

Pomimo całej flegmy Anglika łzy zakręciły mu się w oczach.

– Wejdźcie – rzekł Morrel. – Wejdźcie, bo się domyślam, że wszyscy jesteście za drzwiami.

Ledwie wymówił te słowa, ukazała się roszlochana pani Morrel, a za nią wszedł Emanuel. W głębi przedpokoju widać było surowe rysy kilku półnagich marynarzy.

Na widok tych ludzi Anglik zadrżał; postąpił krok naprzód, jak gdyby chciał do nich podbiec, lecz zapanował nad sobą i skrył się w najciemniejszym i najdalszym kącie gabinetu.

Pani Morrel usiadła w fotelu i wzięła męża za rękę, a Julia nadal przytulała się do ojca. Emanuel stał pośrodku pokoju i zdawał się pośrednikiem łączącym rodzinę Morrelów z żeglarzami stojącymi nadal w drzwiach.

– Jak to się stało? – zapytał Morrel.

– Chodźcie tu, Penelonie – rzekł młodzieniec – i opowiedzcie nam cały wypadek.

Stary marynarz, ogorzały od słońca równikowego, postąpił do przodu, mnąc w rękę resztki kapelusza.

– Dzień dobry, panie Morrel – rzekł, jak gdyby wczoraj zaledwie wyjechał z Marsylii, a dziś wracał właśnie z Aix lub Tuluzy.

– Dzień dobry, drogi przyjacielu – odrzekł armator, nie mogąc powstrzymać się mimo łez od uśmiechu. – Ale gdzie jest kapitan?

– Kapitan, panie Morrel, zachorował i pozostał w Palmie, ale Bóg da, że to się skończy na niczym i ujrzy pan go za dni kilka zdrowego jak ryba.

– To dobrze... Opowiadaj teraz, Penelonie – rzekł Morrel.

Penelon przesunął prymkę, którą żuł, ze strony prawej na lewą, zasłonił usta ręką, odwrócił się, splunął na sam środek przedpokoju czarną śliną, wysunął jedną nogę i kołysząc się w biodrach, rzekł:

– Otóż, panie Morrel, byliśmy tak mniej więcej między Przylądkiem Białym a Przylądkiem Boyador; pchała nas wspaniała południowo-zachodnia bryza – po całym tygodniu okropnej ciszy – no i w pewnej chwili podchodzi do mnie kapitan Gaumard (a trzeba panu wiedzieć, że byłem u steru) i mówi: „Ojczulku, co myślicie o tych chmurach, co się tam podnoszą na horyzoncie?”. A właśnie się im przypatrywałem. „Co myślę, kapitanie? Myślę, że rosną szybciej, niż mają prawo, i że są czarniejsze niż wypada chmurom, które nie mają złych intencji”. „To też i moje zdanie – odpowiada kapitan – i trzeba nam przygotować się na ich przyjęcie. Za dużo mamy żagli na ten huragan, co w nas rychło uderzy. Hej tam! Zwijać bombramsle i skrócić kliwer”.

Rychło w czas; za ledwie rozkaz ten wykonano, a już uderzył na nas wiatr i statek przechylił się na bok. „Cóż – powiada kapitan – mamy jeszcze za dużo płótna; zwijaj wielki żagiel!”. Pięć minut potem szliśmy już tylko pod fokiem, marslami i bramslami. „Cóż to, ojczulku – mówi do mnie kapitan – dlaczego

tak kiwacie głową?”. „Dlatego, że na waszym miejscu, kapitanie, zmykałbym co si”. „Chyba masz rację, mój stary – rzeczce kapitan – wicher nas zaraz nieźle trzepnie”. „Dalibóg, kapitanie – mówię – ten, kto by chciał kupić za wicher to, co się tam wyprawia, zarobiłby sowicie; będzie sztorm jak się patrzy albo nie znam się na tym”.

Widać bowiem było wicher, jak pędził, niby tuman kurzawy, ale szczęściem miał on do czynienia z człowiekiem, co się na tym zna.

„Skróć marsle o dwa szoty! – zawołał kapitan. – Poluzuj szoty! Brasuj na wiatr! Przyciągnij marsle! Przyciągnij bloki na rejach!”.

– To nie wystarczy na tamtych wybrzeżach – rzekł Anglik. – Ja bym skrócił o cztery i pozbył się fokżagla.

Wszyscy drgnęli na tę niespodziewaną uwagę, rzuconą tonem pewnym i dźwięcznym. Penelon przyłożył dłoń do oczu i przyjrzał się bacznie temu, kto takim pewnym siebie głosem skrytykował rozkazy kapitana.

– Zrobiliśmy coś jeszcze lepszego, proszę pana! – rzekł z pewnym szacunkiem stary żeglarz. – Zwinęliśmy bezan i położyliśmy ster na nawietrzną, aby biec tuż przed burzą. W dziesięć minut później zwinęliśmy marsle i szliśmy dalej bez żagli.

– Statek był stary, za wielkie to było ryzyko – zauważył Anglik.

– Właśnie to nas zgubiło! Przez dwanaście godzin burza

rzuciła nami jak piłką, aż zrobił się przeciek. „Penelon – powiada mi kapitan – chyba idziemy na dno, mój stary, daj mi ster i zejdź na dół”. Wziął ster, a ja zlałem na dół, a tu wody na trzy stopy! Wracam i wrzeszczę: do pomp! do pomp! Ale co z tego, było za późno. Wzięliśmy się do pomp, ale im więcej pompowaliśmy, tym więcej się nalało. „Ech, do diabła – powiadam sobie po czterech godzinach tej harówki – jak mamy tonać, to i tońmy; raz się umiera w życiu”. „Taki to dajesz przykład, Penelon? – powiada kapitan – czekaj no, czekaj tylko!”. Przyniósł z kajuty parę pistoletów i zawołał: „Łeb roztrzaskam pierwszemu, co odejdzie od pompy!”.

– Brawo – wtrącił Anglik.

– Nic tak nie napędza odwagi jak takie dobre racje – mówił dalej żeglarz. – Zwłaszcza że w międzyczasie niebo się rozjaśniło i wiatr opadł; ale wody przybywało nam ciągle, po trochę, po dwa cale na godzinę. Zdaje się wam, że dwa cale na godzinę to mało, ale przez dwanaście godzin robi się cali dwadzieścia cztery, a dwadzieścia cztery to dobry łokieć. Wcześniej było trzy stopy, teraz mieliśmy pięć. A gdy statek ma pięć stóp wody w brzuchu, to już jakby chorował na wodną puchlinę. „No, dosyć – rzekł kapitan – dosyć tego. Pan Morrel nie będzie miał nam nic do zarzucenia: uczyniliśmy, co można, aby ocalić statek; teraz trzeba ratować ludzi. Do szalupy, no już, dzieci, nie marudzić!”.

– Niech mi pan wierzy, panie Morrel – ciągnął Penelon – byliśmy bardzo przywiązani do „Faraona”, ale jakby marynarz nie kochał swojego statku, zawsze mu będzie droższa własna

skóra. Nie daliśmy więc sobie tego powtarzać dwa razy; zwłaszcza że statek skrzypiał i jęczał, jakby mówił do nas: „Idźcie już sobie! Idźcie, do licha!”. I nie kłamał ten biedny „Faraon”, bo już czuliśmy, dosłownie, jak nam się zapada pod nogami. No i zanim by się kto obejrzał, szalupa była na morzu, a my – jak nas było ośmiu – w szalupie. Kapitan zszedł ostatni; a raczej nie zszedł, bo nie chciał opuścić statku, ale porwałem go wpół i rzuciłem między kolegów, po czym sam wskoczyłem do szalupy. Czas był na to, bo zaraz potem zawalił się pomost, z hukiem, jakby wypaliła cała bateria okrętowa. Dziesięć minut później statek zanurzył się dziobem, potem tyłem, a potem zaczął się kręcić w kółko jak pies, co się chce złapać za ogon; a wreszcie, cześć pieśni, i brr-rum!... Skończyło się, i już po „Faraonie”.

A my pływaliliśmy tak przez trzy dni, nie mając ani kawałka chleba, ani kropli wody, tak że już naradzaliśmy się, żeby ciągnąć losy, którego by z nas najpierw zjeść, ale nagle spostrzegliśmy „Żyronde”. Zaczęliśmy dawać znaki, spostrzegli nas, posłali do nas szalupę i przyjęli na pokład. Tak to się działo, panie Morrel, na słowo honoru, parol marynarza! No nie, koledzy?

Powszechny pomruk uznania dowodził, że opowiadający nie dość, że opisał wiernie wypadek, to jeszcze ubrał to w malownicze szczegóły.

– Dobrze, moi kochani – rzekł pan Morrel. – Zacni z was ludzie, a ja wiedziałem zawczasu, że za to nieszczęście można obwiniać tylko przeznaczenie. To wola Boża, a nie winą ludzi.

Poddamy się z pokorą tej woli. Teraz powiedzcie mi, ile wam jestem winien?

– Ii, nie gadajmy już o tym, panie Morrel.

– Owszem, pogadajmy – rzekł bankier ze smutnym uśmiechem.

– No to, jak tak, to należy nam się za trzy miesiące – odrzekł Penelon.

– Koklesie, wypłać po dwieście franków tym dzielnym ludziom. W innym czasie, kochani, dałbym wam jeszcze dwieście franków premii; ale niestety źle się dzieje i to, co zostało, nie należy już do mnie; wybaczcie mi więc i kochajcie mnie nadal.

Penelonowi zmarszczyła się twarz, co miało oznaczać wzruszenie; odwrócił się do towarzyszy, rozmówił się z nimi krótko i wrócił.

– Co do tych tam, panie Morrel – rzekł, przenosząc znowu prymkę i plując do przedpokoju – co do tych tam...

– Co do czego?

– No, co do tych pieniędzy...

– A więc?

– Ehm, panie Morrel, koledzy mówią, że na ten raz to im wystarczy po pięćdziesiąt franków, a na resztę poczekają.

– Dzięki, kochani! – zawołał pan Morrel wzruszony do głębi.
– Macie dobre serca, ale bierzcie, bierzcie te pieniądze; a jeśli nadarzy się wam jaka dobra praca, jesteście wolni.

Ostatnie słowa jakby poraziły poczciwych majtków; spojrzeli

po sobie wystraszeni; Penelonowi tchu zabrakło i mało co nie połknął prymki; szczęściem zdążył walnąć się w grdykę.

– Jak to, panie Morrel, jak to! – zawołał zdławionym głosem.
– Odprawiasz nas pan? To jest pan z nas niekontent?

– Broń Boże – rzekł armator. – Nie, moje dzieci, jestem z was bardzo zadowolony; wcale was nie odprawiam. Ale co chcecie, nie mam już statków, więc nie potrzebuję marynarzy.

– Jak to, nie masz pan statków? – zawołał Penelon. – To każesz pan zbudować inne, a my poczekamy. Bogu dzięki, wiemy, co to znaczy siedzieć i nic nie robić.

– Ale ja nie mam za co zbudować innego statku, mój pocziwy Penelonie – rzekł Morrel ze smutnym uśmiechem. – Trudno więc, żebym przyjął waszą propozycję, choć bardzo jest szlachetna.

– No, to jeśli pan nie masz pieniędzy, po cóż nam płacisz? Pójdziemy sobie, licząc na łut szczęścia.

– No, dajcież pokój, dzieci – rzekł Morrel, tłumiąc wzruszenie. – Dajcie już pokój, proszę was. Poczekajmy na lepsze czasy, może się kiedy jeszcze spotkamy. Emanuelu, idź z nimi i dopilnuj, aby spełniono moje życzenie.

– Ale panie Morrel, to zobaczymy się jeszcze – czy tak? – zapytał Penelon.

– Tak, kochani, mam taką nadzieję. Bądźcie zdrowi.

Dał znak Koklesowi, i Kokles wyszedł razem z marynarzami i Emanuelem.

– Zostawcie mnie teraz na chwilę samego, muszę

porozmawiać z tym panem – rzekł Morrel do żony i córki.

I wskazał oczyma agenta firmy Thomson i French, który stał w kącie nieruchomości przez całą tę scenę, wtrącając zaledwie kilka słów, któreśmy wyżej przytoczyli. Kobiety, które całkiem zapomniały o cudzoziemcu, podniosły nań oczy, po czym odeszły; Julia spojrzała nań, wychodząc, błagalnym wzrokiem, na co cudzoziemiec odpowiedział uśmiechem tak ciepłym, że zadziwiłby on każdego, kto by uważnie się przyglądał lodowatemu obliczu nieznajomego.

Mężczyźni zostali sami.

– No cóż, widział pan i słyszał wszystko – rzekł pan Morrel, opadając na krzesło. – Nic już więcej nie potrzebuję panu tłumaczyć.

– A tak, zobaczyłem – odparł Anglik – że dotknęło pana nowe nieszczęście, równie niezasłużone jak poprzednie; to mnie utwierdza w chęci uczynienia panu przysługi.

– O, drogi panie! – wyszeptał Morrel.

– Jestem teraz głównym pana wierzycielem, czy tak?

– Tak, masz pan weksle o najkrótszych terminach spłaty.

– A nie chciałbyś pan przedłużenia tych terminów?

– Zwłoka mogłaby ocalić mi honor, a tym samym i życie.

– O ile czasu pan prosi?

Morrel zawahał się.

– Dwa miesiące – rzekł.

– Dobrze – zgodził się cudzoziemiec. – Daję panu trzy miesiące.

– Ale czy jesteś pan pewny, że dom Thomson i French...

– Bądź pan zupełnie spokojny, biorę to na siebie. Mamy dziś 5 czerwca, tak?

– Tak.

– No to dobrze, przepisze pan wszystkie te weksle z terminem 5 września; piątego września o godzinie jedenastej – wskazówka zegara wskazywała właśnie jedenastą – stawię się u pana.

– Będę na pana czekać – odparł Morrel – i albo otrzymasz pan pieniądze, albo zginę.

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, że cudzoziemiec nie mógł ich dosłyszeć.

Wystawiono nowe weksle; dawne zniszczono; tym sposobem nieszczęśliwemu armatorowi zostało trzy miesiące na zgromadzenie wszystkich swoich środków.

Anglik wysłuchał podziękowań z flegmą, właściwą swemu narodowi, i wyszedł, odprowadzany przez Morrela, który obsypywał go błogosławieństwami.

Na schodach spotkał Julię. Dziewczyna udawała, że schodzi na dół, gdy tak naprawdę czekała tu na niego.

– Och, proszę pana! – rzekła, składając ręce.

– Pani – rzekł cudzoziemiec. – Pewnego dnia dostanie pani list z podpisem... Sindbad Żeglarz... Wypełnij co do joty wszystkie polecenia zawarte w tym liście, choćby ci się wydawały dziwne.

– Dobrze, proszę pana – odpowiedziała Julia.

– Przyrzeka mi pani, że zrobi to wszystko?

– Przysięgam.

– Wybornie! Do widzenia pani. Bądź pani nadal taka dobra i dzielna, a wierzę, że Bóg cię za to nagrodzi, dając ci Emanuela za męża.

Julia westchnęła, zarumieniła się jak wiśnia i musiała oprzeć się o poręcz, żeby nie upaść.

Cudzoziemiec poszedł dalej, ukłoniwszy się Julii.

Na dziedzińcu spotkał Penelona, który trzymał w rękach dwa stufrankowe rulony, jakby nie mógł się zdecydować, czy je zatrzymać.

– Chodź no ze mną, przyjacielu – zwrócił się doń Anglik – chcę z tobą pogadać.

30. Piąty września

Zwłoka, na którą się zgodził agent firmy Thomson i French w chwili kiedy Morrel mógł się najmniej czegoś takiego spodziewać, wydała się Morrelowi znakiem, że wraca do niego pomyślność, jednym z owych znaków, które oznajmniają człowiekowi, że los zawzięty przestanie go wreszcie prześladować. Tego samego dnia Morrel opowiedział wszystko żonie, córce i Emanuelowi, i jeśli nie odrobina spokoju, to przynajmniej promyk nadziei zagościł w tym domu. Niestety, Morrel miał interesy nie tylko z firmą Thomson i French, co tak szlachetnie względem niego postąpiła; a jak sam utrzymywał, w handlu nie ma przyjaciół, tylko wspólnicy. Zastanowiwszy się nad tym wypadkiem głębiej, nie pojmował jednak tej wspaniałomyślności panów Thomsona i Frencha; tłumaczył więc to sobie ich mądrym egoizmem: lepiej pomóc człowiekowi, który jest nam winien trzysta tysięcy franków, i dostać tę kwotę w trzy miesiące później, niż przyspieszyć jego ruinę, uzyskując jedynie pięć lub sześć procent kapitału.

Na nieszczęście, nie wszystkie firmy związane z panem Morrelem interesami – czy to z nienawiści, czy przez głupotę – doszły do tak roztropnej refleksji, a niektóre nawet były przekonane o czymś zupełnie przeciwnym. Przedstawiano więc do kasy weksle z podpisem pana Morrela z największą punktualnością, i tylko dzięki prolongacie, jakiej udzielił Anglik,

Kokles wypłacał je natychmiast co do grosza i żył jak dotąd w proroczym spokoju. Tylko Morrel widział z przerażeniem, że jeśliby mu piętnastego przyszło zapłacić panu de Boville sto tysięcy franków, a trzydziestego wykupić weksle na trzydzieści dwa tysiące pięćset franków, na które uzyskał odroczenie terminu, byłby zgubiony bez ratunku.

Cały światek kupiecki w Marsylii utrzymywał z największą pewnością, że Morrel nie będzie dalej w stanie wytrzymać tylu ciosów. Zdziwiono się tedy niemało, gdy pod koniec miesiąca jego kasa wypłaciła wszystko ze zwyczajową skrupulatnością. Ludzie jednak nie odzyskali zaufania do Morrela i przesunęli termin upadłości jednogłośnie na koniec następnego miesiąca.

Cały ten miesiąc upłynął Morrelowi na niesłychanych wysiłkach, aby zgromadzić wszelkie środki, jakie tylko mógł. Niegdyś jego weksle, z jakąkolwiek datą, były przyjmowane z zaufaniem, a nawet poszukiwane. Morrel chciał wystawić kilka obligów na trzy miesiące, ale wszystkie banki zamknęły przed nim drzwi. Na szczęście sam jeszcze miał otrzymać jakieś wpływy, wpływy te dopisały: mógł więc znów stawić śmiało czoła swoim zobowiązaniom pod koniec lipca.

Tymczasem wysłannik firmy Thomson i French nie pokazał się już w Marsylii. Zniknął na drugi czy trzeci dzień po wizycie u Morrela; a skoro podczas pobytu w Marsylii nawiązał był stosunki jedynie z merem, inspektorem więzień i panem Morrelem, jego wizyta nie pozostawiła innych śladów, jak tylko różne wspomnienia, jakie te trzy osoby z jego odwiedzin

zachowały. Co się tyczy marynarzy z „Faraona”, chyba musieli znaleźć sobie jakąś robotę, bo i oni zniknęli.

Kapitan Gaumard, przyszedłszy do zdrowia, powrócił z Palmy. Nie spieszył się jakoś z wizytą u pana Morrela: ale ten, dowiedziawszy się o jego przybyciu, sam się do niego udał. Zaczynając od opowiadania Penelona, ile szlachetnej odwagi okazał kapitan podczas owego tragicznego wypadku, i sam przeto zapragnął go pocieszyć. Zaniósł mu także zaległą gaź, po którą kapitan nie śmiał pójść.

Schodząc już w dół, spotkał Penelona, który szedł właśnie na górę. Widać było, że Penelon zrobił dobry użytek ze swych pieniędzy, bo był od stóp do głowy ubrany jak spod igły. Spostrzegłszy Morrela, biedny majtek mocno się zakłopotał, usunął się jak najdalej w kąt podestu, przekładał prymkę to z lewej na prawą stronę, to z prawej na lewą, nie wiedząc, gdzie podziać przerażone oczy, i uściśnął bojaźliwie rękę, którą pan Morrel podał mu ze swoją zwykłą życzliwością. Morrel przypisywał całe to zakłopotanie Penelona wykwintnemu ubiorowi – oczywiście, biedak nie zdobyłby się własnym kosztem na tak wystawne odzienie, musiał więc już się zaciągnąć na jakiś statek, a teraz się zawstydził, że tak prędko zrzucił żałobę po „Faraonie”. Być może szedł nawet do kapitana Gaumard, aby go powiadomić o swoim szczęściu i złożyć mu propozycję w imieniu nowego pryncypała?

– Poczcivi ludzie – rzekł do siebie Morrel, oddalwszy się. – Oby was tylko nowy pryncypał kochał tak jak ja i żeby mu się

lepiej szczęściło!

Sierpień zszedł panu Morrelowi znów na próbach odzyskania dawnego kredytu lub otwarcia nowego. Dwudziestego sierpnia wiadano już w Marsylii, że Morrel wykupił sobie miejsce w dylizansie pocztowym; ludzie powtarzali między sobą, że pod koniec miesiąca będzie ogłoszona upadłość firmy, i że Morrel opuści Marsylię dlatego, by nie być świadkiem owego przykrego aktu; mieli go przy tym zastąpić Emanuel i Kokles. Wbrew jednak wszelkim oczekiwaniom, gdy nadszedł trzydziesty pierwszy sierpnia, kasę Morrela otwarto jak zwykle. Kokles stał za okratowanym okienkiem, spokojny niczym ów sprawiedliwy Horacego, przeglądał z taką samą jak zawsze skrupulatnością wręczane mu weksle i spłacił wszystkie. Zdarzyły się nawet dwie wypłaty, które zresztą pan Morrel przewidział; i te Kokles spłacił – podobnie jak osobiste weksle armatora. Nikt już nic z tego nie rozumiał, ale jak to zwykle bywa u proroków zwiastujących złe nowiny, z uporem krakali o plajcie na koniec września.

Pierwszego września powrócił pan Morrel; cała rodzina oczekiwała go z wielkim niepokojem. Podróż do Paryża miała stanowić ostatnią deskę ocalenia. Morrel liczył na Danglarsa, dziś milionera, któremu się niegdyś mocno przysłużył, za rekomendacją bowiem Morrela Danglars został przyjęty przez pewnego bankiera hiszpańskiego i tam zaczął zbijać swoją ogromną fortunę. Dzisiaj Danglars posiadał podobno sześć do ośmiu milionów kapitału i nieograniczony kredyt. Danglars mógł ocalić Morrela, nie wyłożywszy jednego grosza z kieszeni –

wystarczyłoby, gdyby poręczył za niego, a Morrel otrzymałby pożyczkę i byłby ocalony. Od dawna już Morrel myślał o Danglarsie. Ale miewamy czasem jakiś instynktowny wstręt, nad którym nie jesteśmy w stanie zapanować – i Morrel rzeczywiście zwlekał, ile tylko mógł, nim chwycił się tego ostatniego środka. Miał słuszość – powrócił przywalony upokarzającą odmową.

Ale nie skarżył się wcale ani nie złorzeczył nikomu, ucałował ze łzami w oczach żonę i córkę, po przyjacielsku uściśnął dłoń Emanuela i zamknął się w gabinecie na drugim piętrze, prosząc, aby przyszedł do niego Kokles.

– Teraz – powiedziały obie kobiety do Emanuela – wszystko już stracone.

Z krótkiej narady między matką i córką wynikło, że Julia napisze do brata, który przebywał w garnizonie w Nîmes, aby natychmiast przyjeżdżał. Biedne kobiety dobrze wyczuwały, że trzeba im zebrać wszystkie siły, aby sprostać ciosowi, który miał ich uderzyć. Zresztą Maksymilian Morrel, choć miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, wywierał jednak na ojca wielki wpływ.

Młodzieniec ten miał charakter wyjątkowo stały i prawy. W chwili, gdy miał wybrać sobie karierę, ojciec jego nie chciał mu narzucać niczego i zapytał o jego upodobania. Młodzieniec oświadczył, że pragnie poświęcić się karierze wojskowej; skończył więc jako jeden z pierwszych szkołę średnią, zdał egzaminy do Szkoły Politechnicznej i wyszedłszy stamtąd w stopniu podporucznika, wstąpił do 53 pułku piechoty. Od roku już służył w tej randze i obiecano mu przy pierwszym

wakansie stopień porucznika. W pułku uważano Maksymiliana za wzór żołnierza, ale i człowieka, który posiada wszystkie cnoty, które powinny cechować człowieka porządnego i nazywano go stoikiem. Naturalnie, wielu, co go tak nazywało, nie miało najmniejszego pojęcia o znaczeniu tego epitetu – powtarzali go ze słyszenia.

Takiego to młodzieńca matka i siostra wzywały, aby im dopomógł w tak wielkim nieszczęściu, które, jak się spodziewały, musiało nieuchronnie nastąpić.

Nie omyliły się wcale co do powagi sytuacji: wkrótce potem Julia ujrzała, jak z gabinetu ojca wychodzi Kokles – błądy i drżący, z mocno zmienioną twarzą.

Chciała pytać, kiedy koło niej przechodził, ale pocziwina zbiegał po schodach tak prędko, jak mu się to nigdy nie zdarzyło; i zawołał tylko, wznosząc ręce do nieba:

– Ach, panienko, panienko, co za okropne nieszczęście! I kto by się spodziewał!

Po chwili Julia zobaczyła, jak wracał, niosąc kilka grubych ksiąg, portfel i worek z pieniędzmi.

Morrel przejrzał rejestry, otworzył portfel i przeliczył pieniądze.

Cała gotówka nie przekraczała ośmiu tysięcy franków, a wpłaty, jakich się spodziewał przed piątym września wyniosłyby najwyżej pięć tysięcy; słowem, założywszy nawet jakąś nadwyżkę, miał w aktywach czternaście tysięcy franków, podczas gdy w debecie figurował weksel na dwieście

osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset franków. Nie wypadało nawet proponować takiej zaliczki.

Pomimo to Morrel wydawał się w czasie obiadu zupełnie spokojny. Spokój ten zatrwożył żonę i córkę bardziej, niż by to uczyniło największe przygnębienie na twarzy Morrela. Po obiedzie armator zwykł wychodzić, aby spotkać się na kawie w gronie znajomych i przejrzeć „Semafor”; tego dnia nie wyszedł wcale – udał się od razu do gabinetu.

Kokles wydawał się zupełnie ogłuszony. Cały dzień prawie spędził na dworze, siedząc na kamieniu z odkrytą głową, nie zwracając uwagi na trzydziestostopniowy upał.

Emanuel starał się uspokoić kobiety, ale nie był zbyt przekonujący. Znał zbyt dobrze sytuację firmy, aby nie zdawać sobie sprawy, że rodzinie armatora groziła katastrofa.

Nadeszła noc; panie czuwały nadal w nadziei, że Morrel, wychodząc od siebie, wstąpi i do nich; usłyszały jednak tylko, jak przechodził koło ich drzwi ciszej dużo niż zwykle, jakby się lękał, że go zawołają.

Natężyły słuch: wszedł do swego pokoju i zamknął się od wewnątrz.

Pani Morrel kazała córce pójść spać; w pół godziny później podniosła się, zrzuciła pantofle i cicho wymknęła się na korytarz, aby zobaczyć przez dziurkę od klucza, co robi mąż. Na korytarzu spostrzegła jakiś cień, który cofnął się na jej widok: była to Julia, równie niespokojna jak matka, przybiegła tu przed matką. Dziewczyna podeszła do pani Morrel.

– Pisze – rzekła.

Nic więcej nie powiedziały do siebie, ale się zrozumiały obie.

Pani Morrel pochyliła się do dziurki od klucza. W istocie, Morrel ciągle pisał; ale czego córka nie dostrzegła, ona zauważyła natychmiast: mąż pisał na papierze stempowym.

Przemknęła jej okropna myśl: mąż pisze testament; zadrżała, ale miała tyle silnej woli, że nie rzekła ni słowa.

Na drugi dzień pan Morrel był równie spokojny; siedział jak zwykle w gabinecie, zszedł na obiad jak zwykle; i tylko po kolacji posadził przy sobie córkę, ujął w dłonie jej głowę i tulił długo do siebie.

Wieczorem Julia powiedziała matce, że chociaż ojciec był z pozoru tak spokojny, serce biło mu nadzwyczaj gwałtownie.

Dwa następne dni upłynęły podobnie jak ten. Czwartego września wieczorem Morrel poprosił córkę, aby oddała mu klucz od gabinetu.

Na to żądanie Julia zadrżała, tak złowróżbne jej się wydało. Na co ojciec potrzebuje klucza, który nosiła przy sobie zawsze, i który odbierano jej w dzieciństwie, tylko gdy coś przeskrobała?

Dziewczyna spojrzała na ojca.

– Cóż ci zrobiłam złego, tatku – spytała – że mi go chcesz odebrać?

– Nic, dziecinko, nic... – odpowiedział nieszczęsny Morrel i łązy puściły mu się z oczu na to tak niewinne pytanie. – Po prostu potrzebuję go teraz...

Julia udała, że szuka klucza.

– Musiałam go zostawić u siebie – rzekła.

I wyszła, ale zamiast pójść do siebie, pobiegła poradzić się Emanuela.

– Julio, nie dawaj mu tego klucza – powiedział jej Emanuel.

– I jeśli to będzie możliwe nie opuszczaj go ani na chwilę jutro od samego rana.

Usiłowała jeszcze wypytać Emanuela, ale ten, czy nic nie wiedział czy też nie chciał nic więcej powiedzieć.

Przez całą noc z 4 na 5 września pani Morrel stała z uchem przytkniętym do boazerii w swoim pokoju. Aż do trzeciej rano słyszała, jak mąż chodzi nerwowo tam i z powrotem.

Dopiero o trzeciej rzucił się na łóżko.

Matka i córka spędziły całą noc razem. Od wczorajszego wieczora czekały na przyjazd Maksymiliana.

O ósmej rano przyszedł do nich pan Morrel; był znów opanowany, ale ta burzliwa noc wycisnęła piętno na jego bladej i zniszczonej twarzy.

Nie śmiały zapytać, czy dobrze spał.

Morrel okazywał więcej niż kiedykolwiek miłości żonie i więcej niż kiedykolwiek czułości córce. Nie mógł się nasycić widokiem dziecka, tulił ją i całował.

Julia przypomniła sobie radę Emanuela i chciała pospieszyć za ojcem, gdy wychodził, ale odepchnął ją łagodnie i rzekł:

– Zostań przy matce.

Julia usiłowała się upierać.

– Zostań, tak sobie życzę.

Pierwszy to raz Morrel powiedział do córki „tak sobie życzę”, ale wyrzekł te słowa z tak wielką, ojcowską serdecznością, że Julia nie śmiała postąpić ani kroku.

Pozostała na miejscu niema i nieruchoma; nagle otwarły się drzwi, objęły ją czyjeś ręce i ktoś ucałował ją w czoło.

Podniosła oczy i krzyknęła z radości.

– Maksymilian! Braciszku!

Na ten okrzyk przybiegła pani Morrel i rzuciła się synowi na szyję.

– Matko – odezwał się młodzieniec, wpatrując się na przemian to w matkę, to w siostrę. – Cóż się tu dzieje? Wasz list przeraził mnie i oto jestem.

– Julio – rzekła pani Morrel, dając synowi porozumiewawczy znak. – Idź i powiedz ojcu, że przyjechał Maksymilian.

Dziewczyna wybiegła, ale na pierwszym stopniu schodów natknęła się na jakiegoś człowieka, który trzymał list w ręku.

– Czy może panna Julia Morrel? – zapytał z mocnym włoskim akcentem.

– Tak, proszę pana – wyjąkała Julia. – Ale czego pan chce ode mnie? Nie znam pana.

– Niech pani przeczyta ten list – rzekł, podając jej papier. Julia zawahała się.

– Idzie tu o ocalenie pani ojca! – dodał posłaniec.

Julia wyrwała mu list.

Rozerwawszy kopertę, przeczytała:

Proszę udać się natychmiast na Aleje Meilhańskie,

wejść do domu nr 15, poprosić odźwiernego o klucz do mieszkania na piątym piętrze; pójść do tego mieszkania – znajdzie tam Pani na kominku sakiewkę z czerwonego jedwabiu; proszę ją wziąć i zanieść ojcu.

Jest bardzo ważne, aby otrzymał ją przed godziną jedenastą. Przypominam, że przyrzekłaś mi Pani ślepe posłuszeństwo.

Sindbad Żeglarz

Dziewczyna wydała okrzyk radości, uniosła oczy, chcąc o coś zapytać człowieka, który jej oddał ten bilet, ale zdążył już zniknąć.

Zwróciła więc jeszcze raz oczy na list, chcąc go odczytać powtórnie i spostrzegła, że było tam jeszcze *postscriptum*:

Musi Pani to polecenie wykonać osobiście i sama; jeśli Pani przybędzie w towarzystwie, albo kto inny zgłosi się zamiast pani, odźwierny powie, że o niczym nie wie.

Ten przypisek ochłodził znacznie radość Julii. Czy aby nie powinna się czegoś obawiać? Czy to nie była jakaś zasadzka na nią? W swojej naiwności nie wiedziała, jakie może grozić niebezpieczeństwo młodej dziewczynie w tym wieku, ale przecież niekoniecznie trzeba znać niebezpieczeństwo, aby się go lękać; a nawet warto zauważyć, że to zazwyczaj niebezpieczeństwa nieznane budzą w nas największą trwogę.

Po chwili wahania postanowiła zapytać kogoś o radę.

Ale wiedzioną dziwnym przecuciem, nie poszła ani do matki, ani do brata, tylko do Emanuela.

Zeszła na dół, opowiedziała mu, co się jej przytrafiło, gdy wysłannik firmy Thomson i French odwiedził jej ojca; opisała mu scenę na schodach, powtórzyła obietnicę, jaką wtedy złożyła, i pokazała mu list.

– Trzeba tam pójść, Julio – rzekł Emanuel.

– Pójść? – szepnęła Julia.

– Tak, a ja pójdę z tobą.

– Ale nie zrozumiałeś, że mam tam iść sama?!

– I wejdiesz tam sama – odpowiedział młodzieniec – a ja będę czekał na rogu ulicy Musée; i jeśli tak długo nie będziesz wracała, że zacznę się tym niepokoić, pójdę tam i zapewniam cię – biada tym, na których mogłabyś się poskarżyć.

– Sądzisz, Emanuelu, że naprawdę mam iść na to spotkanie?

– Tak. Czy posłaniec nie powiedział ci przecież, że chodzi tu o ratunek dla twojego ojca?

– Ależ powiedz mi w końcu, Emanuelu, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża?

Emanuel wahał się chwilę, ale wzięło nad nim przewagę pragnienie, aby Julię przekonać.

– Słuchaj – rzekł do niej. – Dziś jest 5 września, nieprawdaż?

– Tak.

– Dzisiaj o jedenastej twój ojciec ma zapłacić prawie trzysta tysięcy franków.

– Tak, wiem o tym.

– Ale w kasie nie ma nawet piętnastu tysięcy!

– I co się stanie?

– To, że jeśli twój ojciec nie znajdzie do jedenastej kogoś, kto by mu podał rękę, o dwunastej będzie musiał ogłosić się bankrutem.

– Ach! Chodźmy! Chodźmy! – zawołała dziewczyna, ciągnąc Emanuela za rękę.

Tymczasem pani Morrel wszystko opowiedziała synowi.

Wiedział on już, że z powodu kolejnych nieszczęśliwych wypadków w wydatkach firmy zaprowadzono duże ograniczenia; ale nie zdawał sobie sprawy, że rzeczy tak daleko już zaszły.

Ta wiadomość go zdruzgotała.

Zerwał się nagle, rzucił do drzwi, wbiegł szybko po schodach, sądził bowiem, że ojciec jest w gabinecie; ale stukał na próżno.

Za chwilę usłyszał, jak skrzypnęły drzwi od sypialni Morrela; odwrócił się i ujrzał ojca.

Na widok Maksymiliana Morrel krzyknął ze zdziwienia; nie wiedział bowiem nic o przybyciu syna. Ale stał nadal nieruchomy, przytrzymując lewym ramieniem jakiś przedmiot ukryty pod surdudem. Maksymilian zbiegł szybko ze schodów i rzucił się ojcu na szyję; i nagle odskoczył, dotykając dalej prawą dłońią piersi ojca.

– Ojcze! – zawołał, blednąc śmiertelnie. – Dlaczego chowasz pod surdudem parę pistoletów?

– O! Tego właśnie się obawiałem! – westchnął Morrel.

– Ojcze... Ojcze! Na Boga! – wykrzyknął młodzieniec. – Po co ci ta broń?

– Maksymilianie – odpowiedział Morrel, patrząc prosto na

syna. – Jesteś mężczyzną, jesteś człowiekiem honoru, chodź za mną, to ci wyjaśnię.

I podążył pewnym krokiem do gabinetu, a Maksymilian, chwiejąc się, poszedł za nim.

Morrel zamknął za synem drzwi, przeszedłszy przedpokój skierował się prosto do biurka, położył pistolety na brzegu i wskazał synowi palcem otwarty rejestr.

Księga ta zawierała dokładny obraz sytuacji.

Za pół godziny Morrel miał zapłacić dwieście osiemdziesiąt siedem tysięcy franków, a posiadał tylko piętnaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt siedem.

– Czytaj – rzekł Morrel.

Młodzieniec przeczytał i znieruchomiał, zdruzgotany.

Morrel nie mówił nic; cóż by mógł dodać wymowniejszego niż wyrok tych nieubłaganych liczb?

– Czy wszystko już zrobiłeś, ojcze, aby przeciwstawić się temu nieszczęściu?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.